



"Wzruszająca i pełna emocji. Dla  
mnie książka roku -  
a może i najlepsza książka  
na zawsze". Colleen Hoover

KATJA MILLAY

# Możesz Spokoju

Poruszająca i pięknie napisana historia  
o samotnym chłopaku, kruchej emocjonalnie  
dziewczynie i cudzie drugiej szansy.

Ta książka złamie ci serce i sklei je na nowo

# Millay Katja

## Morze spokoju

Żyję w świecie, pozbawionym magii i cudów. W tym miejscu nie ma jasnowidzów ani zmiennokształtnych, nie przybędą ci na pomoc anioły ani chłopcy, obdarzeni ponadnaturalnymi mocami. W tym miejscu ludzie umierają, muzyka rozpada się i generalnie wszystko jest do dupy. Czasami rzeczywistość tak mocno przyciska mnie do ziemi, że dziwię się, jakim sposobem nadal jestem w stanie oderwać od niej stopy.

Dwa i pół roku - tyle minęło od tragedii, która zamieniła Nastę w cień samej siebie. Dziewczyna właśnie przeprowadziła się do innego miasta i chce za wszelką cenę ukryć swoją przeszłość. Nastya jest mistrzynią w trzymaniu ludzi na dystans. Ale jej plan działa tylko do momentu, w którym spotyka kogoś równie odizolowanego jak ona.

Historia Josha nie jest tajemnicą. W wieku siedemnastu lat został zupełnie sam. Kiedy twoje imię wydaje się być synonimem śmierci, ludzie zazwyczaj dają ci święty spokój. Tylko Nastya przekracza niepisaną granicę i stara się za wszelką cenę poznać każdy aspekt jego życia. Gdy trudna przyjaźń powoli przeradza się w uczucie, Josh zaczyna się zastanawiać, czy kiedykolwiek pozna sekret dziewczyny - i czy w ogóle tego pragnie.



## **Prolog**

*Nienawidzę swojej lewej ręki. Nienawidzę na nią patrzeć. Nienawidzę, kiedy drży i zacina się, i przypomina o utraconej tożsamości. Ale i tak na nią patrzę, ponieważ przypomina mi również o tym, że znajdę chłopaka, który wszystko mi odebrał. Zamierzam zabić swojego mordercę. I zamierzam zrobić to lewą ręką.*

## Rozdział 1

### *Nastya*

Śmierć nie jest taka straszna, kiedy już ją przeżyjesz. A ja przeżyłam. Już się jej nie boję. Boję się całej reszty.

Sierpień na Florydzie oznacza trzy rzeczy: upał, okropną wilgotność i początek szkoły. *Szkolą*. Nie byłam w szkole od ponad dwóch lat. Nie licząc lekcji z mamą w domu, przy kuchennym stole, a nie liczę. Jest piątek. W poniedziałek zaczynają się lekcje, a ja jeszcze się nie zapisałam. Jeśli nie zrobię tego dzisiaj, nie dostanę planu na poniedziałek i będę musiała najpierw pójść do sekretariatu. Wolałabym uniknąć kiepskiej sceny rodem z filmu z lat osiemdziesiątych typu: nowa uczennica wkracza spóźniona do klasy, wzbudzając ogólną sensację. Nie byłaby to wprawdzie najgorsza rzecz, jaka mi się w życiu przydarzyła, ale i tak beznadziejna.

Ciotka wjeżdża na parking przed Liceum Ogólnokształcącym w Mili Creek. Budynek niczym nie różni się od innych szkolnych budynków. Pomijając ohydny kolor i nazwę na tabliczce - replika szkoły, do której chodziłam poprzednio. Margot - zabroni-

ła mi zwracać się do niej „ciociu”, bo czuje się przez to stara - wyłącza radio, którego ryki towarzyszyły nam przez całą drogę. Na szczęście droga była krótka, bo głośne dźwięki doprowadzają mnie do szału. Nie dźwięki jako takie, ale ich natężenie. Głośne dźwięki sprawiają, że nie słyszę tych cichych, a cichych dźwięków należy się bać. Ale jakoś wytrzymałam, bo jesteśmy w samochodzie, a w samochodzie przeważnie czuję się bezpiecznie. Co innego na zewnątrz. Na zewnątrz nigdy nie czuję się bezpiecznie.

- Twoja mama chciała, żebyś zadzwoniła, kiedy skończymy -mówi Margot.

Mama chce ode mnie wielu rzeczy, ale nigdy ich nie dostanie. W porównaniu z innymi prośba o telefon to bardzo niewiele, co jednak nie znaczy, że zamierzam ją spełnić.

- Mogłabyś przynajmniej wysłać esemes. Kilka słów. *Zapisałam się. Wszystko w porządku.* I może w przypiływie hojności dorzucić uśmiechniętą buźkę.

Spoglądam na nią z boku. Margot jest siostrą mamy, młodszą o jakieś dziesięć lat. I pod niemal każdym względem stanowi jej przeciwieństwo. Nawet nie jest do niej podobna, co znaczy, że nie jest podobna również do mnie, ponieważ ja wyglądam jak kopia mamy. Margot ma ciemnoblond włosy i niebieskie oczy, jest zawsze opalona, pracuje w nocy, odsypia w dzień, na leżaku, w pełnym słońcu, chociaż jako pielęgniarka chyba powinna wiedzieć, jakie to szkodliwe. Ja mam białą skórę, ciemnobrązowe oczy i długie, kręcone, niemal czarne włosy. Margot wygląda, jakby urwała się z reklamy mleczka do opalania. Ja wyglądam, jakbym wstała z trumny. Chyba tylko ktoś głupi mógłby uwierzyć, że jesteśmy spokrewnione, choć to jedna z nielicznych rzeczy na mój temat zgodnych z prawdą.

Na jej twarzy widnieje arogancki uśmieszek. Wie, że nawet jeśli nie przekonała mnie, bym uległa prośbie mamy, to zdołała wzbudzić we mnie poczucie winy. Nie można nie lubić Margot, choćby nie wiem jak bardzo się starać, co sprawia, że trochę jej nienawidzę, bo nigdy nie będę taka jak ona. Wzięła mnie do siebie nie dlatego, że nie miałam dokąd pójść, ale dlatego, że nigdzie indziej nie mogłam wytrzymać. Na szczęście dla niej, będzie widywała mnie tylko w przelocie, bo kiedy zacznie się szkoła, rzadko będziemy na siebie wpadać. Ale i tak dziwię się, że trzydziestoletnia singielka zdecydowała się przyjąć do siebie ponurą zgorzkniałą nastolatkę.

Ja na pewno bym czegoś takiego nie zrobiła, ale ja nie jestem dobra. Może właśnie dlatego uciekam od ludzi, którzy kochają mnie najbardziej na świecie. Gdybym tylko mogła zamieszkać sama, chętnie bym to zrobiła. Oni jednak nie dali mi wyboru. Tak więc zdecydowałam się przynajmniej zamieszkać z kimś, kto tak bardzo mnie nie kocha. Jestem wdzięczna Margot. Ale nie powiem jej tego. W ogóle nic nie powiem.

W sekretariacie panuje niezłe zamieszanie. Dzwonią telefony, pracują kopiarki, gwar. Ludzie czekają w trzech kolejkach. Nie wiem, w której powinnam stanąć, więc wybieram tę najbliższą wejścia i liczę na to, że dobrze trafiłam. Margot również wchodzi do środka, po czym ciągnie mnie gdzieś w bok, mija kolejki i zmierza prosto do recepcjonistki. Margot ma szczęście, że ją zauważyłam, bo inaczej sekundę po tym, kiedy jej dłoń znalazła się na moim ramieniu, ona sama znalazłaby się twarzą przy ziemi, a moje kolano na jej plecach.

- Jesteśmy umówione z dyrektorem Armourem - mówi Margot władczym tonem. Margot, odpowiedzialna dorosła osoba.

Dzisiaj gra rolę przynależną mojej mamie. Raczej nie znam jej od tej strony. Zwykle woli rolę równej cioteczki. Sama nie ma dzieci, więc chyba nie czuje się zbyt pewnie. Nawet nie wiedziałam, że jesteśmy umówione, ale teraz widzę, że to był niegłupi pomysł. Recepcjonistka, istota koło pięćdziesiątki o niewdzięcznej aparycji, pokazuje nam zamknięte drzwi z ciemnego drewna i stojące obok krzesła.

Czekamy tylko kilka minut. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Anonimowość jest bardzo przyjemna. Zastanawiam się, jak długo potrwa. Spoglądam po sobie. Nie zadbałam o odpowiedni strój. Myślałam, że wpadniemy na chwilę, wypełnię papierki, oddam książeczkę szczepień i koniec. Nie spodziewałam się takich tłumów. Mam na sobie dzinsy i czarną koszulkę w serek, no dobra, jedno i drugie może nieco zbyt obcisłe, ale całkowicie pozbawione oryginalności. Za to w przypadku butów bardziej się wysiliłam. Czarne szpile. Jedenaście centymetrów. Obłąd. Nie noszę ich po to, by dodać sobie wzrostu, chociaż na pewno by się przydało, ale dla efektu. Włożyłam je dzisiaj, bo muszę poćwiczyć. Już całkiem nieźle utrzymuję w nich równowagę, ale uznałam, że próba kostiumowa nie zaszkodzi. Wolałabym nie dać ciała pierwszego dnia szkoły.

Spoglądam na ścienny zegar. Wskazówka sekundowa przesuwa się w mojej głowie, choć wiem przecież, że tak naprawdę nie mogę jej słyszeć, nie przebiłaby się przez panujący tu rozgardiasz. Chciałabym wyłączyć ten hałas. Denerwuje mnie. Za dużo dźwięków naraz, mój mózg próbuje je oddzielić, posortować i ułożyć w staranne małe stosiki, ale to niemożliwe, szum urządzeń i ludzkie głosy zlewają się w jeden wielki jazgot. Otwieram i zamykam dłoń, leżącą na moich kolanach, mam nadzieję, że zaraz nas zawołają.

Kilka minut później, które wydają się co najmniej godziną, ciężkie drewniane drzwi otwierają się i do środka zaprasza nas mężczyzna około czterdziestki, w koszuli i krawacie, kompletnie niedobranych. Ale poza tym wygląda całkiem nieźle. Za dobrze jak na dyrektora szkoły. Uśmiecha się ciepło i siada za biurkiem w ogromnym fotelu, obitym bordową skórą. Biurko też jest ogromne. Za duże na to pomieszczenie. Zapewne meble mają za zadanie onieśmielać-bo dyrektor tej funkcji nie spełnia. Jeszcze zanim zdążył się odezwać, klasyfikuję go jako osobę miłą i łagodną. Mam nadzieję, że się nie mylę. Taki właśnie jest mi potrzebny.

Siadam na jednym z foteli naprzeciwko pana Armoura. Margot zajmuje drugi i zaczyna swoją gadkę. Słucham przez kilka minut, jak wyjaśnia moją „wyjątkową sytuację”. *Wyjątkowa sytuacja*, rzeczywiście. Kiedy przechodzi do szczegółów, widzę, że pan Armour zerka na mnie. Jego oczy rozszerzają się odrobinę. Dostrzegam w nich błysk. Tak, to ja. Pamięta mnie. Gdybym uciekła gdzieś dalej, pewnie mogłabym tego uniknąć. Moje nazwisko nic by nie znaczyło. Moja twarz znaczyłaby jeszcze mniej. Ale znajduję się zaledwie dwie godziny jazdy od strefy zero i wystarczy jedna osoba, która poskłada elementy układanki, bym wróciła do punktu wyjścia. Nie mogę ryzykować, dlatego siedzimy tutaj, w jego gabinecie. Za trzy dni zaczyna się szkoła. Prawdziwe last minutę. To akurat nie jest moja wina. Rodzice walczyli do ostatniej chwili, ale w końcu się poddali. W pewnym stopniu zawdzięczam to Margot. Chociaż, wydaje mi się, trochę pomogło też to, że złamałam ojcu serce. Poza tym pewnie po prostu się zmęczyli.

Nie słucham, rozglądam się po gabinecie. Niewiele tu rzeczy, na których można zawiesić wzrok. Kilka doniczek z kwiatami, wyraźnie stęsknionymi za wodą, trochę rodzinnych fotografii. Dy-



plom na ścianie, z uniwersytetu w Michigan. Dyrektor ma na imię Alvin. Ble. Co za syfne imię. Pewnie nawet nic nie znaczy, ale i tak sprawdzę. Zastanawiam się nad jego pochodzeniem. Widzę, że Margot wyciąga teczkę i podaje dyrektorowi. Papiery od lekarza. Dużo. Dyrektor zaczyna je przeglądać, a ja patrzę na oldsku-lową temperówkę na jego biurku, z metalową korbką. Dziwne. Biurko z wiśniowego drewna jest eleganckie, w ogóle nie przypomina tych seryjnych góvien, które zwykle stoją w szkolnych gabinetach. Nie rozumiem, dlaczego ktoś przyczepił do takiego mebla przedpotopową temperówkę. Straszny zgrzyt. Chciałabym o to spytać. Zamiast tego skupiam wzrok na okrągłych otworach na ołówki różnej wielkości i zastanawiam się, czy mój różowy paluszek wpasowałby się w któryś z nich. Rozważam w myślach, czy bardzo by bolało i czy byłoby dużo krwi, i w tym momencie słyszę, że ton głosu pana Armoura się zmienia.

- W ogóle? - pyta nerwowo.

- W ogóle - potwierdza Margot. Rola poważnej dorosłej doskonale jej idzie.

- Rozumiem. Cóż, zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Dopilnuję, by do poniedziałku wszyscy nauczyciele zostali poinformowani. Wypełniła formularz, dotyczący zajęć. Wszystko idzie jak w zegarku, oto dotarliśmy do momentu, kiedy mówi o mnie tak, jakby nie było mnie w tym pomieszczeniu. Margot podaje mu formularz. Dyrektor przesuwając po nim wzrokiem. - Przekażę to dalej, żeby przygotowali plan zajęć na poniedziałek. Ale nie mogę obiecać, że dostanie się na wszystkie wybrane zajęcia. W tym momencie większość grup jest już pełna.

- Rozumiemy. Jestem pewna, że zrobi pan wszystko, co w pana mocy. Dziękujemy za pomoc i dyskrecję, oczywiście - doda-

je Margot. Brzmi to jak ostrzeżenie. Dalej, Margot. Ale to chyba niepotrzebne. Odnoszę wrażenie, że on naprawdę chce pomóc. Poza tym chyba wprawiam go w zakłopotanie, więc pewnie liczy na to, że będziemy widywać się najrzadziej, jak to tylko możliwe.

Pan Armour podchodzi do drzwi, potrząsa ręką Margot, niemal niezauważalnie kiwa głową w moją stronę z wymuszonym uśmiechem, pełnym litości, a może wzgardy. Potem prędko odwraca wzrok. Prowadzi nas z powrotem do recepcji, gdzie nadal trwa straszne zamieszanie, prosi, byśmy chwilę poczekały, i znika z moimi papierami.

Rozglądam się i widzę, że kilka z tych osób, które wcześniej widziałam, nadal czeka w kolejce. Dziękuję temu bogu, który nadal we mnie wierzy, że kolejka została mi oszczędzona. Wolałabym wyczyścić kibel językiem niż spędzić choćby minutę dłużej pośród tej kakofonii. Stoimy pod ścianą, jak najdalej od hałaśliwego tłumu. Wszystkie krzesła zajęte. Patrzę na początek kolejki. Ken o włoskach w kolorze ciemnego blondu właśnie rzuca majtkozdzierczy uśmiech pani Nieprzyjemnej po drugiej stronie kontuaru. Pani Nieprzyjemna grzeje się w blasku samczej aury. Nie winię jej. To przystojniak z gatunku tych, którzy nawet kobiety świadome własnej wartości potrafią zmienić w kompletne kretyнки. Próbuję wyłowić, o czym rozmawiają. Coś o pracy recepcjonistki. Aaa, ty spryciarzu. Przekrzywia łepkę na bok i mówi coś jeszcze, a pani Nieprzyjemna wybucha śmiechem i z rezygnacją potrząsa głową. Czegokolwiek chciał, już to ma. Widzę, jak zmienia się jego wzrok. On też o tym wie. Nagle drzwi się otwierają, wchodzi nienormalnie śliczna dziewczyna, przebiega wzrokiem dokoła, zatrzymuje spojrzenie na Kenie.

- Drew! - woła, a jej głos przedziera się przez harmider i wszyscy się odwracają. Śliczna nic sobie z tego nie robi. - Nie zamie-

rzam cały dzień siedzieć w samochodzie! Rusz się! - Przyglądam się jej. Ma blond włosy, tak jak Ken, ale jaśniejsze, jakby całe lato spędziła w słońcu. Jest atrakcyjna w najbardziej oczywisty sposób na świecie. Ma na sobie różową, wiązaną na szyi bluzkę, porządnie wypełnioną w przodu, a do tego obsesyjnie dopasowaną odcieniem różową torebkę. Ken wydaje się lekko rozbawiony jej wybuchem. Pewnie jego dziewczyna. Dobrana parka. *Majtkozdzierca Ken w komplecie z Nadąsaną Księżniczką Barbie: nieosiągalne rozmiary, designerska torebka i wkurwiona mina wliczone w cenę!* Ken unosi palec na znak, że potrzebuje jeszcze minutę. Na jego miejscu wybrałabym inny palec. Uśmiecham się krzywo na tę myśl, a kiedy podnoszę głowę, okazuje się, że on też uśmiecha się krzywo, patrząc prosto na mnie, jego oczy błyszczą figlarnie.

Pani Nieprzyjemna skrobie coś pospiesznie w jego papierach, składa podpis na dole i podaje mu, ale on wciąż się na mnie gapi. Wskazuję panią Nieprzyjemną ruchem głowy, unosząc znacząco brwi. *Nie bierzesz tego, po co przyszedłeś?* Odwraca się, wyjmując papier z jej ręki, dziękuje i puszcza oczko. Puszcza oczko do recepcjonistki w wieku menopauzalnym. Posunięcie tak obrzydliwie proste, że niemal genialne. *Niemal.* Menopauza jeszcze raz potrząsa głową i macha ręką w stronę drzwi. *Brawo, Ken, dobra robota.*

Podczas gdy ja zabawiałam się oglądaniem opery mydlanej, Margot rozmawiała szeptem z jakąś kobietą, jak przypuszczam, pedagog z działu doradczego. Drew, którego ja i tak zamierzam nazywać Kenem, stoi przy drzwiach i gada z paroma chłopakami, czekającymi na końcu kolejki. Ciekawe, czy specjalnie próbuje wkurzyć Barbie. To zresztą chyba nietrudne.

- Idziemy - oznajmia Margot, podchodząc do mnie, i popycha mnie w stronę wyjścia.

- Przepraszam! - rozbrzmiewa nagle przenikliwy głos. Wszyscy się odwracają i patrzą na kobietę, która podnosi wysoko teczkę i kieruje ją w moją stronę. - Jak wypowiada się to imię?

- Nastja - mówi starannie Margot, a ja kulę się w sobie, uświadamiając sobie nagle obecność tych wszystkich ludzi dookoła. -Nastya Kashnikov. To rosyjskie nazwisko. - Ostatnie słowa rzuca przez ramię, z jakiegoś powodu wyraźnie z siebie zadowolona. A potem wychodzimy. Wszyscy się na nas gapią.

Kiedy docieramy do samochodu, Margot oddycha z ulgą i zmienia się w Margot, jaką znam.

- No, to z głowy. Przynajmniej chwilowo. - Potem uśmiecha się swoim olśniewającym uśmiechem prawdziwej amerykańskiej dziewczyny. - Lody? - pyta takim tonem, jakby potrzebowała tego bardziej, niż ja. Uśmiecham się w odpowiedzi, bo nawet o dziesiątej trzydzieści rano istnieje tylko jedna prawidłowa odpowiedź na takie pytanie.

## Rozdział 2

### *Josh*

Poniedziałek. Siódma dwie. Bezsens. Dzisiaj i przez kolejnych sto siedemdziesiąt dziewięć dni. Chętnie pokontemplowałbym tę pustkę, gdybym miał czas, ale nie mam. I tak jestem spóźniony. Idę do pralni i wyciągam jakieś ciuchy z włączonej suszarki. Zapomniałem włączyć ją wieczorem, ale nie ma czasu, więc wkładam wilgotne dżinsy, a potem wychodzę i bardzo staram się nie przewrócić. Nieważne. Jakoś nie jestem zaskoczony.

Wyjmuję kubek z szafki i nalewam kawy, próbując nie zalać blatu i nie poparzyć się przy okazji. Stawiam kubek na stole, obok pudełka pełnego buteleczek z lekami. W tym momencie dziadek wchodzi do kuchni. Jego włosy sterczą we wszystkie strony, przypomina jakiegoś szalonego naukowca. Idzie niepokojąco powoli, ale wiem, że nie mam co rzucać się z pomocą. Nienawidzi tego. Kiedyś był twardzielem, ale już nie jest, i bardzo wyraźnie odczuwa rozmiar tej straty.

- Kawa na stole - mówię, chwytając klucze i kierując się do wyjścia. - Przygotowałem tabletki i wszystko zapisałem. Bill przyjdzie za godzinę. Jesteś pewien, że poradysz sobie przez ten czas?

- Nie jestem kaleką, Josh - warczy dziadek. Próbuję opanować uśmiech. Wkurzy! się. To dobrze. Wszystko robi się trochę bardziej normalne.

Wskakuję do pikapa i ruszam, chyba i tak jestem spóźniony. Mieszkam niedaleko szkoły, ale znaleźć miejsce na parking pierwszego dnia to prawdziwe wyzwanie. Nauczyciele w większości będą udawać, że niczego nie zauważyli, zresztą i tak nie mam co się martwić, nikt nie kazałby zostać mi za karę po lekcjach, czy to za spóźnienie, czy z innego powodu. Dodaję gazu i po kilku minutach dołączam do ogonka samochodów, wjeżdżających na parking. Przesuwa się powoli, ale jednak przesuwa. Jestem po czterech godzinach snu i jednej kawie. Żałuję, że nie miałem czasu złapać jeszcze jednej na drogę, choć pewnie i tak wylądowałyby na moich kolanach.

Wyciągam plan zajęć i sprawdzam jeszcze raz. Zajęcia techniczne dopiero czwarte z kolei, ale przynajmniej nie na samym końcu. Reszta głównie mnie obchodzi.

Wreszcie wjeżdżam na parking. Drew serwuje grupie wiernych fanów wysane z palca historyjki na temat minionego lata. A wiem, że są wysane z palca, ponieważ większość czasu spędził w moim towarzystwie i żadne z tych szaleństw nie było naszym udziałem. Nie licząc chwil, kiedy zniknął na spotkanie z aktualną dziewczyną, siedział u mnie na kanapie. Kiedy teraz patrzę na niego, odnoszę wrażenie, że nikt nie cieszy się z powrotu do szkoły tak jak on. Wywróciłbym oczami, gdyby nie było to takie dziewczyńskie, więc zamiast tego patrzę prosto przed siebie niewidzącym wzrokiem i nie zatrzymuję się. Drew kiwa głową w moim kierunku, ja też kiwam. Później pogadamy. Wie, że nie podejść do niego, kiedy dokoła stoją ci wszyscy ludzie. Nikt więcej nie zwraca na mnie

uwagi. Mijam całą resztę i wchodzę na główny dziedziniec dokładnie w chwili, gdy rozbrzmiewa dzwonek.

Trzy pierwsze godziny równie dobrze mogłyby nie istnieć. Wysłuchuję przemowy na temat przepisów, sprawdzam plan zajęć i próbuję nie zasnąć. Dziadek wstawał w nocy pięć razy, co znaczy, że ja też wstawałem pięć razy. Naprawdę muszę więcej sypiać. *Za tydzień się wyspisz*, myślę z goryczą, ale na razie wolę się nad tym nie zastanawiać.

Dziesiąta czterdzieści pięć. Pierwsza długa przerwa. Chyba pójdę prosto do warsztatu. Nie cierpię jeść tak wcześnie. Idę na dziedziniec i ląduję na stojącej najdalej ławce, tej samej, na której siadałem przez ostatnie dwa lata. Nikt mi nie przeszkadza, łatwiej udawać, że nie istnieję. Wolałbym spędzić te trzydzieści minut, zamiatając trociny, ale na razie nie ma żadnych trocin do zamiecenia. Ale przynajmniej o tej porze metalowe ławki jeszcze nie topią się w słońcu. Muszę tylko odczekać te pół godziny, zapewne najdłuższe w całym moim życiu.

### *Nastya*

Przetrwać. Tylko tyle. Nie jest aż tak strasznie, jak się spodziewałam. Niektórzy się gapią, pewnie z powodu mojego stroju, ale poza tym nikt nie próbuje ze mną rozmawiać. Za wyjątkiem Drew, czyli Kena. Wpadliśmy na siebie dziś rano, ale nic ciekawego z tego nie wynikło. On gadał. Ja szłam. W końcu się poddał. Dotrwałam do długiej przerwy. Teraz nastąpi test. Do tej pory nikt nie miał za bardzo okazji udzielać się towarzysko, więc jakoś udało mi się prześliznąć, ale przerwa śniadaniowa to niekontrolowane piekło gigantycznych rozmiarów. Początkowo robienie uników

zdaje egzamin, ale w końcu muszę zmierzyć się ze spojrzeniami i komentarzami. Wolałabym wsadzić sobie kaktus w dupę, ale nie ma takiej opcji, więc trzeba zerwać plaster i jak najszybciej mieć to za sobą. Potem znajdę pustą toaletę, poprawię włosy i szminkę lub - jak my, tchórze, lubimy to nazywać - schowam się.

Ukradkiem sprawdzam ubranie, upewniam się, czy wszystko jest na swoim miejscu i czy nie pokazuję więcej, niż zaplanowałam. Włożyłam te same szpile co w piątek, ale tym razem mam na sobie mocno wyciętą czarną koszulkę na ramiączkach i prawie nieistniejącą spódniczkę, w której mój tyłek całkiem nieźle się prezentuje. Rozpuściłam włosy, opadają na ramiona i zakrywają bliznę na czole. Oczy obrysowałam grubą czarną kredką. Całość wygląda wulgarnie i zapewne może spodobać się jedynie osobnikom, znajdującym się na najniższym szczeblu rozwoju. *Drew*. Uśmiecham się do siebie, przypominając sobie spojrzenie, którym zmierzył mnie tego ranka na korytarzu. Barbie nieźle by się wkurzyła.

Ubieram się w ten sposób nie dlatego, że mi się to podoba, ani po to, by ludzie się na mnie gapili. Chodzi o to, że i tak będą się gapić, tylko z nieodpowiednich powodów, a skoro tak, to chcę przynajmniej sama te powody wybrać. A poza tym spojrzenia to niewielka cena, najważniejszy cel - trzymać wszystkich na dystans. Raczej żadna dziewczyna nie zechce do mnie zagadać, a facetom, nawet jeśli się zainteresują, na pewno nie będzie chodziło o konwersację. No i co z tego? Skoro i tak zwracam na siebie uwagę, to wolę tyłkiem niż psychozą i spieprzoną ręką.

Margot nie zdążyła wrócić do domu przed moim wyjściem, pewnie próbowałaby przekonać mnie do zmiany garderoby. Trudno się dziwić. Kiedy weszłam na pierwszą lekcję, nauczyciel chy-



ba miał ochotę powiedzieć coś na temat nieodpowiedniego stroju, ale potem zobaczył moje nazwisko na liście i tylko kazał mi usiąść; do końca lekcji więcej na mnie nie spojrzał.

Gdyby trzy lata temu moja mama zobaczyła, że poszłam tak ubrana do szkoły, pewnie dostałaby ataku, płakałaby i wyrzucała sobie braki wychowawcze, albo po prostu zamknęłaby mnie w pokoju. Dzisiaj pewnie zrobiłaby nieszczęśliwą minę, ale spytałaby, czy dzięki temu lepiej się czuję, a ja skinęłabym głową - czyli skłamałabym - i udawałybyśmy, że nie ma problemu. Zresztą ciuchy pewnie tak bardzo by jej nie poruszyły, uniform ulicznicy raczej nie zrobiłby na niej takiego wrażenia jak makijaż. Mama uwielbia swoją twarz. Nie wynika to z arogancji czy zarozumiałstwa, lecz z szacunku. Jest wdzięczna za to, co dostała. I powinna być. Ma niezwykłą twarz, idealną, nieziemską. Twarz tego rodzaju, o jakich pisze się piosenki i wiersze, i listy samobójcze. Egzotyczny rodzaj urody, który doprowadza bohaterów romantycznych powieści do obłędu, nawet jeśli nie mają pojęcia, kim jesteś, bo *po prostu muszą cię mieć*. Tego typu uroda. To moja mama. Zawsze chciałam być do niej podobna. Niektórzy mówią, że jestem, i może to prawda, gdzieś tam pod spodem. Gdyby tak zdrapać makijaż i zdjąć te szmaty, ubrać mnie w coś normalnego, tak, wyglądałabym jak przeciwieństwo osoby, którą jestem teraz - plującej bluzgami dziwki, którą gliniarze wyciągają z meliny w kolejnym odcinku serialu sensacyjnego.

Wyobrażam sobie, jak mama potrząsa głową i robi zawiedzioną minę, ale ostatnio starannie wybiera bitwy i nie w każdej bierze udział. Coś czuję, że akurat tej by nie wybrała. Mama chyba zaczyna wierzyć, że jestem przypadkiem straconym, no i bardzo dobrze, bo jestem i wyprowadziłam się po to, by się z tym pogo-

dziła. Jestem przypadkiem straconym już od dawna. Robi mi się smutno z powodu mamy, bo nie zasłużyła na to wszystko. Myślała, że stał się cud i tylko ja wiedziałam, że nie, choćbym nie wiem jak bardzo chciała jej ten cud ofiarować. I może to właśnie ja go jej odebrałam.

Co sprowadza mnie z powrotem na szkolny dziedziniec, gdzie nadal stoję, jak najdalej od całej reszty. Chciałam dotrzeć tu wcześniej, zanim zbierze się tłum, ale zaczął mnie nauczyciel historii i te trzy minuty wystarczyły, by dziedziniec w połowie pusty zmienił się w dziedziniec rojący się od ludzi. Skupiam wzrok na ceglanej kostce, pokrywającej powierzchnię dziedzińca i podaję w wątpliwość słuszność wyboru obuwia. Zastanawiam się, czy zdołam dostać się na drugą stronę, nie łamiąc przy tym nogi oraz nie tracąc twarzy, gdy nagle słyszę, że ktoś woła mnie po imieniu.

Instynktownie odwracam się w prawo, choć wiem, że to zły pomysł. Kilka metrów dalej siedzi na ławce właściciel głosu i patrzy prosto na mnie. Rozparł się nonszalancko, nogi rozłożył szeroko, ostentacyjnie dając do zrozumienia, co mu chodzi po głowie. Uśmiecha się, wie, że jest przystojny. Gdyby jego samozachwyty przybrał postać perfum, wszyscy dokoła już by się podusili. Ciemne włosy. Ciemne oczy. Tak jak ja. Moglibyśmy być rodzeństwem. Albo jedną z tych przerażających par, które wyglądają jak rodzeństwo. Wkurza mnie, że się na niego gapię. Odwracam się, by podjąć marsz przez pole bitewne i jestem przekonana, że -podobnie jak wszyscy pozostali, siedzący na tej samej ławce - nie odrywa wzroku od moich pleców. A mówiąc plecy, mam na myśli tyłek. Jeszcze raz spoglądam na rozciągającą się dokoła groźną przestrzeń. Zero ciśnienia. Skupiam się na czekającym mnie zadaniu i w tym momencie słyszę:

- Jeśli szukasz wolnego miejsca, moje kolana są do twojej dyspozycji. Aha. Niezbyt śmieszne ani oryginalne, ale jego równie debilni kumple oczywiście zaczynają rzeć. I tak rozwiewa się piękna wizja rodzinnej sielanki. Ruszam, wbijając wzrok przed siebie, jakbym zmierzała dokądś w określonym celu, a nie próbowała jedynie dotrzeć żywa na drugi kraniec dziedzińca. Nie minęła nawet połowa dnia. Przedemną jeszcze cztery z siedmiu zasranych lekcji.

Przyszłam do szkoły odpowiednio wcześniej, żeby zdążyć odebrać plan zajęć. Oczywiście, gdybym wiedziała wcześniej, co na nim znajdę, pewnie zdołałabym zapobiec katastrofie. Znowu panował tam istny obłęd, ale pani Marsh, doradczyni, kazała mi zjawić się osobiście w jej gabinecie - kolejny z wielu przywilejów, związanych z byciem mną.

- Dzień dobry, Nastyo, Nastyo - Wypowiedziała moje imię na dwa różne sposoby, spoglądając przy tym na mnie z roztargnieniem, jakby czekała na potwierdzenie, która forma jest prawidłowa. Oczywiście, nie dostała go. Zachowywała się stanowczo zbyt radośnie jak na pierwszy dzień w szkole i jak na siódmą rano -każdego dnia. Robiło to bardzo nienaturalne wrażenie. Zapewne doradcy szkolni mają takie specjalne zajęcia: *Jak emanować nieodpowiednią do okoliczności radością, stojąc twarzą w twarz z nastoletnim potworem*. Nauczyciele raczej nie muszą w nich uczestniczyć, bo nawet nie próbują udawać. Połowa z nich jest równie żalosna, jak ja.

Wskazała mi miejsce. Nie skorzystałam. Miałam na sobie zbyt krótką spódniczkę, żeby siadać na krześle, które nie jest zasłonięte z przodu biurkiem. Podała mi mapę kampusu i plan zajęć.

Przesunęłam po nim wzrokiem. Głównie interesowały mnie zajęcia dodatkowe, o obowiązkowych wszystko wiedziałam. *No chyba żartujesz*. Przez chwilę byłam przekonana, że dała mi plan innej osoby. Sprawdziłam nazwisko na górze. *Nie, to ja*. Nie bardzo wiedziałam, jak powinnam zareagować w tej sytuacji. Sytuacji z kategorii tych, kiedy wszechświat znów postanowił kopnąć cię w dupę swoim wielkim buciolem. Płacz nie wchodził w grę, podobnie jak wrzaski złości zmieszane z maniackim śmiechem i bluzgami, więc została mi tylko jedna opcja - uparte milczenie.

Pani Marsh musiała zauważyć wyraz mojej twarzy i założyłam, że był to wyraz niezwykle wymowny, bo natychmiast zaczęła dokładnie przedstawiać wymogi dotyczące zaliczenia i opowiadać o przepełnionych grupach chętnych na niektóre przedmioty fakultatywne. Brzmiało to niemal tak, jakby próbowała mnie przeprosić, i może faktycznie powinna, bo mój plan zajęć był naprawdę totalnie do dupy, ale miałam niemal ochotę powiedzieć jej, że wszystko jest w najlepszym porządku, żeby już nie czuła się taka winna. Jakoś przeżyję. Parę głównianych zajęć to trochę za mało, żeby mnie złamać. Zabrałam plan, mapę i swoje żalosne przerażenie, po czym pomaszerowałam do sali, raz po raz odczytując nazwę zajęć. Niestety, nie chciała się zmienić.

Dotarłam prawie do połowy. Nie było tak źle, stosunkowo rzecz biorąc. A w moim życiu wszystko trzeba brać stosunkowo. Nauczyciele są całkiem w porządku. Kobieta od angielskiego, pani McAllister, nawet patrzy mi prosto w oczy, jakby podejrzewała, że oczekuję od niej specjalnego traktowania. Podoba mi się. Ale najgorsze dopiero przede mną, więc na razie nie otwieram szampana.

W dodatku nadal został mi do pokonania Szlak Łez czyli szkolny dziedziniec. Trudno nazwać mnie tchórzem, ale czuję, że jestem na skraju wytrzymałości. Na razie przebyłam niecałe dwa metry, idzie mi całkiem nieźle. Skupiam się na celu - podwójnych drzwiach do skrzydła angielskiego - po drugiej stronie wyłożonej kostką nemezis. Staram się objąć wzrokiem jak najwięcej szczegółów. Na dziedzińcu jest dość tłoczno. I głośno. Głośno nie do wytrzymania. Próbuję skleić wszystkie rozmowy i głosy w jeden monotony szum. Wokół ławek skupiły się niewielkie grupki, niektórzy siedzą, inni stoją. Część uczniów przysiadła na brzegu donic, rozrzuconych po całym dziedzińcu. Co sprytniejsi zajęli miejsca na ziemi, w otaczających dziedziniec podcieniach. Brakuje miejsc do siedzenia, nie można schronić się przed słońcem, jest gorąco jak w piekle. Nawet nie chcę myśleć, jak wygląda stołówka, skoro ludzie wolą siedzieć tutaj i wytapiać dupy na słońcu. W mojej poprzedniej szkole było podobnie, ale nigdy nie musiałam stawiać czoła obłędowi długiej przerwy, nie miałam też dylematów typu: gdzie usiąść i z kim. Wszystkie przerwy spędzałam w sali do muzyki, w ogóle się stamtąd nie ruszałam.

Prawie dotarłam do celu. Na razie widziałam dosłownie kilka znajomych twarzy: chłopak, z którym chodzę na historię, siedzi sam i czyta książkę, kilka dziewczyn, które kojarzę z matematyki, stoją razem ze wściekłą Barbie z pamiętnej sceny w sekretariacie, chichoczą. Czuję na sobie spojrzenia, ale nie licząc tego zarozumiałego buca, który proponował mi miejsce na swoich kolanach, nikt nie próbuje do mnie zagadywać. Muszę minąć jeszcze dwie ławki, nagle ta po lewej stronie przyciąga moją uwagę. Jest prawie pusta, siedzi na niej tylko jeden chłopak, dokładnie pośrodku. Może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że wszyst-

kie pozostałe ławki - a także wszystkie inne miejsca, na których da się posadzić kawałek tyłka - są zajęte. Ale na tej ławce siedzi tylko on. Po chwili stwierdzam, że nikt nawet nie stoi w pobliżu. Jakby całą tę przestrzeń otaczało niewidzialne pole siłowe i tylko on mógł w nim przebywać. Ciekawość bierze górę, na chwilę zapominam o swoim celu. Mimowolnie spoglądam na chłopaka. Siedzi na oparciu, stopy w zniszczonych roboczych butach postawił na siedzeniu. Pochyla się do przodu, łokcie wspierając na kolanach. Ma na sobie sprane dżinsy. Twarzy nie widzę zbyt dobrze. Jasnobrązowe kosmyki opadają mu na czoło, nie odrywa oczu od własnych dłoni. Nie je, nie czyta, na nikogo nie patrzy. A potem patrzy. Na mnie. *Ja pierdolę.*

Odwracam się błyskawicznie, ale i tak za późno. Nie, nie to, że tylko na niego zerknęłam. Zatrzymałam się na środku dziedzińca i gapiłam centralnie. Znajduję się zaledwie kilka kroków od upragnionego schronienia, przyspieszam kroku, ale też me za bardzo, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Wchodzę pod daszek, gdzie jest trochę cienia, sięgam po klamkę, ciągnę. Mc. Drzwi nie ustępują. Powtarzam w myślach: *ja pierdolę.* Zamknięte. W środku dnia. Po cholere zamykają drzwi do budynku?

- Są zamknięte - słyszę jakiś głos z dołu. *Bez kitu.* Spoglądam w dół. Nie zauważyłam go wcześniej, siedzi na ziemi tuż obok drzwi, na kolanach trzyma szkicownik. Nie widać go z dziedzińca, bo widok zasłania wielka donica. Spryciarz. Ma na sobie jakieś straszne łachy, a włosy wyglądają, jakby nie szczotkował ich co najmniej od tygodnia. Tuż obok siedzi w cieniu szatynka w okularach przeciwsłonecznych. W rękę trzyma aparat fotograficzny. Zerka na mnie, zaraz potem całkowicie skupia się na sprzęcie. Nie licząc okularów, jest pozbawiona znaków szczególnych. Za-

stanawiam się, czy słusznie zrobiłam, pokonując całą tę trasę, ale za późno na podobne rozważania.

- Nie chcą, żeby ludzie palili w łazience podczas długiej przerwy - mówi ten ze szkicownikiem. Ma na sobie T-shirt z jakiegoś koncertu, świecący dziurami.

*Aha.* Ciekawe, co się dzieje, jak ktoś przyjdzie spóźniony. Pewnie ma przesrane i tyle. Rozglądam się za inną drogą ucieczki, gdy nagle widzę, że on ciągle na mnie patrzy. Dobrze, że nie stoję parę kroków bliżej, bo pewnie mógłby zajrzeć mi pod bliską nieistnienia spódniczkę. Ale przynajmniej włożyłam fajną bieliznę, jedyne, co mam na sobie w kolorze nieczarnym. Zerkam na szkicownik. Chłopak obejmuje górną krawędź ramieniem, więc nie widzę, co rysuje. Ciekawe, czy jest dobry. Ja nie potrafię rysować. Kiwam głową w podziękowaniu i odwracam się, szukając innej opcji. W tym momencie ze środka wypadają dwie dziewczyny, prawie mnie tratują i zwalają z nóg w imponujących szpilach. Paplają jak najęte, w ogóle nie zwracają na mnie uwagi, i dobrze, bo dzięki temu wślizguję się do środka. Wchodzę do chłodnego pustego korytarza, zostaję zbawiona i przypominam sobie, jak się oddycha.

## Rozdział 3

### *Josh*

Nie mogę doczekać się czwartej lekcji. Już się spociłem od siedzenia w słońcu podczas długiej przerwy, ale nie ma za bardzo co liczyć na klimatyzację w warsztacie. Wchodzę do środka i od razu czuję się jak w domu, chociaż to miejsce wygląda zupełnie inaczej niż w czerwcu. Brakuje porozrzucanych wszędzie narzędzi i kawałków drewna. Podłogi nie zaściela dywan z trocin. Nie słychać pracujących maszyn. Ta cisza działa mi na nerwy. Tu nie powinno być cicho, tak bywa tylko o tej porze roku. Przez parę pierwszych tygodni przerabia się na nowo zasady bezpieczeństwa i obsługi sprzętu, które mógłbym wyrecytować z pamięci, gdyby ktoś poprosił. Ale nikt nie prosi. Wszyscy wiedzą, że je znam. Gdybym chciał, sam mógłbym uczyć. Rzucam książki na stół w rogu, przy którym siedzę co roku, w każdym razie w tym czasie, kiedy w ogóle siedzi się na tych zajęciach. Ale zanim zdążę przysunąć sobie krzesło, woła mnie pan Turner.

Lubię pana Turnera, jemu zaś moja sympatia jest całkowicie obojętna. Zależy mu tylko na szacunku. Ale to też ma. Wykonuję wszystkie jego polecenia. Jest jedną z nielicznych osób, które czegoś ode mnie wymagają. Wydaje mi się, że nauczyłem się od niego równie dużo, jak od taty.



Pan Turner prowadzi te zajęcia od bardzo dawna, kiedy zacząłem tu chodzić, prowadził je już od wielu lat. Kiedyś wybierali je ci, co chcieli nic nie robić. A teraz to jeden z najlepszych programów w całym stanie. Pan Turner traktuje je jak skrzyżowanie firmy z wyższymi studiami. Bardziej zaawansowane grupy zbierają fundusze na materiały i wyposażenie. Bierzemy zlecenia, a pieniądze idą na program. Ale żeby dostać się do grupy zaawansowanej, trzeba najpierw zaliczyć poziom podstawowy, a to też jeszcze niczego nie gwarantuje. Pan Turner przyjmuje wyłącznie uczniów, którzy spełniają jego standardy w zakresie talentu i etyki pracy. Dlatego grupy zaawansowane są takie małe. Żeby się dostać, potrzebne jest jego zezwolenie. Jakoś mu się to udaje, w szkole, gdzie wszystkie grupy na zajęcia dodatkowe są przepelnione - bo jest naprawdę dobry.

Podchodzę do biurka, a on pyta, jak minęło lato. Próbuje być miły, ale przecież dobrze mnie zna i wie, że nie musi tak się starać. Chodzę na jego zajęcia od wielu lat. Zna mnie i moją główną historię. A ja chcę tylko, żeby pozwolili mi robić swoje i zostawili mnie w spokoju. On zapewnia obie te rzeczy. Odpowiadam zdawkowo, kiwa głową, wie, że już możemy darować sobie grę w uprzejmości.

- Warsztat teatralny zażyczył sobie półki do rekwizytorni. Mógłbyś wpaść do nich, wziąć miary, rozrysować plan i zrobić listę potrzebnych rzeczy? Nie musisz siedzieć na tych zajęciach. - Bierze do ręki plik kartek, z miną lekko znudzoną i zrezygnowaną, domyślam się, że to lista przepisów bezpieczeństwa. Też wolałby popracować. Ale nie chce, żeby ktoś na jego zajęciach stracił palec. - Wróc pod koniec lekcji, a ja wszystko załatwię. Pewnie uporasz się z tym w jakiś tydzień.

- Nie ma problemu. - Z trudem opanowuję uśmiech. Początkowe lekcje to jedyna część tych zajęć, której nie lubię, i z której właśnie dostałem zwolnienie. Mam konkretną pracę, nawet jeśli to tylko półki. I będę sam.

Podpisuję kartki i podaję mu. Potem chwytam książki. W tym momencie do środka wchodzi kilka osób. W grupie powinno być jakieś dwanaścioro uczniów. Znam wszystkich, którzy się dostali, za wyjątkiem jednej osoby - tej dziewczyny z dziedzińca, tej, która na mnie patrzyła. Niemożliwe, żeby była w tej grupie. I chyba jest tego samego zdania, sądząc po jej minie, kiedy przesuwa wzrokiem dokoła, od sufitu do narzędzi elektrycznych. Nieznacznie mruży z ciekawością oczy. Dalej nie mogę się jej przyglądać, bo tym razem to ona odwraca się i przyłapuje mnie na tym, że na nią patrzę.

Często przyglądam się ludziom. Zwykle nie ma problemu, bo na mnie nikt nie patrzy, a jeśli nawet, to potrafię szybko odwrócić wzrok. Bardzo szybko. Ale ta dziewczyna była szybsza. Wiem, że jest nowa. A jeśli nie, to znaczy, że przeszła przez lato jakąś drastyczną i stanowczo nieudaną metamorfozę, bo znam chyba wszystkich w tej szkole, a jeśli nawet nie, to z pewnością zapamiętałbym dziewczynę, która przychodzi do szkoły wystrojona jak trup świeżo zmartwychwstałej kurwy. Tak czy inaczej, dziesięć sekund później wychodzę. Przed moim powrotem pewnie skierują ją do odpowiedniej klasy.

Zaszywam się w rekwizytorni na całą czwartą lekcję, mierzę, rysuję plany i robię listę potrzebnych rzeczy. Nie ma tu zegara, dzwonek zaskakuje mnie w środku pracy. Wkładam notes do plecaka i kieruję się w stronę skrzydła angielskiego. Idę do sali, w której

odbywają się zajęcia z panią McAllister, mijam tłum na korytarzu, wszyscy gadają, integrują się do ostatniej sekundy przed dzwonkiem. Drzwi są otwarte. Pani McAllister podnosi głowę.

- A, pan Bennett. Znów się spotykamy. - Uczyła mnie w zeszłym roku. Widocznie dali jej starsze klasy.

- Tak jest, proszę pani.

- Jak zawsze uprzejmy i kulturalny. Jak lato?

- Jest pani trzecią osobą, która o to pyta.

- To nie jest odpowiedź. Proszę spróbować jeszcze raz.

- Gorące.

-1 jak zawsze gadatliwy - uśmiecha się. -1 jak zawsze ironiczna.

- Wygląda na to, że oboje jesteśmy niezwykle konsekwentni. -Wstaje, odwraca się i wyjmuje z szafki na dokumenty grafik i trzy stosy papierów. - Mógłbyś przestawić tutaj to biurko? - Wskazuje na koślawy mebel, stojący w kącie. Ciskam rzeczy na któryś stolik, podchodzę i przenoszę biurko. - Postaw je tutaj. - Wskazuje na miejsce pod tablicą. - Muszę gdzieś położyć te papierzyska. - Rzuca pliki papierów na blat. W tym momencie rozlega się dzwonek.

- Potrzebny pani pulpit.

- Josh, ja się cieszę, że mam biurko z działającą szufladą - mówi z udawaną irytacją i jak gdyby nigdy nic podchodzi do otwartych drzwi.

- Lepiej włączcie, zanim rozlegnie się kolejny dzwonek, bo nie mam nic przeciwko karaniu odsiadką zaraz pierwszego dnia. I to poranną, nie popołudniową. - Ostatnie słowa nuci, uczniowie wpadają do klasy dosłownie na sekundę przed drugim dzwonkiem.

Z panią McAllister nie ma żartów. Nie onieśmielają jej klasowe gwiazdy ani dzieci bogatych rodziców, nie próbuje z nikim się

kumplować. W zeszłym roku zdołała mnie przekonać, że jej zajęcia są jednak warte zainteresowania, a przy tym ani razu nie kazała mi odzywać się na lekcjach.

Ogólnie rzecz biorąc, istnieją dwa typy nauczycieli: tacy, którzy kompletnie mnie ignorują i udają, że nie istnieję, oraz tacy, którzy wzywają mnie do odpowiedzi i skupiają na mnie uwagę, ponieważ uważają, że mi to służy - a może po prostu sam fakt, że mogą to zrobić, daje im rozkoszne poczucie kontroli. Pani McAllister nie należy do żadnej z tych grup. Zostawia mnie sobie samemu, ale nie ignoruje mnie. Tak więc jest bliska doskonałości.

Już ma zamknąć drzwi, kiedy do środka wślizguje się Drew.

- Dzień dobry, pani McAllister. - Uśmiecha się i puszcza do niej oczko. Co za bezwstydnny typ.

- Jestem odporna na twój urok, Leighton.

- Pewnego dnia będziemy recytować sobie wiersze. - Drew siada za jedynym wolnym biurkiem, na samym przedzie.

- Niewątpliwie. Ale poezję przerabiamy dopiero w następnym semestrze, więc na razie musisz schować sonety do szuflady. - Wraca za biurko, wyciąga z szuflady żółtą kartkę i podchodzi do Drew. - Ale nie martw się. Jutro mamy randkę. Szósta czterdzieści pięć w bibliotece. - Teraz ona puszcza oczko i kładzie kartkę na stole.

## *Nastya*

Czwarta lekcja nie była taka zła. Pan Turner właściwie nie zwracał na mnie uwagi, co w grupie, liczącej czternaście osób, nie jest takie oczywiste. Z własnej inicjatywy sprawdził mój grafik, by upewnić się, że dobrze trafiłam, a potem zapytał, czemu wpisali mnie na te zaję-

cia. Wzruszyłam ramionami. On też wzruszył ramionami. Potem oddał mi grafik, dorzucił, że na pewno będę w tyle za całą resztą, ale jeśli chcę zostać, to zrobi ze mnie asystentkę czy coś w tym rodzaju. Widzę, że wcale mnie tu nie chce, ale chyba zostanę. Grupa jest mała, pewnie będę miała święty spokój, a o nic więcej nie proszę.

Jakoś docieram do piątej godziny. I oto spotyka mnie urocza niespodzianka w postaci jednej z tych kretyńskich zabaw - a w dodatku dzieje się to na zasranych zajęciach z muzyki, z których to zresztą jak najszybciej i za wszelką cenę muszę się wymiksować. Nauczycielka, pani Jennings, śliczna dwudziestoparoletnia istotka o jasnej karnacji, blond włosach przyciętych na pieczarkę i obrzydliwie idealnych dłoniach pianistki, każe nam usiąść w kręgu. W kółeczku. Witamy w przedszkolu. Kółeczko zapewnia każdemu z uczniów doskonały widok na całą resztę. Można sobie popatrzeć i przeprowadzić sekcję zwłok. A, no i poznać się wzajemnie, oczywiście. Nie zapominajmy o tym drobnym szczególe.

Z pewnością zdarzało mi się brać udział w gorszych zabawach tego rodzaju. Każdy musi powiedzieć o sobie trzy rzeczy, a jedna z tych rzeczy ma być nieprawdziwa. Następnie reszta klasy próbuje odgadnąć, która to. Trochę szkoda, że nie mogę dołączyć, byłby niezły ubaw. Wiele dałabym za to, by posłuchać, jak koledzy i słodka niczym blond elf nauczycielka dyskutują kwestię prawdopodobieństwa trzech następujących zdań:

*Nazywam się Nastya Kashnikov.*

*Byłam niezwykle utalentowaną pianistką i zajęcia z muzyki dla początkujących to na pewno nie jest miejsce dla mnie.*

*Dwa i pół roku temu zostałam zamordowana.*

Zamiast tego, kiedy przychodzi moja kolej, siedzę milcząca, z kamienną twarzą. Pani Jennings patrzy wyczekująco. *Spójrz na listę.*

Ale ona wciąż patrzy na mnie. Ja patrzę na nią. Robi się dziwnie. *Spójrz na listę. Wiem, że ci powiedzieli.* Próbuję skontaktować się z nią telepatycznie, ale niestety, moja supermoc okazuje się niewystarczająca.

- Czy zechciałabyś powiedzieć nam trzy rzeczy o sobie? - pyta, jakbym była debilem, który nie rozumie, co się wokół dzieje.

Wreszcie rzucam jej kość, bardzo lekko potrząsam głową. *Nie.*

- Nie wstydź się. Wszyscy coś powiedzieli. To proste. Nie musisz zdradzać najmroczniejszych sekretów ani nic z tych rzeczy - rzuca lekko.

Świetnie, bo wgląd w moje mroczne sekrety zapewne zagwarantowałby jej niezłą porcję nocnych koszmarów.

- Mogę przynajmniej poznać twoje nazwisko? - pyta po chwili. Najwyraźniej nie ma ochoty na pojedynek. Widzę, że jej cierpliwość się wyczerpuje, chociaż próbuje to ukryć.

Znowu potrząsam głową. Nie odrywam od niej wzroku. Chyba lekko świruje. Szkoda mi jej, ale w końcu mogła przeczytać papiery przed rozpoczęciem lekcji. Tak jak pozostali nauczyciele.

- No dooobrze - przeciąga. Ton jej głosu się zmienia. Naprawdę zaczyna się denerwować. Ale ja też. Kiedy pochyla głowę i przygląda się czemuś, co, jak domyślam się, jest listą uczniów, skupiam wzrok na ciemnobrązowych odrostach, bo to daje mi jakiś punkt zaczepienia. - Zastosujemy metodę eliminacji. Ty musisz być... - Urywa, uśmiech na jej wargach nieco rzędzie. I już wiem, że zaskoczyła, bo kiedy podnosi głowę, widzę to w jej oczach. Patrzy na mnie i mówi: - Przepraszam. Ty jesteś Nastya.

Tym razem przytakuję.

- Ty nie mówisz.

## Rozdział 4

### *Nastya*

Kiedy tuż po trzeciej zajeżdżam przed dom Margot, dosłownie zalewa mnie fala ulgi. A może to tylko pot, bo panująca tutaj wilgotność powietrza jest po prostu śmieszna. Nieważne, w każdym razie po raz pierwszy tego dnia jestem w stanie swobodnie oddychać. W sumie mogło być gorzej. Po piątej lekcji wieści szybko się rozeszły, ale to na szczęście był prawie koniec zajęć. Do jutra pewnie wszyscy zdążą się dowiedzieć i będzie można przejść nad tym do porządku dziennego.

Nawet siódma lekcja - okrutny żart: zajęcia z retoryki - minęła spokojnie, co nie było wcale oczywiste, biorąc pod uwagę moje ograniczenia w tej dziedzinie. Znowu siedzieliśmy w fajnym kółeczku, ale tym razem zdążyłam znieczulić się zarówno na własne przerażenie, jak i szepty, które już zaczynały krążyć wokół mnie.

Mój kumpel Drew też tam był. Nie usiadł obok mnie, z czego bardzo się ucieszyłam, niezwykle zabawne komentarze jego autorstwa łatwo zignorować, bałam się jednak, że będę musiała walczyć również z jego łapskami. Ulga trwała jednak tylko do chwili, gdy zdałam sobie sprawę, że usiadł dokładnie naprzeciwko, tak że za każdym razem, kiedy podnosiłam głowę, natykałam się na je-

go spojrzenie pod tytułem „mogę zrobić z ciebie kobietę” i uśmiezek z serii „wiem, jak wyglądasz pod ubraniem”. Założę się, że ćwiczy przed lustrem. Mógłby być nauczycielem. Spuszczam wzrok i patrzę na imiona, wyryte na blacie, żeby się nie uśmiechnąć, nie dlatego, że jest taki atrakcyjny, chociaż bez wątplenia jest, ale dlatego, że jest tak strasznie zabawny.

W sumie cieszę się z jego obecności. Można skupić uwagę na czymś innym niż na tych rzeczach dokoła, które są totalnie do dupy, czyli na przykład wszystkie. W tym ciemnooki i ciemnowłosa, wyzbyty wdzięku palant z dziedzińca, który, jak się okazuje, ma na imię Ethan. Na szczęście było dużo wolnych stolików, więc nie musiałam skorzystać z jego jakże kuszącej oferty. Ale mniej szczęśliwie, jeden z tych wolnych stolików stał tuż obok mojego i palant właśnie tam, rzecz jasna, musiał usiąść. Nie rzucał żadnych uwag, ale często posyłał mi znaczące uśmiešky, niestety, nawet w połowie nie dorównywał Drew w tej konkurencji.

Wchodzę do środka, rzucam plecak na stół i wyciągam wszystkie papiery, na których Margot ma złożyć podpis, ale nagle dzwoni telefon, więc muszę przerwać i wygrzebać go z czeluści plecaka. Nie muszę trzymać go pod ręką. Rzadko korzystam. To mogą być tylko dwie osoby. Mama lub Margot. Nikt więcej nie dzwoni pod ten numer, nawet tata.

Używam go do najkonieczniejszej wymiany informacji, przesyłania esemesów, a właściwie głównie ich odbierania. W razie konieczności zawiadamiam Margot, gdzie jestem albo że późno przyjdę. To był jeden z warunków umowy. Rozumie, że na inne pytania nie odpowiem. Żadnych: *Jak minął dzień? Poznałaś nowych przyjaciół? Znalazłaś terapeutę?* Tylko podstawowe konkretne fakty. Nigdy nie chodziło o samo mówienie. Chodzi o komunikację.



Esemes jest od Margot. *Pojechałam po coś do jedzenia. Zaraz wracam.* Nadal próbuję przyzwyczać się do jedzenia o czwartej po południu. Margot pracuje na nocne zmiany, co oznacza, że wcześniej jadamy obiady, potem Margot bierze prysznic i jedzie do pracy. Ale drugie śniadanie jada się tu o dziesiątej czterdzieści pięć, więc chyba wszystko się zgadza.

Zrzucam z nóg narzędzia tortur i wkładam strój do biegania. Najpierw jednak czeka mnie perwersyjnie wczesny obiad. Zresztą na razie jest za gorąco, poza tym nigdy nie przebywam na zewnątrz w godzinach, kiedy słońce jest moim prześladowcą, kiedy wypala wspomnienia na mojej skórze. Jeśli nie muszę, nie wychodzę nawet do skrzynki na listy. Mój telefon znowu wibruje. Spoglądam na ekran. Mama. *Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Kocham cię. M.* Kładę telefon na stole. Ona nie oczekuje odpowiedzi.

Margot wraca z całą górą chińszczyzny. Na tydzień mamy gotowanie z głowy. To świetnie, bo nie potrafię przyrządzać normalnego jedzenia, i wydaje mi się, na podstawie szuflady pełnej ulotek z żarciem na wynos, że Margot też nie. Mieszkam tutaj od pięciu dni, a ona chyba jeszcze ani razu nie korzystała z kuchni. Ale przynajmniej posiłki w jej towarzystwie nie są drętwe. Potrafi spokojnie gadać za nas dwie. Sumiennie wypełnia braki, powstałe z mojej winy. Chyba nawet mnie nie potrzebuje.

Po niecałym tygodniu wiem, z kim umawiała się przez ostatnie trzy lata, i z kim umawia się teraz. Znam plotki z jej pracy, chociaż nie znam żadnej z osób, które wymienia. Andrea z pewnością nie byłaby zachwycona, że Margot opowiada mi o jej problemach finansowych, a Kelly pewnie mocno by się oburzyła, gdyby wiedziała, że ja wiem o jej chorobie dwubiegunowej i wszystkich

lekach, które bierze. Ale im więcej mówi Margot, tym mniej kłopotliwe staje się moje milczenie. A wolę słuchać o ludziach, którzy mnie nie obchodzą. Gorzej, kiedy zaczyna mówić o rodzinie, bo nie chcę myśleć o bliskich, a nie mogę powiedzieć jej, żeby się zamknęła.

Po jedzeniu Margot biegnie pod prysznic, żeby zmyć dzienną porcję potu także olejku do opalania, ja zaś zbieram pojemniki i resztki, i czekam, aż słońce straci moc.

Ale z biegania nici, bo tuż przed zachodem słońca niebo robi się czarne, a potem następuje prawdziwe urwanie chmury. Deszcz nie przeszkadza mi w czasie biegania, ale jednak trochę za dużo tego dobrego. Leje tak, że nic nie widać ani nie słychać. Kiedy spoglądam przez szklane drzwi, wychodzące na tył domu, wydaje się, że deszcz pada poziomo; nawet ja nie jestem aż tak zdesperowana, by wychodzić w taką pogodę. Zrzucam buty, siadam, wstaję, znowu siadam i znowu wstaję. Mój mózg pracuje gorączkowo.

Nie mam tutaj bieżni, więc robię pajacyki, aż zaczyna mi się nudzić. Wyciskam hantle na leżąco, robię „mountain climbers”, potem przysiady z obciążeniem i wypady, i mnóstwo pompek, aż ramiona nie wytrzymują, więc padam twarzą na dywan. Nie osiągam pożądanego stanu wyczerpania, ale na dziś wieczór musi wystarczyć.

Wyciągam ciuchy na jutro, zabieram podpisane papiery i wsuwam je do plecaka. Prawie żałuję, że nie mam pracy domowej. Ale nie mam, więc przez chwilę chodzę po salonie. Obok drzwi leży stos gazet. Nagle uświadamiam sobie, że od prawie dwóch tygodni nie przeglądałam kroniki urodzeń. Chwytam gazety, szybko przerzucam, odnajduję odpowiednie strony. Pierwsza to rozczarowanie. Nic nowego. Same zużyte klasyki i trendy, gównno, którym

nie uszczęśliwiłabym nawet kota, a co dopiero dziecka. Mojego imienia, rzecz jasna, nigdy tam nie ma, ale nie szukam własnego imienia. Przeglądam cztery gazety. Trzech Alexandrów, cztery Emmy, dwie Sary, masa badziewia z końcówką -den (Jaden, Cayden, Braden, ble), kilka, których nie jestem w stanie zapamiętać, i jedno godne zawiśnięcia na ścianie. Wycinam je i chwytam laptop. Wchodzę do Internetu, czekam, aż załaduje się strona startowa. Po kilku sekundach moim oczom ukazuje się śliczna różowo-niebieska strona z imionami dla dzieci - wita mnie ona za każdym razem, kiedy łączę się z siecią.

Wpisuję najświeższy łup, Paavo. Okazuje się, że to po prostu fińska wersja imienia Paul. Lekkie rozczarowanie.

Lubię imiona. Zbieram je: imiona, ich pochodzenie i znaczenie. Łatwo je kolekcjonować. Nic nie kosztują i nie zabierają miejsca. Lubię patrzeć na nie i udawać, że coś znaczą; nie zawsze tak jest, ale lubię udawać. Większość wieszam na ścianie w sypialni, w domu - to znaczy tam, gdzie wcześniej mieszkałam. Zatrzymuję te, które jakoś rezonują. Dobre imiona, które coś znaczą. Nie ten cały szit, którego pełno ostatnio. Lubię też imiona zagraniczne, niezwykle, rzadko spotykane. Gdybym miała dziecko, właśnie takie imię bym wybrała, no ale dla dzieci nie ma miejsca w mojej przyszłości, nawet bardzo odległej.

Składam gazety i już mam je odłożyć, ale jeszcze raz rzucam okiem. Kątem oka zauważam *Sarah* i uśmiecham się. Przypomina mi o pewnym zabawnym zdarzeniu, które miało miejsce tego dnia.

Właśnie biegłam między lekcjami do szafki, wyrzałam zza rogu i zobaczyłam Drew pogrążonego w zażartej dyskusji z Barbie, w odległości zaledwie dwóch szafek od mojej. Uznałam, że jeśli mam wybierać: spóźnić się czy wkroczyć w środek tej werbal-

nej nawalanki, wybieram to pierwsze. Bez trudu znoszę niezbyt subtelne komentarze Drew, o ile jest sam, nie chciałabym jednak wysłuchiwać niedwuznacznych propozycji w towarzystwie jego dziewczyny. Taka sytuacja musiałaby trafić na wiecznie wydłużającą się listę rzeczy, które z całą pewnością nie są mi potrzebne. Oparłam się o ścianę i czekałam, aż sobie pójda.

- Daj dwadzieścia dolców - usłyszałam głos Drew.

- Bo co? - Najwyraźniej „wkurwiona” to jedyna cecha, jaką posiada jej głos.

- Bo potrzebne mi dwadzieścia dolców. - Ton głosu Drew z kolei wyraźnie dawał do zrozumienia, że ten argument powinien wystarczyć.

- Nie. - A potem trzask, zapewne zamykanych drzwiczek. Mocny.

- Oddam ci. *Akurat.*

- *Akurat.*

*Mądra dziewczynka.*

- Masz rację. Nie oddam. - Wyrzałam zza rogu i zobaczyłam, że częstuje ją tym swoim aroganckim uśmiechem. - No co? Przynajmniej jestem szczerzy.

- Czemu nie poprosisz którejś ze swoich dziwek? *Ups.*

- Bo żadna nie kocha mnie tak, jak ty.

- Ten kretyński wyszczerz zachowaj dla innych samic, wiesz, że na mnie nie działa, zapomnij.

- Sarah, przecież i tak się zgodzisz, daj spokój.

*Sarah.* Uśmiechnęłam się. Musiałam przyznać z podziwem, że imię jest doskonałe: mdłe, pospolite i totalnie pozbawione oryginalności. A najlepsze, że znaczy *księżniczka*.

Westchnęła ciężko. Znowu wychyliłam się zza rogu i zobaczyła, że grzebie w torebce. *Serio?* Naprawdę zamierza dać mu kasę? Chyba go nie doceniłam. Albo przeceniłam ją. Moje poczucie własnej wartości może nie jest szczególnie wybujałe, ale w jej przypadku chyba w ogóle nie istnieje. Wyjęła banknot dwudzie-stodolarowy i podała Drew.

- Masz. Żebyś wreszcie dał mi spokój. - Drew chwycił banknot i ruszył przed siebie. Sarah krzyknęła za nim: - Jak nie oddasz, powiem mamie!

Mamie? *O!*

Zabawne odkrycie, aczkolwiek każe zastanowić się, czy mój zmysł obserwacji przypadkiem mnie nie zawodzi. Naprawdę tego nie zauważyłam? Asher, mój brat, i ja też potrafiliśmy sprzeczać się po mistrzowsku, choć nasz poziom wrogości znajdował się jednak kilka stopni niżej.

Rzucam ostatnią gazetę na stos koło drzwi i wracam do komputera, próbując wymyślić, na jakie jeszcze wejść strony, żeby wytopić czas. Nie ma mnie już na Facebooku ani nigdzie indziej, więc ta opcja odpada. Mogłabym w ramach samoudręczenia posłużyć się imieniem i hasłem Ashera, i sprawdzić konta ludzi, z którymi kiedyś się przyjaźniłam, ale jednak uznaję, że to zły pomysł. Nie jestem ciekawa.

Za oknem błyskawice raz po raz rozjaśniają niebo, jakby ze mnie szydziły. Telefon leży na łóżku, szepcze mi do ucha niczym butelka szkockiej do alkoholika na odwyku, a deszcz rechocze za szybą. W sumie w przypływie desperacji mogłabym wyjść nawet w taką pogodę. Naprawdę muszę pobiegać. Więcej pajacyków. Ciężarki. Pompki. Jeszcze ciężarki. Bieżnia chyba tu się nie zmieści, ale worek treningowy powinien, przynajmniej gruszka. Margot pewnie

nie pozwoliłaby mi zawiesić regularnego worka w swoim salonie, ale nie jestem drobiazgową. Byle było w co przywalić.

Ciastka. Muszę upiec ciastka. Zaraz po bieganiu to najlepsza rzecz na świecie. No dobra, bez przesady, ale uwielbiam ciastka i nie znoszę sklepowego syfu w paczkach, który kupuje Margot. Tylko Oreo są do przyjęcia. Ale to Oreo, i tak nie da się ich skopiować, choćby nie wiem co. Zapewniam. Spędziłam w kuchni kilka dni, usiłując tego dokonać. Bez rezultatów. Więc Oreo mają zielone światło, ale pakowane fabrycznie ciasteczka z kawałkami czekolady i datą ważności sześć miesięcy to zupełnie inna historia. Życie jest za krótkie, by marnować je na coś takiego. Zapewniam.

Robię przegląd w kuchni. Nie mam pojęcia, czemu dziwi mnie, że Margot nie trzyma w domu mąki ani proszku do pieczenia, ani wanilii, ani żadnych innych ingrediencji, mniej lub bardziej nadających się do robienia wypieków. Namierzam trochę cukru i soli oraz, cud! zestaw miarek. Ale z tym daleko nie zajadę. Postanawiam, że w weekend wybiorę się do sklepu. Długo bez ciastek nie wytrzymam. Lub ciasta.

Poddaję się, zjadam pół torebki żelków, czarne zostawiam, bo są beznadziejne, a potem idę pod prysznic zmyć syf z całego dnia. Z odżywką na głowie odbywam pasjonującą konwersację z samą sobą. Rozmawiamy o beznadziejnym planie zajęć. Wspominam o nieszczęsnej ironii losu, który kazał mi dostać się na muzykę i zastanawiam się, czy to wydarzenie przebiło groteskowością mój udział w zajęciach z retoryki. Rozważam na głos, czy istnieje w tej szkole jakaś istota płci żeńskiej, wszystko jedno, uczennica bądź nauczycielka, odporna na urok pewnego blondyna imieniem Drew. Odpowiedź: JA. A, no i Sarah, chociaż wygląda na to, że potrafi ją

sobie podporządkować, jeśli tylko odpowiednio długo powierci jej dziurę w brzuchu. Od czasu do czasu przeprowadzam takie rozmowy, tak żeby się upewnić, czy mój głos nadal działa, w razie gdybym jeszcze kiedyś chciała zrobić z niego użytek. Od początku planowałam wrócić do świata mowy, ale czasami zastanawiam się, czy rzeczywiście to nastąpi. Przeważnie nie mam do omówienia żadnych fascynujących wiadomości, więc powtarzam imiona czy przypadkowe słowa, ale dzisiejszy dzień był tak ekscytujący, że całkowicie usprawiedliwił użycie pełnych zdań. Czasami nawet śpiewam, ale zostawiam to na dni, kiedy odraza do samej siebie osiąga szczyty i potrzebuję dodatkowej porcji tortur.

Wślizguję się do łóżka, przykrytego szarawozieloną kapą w kwiatki, taką samą jak w domu. To zapewne dzieło mojej mamy, nie Margot. Chyba nie potrafi pojąć, że chciałam uciec z tamtego miejsca, a nie zabierać je ze sobą. Unoszę materac i wyciągam zeszyt. Muszę znaleźć lepszą kryjówkę. Pozostałe zeszyty leżą w szafie, w kartonowym pudle, pod starymi książkami i księgami pamiątkowymi z gimnazjum. Ten, który trzymam w ręku, jest biało-czarny, na okładce napisałam czerwonym markerem *Trygonometria*. Podobnie jak w przypadku pozostałych, kilka pierwszych kartek wypełniają szkolne notatki. Chwytam długopis i piszę. Dokładnie trzy i pół strony. Potem chowam zeszyt i gaszę światło, zastanawiając się, jakie piekło przyniesie kolejny dzień.

## Rozdział 5

### *Nastya*

Żyję w świecie, pozbawionym magii i cudów. W tym miejscu nie ma jasnowidzów ani zmiennokształtnych, nie przybędą ci na pomoc anioły ani chłopcy, obdarzeni ponadnaturalnymi mocami. W tym miejscu ludzie umierają, muzyka rozpada się i generalnie wszystko jest do dupy. Czasami rzeczywistość tak mocno przyciska mnie do ziemi, że dziwię się, jakim sposobem nadal jestem w stanie oderwać od niej stopy.

W piątek rano najpierw idę do gabinetu doradcy szkolnego i zabieram poprawiony plan zajęć. Pani McAllister wpisała mnie na piątą lekcję jako asystentkę nauczyciela, więc oficjalnie mogę zrezygnować z „Wprowadzenia do muzyki”, co oznacza, że w tym czasie robię ksero i rozdaję papiery zamiast wykrwawiać się na śmierć.

Już znacznie lepiej radzę sobie z butami, chociaż trochę cisną z przodu. Kiedy je wkładam, palce wysyłają w moją stronę serię bluzgów. Na dzisiejszą okazję wybrałam drugi z kolei najszkarad-niejszy strój z mojego repertuaru - jeszcze więcej czerni, zresztą i tak nic innego nie mam. Do tego ponownie gruba czarna kred-



ka, czerwona szminka i czarny lakier do paznokci. Nieodłączne szpile, jak znak wykrzyknika, ostrzegający z daleka: *Ohyda!* Wyglądam jak skrzyżowanie horroru z pornosem. Myślę o perłowych guzikach i spódniczkach z dziurkowanego materiału, zastanawiam się, co miałyby teraz na sobie Emila, gdyby nadal żyła.

Przez cały tydzień udawało mi się skutecznie chować podczas długiej przerwy po łazienkach i korytarzach. Ten rozczochny chłopak - ma na imię Clay, czego dowiedziałam się, zerkając ukradkiem na okładkę szkicownika - był tak uprzejmy, że, zupełnie nieproszony, widząc drugiego dnia, jak znów usiłuję otworzyć drzwi do skrzydła angielskiego, dał mi listę najlepszych kryjówek. Sprawdziłam już większość z nich. Dajcie mi jeszcze kilka dni, a narysuję mapę i przyznam każdej odpowiednią liczbę gwiazdek. A potem sprzedam takim samym ofiarom jak ja.

Podczas codziennych przechadzek zauważyłam, że dekoracje na dziedzińcu właściwie się nie zmieniają. Można by pomyśleć, że istnieje specjalny plan miejsc siedzących i wszyscy skrupulatnie się go trzymają. Każdy okupuje dokładnie to miejsce, które zajmował poprzedniego dnia. Rozpoznaję sporo twarzy, ale na mnie nikt nie zwraca uwagi. Błogosławiona samotność. Do tej pory zdążyłam już wszystkich wystraszyć, obrazić bądź wprawić w zakłopotanie. Misja wypełniona. Tortury w szpilach na coś się przydały. Jeśli nie popełnię błędu, powinno się udać.

Kiedy zastanawiam się, do której kryjówki się udać, mijam chłopaka w polu siłowym. Ciekawe, jak on to robi. Może uda mi się poznać jego sekret, bo sama chciałabym takie stworzyć. Czasami wydaje mi się, że jest niewidzialny, że tylko ja go widzę, ale to chyba jednak nieprawda, inaczej ktoś już by siedział na tej ławce. A może to duch i wszyscy ją omijają, bo wiedzą, że tam straszy.

Zawsze siedzi w tej samej pozycji, całkowicie nieruchomo. Od tamtej chwili w poniedziałek, kiedy mnie przyłapał, staram się nie patrzeć na niego dłużej niż przez parę sekund za jednym razem. On więcej nie podniósł wzroku. Wydaje mi się, że patrzy, ale może po prostu chciałabym, żeby tak było. Bzdura. Wzbudzanie zainteresowania to ostatnia rzecz, jakiej pragnę.

Trzeba przyznać, że naprawdę nieźle wygląda. Fajne ramiona. Nie takie sztucznie napakowane, tylko akurat. Widziałam go pierwszego dnia w warsztacie, na zajęciach praktycznych, ale zaledwie przez moment, zaraz wyszedł i nie wrócił do końca lekcji. Teraz widuję go tylko podczas przerw. Tych kilka sekund, kiedy przechodzę przez dziedziniec, to najbardziej interesująca część każdego dnia. Jeśli mam być szczerą, te bezcenne sekundy to jedyny powód, dla którego nadal tamtędy łążę. Pierwszego dnia przeszłam przez dziedziniec, żeby wysłać otoczeniu odpowiedni sygnał. Drugiego dnia - żeby zobaczyć, czy on nadal tam jest i czy nadal jest sam. Trzeciego i czwartego - żeby sprawdzić, czy na mnie spojrzy. Nie spojrział. Dzisiaj sama chciałam popatrzeć. I to właśnie robię, kiedy jeden z moich ostro zakończonych obcasów klinuje się w szparze między kostkami, którymi wyłożony jest dziedziniec. Wspaniale. Szczęśliwie w związku z działalnością szpiegowską szłam bardzo powoli i dzięki temu nie wylądowałam ryjem na ziemi. Mniej szczęśliwie utknęłam centralnie między jego ławką oraz ławką księżniczki Sarah i jej dworek. Próbuję nonszalancko wyszarpnąć obcas z pułapki, ale nic z tego. Będę musiała jakoś przejść do pozycji klęczącej i wyciągnąć obcas obiema rękami. Nieźle ćwiczenie na równowagę, ale nie ma mowy, żebym schyliła się w tej sukience.

Tak więc klękam powoli i wysuwam stopę z buta. Potem chwytam obcas prawą dłonią, szarpnię. Wyłazi łatwiej, niż przypuszcza-

łam. Wsuwam stopę. Patrzę w lewo, chłopak ani drgnie. Zdaje się nieświadomy mojej przeprawy z butem. Mały cud, ale na większe nie mogę liczyć, więc biorę, co dają. Szkoda tylko, że nie wszyscy mnie zignorowali, bo w następnej chwili słyszę:

- To chyba model pod latarnię. Bo na pewno nie do szkoły. -Sarah. Potem następują chichoty i kolejna samica mówi:

- Twój tata wie, że wyszłaś z piekła w takim stroju?

- Myślałam, że jej tata mieszka w Transylwanii. - Więcej chichotów. Aha.

Komentarze są naprawdę poniżej poziomu. Jeśli chcą zmusić mnie do reakcji, mogłyby przynajmniej wymyślić coś zabawnego. Patrzę w prawo, żeby sprawdzić, co to za fontanna dowcipu splunęła na mnie radosnym strumieniem. Księżniczkę otacza grupka dziewczyn, patrzą na mnie i, tak, wciąż chichoczą. Chyba pogratulowałam sobie minutę albo dwie za wcześnie. Przeglądam w myślach możliwe rozwiązania: A) rzucić w nie butem B) rzucić w nie porcją mięcha C) zignorować i odejść D) posłać im najbardziej demoniczny i psychopatyczny uśmiech z całego repertuaru. Wybieram D, to właściwie jedyna opcja. Poza tym, skoro jestem pomiotem szatana bądź Drakuli, w zależności od upodobań, to taki miły drobny sygnał z mojej strony z pewnością nie zaszkodzi. Patrzę na nie przez kilka sekund, zastanawiając się, czy zaserwować uśmiech od razu w całej okazałości czy też pozwolić, by powoli i subtelnie rozwinął się na twarzy, gdy rozmyślenia przerywa głos zza moich pleców:

- Starczy, Sarah.

Usta Sarah, otwarte, jak podejrzewam, by wyprodukować kolejny dowód jej niezwykle ciętego dowcipu, zamykają się szybko, mam wrażenie, że słychać, jak zęby uderzają o siebie. Odwracam

się; jedynej osoby, znajdującej w najbliższym otoczeniu, jakoś nie podejrzewałam o zgrywanie rycerza w lśniącej zbroi. Sytuacja tego nie wymaga. To nawet nie był prawdziwy atak. Raczej amatorski popis, żenująca sesja karaoke. Coś, co budzi raczej rozbawienie niż strach. Te dziewczyny pewnie nie zamierzały na tym poprzestać i gdybym była innym typem, pewnie zdołałyby zranić moje uczucia, ale ja to zlewam, nikt od bardzo dawna nie zdołał zranić moich uczuć.

W tym momencie stoję twarzą do chłopaka w polu siłowym. Nie tylko ja na niego patrzę. Robi to jeszcze kilka osób, czekają, czy powie coś jeszcze. Czuję się, jakbym znalazła się w odcinku „Strefy mroku”, wszystko dokoła zamarzło i tylko ja mogę się ruszać. Ale nie ruszam się.

Chłopak nie odrywa wzroku od Sary, jego spojrzenie dopełnia ton głosu pod tytułem: „lepiej ze mną nie zaczynaj”. Potem przez sekundę spojrzenie zatrzymuje się na mnie, a potem jak zwykle skupia się na dłoniach, jak gdyby nigdy nic. Chciałabym ruszyć z miejsca, ale jakoś nie potrafię zmusić nóg do wykonania kroku. Odwracam się, widzę, że Sarah się na mnie gapi. Jej twarz nie wyraża zazdrości czy irytacji, czego można by się spodziewać, widnieje na niej wielki, ogromny i wszechogarniający znak zapytania. Ja próbuję zachować całkowitą obojętność, ale przypuszczam, że mam bardzo podobną minę, tyle że z zupełnie innych powodów.

Wygląda na zdruzgotaną faktem, że on w ogóle coś powiedział. Nie znam go, nie wiem, czy jego reakcja stanowiła najbardziej zaskakujący element całej tej sceny. Mnie najdziwniejsza wydaje się reakcja dziewczyn. Wszystkie się zamknęły. Żadna o nic go nie spytała, nie zaśmiała się, nie próbowała dyskutować. Nie zignorowały go, nie podjęły zabawy i nie uczyniły z niego kolejnego

obiekty żartów. Po prostu zamilkły. Powiedział *dosyć* i to wystarczyło. Bo tak powiedziałem. I kropka. Nie każ mi powtarzać.

Przez tych kilka sekund wszyscy wrócili do swoich zajęć. Może to tylko moja wyobraźnia, lecz wydaje mi się, że poziom decybeli nieco spadł, tak jakby nikt nie życzył sobie, by inni usłyszeli, że rozmawia o tym, co wydarzyło się przed chwilą. A co wydarzyło się przed chwilą?

Pomyślę o tym za kilka minut. Albo po szkole. Albo nigdy. Teraz chcę tylko wydostać się z tego zasranego dziedzińca. Docieram na drugą stronę, na szczęście buty nie robią więcej żadnych numerów, na szczęście ktoś zablokował książką drzwi do skrzydła angielskiego i spokojnie wchodzę do środka. Spoglądam w dół. To podręcznik historii sztuki. Obok siedzi krzywo uśmiechnięty Clay, jak zwykle ze szkicownikiem na kolanach. Bardzo chciałabym zapytać, co znaczyła ta sytuacja przed chwilą, ale nie mogę, więc tylko wślizguję się do środka. Chowam się w pierwszej klatce schodowej, opieram o ścianę i rozkoszuję ciszą i samotnością.

Nim zdążyłam przetrwać w myślach ostatnie wydarzenia, słyszę, że drzwi znowu się otwierają. Przyciskam plecy do ściany, staram się zniknąć. Może, jeśli przycisnę się naprawdę mocno, to zniknę naprawdę. Nasłuchuję kroków. Z każdą sekundą stają się coraz głośniejsze. Są powolne, jedna stopa uderza o podłogę jakby odrobinę mocniej. Silne, lecz miękkie. Ani niezdarne, ani niepewne. Pełne gracji. Ktokolwiek to jest, musi być wyższy ode mnie; niewiele czasu zajmuje mu dotarcie do wnęki, w której się przyczaiłam. Czekam, aż pójdą dalej, ale tego nie robią. Zmierzają w moją stronę, wciąż mam nadzieję, że ten ktoś po prostu mnie zignoruje. Wbijam wzrok w podłogę, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego i czekam, aż będzie po wszystkim.

A potem - nawet nie zdążyłam wstrzymać oddechu - przed moimi oczami pojawia się para znoszonych roboczych buciorów. Ze wzmocnionymi czubkami, o ile się nie mylę. Nie muszę podnosić wzroku, wiem, do kogo należą. Już od pięciu dni patrzę na te buty, tkwiące na siedzeniu metalowej ławki. Widać zdziwienie i ciekawość na chwilę gwałtownie obniżyły moje zdolności intelektualne, bo wbrew rozsądkowi podnoszę wzrok. Jeszcze nigdy nie znajdowałam się tak blisko niego.

- Więcej tego nie zrobię - mówi, przesywając mnie tymi nienormalnie idealnymi niebieskimi oczami, patrzy tak, jakby wolał, żeby mnie nie było. Ale w jego głosie nie słychać złości. Mówi to rzeczowo, całkowicie spokojnie. Bez emocji. Nie czeka na odpowiedź, choć w tym momencie jestem tak wkurzona, że chętnie bym jej udzieliła. I na pewno nie byłoby to podziękowanie. Potem odwraca się i znika za drzwiami po przeciwnej stronie klatki schodowej, tak jakby go tu nigdy nie było.

*Więcej tego nie zrobię?* Teraz też nikt cię nie prosił, ćwoku. Czy on naprawdę myśli, że wyświadczył mi przysługę? Zwracając na mnie uwagę wszystkich i wkurzając bandę panienek z obsesją na punkcie społecznego wizerunku, które z pewnością zechcą poprawić swoją reputację, kiedy akurat nie będzie patrzył? Chyba kolega ma fałszywy obraz rzeczywistości. Chciałabym mu to powiedzieć. Niestety, nawet nie znam jego imienia. Zresztą nawet gdybym przedstawiła mu listę pytań, *Jak masz na imię?* raczej by na nią nie trafiło.

Chciałabym wiedzieć, czemu go posłuchały. Zamknęły się, jakby dostały burę od wkurzonego taty. Dokładnie tak to brzmiało. I tym samym tonem głosu zwrócił się do mnie przed chwilą. Aż dziwne, że nie dorzucił na końcu „młoda damo”. Najwyraźniej

tylko ja tutaj nie rozumiem, czemu niby miałabym go słuchać. Tak jakby należał mu się szacunek i cześć. Może jego ojciec jest dyrektorem albo burmistrzem, albo szefem mafii i nikt nie chce go wkurzyć? Kto wie? Jedno wiem na pewno: wkurzyłam się.

## Rozdział 6

### *Josh*

Do końca dnia więcej jej nie zobaczyłem. W myślach waliłem się po głowie za to, że otworzyłem w czasie przerwy swój dumny ryj. Gdyby jeszcze istniał poważny powód, mógłbym sobie odpuścić, ale dziewczyna nie wygląda na typ bezradnej sarenki. Może po prostu chciałem ją powstrzymać, żeby nie zdążyła zrobić sobie wrogów z tego stada suk. A może chciałem, żeby Sarah się przymknęła, bo wiem, że stać ją na więcej. A może chciałem, żeby ta dziewczyna jeszcze raz na mnie spojrzała.

Kiedy idę na tył budynku, korytarze pustoszeją. Mijam ostatnich uczniów. Chcę zdążyć do skrzydła teatralnego, zanim zamkną drzwi. Zapomniałem wziąć poziomice, a będzie mi dzisiaj potrzebna. Zresztą i tak nie chciałbym zostawiać jej tam na noc. Należy do mnie. A wcześniej należała do ojca. Jest stara, drewniana i całkowicie nienowoczesna, innej jednak nie chcę. I nie chcę ryzykować, że zniknie, jeśli ją tam zostawię, tak więc wracam. Wchodzę do środka. Leży na jednej z nieskończonych pólek, nad którymi pracowałem przez cały ten tydzień. Sprawdzam, co udało mi się zrobić, przesuвам dłonią wzdłuż brzegów. W następną środę powinienem uporać się z robotą. Mógłbym prze-



ciągnąć ją do piątku, ale mam nadzieję, że do tego czasu pan Turner skończy z nudnymi procedurami wstępnymi. Chciałbym wrócić do warsztatu, popracować nad czymś bardziej interesującym niż półki. Chwytam poziomcę i wracam na parking.

Jestem już prawie przy samochodzie, kiedy słyszę, że ktoś mnie woła. - Bennett! Josh! - Drew poprawia się natychmiast, bo wie, że robi z siebie kretyna, wołając mnie po nazwisku. Stoi obok swojego samochodu, w następnym szeregu. Nie jest sam. Rzadko jest sam, więc w ogóle się nie dziwię, widząc go w towarzystwie dziewczyny. Opiera się o samochód w pozie, do której zdążyłem się przyzwyczaić: tej, kiedy próbuje wyglądać na wyluzowanego i obojętnego, jednocześnie krocząc po linii najmniejszego oporu, prowadzącej wprost do majtek dziewczyny bądź za dekolt jej bluzki, bądź pod spódnicę. W zależności od sytuacji.

Dziwi mnie tylko, że to ona. Wystarczy jedno spojrzenie i nie ma najmniejszych wątpliwości: niesamowicie długie czarne włosy, obcisła czarna sukienka, ledwo zakrywająca tył i przód, czarne spiczaste buty na obcasach, czarny syf wokół oczu. Oczu, które w tym momencie spoczywają na mnie. Kiedy podchodzę bliżej, obojętna mina, zwykle widniejąca na jej twarzy, zmienia się. Bardzo nieznacznie, pewnie mało kto by zauważył. Zmiana następuje głównie w oczach. Ale ja ją widzę. Dziewczyna nie jest obojętna, jest wkurzona, jeśli się nie mylę, wkurzona na mnie. Ale nie mam jak tego sprawdzić, bo już sobie idzie.

- Zadzwoń! - rzuca Drew przez ramię i śmieje się, jakby właśnie powiedział dowcip.

- Znasz ją? - pytam, kładąc książki i poziomcę na dachu samochodu. W tym momencie parking niemal całkowicie opusto-

szał, tak jak rano wjazd ciągnie się w nieskończoność, tak popołudniowy exodus trwa tyle co nic.

- Zamierzam poznać - odpowiada Drew, nie patrząc na mnie. Bo patrzy na dziewczynę. Ignoruję podtekst. Gdybym miał komentować każdą seksualną aluzję, wychodzącą z jego ust, nie gadalibyśmy o niczym innym, co zresztą z pewnością by go uszczęśliwiło.

- Kim ona jest?

- Jakaś Rosjanka. Nastya coś tam, nie umiem wypowiedzieć. Już zaczynałem się martwić, że tracę urok, bo nigdy się do mnie nie odzywa, ale wygląda na to, że ona do nikogo się nie odzywa.

- Dziwi cię to? Przecież z daleka widać, że to aspołeczny typ. - Biorę poziomicę, obracam ją w rękach, patrząc, jak woda za szkiełkiem przelewa się z jednej strony na drugą.

- Nie o to chodzi. Ona nie mówi, kropka.

- W ogóle? - Rzucam mu sceptyczne spojrzenie.

- W ogóle. - Potrząsa głową, uśmiechając się z perwersyjnym zadowoleniem.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Może nie mówi po angielsku. No, ale w końcu mogłaby mówić przynajmniej *tak, nie* i tym podobne. - Wzrusza ramionami, jakby cała sprawa była mało istotna.

- A skąd w ogóle o tym wiesz?

- Bo chodzi ze mną na zajęcia z retoryki. - Uśmiecha się krzywo. Nic nie mówię. Próbuję przetrwać tę informację, pozwalam Drew ciągnąć rozmowę. - Nie skarżę się. Dzięki temu mam codziennie okazję nad nią popracować.

- Niezbyt dobry znak, jeśli musisz nad nią pracować. Może jednak tracisz urok - odpowiadam sucho.

- Nie żartuj - mówi Drew całkowicie poważnie. Spogląda na zegarek. Uśmiech powraca na jego twarz. - Jest trzecia. Zabieram się do chaty. - Potem wskakuje do samochodu i odjeżdża, a ja zostaję na parkingu, pogrążony w rozmyślaniach na temat wkurzonych Rosjanek i czarnych sukienek.

## Rozdział 7

### *Nastya*

Czuję się tak, jakbym czekała. Czekala na coś, co jeszcze się nie zdarzyło. Czego jeszcze nie ma. Ale to wszystko, co czuję, więcej nic. Nawet nie wiem, czy istnieję. A potem ktoś naciska wyłącznik i światło znika, ten pokój znika, nieważkość znika. Chcę poprosić o odroczenie, bo jeszcze nie skończyłam, ale nie mam szans. Żadnych łagodnych perswazji. Żadnych dyskusji. Zero wyboru. Coś szarpie mną brutalnie, moja głowa odskakuje do tyłu. Otaczają mnie ciemności, wszystko jest bólem. Zbyt wiele impulsów naraz. Zakończenie każdego nerwu płonie. Jak szok narodzin. A potem migawki. Pojawiają się i nikną. Kolory, głosy, szum maszyn, ostre słowa. Ból nie znika. Jest stały, niezmienny i nieskończony. To jedyne, co wiem. Nie chcę się więcej obudzić.

Przebrnęłam przez kolejny poniedziałek w nowej szkole. Wydawałoby się, że powinnam być wykończona, choćby tym, że wszystko jest takie gówniane, ale widocznie jednak nie jestem, bo nie mogę zasnąć. Leżę w łóżku od dwóch godzin, wiem, że jest po północy, ale nie widzę zegarka, więc nie mam pojęcia, która dokładnie godzina. Myślę o zeszycie, ukrytym pod materacem. Wycią-

gam rękę, wsuwam ją tam, dotykam go. Zapisałam swoje trzy i pół strony, każde słowo policzone, lecz sen nadal nie przychodzi. Może pomogłoby, gdybym zapisała je ponownie, ale dzięki temu nie osiągnę stanu wyczerpania, o który błaga moje ciało. Zabieram rękę, kładę na brzuchu, otwieram i zamykam ją w rytm oddechu.

Słyszę, że deszcz już tak nie bębni, więc odrzucam kołdrę i wyglądam przez okno. Wychodzi na podwórze, jest za ciemno, by dojrzeć, czy jeszcze pada, więc idę do frontowych drzwi i spoglądam na strumień światła, rzucony przez latarnię. W żółtym blasku, odbitym od mokrego chodnika, nie widać kropeł deszczu, więc ściągam piżamę, oszołomiona pragnieniem, które zbierało się we mnie od kilku dni, pobiec przed siebie, wbić stopami agresję w chodnik, zostawić ją za sobą. Prędko wkładam szorty, koszulkę i buty do biegania. Moje stopy znów mnie lubią. Patrzę na zegar. Dwunasta trzydzieści. Przyczepiam do pasa puszkę z gazem pieprzowym, w prawą rękę chwytam kubotan\*, służący mi za brelok przy kluczach, choć bieganie z tym jest cholernie upierdliwe. Ale to moja maskotka. Zaciskam ją w dłoni, daje mi iluzję bezpieczeństwa.

Zamykam drzwi i zmuszam się do utrzymania wolnego tempa, biegnę przez podjazd i dalej, na mokre od deszczu ulice. Nie jest łatwo. Chciałabym wyrwać przed siebie, aż stracę dech, aż na całym świecie zabraknie tlenu i nic nie uratuje mnie przed uduszeniem. Wilgotność jest koszmarna, szczególnie w połączeniu z wysoką temperaturą późnego lata, mnie to jednak nie przeszkadza. Oznacza tylko więcej potu, wytrzymam. Wraz z każdą kroplą wycieka z mojego ciała napięcie, zabiera odrobinę lęku i energii,

**\* kubotan, współczesna japońska broń służąca do samoobrony, czternastocentymet-rowy walec wykonany z plastiku, tytanu lub innego twardego materiału (przyp. red.).**

w końcu będę mogła zasnąć, rano, czy kiedy tam padnę na łóżko. A może poczekam do rana i przetrwam ten dzień w lunatycznym oszołomieniu. Jeszcze lepiej. Stopy nie słuchają mnie, przechodzą na pełne obroty zaledwie kilka sekund po tym, jak dotknęły asfaltu. Później mnie znienawidzą, ale warto. Biegnę w szybkim tempie, tak jak zwykle. Chciałabym znajdować się teraz na autostradzie, biec wciąż przed siebie, nie pamiętać o tym, że muszę skręcić, myśleć, podejmować decyzje. Skręcam w prawo, słucham stóp. Nie zwracam uwagi na budynki czy samochody. Moje ciało i umysł tęskniły za tym przez parę ostatnich tygodni: najpierw rozegrał się dramat wokół przeprowadzki do Margot, potem nieustający deszcz nie pozwalał mi wyjść z domu. Jeśli będę musiała to robić każdej nocy - czekać, aż ustanie, i biegać nawet pośród największych ciemności - to będę to robić. Nie zamierzam znów rozstawać się z bieganiem na tak długi czas.

Kiedy biegałam po raz pierwszy, skończyło się rzyganiem na buty. To była jedna z najwspanialszych nocy w całym moim życiu. Nie zaczęłam tak po prostu. Najpierw pokłóciłam się z rodzicami. A potem słuchałam, jak oni kłócą się o mnie. Siedziałam w tamtym pokoju, siedziałam w tamtym pokoju, siedziałam w tamtym pokoju na łóżku, przykrytym narzutą, identyczną jak ta, którą mam tutaj. Siedziałam w tamtym pokoju, aż dłużej nie mogłam wytrzymać. Nie mogłam zostać w tym domu i wysłuchiwać kolejnej kłótni z mojego powodu. Ojciec pytał matkę, dlaczego się obwinia, matka pytała ojca, czemu jest taki nieczuły, ojciec odpowiadał, że go to zabiło, ale nie widzi sensu pogrążania się w rozpacz, matka mówiła, że zamierza pogrążyć się tak długo, jak ja się pogrążam. Zawsze ten sam scenariusz, zapętlo-ny bez końca.

Była dziewiąta wieczór, znalazłam jakieś trampki, założyłam na bose stopy, zbiegłam po schodach, zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi. To była moja pierwsza dosłowna i nieskomplikowana wersja ucieczki. Biegłam, biegłam i biegłam. Żadnej rozgrzewki. Żadnego trzymania tempa, żadnego celu. Byle dalej.

Nie wiem, ile zdołałam wtedy przebiec, pewnie nie bardzo dużo, bo zaraz dostałam zadyszki, płuca przeszył ból, żołądek zawiązał się w supeł i zwymiotowałam na własne nogi. Było świetnie. Oczyszczająco, konstruktywnie, destruktywnie, po prostu idealnie. Potem siadłam na ziemi i płakałam - takim paskudnym rodzajem płaczu, kiedy zasysasz własny oddech i rozlega się ten koszmarny dźwięk powietrza drapiącego gardło. A potem wstałam i wróciłam do domu.

Potem biegałam każdego wieczoru. Nauczyłam się kontroli, robiłam rozgrzewki i pilnowałam tempa, zawsze jednak kończyło się tak, że przeginałam, biegłam za szybko, za daleko. Terapeuta powiedział rodzicom, że to zdrowe. No, może nie wymiotowanie, ale jogging z pewnością. *Zdrowe rozwiązanie*. Rodzice kochają słowo „zdrowy”.

Tata kilka razy próbował mi towarzyszyć. Naprawdę próbował. Ale nie miałam zamiaru odpuszczać z jego powodu, a nie potrafił dotrzymać mi kroku. Widocznie rzyganie z wysiłku nie wydawało mu się tak pociągające, jak mnie. Biegałam do całkowitego wyczerpania, by nie została ani odrobina energii, którą mogłyby pożywić się żal, strach, czy pamięć. Teraz muszę wykonać w tym celu większy wysiłek. Każdego dnia wydłużam trasę. Coraz trudniej osiągnąć mi stan ekstremalnego wycieńczenia, które tak uwielbiam, ponieważ kiedy biegam, chcę czuć się tak, jakby właśnie odwirowali mnie w pralce i wyżęli. Ta sztuczka nadal działa. To teraz moja jedyna terapia.

Płuca są okej, ale w żołądku się przewraca. Z powodu długiej przerwy powinnam szybko ogłosić nokaut. Z każdym krokiem pozbywam się kolejnej porcji gówna z mojej głowy. Wróci rano, kiedy znowu zacznę myśleć, ale chwilowo go nie ma i to mi na razie wystarczy. Myśli odpływają wraz z resztkami energii i adrenaliny, zostają mdłości, znam to uczucie bardzo dobrze. Zwalniam do truchtu, potem do marszu, próbuję uspokoić żołądek, ale bez skutku.

Stopy zatrzymują się, przebiegam wzrokiem dokoła w poszukiwaniu ścieku czy strategicznie rosnącego żywopłotu i po raz pierwszy od wyjścia z domu zauważam otoczenie. Nigdy wcześniej nie byłam na tej ulicy. Nie wiem, jak długo biegłam, ale wszystko wydaje się całkowicie obce. Zrobiło się późno. W większości okien jest ciemno. Próbuję uspokoić oddech. Rzucam się w stronę najbliższego krzaka, żeby wymiotować. Źle obliczam odległość i wbiegam między gałęzie. Ciernie. No jasne. Tego już za wiele. Przy każdym ruchu wbijają mi się w nogi, ale na razie jestem zbyt zajęta rzyganiem. Kiedy żołądek jest już pusty, podnoszę nogi jak naj-ostrożniej, próbując zminimalizować straty, ale za późno. Widzę, że krew zaczyna sączyć się z ranek na łydkach, ale w tym momencie to najmniejsze zmartwienie. Zamykam oczy, otwieram. Zmuszam się, by rozejrzeć się dokoła, przypomnieć sobie, gdzie jestem i, co ważniejsze, gdzie mnie nie ma.

Mdłości ustępują miejsca przerażeniu, przerażeniu nowego rodzaju. Wszystkie domy wyglądają tak samo. Nie widzę tabliczki z nazwą ulicy, ale wiem, że biegłam szybko, że pokonałam spory odcinek i w ogóle nie zwracałam uwagi na otoczenie. Złamałam wszystkie zasady i dostałam za swoje. Teraz jestem sama, w środku nocy, pośród ciemności, w nieznanym miejscu.



Odruchowo dotykam kieszeni, szukając telefonu, mogłabym użyć GPS-a. Pusto. No jasne, nie wzięłam telefonu. Wybiegłam z domu tak szybko, że zapomniałam, bo jestem niedbała i niecierpliwa i myślałam tylko o bieganiu.

Idę przed siebie, tak jak prowadzi mnie chodnik. Wydaje mi się, że jestem na drugim krańcu dzielnicy, niedaleko przylegającego do niej rezerwatu. Ten chodnik prawdopodobnie biegnie dokoła, skrajem dzielnicy, pewnie zdołałabym odnaleźć drogę, gdybym się go trzymała. Ale to silniejsze ode mnie. Chcę jak najszybciej wydostać się spomiędzy tych cholernych drzew. Nic nie widzę, nie wiem, co zaraz spomiędzy nich wyskoczy i nie rozpoznaję dźwięków.

Tu, gdzie stoję, nie ma ani jednej latarni, dopiero nieco dalej dostrzegam słaby blask. Domy po obu stronach ulicy śpią w ciemnościach. Tak jak wszyscy normalni ludzie o tej porze. Nadal czuję mdłości, ale przesłania je strach.

Kubotan kołysze się z boku, klucze zmieniają się w zamazany kształt. Wsłuchuję się w otaczającą mnie ciszę. Wychwytyuję wszystko: brzęczenie latarni, cykanie świerszczy, niewyraźne głosy z telewizora i jakiś dźwięk, którego nie potrafię zidentyfikować. Rytmiczny i szorstki. Patrzę w ciemność w kierunku, skąd dobiega, i dostrzegam światło w domu na końcu ulicy. To nie mogą być tylko lampy od frontu, jest za jasno. Idę w tamtym kierunku, sama nie wiem po co. Może mam nadzieję, że spotkam kogoś, kto nie śpi i wskaże mi drogę do domu. *Tylko ciekawe, jak o nią spytasz, debilko.* Wciąż słyszę rytmiczne szuranie. Delikatne, niemal melodyjne, idę za nim. Dom jest niedaleko, dźwięk narasta, nadal jednak nie wiem, co to może być. Po chwili jestem na miejscu.

Przystaję na końcu podjazdu, przed jasnożółtym domem. Światło dobywa się z otwartego garażu. Chcę sprawdzić, czy ktoś tam jest, zanim podejść za blisko, ale moje stopy nie mają ochoty się zatrzymać. Ten widok mnie przyciąga. Kiedy staję na progu, zamieram, w mojej głowie jest tylko jedna myśl. *Znam to miejsce*. Stawiam ostrożnie jeszcze jeden krok, rozglądam się dokoła, rozpoznaję szczegóły tego miejsca, miejsca, w którym nigdy nie byłam, wiem to na pewno. *Znam to miejsce*. Ta myśl powraca raz po raz. Jednocześnie wciąż dociera do mnie ten rytmiczny dźwięk. Spoglądam w jego kierunku. Na końcu garażu przy stole roboczym siedzi jakiś człowiek, jego dłoń porusza się w tył i w przód. Wygląda papierem ściernym brzeg drewnianej belki. Nie mogę oderwać wzroku od tych dłoni, hipnotyzują mnie. W końcu mi się udaje, patrzę na pył, spadający na podłogę, lśniący w świetle. *Znam to miejsce*. Myśl powraca jeszcze raz. Wstrzymuję oddech, potrzebuję sekundy. Jednej sekundy, żeby ogarnąć, co to znaczy. *Znam to miejsce*. Ale w tym momencie dłonie się zatrzymują, dźwięk się urywa i ten człowiek odwraca się twarzą w moją stronę.

Jego też znam.

## Rozdział 8

### *Nastya*

Josh Bennett, skąpany w blasku jarzeniówek, przygląda mi się z drugiego końca garażu. Nie poruszyłam się, nie odwróciłam wzroku. Nie widzę w jego oczach przeblysku wskazującego na to, że mnie rozpoznał. Zastanawiam się, czy on w ogóle wie, kim jestem. Nagle uświadamiam sobie, że pewnie wyglądam jak zupełnie inna osoba. Włosy związałam w koński ogon, nie mam śladu makijażu na spoconej i zapewne bardzo czerwonej twarzy. Jestem w stroju do biegania. Nie wiem, czy sama siebie bym rozpoznała, gdybym nie wiedziała, jak naprawdę wyglądam pod tym całym badziewiem, pod którym - ledwo - chowam się, idąc do szkoły. Żałuję, że nie mam przynajmniej makijażu, bo czuję się jak goła w jarzeniowym świetle, pod spojrzeniem tego chłopaka. Przebija mnie wzrokiem na wylot. Wiem, że mnie ocenia, nie mam jednak pojęcia, na podstawie jakich kryteriów.

- Skąd wiedziałaś, gdzie mieszkam? - Jest wkurzony, jego słowa brzmią jak oskarżenie.

To chyba jasne, że nie wiedziałam, bo byłoby to ostatnie miejsce na Ziemi, które przyszłoby mi do głowy odwiedzić, ale on widocznie ma mnie za stalkerkę. Moja prawa ręka zaciska się na ku-

botanie, chociaż wcale nie czuję się zagrożona, lewa zaś powtarza ten sam ruch, tyle że w niej niczego nie trzymam. Pewnie wyglądam jak obłąkana lub totalnie zbita z tropu. Albo zbita z tropu i obłąkana jednocześnie.

Jego wzrok przesuwają się na moje nogi, zsiekanie krwawymi pręgami po spotkaniu z krzakiem, potem wraca, znów spoczywa na mojej twarzy. Zastanawiam się, co on tam widzi. I czy wyczuwa moje poczucie klęski. Nie zamierzałam nikomu pokazywać się w takim stanie, a już na pewno nie Joshowi Bennettowi, który, jak wszystko na to wskazuje, powinien budzić we mnie strach lub szacunek, chociaż nie mam pojęcia, z jakiej przyczyny. Może nosi pierścień na palcu? Może mam uklęknąć i go ucałować?

W końcu któreś z nas mrugnie pierwsze. Robię ostrożny krok w tył, jakbym próbowała uciec przed drapieżnikiem, z nadzieją, że nie zauważy moich ruchów, aż znajdę się w bezpiecznej odległości. Unoszę stopę, by wykonać kolejny krok.

- Odwieźć cię do domu? - Odwraca wzrok, mówiąc to. Jego głos nie brzmi już tak ostro. Moja stopa opada na podłogę mocniej, niżbym sobie tego życzyła. Gdybym miała stworzyć listę rzeczy, które spodziewałabym się usłyszeć w tym momencie od Josha Bennetta, „odwieźć cię do domu” na pewno nie zmieściłoby się w pierwszej pięćdziesiątce. Jego głos, jak zwykle, jest całkowicie wyzuty z emocji. Gwoli informacji: nie, nie chcę, żeby mnie podwoził, ale chyba muszę skorzystać z propozycji. Fatalna sprawa, potrzebować pomocy kogoś, kto wyraźnie cię nie cierpi, ale nie jestem aż tak dumna, żeby odmówić.

Kiwam głową, szybko otwieram i zamykam usta, bo naprawdę chciałabym coś powiedzieć, nawet jeśli nie wiem co. On wstaje i podchodzi do drzwi, łączących garaż z domem, uchyla je i chwy-

ta pęk kluczy, które zapewne wisiały na ścianie tuż za drzwiami. Robi ruch, jakby zamierzał zamknąć drzwi, ale na chwilę zamiera, nasłuchuje. Pewnie sprawdza, czy rodzice się nie obudzili. Wygląda na to, że nie. Zapewne śpią, podobnie jak reszta cywilizowanego świata. Za wyjątkiem mnie. I Josha Bennetta, który najwyraźniej uwielbia bawić się w stolarza w środku nocy. Rozglądam się, ciekawa, nad czym właściwie pracował, ale dla mnie wszystko wygląda po prostu jak kawałki drewna i narzędzia. Rozglądam się ponownie, próbując zapamiętać wnętrze garażu. I chociaż wcale nie mam ochoty tego przyznać, wiem, że tu wrócę.

Wychodzę i czekam na podjeździe obok zaparkowanego tam pikapa. Więcej samochodów nie widzę, więc przypuszczam, że Josh nie ma swojego własnego. Jest piękny. Nawet ja to widzę, chociaż nie jestem w temacie. Jego ojciec pewnie bardzo o niego dba. Chciałabym, żeby mój samochód tak lśnił, ale nienawidzę go myć, aż dziwne, że nadal można odgadnąć kolor lakieru.

Josh zatrzymuje się i z niewielkiej lodówki, umieszczonej na podłodze pod jednym ze stołów, wyciąga butelkę wody. Podchodzi do mnie i podaje mi ją bez słowa, po czym otwiera drzwi po mojej stronie. Biorę od niego butelkę. Nagle dociera do mnie, że okropnie się spociłam. Wdrapuję się na siedzenie, szczęśliwa, że nie mam na sobie spódnicy, bo jestem naprawdę niska i muszę wziąć niezły zamach nogą. Josh zamyka za mną drzwi, po czym przechodzi na stronę kierowcy, wsiada, bez trudu, z wdziękiem, jakby robił to od urodzenia. Zastanawiam się, czy mam prawo nienawidzić Josha Bennetta, bo chyba jestem tego bliska.

I siedzimy tak. Nie patrzy na mnie i nie uruchamia samochodu. Zastanawiam się, na co czeka, do cholery, może błędzenie pośród ciemności nie było jednak najgorszą rzeczą, jaka mogła

mi się przydarzyć. Czas wydaje się ciągnąć w nieskończoność. I nagle, jakby coś walnęło mnie w łeb, zdaję sobie sprawę z własnej głupoty, on nie siedzi tak po to, by wprowadzić mnie w zakłopotanie, tylko dlatego, że po prostu nie wie, dokąd jechać. Nie ma sensu szukać czegoś do pisania. Tu nie ma nic. Najczystszy samochód, jaki kiedykolwiek widziałam: Kiedy rano wsiądę do swojego, pewnie poczuję się jak w chlewie. Już mam rzucić mu błagalne spojrzenie w nadziei, że zrozumie, gdy on sięga przez deskę rozdzielczą, wyciąga GPS i mi podaje.

Jazda trwa śmiesznie krótko. Po kilku minutach jesteśmy pod domem Margot, czuję się jak debilka. Uważnie obserwowałam drogę. Mówię sobie, że po to, by więcej się nie zgubić, ale wiem, że tak naprawdę po to, by tam wrócić.

Powinnam podziękować, ale on tego nie oczekuje, zresztą wydaje mi się, że milczenie bardziej mu odpowiada. Wjeżdża na podjazd, a ja sięgam do klamki, jeszcze zanim zdążył zatrzymać samochód, chcę jak najszybciej zakończyć tę mękę. Zeskakuję na ziemię, odwracam się, żeby zamknąć drzwi. Nie mówię „dziękuję”. On nie mówi „dobranoc”.  
Mówi:

- Wyglądasz inaczej.

A ja zamykam drzwi niemal na jego twarzy.

## Rozdział 9

### *Nastya*

Josh Bennett wchodzi do warsztatu i zmierza prosto do mojego stołu, próbuję nie patrzeć, chociaż tak bardzo bym chciała. Tylko nie chcę, żeby zauważył. Ale i tak nie pozostawia mi wyboru, bo w następnej chwili staje przede mną i patrzy mi prosto w oczy. Odwzajemniam spojrzenie, mam ochotę wrzasnąć: *No co?! Niemal widzę, jak te dwa krótkie słowa, a za nimi pytajnik i wykrzyknik wylatują z moich ust, w bezgłośnym gniewie. To jedyny znany mi człowiek, który potrafi wyglądać na poważnie wkurzonego, choć jego twarz nie wyraża absolutnie żadnych emocji. Czy naprawdę wszyscy tak go irytują? A może tylko ja posiadam ten wyjątkowy dar? Sprawia wrażenie, jakby sam fakt mojego istnienia poważnie zakłócał mu spokój, a co dopiero obecność w przestrzeni jego ukochanego warsztatu.*

- To moje miejsce - mówi w końcu, tym razem w jego głosie też nie słychać irytacji, jakby po prostu rzeczowo stwierdzał fakt, a ja powinnam o tym wiedzieć tak samo jak pozostali. Czy to znaczy, że mam wstać? Przenieść się? Ale dokąd? Pan Turner mnie tu posadził, zastanawiam się, czy ciągnąć ten pojedynek na spojrzenia, czy może jednak wstać, bo nasza milcząca dysputa już zdąży-

ła przyciągnąć uwagę publiczności. Ale w tym momencie pan Turner woła Josha do siebie. Josh zostawia książki na moim - swoim? - stole, by dać do zrozumienia, do kogo należy to miejsce, i że nie zamierza tak łatwo się poddać, po czym podchodzi do biurka. Pan Turner spogląda w moim kierunku, potem na Josha, coś mówi, pewnie tłumaczy, że to on kazał mi tu usiąść. Nie wiem, czy Josh dopnie swego, ale sądząc po tym, co do tej pory widziałam, zapewne tak. Nie zamierzam dać mu tej satysfakcji i wynoszę się, zanim zdąży wrócić.

Nie został żaden pusty stół. Ten był ostatni. Są puste miejsca, ale nie mam ochoty siedzieć obok innej osoby, to zbyt krępujące, i dla mnie, i dla tego kogoś. Poza tym lubię siedzieć z tyłu, wtedy mam pewność, że nikt mnie nie zaskoczy.

Dokoła pomieszczenia biegnie blat, pod spodem wbudowano szafki. Zabieram książki, kładę je na blacie. Mam nadzieję, że siadając na nim, nie wywalę przy okazji wszystkiego na widok publiczny. Podciągam się i odwracam. W tym momencie Josh wraca na miejsce. Nie patrzy na mnie. Odwrócony plecami do reszty klasy, mówi, tak cicho, że z pewnością tylko ja go słyszę:

- Nie mówiłem, żebyś się przesiadła.

Sama nie wiem, czy powinnam się obrazić, ponieważ Josh Bennett zakłada, że może mi coś kazać lub nie, czy też powinno mi być głupio, że błędnie zinterpretowałam jego zachowanie. Stwierdzam, że nigdy nie zrozumie Josh Bennetta. A potem pytam się w myślach, dlaczego w ogóle próbuję.

- Dziś impreza u Trevora Masona. Idziesz?

Patrzę na Drew. Siedzimy na zajęciach z retoryki. Dochodzi druga trzydzieści, próbuję ściągnąć z Internetu pięć ostatnich rze-



czy, potrzebnych mi do zadanego ćwiczenia, żebym nie musiała tracić czasu wieczorem czy w weekend. Nie wiem, nad czym pracuje Drew, oprócz mnie, do tej pory chyba jeszcze nic nie zrobił. Ale i tak dostanie najwyższą ocenę, za całą swoją nie-pracę. Tak to działa w jego przypadku.

Co on takiego powiedział? Wyjątkowo nie posłużył się żadną erotyczną aluzją, więc na chwilę zgłupiałam. Impreza? Tego bym się nie spodziewała. Od pierwszego dnia w szkole strzela we mnie ostrymi seksualnymi tekstami. Można by powiedzieć, że to takie przekomarzanie się, tylko że tak nie jest, bo moje odpowiedzi ograniczają się do gestów i miażdżących spojrzeń, a i to z rzadka. Kilka dni temu próbował namówić mnie, żebym pisała na kartce, ale szybko to ucięłam. Pisanie na kartce służy jedynie do przekazywania koniecznych rzeczowych informacji, a nie do pogadu-szek.

Iść z Drew na imprezę? Czemu nie? Zaskakuję samą siebie, ale serio, dlaczego nie? Dobra, pewnie znalazłyby się setki powodów. Bo powiedzmy sobie szczerze, raczej nie zaprosił mnie ze względu na moje błyskotliwe poczucie humoru i znajomość przezabawnych anegdotek. Ale, co stwierdzam z przykrością, Drew to jedna z niewielu osób w moim życiu, które nie napełniają mnie całkowitym przerażeniem, bo przy nim mam poczucie, że panuję nad sytuacją. Z Drew dam sobie radę. Nie budzi we mnie strachu, a w tym momencie to właściwie wystarczy. Stwierdzam, że go lubię, mimo bezczelnej pozy męskiej dziwki i sztucznego czaru aroganta. Nie w sensie, że mi się podoba. Po prostu go lubię i zastanawiam się, jak to o mnie świadczy. Jest zabawny, a ja bardzo potrzebuję zabawy. Kiwam głową. *Impreza, jasne.* Robi zaskoczoną minę. Cóż, sama jestem zaskoczona. A potem wyraz zasko-

czenia znika i pojawia się zarozumiały uśmiezek pod tytułem: „no przecież wiedziałem, że się zgodzisz”.

- Przyjadę o dziewiątej? - mówi pytającym tonem.

Jeszcze raz kiwam głową, wydłubuję z plecaka notes i wyrywam kartkę. Wyjmuję długopis z jego ręki i zapisuję adres. Zapisywanie adresów jest jak najbardziej do przyjęcia.

- Może powinnaś włożyć coś czarnego - rzuca. Przez ostatnie dwa tygodnie występowałam wyłącznie w czarnych rzeczach. Podaję mu kartkę. Widzę w jego oczach zwycięski błysk. Przekrzywiam głowę, mierzę go wzrokiem od stop do głów, w całej jego krasie seksownego chłopczyka z dobrego domu, na końcu jeszcze raz patrzę mu prosto w twarz. A potem wzruszam ramionami i sobie idę.

## Rozdział 10

### *Josh*

*Tuz* po północy przed mój dom zajeżdża Drew. Od razu wiem, że to oznacza coś bardzo niedobrego. Odkładam ołówek, którym zapisywałem pomiary, patrzę, jak Drew wysiada z samochodu i idzie w stronę garażu.

- Stary, potrzebuję pomocy.
- No jasne.
- Weź Nastyę. - *Weź Nastyę?* Przez chwilę zastanawiam się, co ma na myśli, potem patrzę na podjazd i już wiem.
- Co? Mowy nie ma. - Patrzę na ciemną postać, leżącą bezwładnie na przednim siedzeniu. - Co ty jej zrobiłeś? Jest chociaż przytomna?
- Nic. Nie - odpowiada defensywnie, biegnąc wzrokiem w tym samym kierunku. Stoimy obaj w moim garażu, on z ramionami skrzyżowanymi na piersi, ja z rękami w kieszeniach, wypatrując jakichś oznak życia. - Po prostu za dużo wypła.
- Za dużo czego?
- Miotaczy ognia. - Mówiąc to, unika mojego wzroku.
- Co za palant poczęstował ją miotaczami ognia? - Patrzy na mnie, nic nie mówiąc. To wystarcza za odpowiedź. Kretyn. Mio-

tacz ognia to wódka z wiśniowym Kool-Aid. Równie dobrze mógł ją zachloroformować. - Gdzie ty miałeś głowę? Ona waży jakieś trzynaście kilo.

- Dobra, tato, już starczy. Dzięki za wykład, ale to mi nie pomoże. Poza tym, skąd miałem wiedzieć, że tak zareaguje? Wygląda na twardzielkę.

- Trzynastokilowa twardzielka. - To fakt. Rzeczywiście, wygląda jak twardzielka. Widziałem jej ramiona, jest nieźle przypakowana. Sprawia to dziwne i niepokojące wrażenie, jakoś totalnie do niej nie pasuje. Jest drobna, krucha, a jednocześnie przywodzi na myśl nastoletniego najemnika z jakiegoś egzotycznego kraju, mocna, w tych swoich czarnych ciuchach, jakby w każdej chwili gotowa komuś przywalić. Nic tu się nie zgadza. Wytrąca z równowagi. Jak złudzenie optyczne. Patrzysz z jednej strony, widzisz obraz i sądzisz, że wiesz, o co chodzi, ale potem patrzysz pod nieco innym kątem i nagle obraz się zmienia i już nie potrafisz odnaleźć tego poprzedniego. Ryje mózg.

- Josh, proszę cię. Nie mogę zabrać jej do domu w tym stanie, a jeśli znowu się spóźnię, mama obetnie mi jajka. - Niezbyt trafiony argument. Sporo dałbym za to, żeby zobaczyć, jak Drew wreszcie dostaje za swoje. Mama Drew to najmiłsza osoba na świecie, ale istnieje ktoś, kto potrafi ją wkurzyć naprawdę konkretnie i ten ktoś właśnie stoi przede mną, błaga o odroczenie egzekucji, a może tylko kastracji. Nie odmówię. Wiedział od razu, kiedy zdecydował się tu przyjechać. Prośba o pomoc to czysta formalność. Nigdy nie odmawiam Drew.

Podchodzę do samochodu, otwieram drzwiczki po stronie pasażera. Próbuję ją obudzić, chcę spytać, czy dojdzie sama do domu. Porusza się lekko i otwiera oczy. Nie wiem, czy mnie widzi,

w następnej chwili jej głowa opada na pierś, jakby była zbyt ciężka, i już wiem, że o własnych siłach na pewno nigdzie nie dojdzie. Prawie w ogóle nie reaguje, kiedy wyciągam ją z samochodu i biorę na ręce.

- Ja pierdolę, Drew - mruczę.

Opiera się o samochód, wypuszcza powietrze. -No.

## *Nastya*

Z trudem otwieram oczy. Przez chwilę zastanawiam się, gdzie jestem. Naprawdę bardzo próbuję i dalej nie wiem, i zaczynam panikować. Unoszę rękę, odgarniam włosy, rozglądam się, usiłuję ustalić, co się do cholery stało. Jestem pewna tylko trzech rzeczy: *raz* - tej nocy grupa elfów wspięła się na mnie i zawiązała mi na włosach setki maleńkich supełków, *dwa* - spałam z otwartymi ustami, bo ewidentnie coś tam wpelzło i zeszło, *trzy* - zostałam wessana do jakiegoś dziwnego świata i spadł mi na głowę wielki młot.

Unoszę lewą rękę, przyciskam do czoła, liczę na to, że ustanie to koszmarnie łupanie, jednocześnie próbuję usiąść, co okazuje się bardzo trudne. Znajduję się na sofie. Nie swojej. *Nie swojej*. I kiedy sobie przypominam, od razu wołałabym zapomnieć.

- Dzień dobry, Słoneczko! - Josh Pierdolony Bennett. Jestem pewna, że gdybym znalazła jego akt urodzenia, właśnie to by na nim widniało. Nie mam czasu zastanawiać się, dlaczego tu jestem i czemu on jest taki sztucznie wesoły, powieka nawet mu nie drgnie, zastanawiam się, czy przypadkiem prawdziwego Josha Bennetta nie wprowadzili kosmici, a może elfy zgarnęły go przy okazji, kiedy skończyły z moimi włosami.

- Tak się cieszę, że już nie śpisz. Zaczynałem się martwić, czy nie jesteś przypadkiem chora. No wiesz, po tym całym wczorajszym rzyganiu. - Krzywię się, z bólu a może z zażenowania. Widzi, co się ze mną dzieje, ale bynajmniej go to nie powstrzymuje. A chyba nawet dodatkowo zachęca. - Nie, nie zaprzataj tym sobie swojej ślicznej główki - mówi z udawaną powagą, potem urywa, mierzy mnie wzrokiem. - No, może dzisiaj nie takiej znowu ślicznej, w nocy zaś z całkowitą pewnością nieślicznej, ale to nic, nie przejmuj się. Zużyłem zaledwie cztery czy pięć ręczników, żeby wszystko powycierać, a zapach pewnie zniknie za dzień, góra dwa. Mam tylko nadzieję, że nie zostanie we włosach. Robiłem, co w mojej mocy, ale pewnie byłoby trochę lepiej, gdybyś związała je w kucyk. - Josh Bennett wycierał moje rzygi. Cudownie. Teraz się mści, wyraźnie dobrze się przy tym bawiąc. Stanowczo zbyt dobrze. Nie wiem, co gorsze, wściekły tata Josh Bennet czy sarkastyczny i uszczypliwy Josh Bennett. Mam ochotę przywalić obu naraz, ale chyba nie jestem w stanie unieść ręki.

Co ja tu robię? Ostatnie, co pamiętam, to że byłam z Drew na potwornie zatłoczonej imprezie i piłam coś, co smakowało podejrzanie, jak nie-alkohol. Spoglądałam w dół. Stwierdzam z ulgą, że nadal mam na sobie te same ciuchy co wieczorem, chociaż za-plamione - rzygami, jak się domyślam. Josh Bennett przynajmniej nie musiał mnie rozbierać i pożyczać własnych bokserek. Ta myśl jednak niewiele pomaga. Być może z powodu kolejnego odkrycia: owszem, mam na sobie ubranie, za to stanik najwyraźniej zaginął w akcji. Rozglądałam się dokoła, sprawdzam, czy nie leży na ziemi czy coś, ale każdy ruch głową sprawia ból nie do wytrzymania.

Josh nadal gada, nie mam jednak pojęcia co, chociaż słyszę jego głos jakby w środku czaszki. Aha, ciągle o tym kucyku. Zaleca

taką fryzurę pijanym laskom. Nawet nie stara się mówić ciszej. Może wyobraża sobie, że stoi na scenie i musi dotrzeć do publiczności na końcu sali, przynajmniej na to wskazuje natężenie jego głosu. Słysząc, że się wkurwił i nic dziwnego. Jest niedziela, blady świt, a na jego sofie leży jakaś beznadziejna panna - ta sama, która w nocy zarzygała mu łazienkę, a on próbował w tym czasie przytrzymać jej włosy. Chyba chwilowo mu odpuszczę, zdecydowanie na to zasłużył, szczególnie, że właśnie idzie do kuchni i wraca ze szklanką lodowato zimnej wody. Pragnę jej desperacko. Spoglądam na szklankę, kiedy mi ją podaje. A raczej szklaneczkę, jest tragicznie mała. Może to jakiś eko-świr, maniacko oszczędzający wodę? Musiałabym wypić takich osiemnaście. Tak na początek. Biorę ją, z wdzięcznością przykładam do ust, piję i przełykam. Płyn dostaje się do gardła i zaraz wraca. *Co do kurwy nędzy?* Wódka. Wypluwam, nawet nie patrzę gdzie, a potem zaczynają się mdłości. Żołądek zaciska się i wykręca, ale nic w nim nie ma. Patrzę na Josha Bennetta, który gapi się na mnie z miną, wyrażającą... Co? Niedowierzenie? Skrucę? Strach?

- O kurwa! Nie sądziłem, że to wypijesz. - Wyrywa szklankę z mojej ręki. A niby co miałam zrobić według niego? Wykąpać się w tym? - Rzuca mi przepraszające spojrzenie. - To był żart. Jak widać, do dupy - mruczy pod nosem, biegnie do kuchni i wraca ze świeżym ręcznikiem. Chyba przez cały dzień będzie robił pranie. Ciekawe, co powie rodzicom. To cud, że jeszcze ich tu nie ma. Wyrywam mu ręcznik i zsuwam się na podłogę, żeby posprzątać. Nawet jeśli tym razem to była jego wina, nie zamierzam powiększać swojego długu. Ścieram plamę wódki, którą rozlałam na podłodze, a on stoi nade mną. Nagle zdaje sobie sprawę, jak muszę

wyglądać, pełzając tak na czworakach. Włosy, twarz, ciuchy, portret okrutnego żartu, jakim okazała się ta noc.

Podnoszę wzrok, rzucam mu groźne spojrzenie, wściekła, że widział mnie w stanie największego upokorzenia, i że niezależnie od tego, jak bardzo cieszy go mój upadek, jestem mu winna wdzięczność. Drew to zupełnie inna historia. Jemu jestem winna los gorszy od śmierci. Wolałabym chyba, żeby zamiast pozostawić mnie na łasce Josha Bennetta, wyrzucił mnie na trawnik przed domem ciotki. Ale w tej samej chwili stwierdzam, że chyba jednak tak nie myślę. Chociaż powinnam. Stwierdzam też, że przez cały ten czas gapię się na niego i zastanawiam się, co zdradza moja twarz, bo Josh Bennett się uśmiecha. *Uśmiecha się.*

I uśmiech ten jest prawie autentyczny, chociaż całkowitej pewności nie mam, bo nigdy tak naprawdę nie widziałam go uśmiechniętego. W szkole zawsze ma tę samą obojętną minę, każdego dnia, jakby nic na świecie nie potrafiło go poruszyć. Co prowadzi mnie z powrotem do teorii o porwaniu przez kosmitów. Kiedy się odzywa, teoria nabiera cech prawdopodobieństwa.

- Chyba masz wielką ochotę powiedzieć mi, żebym spierdalał, co, Słoneczko? - Jeszcze nie skończył bawić się moim kosztem. Mrużę oczy przy „Słoneczku”, co okazuje się błędem taktycznym, bo teraz wie, że mnie to wkurza, a wygląda na to, że wkurzanie mnie dostarcza mu wiele przyjemności. - No co? „Słoneczko” idealnie do ciebie pasuje. Ciepłe, jasne i radosne. Dokładnie. Jak. Ty. -1 w tym momencie nie wytrzymuję. Nic na to nie poradzę. Nieważne, jak tragicznie się czuję, jak kretyńsko wyglądam i jak wściekła jestem na siebie, na Drew, na Josha Pierdolonego Bennetta i na drinki o podstępny smaku wiśniowego Kool-Aid. Komizm tej sytuacji objawia mi się w całej okazałości i po



raz pierwszy od wieków zaczynam się śmiać. Może nie jest to do końca prawdziwy śmiech. Może to obłąkańczy rechot niezrównoważonej laski, ale nieważne, bo od razu czuję się lepiej, a zresztą i tak nie potrafiłabym nad tym zapanować, nawet gdybym chciała. Uśmiech znikł z jego twarzy. Przeniósł się na moją, w zamian Josh dostał moją skonsternowaną minę. Patrzy na mnie jak na wariatkę. Czyli na mnie, bez jak. Może zdołałam go zaskoczyć. Wygrałeś, Josh. Zasłużenie.

Kiedy atak hysterii mija, bierze ode mnie przesiąknięty wódką ręcznik i wraca do kuchni. Po raz pierwszy rozglądam się dokoła. Pokój jest bardzo prosto urządzone, niezbyt nowoczesny. Prawie wszystkie meble, nie licząc sofy, są drewniane, co nie powinno mnie dziwić. Nic do siebie nie pasuje. Każda rzecz jest w innym stylu, z innego rodzaju drewna, inaczej wykończona. Ciekawe, czy to on je wszystkie zrobił. Najdziwniejsze, że w pokoju stoją aż trzy niskie stoliki do kawy. Jeden, ten przed sofą, na której siedzę, wygląda naprawdę niespecjalnie. Taki zwykły, banalny, miejscami mocno wytarty, pewnie w miejscach, gdzie ludzie od wielu lat stawiają szklanki i nie używają podkładek. Być może stolik aż tak by nie raził, gdyby nie fakt, że na drugim końcu pokoju stoją dwa inne, które z pewnością nie wyglądają zwyczajnie. Wyglądają jak z innego świata. Podchodzę, żeby się przyjrzeć. Nie przypominają zwykłych stolików do kawy, ale nie wiem, jak inaczej je nazwać. Wyglądają na stare. Są ozdobne, ale w sposób powściągliwy i elegancki. Nie mam pojęcia, czemu ktoś bezceremonialnie postawił je pod ścianą, na końcu pokoju. Klękam i wyciągam palec, by przejechać nim po toczonej nodze, ale słyszę, że wraca Josh i uciekam na sofę. Nie chcę, żeby pomyślał, że... pomyślał, że co? Że pieczę jego meble? Sama nie wiem. W ogóle nie chcę, żeby coś myślał.

Josh trzyma w ręku jeden z tych wielkich plastikowych szpitalnych kubków. Mam w domu całą kolekcję takich. Białych z zielonymi napisami. Ten jest z czerwonymi. Podaje mi go.

- Woda. - Rzucam mu sceptyczne spojrzenie. - Naprawdę. Przysięgam.

Wypijam wszystko i łykam ibuprofen, który podał mi razem z kubkiem. Potem zabiera naczynie, bez słowa, idzie do kuchni i wraca chwilę później z dolewką. Każe mi wypić, nie jestem zbyt szczęśliwa z tego powodu, bo marzę tylko o tym, żeby stąd zniknąć. Wyglądam jak gówno, czuję się jak gówno i nie mam pojęcia, co będzie w poniedziałek. Ale nad tym pomyślę później, kiedy skończą się eksplozje w mojej głowie i kiedy już nie będę leżeć na sofie Josha Bennetta.

Wstaję, patrzę w dół, zastanawiam się, czy w ogóle pytać.

- Leży w łazience na podłodze. - Uśmiecha się, do dywanu, nie do mnie. - Z jakiegoś powodu budził w tobie wielkie obrzydzenie. Zerwałaś go z siebie i zdjęłaś przez rękaw, jednym płynnym ruchem, a potem cisnęłaś na podłogę. Wyglądało to naprawdę imponująco.

No pięknie. Obiad z poprzedniego dnia, zwęglone resztki mojej godności, a teraz bielizna. Co jeszcze zostawiłam na podłodze w łazience Josha Bennetta? Ale, muszę przyznać, mimo skrajnie upokarzającego położenia, bawi mnie, że nie przechodzi mu przez usta słowo „stanik”.

Wskazuję kierunek, w którym znajduje się łazienka, i ruszam przed siebie, bardzo ostrożnie. Każdy krok wywołuje fale ostrego bólu, przemieszczające się od stóp aż do mózgu. Docieram na miejsce. Stanik leży w kącie między wanną i sedesem, nabija się ze mnie. Całe szczęście, że jest ładny, z czarnej koronki, brzyd-

ka bielizna to jedyna rzecz, która potrafiłaby uczynić ten poranek jeszcze gorszym. Klękam i podnoszę go, zastanawiać się, czy przy okazji mogłabym zdrapać z podłogi resztki szacunku do samej siebie. Możliwe, że jeszcze się przydadzą.

Tym razem Josh nie potrzebuje wskazówek. Przez całą drogę w ogóle się nie odzywa, sama nie wiem, czy jestem mu za to wdzięczna, czy nie. Wyrzuca mnie przed domem Margot, mam trzydzieści minut do jej powrotu. Akurat, żeby wziąć prysznic, włożyć czyste ciuchy i przybrać odpowiednią minę.

- Zdrowiej, Słoneczko. - Nie patrzy na mnie, ale kiedy zamykam drzwi, widzę, że kącik jego ust wciąż wygina się do góry.

Zastanawiam się, dlaczego zgodził się, żebym spała u niego na kanapie, kiedy Drew, jak się domyślam, mnie mu podrzucił. Trzymał moje włosy, posprzątał całe morze rzygów, przyniósł mi tabletki przeciwbólowe i przypilnował, żebym wypila pół beczki wody, ratując mnie tym samym przed odwodnieniem. Nie ma we mnie niejasnego ani słonecznego, ale po ostatniej nocy zyskał prawo, żeby się ze mnie nabijać. A więc tak, sądzę, że Josh Bennett, przynajmniej przez jakiś czas, może nazywać mnie, jak mu się żywnie podoba.

## Rozdział 11

### *Josh*

W niedzielę o czwartej rozlega się dzwonek do drzwi. Otwieram, na progu stoi mama Drew, z plastikowym pojemnikiem w rękach.

- Dziś niedziela. Zrobiłam sos. Drew powiedział, że nie przyjedziesz na obiad, więc ci przywiozłam. - Wie, że za nic nie umiem zrobić sosu do spaghetti, co strasznie mnie wkurza, i zawsze trochę mi przywozi.

- Dzięki. - Przesuwam się na bok i otwieram szeroko drzwi. - Mogła pani powiedzieć Drew, żeby mi przywiózł. Nie musiała pani sama się fatygować.

- Drew gdzieś znikł. Pewnie spotkać się z jakąś dziewczyną, za którą aktualnie się ugania. - Unosi pytająco brwi, ale ja zachowuję kamienną twarz i zastanawiam się, czy na pewno wiem, o kogo chodzi. Biorę pojemnik i wkładam go do lodówki, a ona siada na stołku barowym przy blacie. Stoi na nim talerz z ciasteczkami, który znalazłem dzisiaj na progu. - A poza tym, wiesz przecież, że lubię czasem wpaść, wpytać, co u ciebie. Nawet jeśli wiem, że nie powiesz.

- Dzięki - mówię już drugi raz w ciągu tych kilku krótkich minut, sam nie wiem, za co właściwie dziękuję: za to, że wpadła, że mnie

sprawdza, czy za to, że nie oczekuje odpowiedzi. Za wszystkie inne rzeczy. Pewnie mógłbym dziękować pani Leighton przez cały dzień, ale ona tego nie oczekuje.

- Mógłbyś ułatwić mi zadanie i po prostu z nami zamieszkać. - Nawet nie próbuje ukryć krzywego uśmiechu na twarzy. Prosi mnie o to przynajmniej raz w tygodniu od czasu, kiedy dowiedziałem się, że dziadek odchodzi. Zawsze dostaje tę samą odpowiedź, ale nie przestaje pytać. Sam nie wiem, jakbym się poczuł, gdyby przestała.

- Dzięki - mówię znowu. To już trzeci raz. Nic więcej nie muszę mówić.

- Pytam z egoizmu. Chodzi mi o to, że mógłbyś mieć dobry wpływ na Drew. Ktoś musi uratować tego chłopaka przed nim samym. Nie chcę zostać babcią w tak młodym wieku. - RzUCA mi znaczące spojrzenie.

- Chyba mnie pani przecenia.

- Josh, kocham swojego syna, ale czasami odnoszę wrażenie, że jedyną jego dobrą stroną jesteś ty. Prawdopodobnie tylko z twojego powodu jeszcze nie wywaliłam go z domu. - Potrząsa głową, a ja wiem, że nie mówi poważnie. Drew to synek mamusi. Tyle że przy okazji także wrzód na dupie. - Chyba coś przede mną ukrywasz. Od kiedy to zajmujesz się wypiekami? - Obraca w palcach nadgryzione ciastko, przyglądając mu się uważnie.

- Nie zajmuję się. - Urywam, spoglądam na talerz z ciastkami. Teraz, kiedy kilka znikło, spod spodu widać niebieski szlaczek. Zastanawiam się, czy talerz należy do kompletu i czy powinienem go zwrócić. - Ktoś mi je dał.

- Ktoś? - powtarza podejrzliwie. Widzę, że umiera z ciekawości. Znudziło się jej wypytywanie Drew o dziewczyny, bo zjawia-

ją się i znikają w takim tempie, że nie ma to najmniejszego sensu. Ale mnie zawsze pyta, czeka na dzień, kiedy wreszcie dostanie odpowiedź. - Hm - dodaje, biorąc kolejny gryz - ten *ktoś* naprawdę potrafi piec. Pyszne.

- Nie próbuję się wymigać - uśmiecham się, odpowiadając na niezadane pytanie. - Nie wiem, kto je upiekł. Znalazłem je dziś rano pod drzwiami.

- O - mówi, po czym wyciąga ciastko z ust. Uśmiech znika z jej twarzy.

- Chyba jednak wiem, kto to był. Nic pani nie grozi. - Na jej twarzy maluje się wyraźna ulga. Tak, domyślałam się kto, ale pewności nie mam. Nie znalazłem przy nich żadnej wiadomości, ale czułem, że to coś w rodzaju podziękowania. Zresztą, któż inny miałby to być. - Poza tym zjadłem już chyba z sześć. Gdyby ktoś chciał mnie otruć, już bym o tym wiedział.

Gadamy jeszcze przez chwilę, a potem pani Leighton wstaje i jeszcze raz pyta, czy na pewno nie przyjdę na obiad. Nie przyjdę i ona dobrze o tym wie. Nadal jestem wkurzony na Drew za piątek i na razie jakoś nie mam ochoty grzebać się w jego gównie.

- Czekałem na nią rano na parkingu - mówi Drew, kiedy wpadam na niego w poniedziałek przed pierwszym dzwonkiem. Dzwonił do mnie poprzedniego wieczoru, ale nie odebrałem, a wiadomość wykasowałem nieprzesłuchaną. Nie rozmawialiśmy od sobotniego popołudnia, kiedy to zjawił się u mnie, żeby dowiedzieć się, jak potoczyły się losy Nastyi po tym, jak mi ją podrzucił. Mógłbym powiedzieć „podrzucił do mnie”, ale obaj wiemy, że to nieprawda. Inna sprawa, gdyby naprawdę martwił się

o to, czy dotarła bezpiecznie do domu i jak się czuje, ale tak naprawdę chciał się dowiedzieć, czy jest na niego bardzo wkurzona, a ja nie zamierzałem uspokajać jego sumienia. Mam nadzieję, że jest na niego wkurzona. Powinna być.

- Nie chce ze mną rozmawiać - mówi ze śmiechem, kiedy ruszamy na pierwszą lekcję. - To znaczy, no wiesz, nie robi żadnych znaczących min. Wykonała jeden gest, w którym główną rolę odegrał jeden z jej palców, ale to równie dobrze mógł być tik czy przykurcz mięśnia.

- Oczywiście - odpowiadam.

- Ty też ciągle jesteś na mnie wkurzony?

- Skądże.

- I słusznie. Daj spokój, podrzuciłem ci do domu niesamowicie seksowną laskę, schlaną do nieprzytomności i w dodatku niemowę. To jak prezent.

Przystaję i patrzę na niego. Znowu zastanawiam się, dlaczego jesteśmy przyjaciółmi. Znam go, wiem, że nie mówi poważnie. Drew to dupek, ale nie kompletny palant. Ale i tak mu nie daruję. Tym razem zasłużył.

- Sorry - rzucam bez przekonania, ruszając dalej. - Wydawało mi się, że po prostu kazałeś mi posprzątać bałagan, którego sam narobiłeś. Nie domyśliłem się, że to był taki przyjacielski gest. Następnym razem musisz jaśniej się wyrażać, żeby nie stracił takiej wspaniałej okazji. - Nie potrafię ukryć sarkazmu w głosie i nawet nie próbuję.

- Wiesz, że żartowałem. - Przynajmniej trochę mu jednak głupio. - Zostawiłem ją u ciebie, bo wiedziałem, że nic jej nie grozi. - Teraz robi ze mnie mnicha, czy kogoś w tym rodzaju, jakoś nieszczególnie mnie to zachwyca.

- Ona o tym nie wie. Myśli, że zrobiłeś właśnie to, co przed chwilą powiedziałeś. Podrzuciłeś ją do domu jakiegoś gościa i nawet nie pomyślałeś, że coś może jej się stać.

- A coś się stało? W sobotę byłeś taki wkurzony, że niczego nie można było się od ciebie dowiedzieć.

- Może dlatego, że zamiast spać w nocy, wycierałem rzygi. -Jeszcze raz zatrzymuję się i patrzę na niego, żeby wiedział, że nie żartuję. Nie ma nic zabawnego we wspomnieniach o piątkowej nocy i ilości rzygów, z którą musiałem się zmierzyć. Może już nigdy nie będę tym, kim byłem. - Chcesz wiedzieć, co się stało? Rzygała. Dużo. Straciła przytomność. Odzyskała. Zawiozłem ją do domu. Koniec.

- Stary, naprawdę mam u ciebie dług - mówi Drew, wzdryga-jąc się na wspomnienie o rzygach.

- Żebyś wiedział.

## *Nastya*

Kiedy w poniedziałek wchodzę do warsztatu, talerz Margot z niebieskim szlaczkiem leży na blacie, przy którym zwykle siadam. Josh nie siedzi na swoim miejscu, ale to na pewno on go tam położył. Widzę go na drugim krańcu pomieszczenia, tam, gdzie trzyma się narzędzia elektryczne. Jestem ciekawa, co robi, ale nie mam ochoty za długo się na niego gapić, więc wkładam talerz do plecaka. Rozlega się dzwonek i Josh siada na swoim miejscu, w ogóle nie patrząc w moją stronę. Wszystko wraca do normy. Ale norma nie trwa długo, co nie powinno mnie dziwić. Kiedy zjawia się Josh Bennett, normy przestają obowiązywać. Ale chyba nie powinnam oceniać go pod tym względem,



szczególnie że przyglądam mu się zza szklanej i bardzo kruchej ścianki swojego własnego schronienia.

- Hej, Bennett! To prawda, że uzyskałeś samodzielność prawną? - *Samodzielność?* Rozglądam się, ciekawa, kto zadał to pytanie. Jakiś beznadziejny gówniarz w stroju skatera, chyba ma na imię Kevin, ale nie wiem na pewno, nie zwróciłam uwagi. Przede wszystkim zwróciłam uwagę na to, że ma włosy dłuższe z przodu, workowate spodnie i jest przekonany o własnej wspaniałości. Tak naprawdę to nie obchodzi mnie, kto zadał pytanie, tylko jaka będzie odpowiedź.

Josh kiwa głową, ale nic nie mówi. Spuszcza wzrok, skupia się na rysunku, który pan Turner zadał nam w piątek. Najwyraźniej nic sobie nie robi ani z Kevina, ani z całej reszty.

- To znaczy, że jesteś, no, że możesz robić, co ci się podoba?

- Na to wychodzi. - Odwraca linijkę i ołówkiem rysuje kreskę. - Oczywiście, nie mogę nikogo zamordować, więc istnieją pewne ograniczenia - dodaje cierpko, nadal nie podnosząc wzroku. Z trudem opanowuję uśmiech, szczególnie że Kevin nie odczytał aluzji i brnie dalej:

- Niesamowite. Co wieczór urządzałbym imprezę. - Zdaje się kompletnie nie zauważać, że Josh nie ma ochoty z nim gadać. Chciałabym, żeby Josh postawił tego gówniarza do pionu, bo naprawdę na to zasłużył, ale to chyba raczej w moim stylu, nie Josha Bennetta.

Ktoś przyciszonym głosem mówi Kevinowi, żeby się zamknął. Wszyscy dokoła wyglądają na zaciekawionych, zakłopotanych lub zdumionych tymi pytaniami. Ja jestem w obozie zaciekawionych, ale próbuję udawać obojętność. Pan Turner chyba też się zainteresował, zerka w naszym kierunku. Na pewno nie zamierza się wtrą-

cać, ale bardzo chciałby wiedzieć, co się dzieje. Ma lekko zniesmaczoną minę. Wiem, że brakuje mi jakiejś ważnej części informacji, a nikogo nie mogę spytać. Dlaczego Josh uzyskał samodzielność? Jego rodzice źle go traktują? Nie żyją? Są w więzieniu? Wyjechali z kraju? Może w grę wchodzi super tajna misja szpiegowska.

Mój mózg pracuje gorączkowo, tamci dalej gadają. Wciąż zastanawiam się, o co chodzi z tą samodzielnością i jak to ma się do faktu, że wszyscy trzymają się od niego z daleka. Siedzimy tu dopiero od czterdziestu pięciu sekund, a już czuję, że powietrze jakoś dziwnie zgęstniało.

### *Josh*

Nie muszę patrzeć, i tak widzę ich miny. Zwykle wszyscy mnie ignorują, gorzej, kiedy tego chwilowo nie robią. Jak teraz. Albo dostaje ci się gównie autorstwa debila typu Kevin Leonard, albo spojrzenia pod tytułem: „ty to masz przesrane”. Szczególnie dziewczyny są fatalne. Dziewczyny są najgorsze. Drew twierdzi, że powinienem to wykorzystać, że marnuję beznadziejne karty, które przypadły mi w udziale, a mógłbym przecież dostać coś za to, że jestem taką tragiczną postacią. Ale jakoś seks z siostrą miłosierdzia średnio mnie pociąga. Trudno zapalać pożądaniem do dziewczyny, patrzącej na ciebie jak na zagubionego szczeniaczka, którego chciałaby zabrać do domu i nakarmić albo jak na smutne dziecko, które zaraz weźmie na kolana i przytuli. Nie ma nic pociągającego w dziewczynach, które czują do mnie litość. Może gdybym był zdesperowany, ale pewnie nawet wtedy nie.

Dorośli są chyba jeszcze gorsi, uwielbiają częstować mnie kretyńskimi komentarzami, jak to świetnie sobie radzę, jak wspania-

le przystosowałem się do sytuacji. Tak jakbym miał inne wyjście. Jedyne, co opanowałem naprawdę dobrze, to robić uniki, ale oni wolą wierzyć, że wszystko jest w porządku. Tak, by mogli w spokoju wrócić każde do swojej jaskini, sądząc, że śmierć ich tam nie znajdzie.

Z nauczycielami jest praktycznie tak samo. Jeśli chcę wywinąć się od jakiegoś zadania, wystarczy, że zagram kartą śmierci. Wszystkich wprawiam w zakłopotanie, więc robią, co tylko chcę, byleby się mnie pozbyć i udawać, że nic się nie stało. Tłumaczą sobie, że to przejaw współczucia, że w ten sposób zaliczyli kolejny dobry uczynek. Przy odrobinie szczęścia po prostu mnie ignorują, to łatwiejsza opcja dla nas wszystkich. Łatwiejsza niż uznać, że śmierć istnieje.

Jedna taka karta wystarczyłaby, żeby wykręcić się od przykrych obowiązków, czy wywołać ciepłe uczucia u jakiejś dziewczyny, tylko że ja dostałem całą talię i pewnie mógłbym osiągnąć znacznie więcej. Ludzie od dawna odwracają wzrok, kiedy mnie widzą. Może ja robię to samo na ich widok.

Kiedy miałem osiem lat, poszedłem z tatą na mecz. Raz w miesiącu rodzice dzielili się nami, mną i moją siostrą Amandą. Raz w miesiącu wychodziłem dokądś z tatą, Amanda zaś z mamą. A w następnym miesiącu zamienialiśmy się. Był marzec, teoretycznie miałem spędzić ten dzień z mamą, ale poprosiłem o zamianę z powodu meczu. Powiedziałem mamie, że nadrobimy to w kwietniu i w maju. Taki był ze mnie, kurwa, porządny chłopczyk. Mama stwierdziła, że to uczciwy układ.

Wróciliśmy o szóstej. Zasnąłem w samochodzie. Tata mnie obudził, ale w końcu i tak zaniósł mnie do domu, bo nie miałem siły wyczołgać się z samochodu o własnych siłach. Za dużo zjedliśmy,

za dużo się śmialiśmy i za dużo wydzieraliśmy mordy. Bolał mnie brzuch. Spaliłem sobie twarz w słońcu. Straciłem głos, oczy same mi się zamykały. To był ostatni szczęśliwy dzień w moim życiu.

A kiedy się obudziłem, już nie miałem mamy ani siostry. Za to dostaliśmy mnóstwo kasy, więcej, niż było nam potrzeba. Prawnicy z firmy przewozowej powiedzieli, że to bardzo hojne odszkodowanie. Prawnicy ojca uznali, że uczciwe. Uczciwa rekompensata za śmierć matki. Uczciwa rekompensata za śmierć siostry. Nie wzięli pod uwagę, że tego dnia straciłem również ojca. Coś w nim się popsło, złamało, stopiło się, spłonęło, rozpadło jak samochód, który prowadziła mama, kiedy zajechała jej drogę wielka ciężarówka, przewożąca napoje. Ale jestem pewien, że gdyby nawet wzięli to pod uwagę i tak uznaliby układ za bardziej niż uczciwy. Hojny. Nie mam siostry, z którą mógłbym się kłócić, ani matki, z którą mógłbym porozmawiać, ani ojca, z którym mógłbym robić meble. Mam za to miliony prawie nietkniętych dolarów na kontach bankowych i w funduszach, i życie potraktowało mnie rzeczywiście bardzo, kurwa, uczciwie.

- No, niesamowite - potwierdzam, w nadziei, że Kevin wreszcie się odczepi i pójdzie imponować komuś innemu swoją ignorancją i bredzeniem o legendarnych imprezach. - Nikogo nie obchodzi, co robię. - To prawda i można ją rozumieć na wiele sposobów. Podnoszę wzrok i patrzę mu prosto w oczy, licząc na to, że zrozumie.

Wracam do rozpoczętego rysunku, zadowolony, że wszyscy zajęli się ważniejszymi tematami, jak testy z matematyki i fajne laski. Pan Turner chodzi po sali, zagląda każdemu po kolei przez ramię, sprawdza postępy. Mija mój stolik.

- Nastyo, nie możesz tutaj siedzieć. Obok Kevina jest puste miejsce. Może się przeniesiesz? - Brzmi to niemal przeprasza-

co. Dziwi mnie, dlaczego w ogóle założył, że ona posłucha. Do tej pory zachowywał się tak, jakby jej tu nie było i obaj wiemy, że faktycznie nie powinno jej tu być. Ale widocznie jednak zostaje, skoro nadal tu siedzi. Chyba wywołuje w ludziach podobny stan jak ja. Pan Turner nigdy nie wydawał się zakłopotany w stosunku do mnie, ale w stosunku do niej owszem, i to jeszcze jak. Może to przez ciuchy, a właściwie ich brak, pan Turner zawsze wygląda tak, jakby bał się na nią spojrzeć. Zapomniałem, że ona przez cały czas siedzi za moimi plecami. Pewnie słyszała wcześniejszą wymianę zdań. Zaczyna zbierać rzeczy. Pan Turner zwraca się do mnie:

- Wygląda obiecująco - mówi, patrząc na rysunek. - Jakiego drewna zamierzasz użyć?

- Jesionu wyniosłego. Naturalne wykończenie - odpowiadam. Kiwa głową, ale jeszcze nie rusza się z miejsca.

- Wszystko w porządku? - pyta i wiem, że chodzi mu o rozmowę z Kevinem, niepotrzebnie, bo ja tym bucem nie zamierzam się przejmować.

- W porządku - mówię, odwracając linijkę. Pan Turner wraca do biurka. Słyszę, jak Nastya zeskakuje z blatu, potem jej obcasy stukają o podłogę. Mija mnie, obchodzi mój stolik i podchodzi do tego, przy którym siedzi Kevin Leonard i śmieje się jak debil ze szczęścia, które go spotkało. Wszyscy pracują nad swoimi zadaniami, panuje spory gwar, więc już sam nie wiem, czy to moja wyobraźnia, czy może zaczynam wariować.

*Kłamiesz.* To nawet nie jest szept. Słowo przenika do mojej świadomości, delikatne, właściwie pozbawione formy, jakby zrobione z powietrza i tęsknoty, ale przysięgam, naprawdę je słyszę. Podnoszę wzrok. Jedyna osoba, która mogła je wypowiedzieć, właśnie siada obok Kevina Leonarda. Kopię się w myślach, przywołu-

ję do porządku, bo wiem przecież, że to niemożliwe, że tęsknota, z której powstały, jest we mnie.

Wpadam na zajęcia plastyczne dosłownie w ostatniej chwili, wślizguję się na miejsce przy pustym stole na końcu sali, za Clayem Whitakerem. Sztuka nieszczególnie mnie interesuje, ale z braku miejsc nie dostałem się na dodatkowe zajęcia techniczne, a jakieś zajęcia muszę zaliczyć. Najlepiej takie, gdzie nie zadaje się prac domowych i nie trzeba zbytnio wysilać mózgowicy. Linia najmniejszego oporu to moja ulubiona ścieżka. Pani Carson niewiele ode mnie wymaga, wystarczą jej szkice mebli, czy aktualnych projektów. Czasami rysuję rzeczy, które widziałem w antykwariatach. Takie, jakie sam chciałbym tworzyć. Może kiedyś. Nie jestem za dobry w rysunkach. Ale daję radę. Ani beznadziejny, ani wybitny. Spoglądam na stolik przede mną. Clay Whitaker jest wybitny. Potrafi za pomocą szkicownika i węgla robić to, co ja chciałbym robić za pomocą drewna i narzędzi. Grzebię w plecaku, wyciągam rysunek, który wczoraj wieczorem wydrukowałem z Internetu. Ledwo zacząłem, kiedy Clay odwraca się i pyta:

- Co rysujesz? - Przekrzywia głowę, żeby lepiej widzieć.

To konsola w stylu Jerzego II, z końca XIX wieku, z marmurowym blatem. Mieliśmy za zadanie przynieść na zajęcia jakieś zdjęcie i zrobić rysunek na jego podstawie.

- Stół - odpowiadam.

- Kiedyś powinieneś spróbować narysować coś na dwóch nogach, a nie na czterech.

Rysowanie ludzi w ogóle mnie nie interesuje, jestem w tym beznadziejny.

- A ty co rysujesz? - pytam.

- Kogo, nie co - poprawia. Clay przeważnie rysuje ludzi. Obsesyjnie fascynują go twarze. Ja rysuję meble, on rysuje ludzi. I jest naprawdę świetny. Aż ciarki chodzą po plecach, kiedy patrzy się na jego rysunki. Jest w nich coś tajemnego. Jakby patrzyło się nie na samą twarz, ale gdzieś w głąb. Nieraz widziałem, jak z najzwyklejszej, nieciekawej twarzy potrafi zrobić coś takiego, że nawet nie da się opisać. Zazdrozczę mu talentu. Gdybym nie miał czegoś własnego, chyba oszalałbym z zazdrości. Ale ponieważ mam, to podziwiam go, ale nie czuję nienawiści, wiem jednak, że są w klasie osoby, które tego nie potrafią. Czasami wydaje mi się nawet, że pani Carson do nich należy. To musi być dość przygnębiające, uczyć kogoś, kto znacząco przewyższa cię zdolnościami.

Clay bierze do ręki zdjęcie w formacie dziesięć na piętnaście i podaje mi z paskudnym uśmiechem na twarzy, jakby wiedział o czymś, o czym ja nie wiem. Wyjmuję zdjęcie z jego dłoni. Nie wiem, kogo się spodziewałem, ale na pewno nie dziewczyny, na której twarz patrzę w tej chwili. Ale jakoś nie czuję zdziwienia. Jeśli w tej szkole w ogóle jest jakaś interesująca twarz, to z pewnością należy ona do Nastyi Kashnikov; może dlatego, że ta dziewczyna nigdy się nie odzywa i dzięki temu magia nie pryska. Przyglądam się zdjęciu o sekundę za długo. Patrzy przed siebie, ale nie bezpośrednio w obiektyw. Przypuszczam, że zdjęcie zostało zrobione z pewnej odległości, bo jest trochę nieostre i widać, że nie była świadoma, że ktoś ją fotografuje.

- Dlaczego ona? - pytam, niechętnie oddając zdjęcie.

- Ma niesamowitą twarz, mimo tego całego syfu, którym ją zakrywa. Jeśli zdołam ją uchwycić, już nigdy nie będę musiał rysować dziewczyn. - Wpatruje się w zdjęcie, jakby próbował wyobrazić ją sobie bez makijażu. Chciałbym mu powiedzieć, że ma rację. Jej twarz

na tym zdjęciu to nic w porównaniu z tym, jak wygląda nieumalowana, ze ściągniętymi do tyłu włosami. Chciałbym mieć portret tamtej twarzy, nie polegać jedynie na wspomnieniu, obrazie Nastyi zgubionej i kapiącej potem w moim garażu o pierwszej w nocy.

- Nie przypuszczałem, że jest w twoim typie. - Odsuwam od siebie myśli, które w ogóle nie powinny się pojawić, skupiam uwagę na Clayu, może nie zauważy, ale Clay zawsze wszystko dostrzega. Clay też jest wyrzutkiem, ale prócz tego jest obserwatorem. Widziałem sporo jego rysunków, wiem, że przygląda się ludziom, kiedy oni nawet o tym nie wiedzą. A kiedy Clay patrzy, to widzi, i to właśnie jest takie niepokojące.

- Nie muszę chcieć jej kutasem, tylko ołówkiem. - Uśmiecha się jeszcze raz, jakby znał jakiś mój sekret. I pewnie zna. Zawsze patrzy na mnie w taki sposób, jakby nie dotarło do niego, że ma zostawić mnie w spokoju, tak jak wszyscy. Z jakiegoś powodu zupełnie mi to nie przeszkadza. Trzyma się na z boku, czasem dostaje za to, że się wyautował, ale ogólnie rzecz biorąc, nikt nie zwraca na niego uwagi. Wracam do pracy nad swoim beznadziejnym rysunkiem. Nagle moje usta znowu się otwierają. Powinienem kopnąć się w kostkę.

- Skąd masz to zdjęcie?

- Michelle. - Samo imię wystarczy. Michelle Księga Pamiątkowa. Tylko Clay nie nazywa jej w ten sposób. Michelle zawsze siedzi obok niego w czasie przerwy śniadaniowej, aparat fotograficzny ma chyba przyspawany do ręki. - Zrobiła je na dziedzińcu, kiedy Nastya akurat nie patrzyła. - Wzrusza ramionami, z miną kogoś, kto zdaje sobie sprawę, że jest winny, ale nie zamierza przeproszać. Wypowiada jej imię w taki sposób, jakby się znali. Ciekawe jak blisko.



- Skopałaby ci tyłek, gdyby wiedziała. - Bez sensu. Nie znam jej dobrze, nie wiem, co by zrobiła, a zachowuję się, jakby było inaczej. Jest nieźle napakowana, mogłaby skopać tyłek i jemu, i mnie. Powinna była skopać mi tyłek, kiedy dałem jej do picia wódkę zamiast wody, a zamiast tego zaczęła się śmiać, więc co ja niby wiem?

- Istnieje wiele osób, które chciałyby skopać mi tyłek - odpowiada nonszalancko Clay, jakby po prostu stwierdzał smutny fakt. Rzeczywiście, niejeden debil w tej szkole miałby ochotę spuścić łomot Clayowi, ale jakoś nikt tego nie robi. Dalej mówią o nim wstrętne rzeczy, ale nikt go nie tknął od ostatniej klasy podstawówki, obaj wiemy dlaczego.

Po śmierci mamy przechodziłem fazę złości. Nie ma w tym nic złego, złość jest dopuszczalna podczas żałoby, szczególnie w przypadku ośmioletnich chłopców. Ludzie zawsze znajdą dla ciebie jakieś usprawiedliwienie. Radziłem sobie ze swoją dopuszczalną złością, robiąc niedopuszczalne rzeczy, jak na przykład nawalanie bachorów, które mnie wkurzały. A nie było trudno mnie wkurzyć. W tej dziedzinie nie stawiałem zbyt wysokich poprzeczek. Jak się okazało, nawet niedopuszczalne rzeczy, które wyprawiałem z pomocą własnych pięści, uznawano za dopuszczalne i zamiatano problem pod dywan.

Walnąłem Mike'a Scanlona w twarz dwa razy, ponieważ powiedział, że moja mama leży pod ziemią i jedzą ją robale. Przypuszczam, że po spotkaniu z ciężarówką nie zostało z niej nawet tyle, by wykarmić jednego robala, nie zamierzałem jednak z nim dyskutować. Po prostu przywaliłem mu w mordę. Śliwa pod okiem i pęknięta warga. Powiedział swojemu tacie. Tata Mike'a przyszedł do nas, schowałem się za rogiem i słuchałem, zastana-

wiałem się, co teraz będzie. Ale on nawet nie był wściekły. Powiedział mojemu tacie, że nie ma pretensji. Ze rozumie. Gównu tam rozumiał, ale uszło mi płazem. I tak już miało być zawsze.

Tylko raz musiałem odpowiedzieć za swoje zachowanie, ten jeden raz w szkole. Przywaliłem Jake'owi Kellerowi na boisku w czasie wuefu, pomyślałem, że teraz będzie się działo. Dyrektor wezwał mnie na dywanik, po raz pierwszy w życiu. Na szczęście, on też rozumiał, skończyło się na ostrzeżeniu i kilku wycieczkach do szkolnego psychologa. Wszystkie dzieciaki, które sprąłem, nauczyły się, że nikt nie ma prawa mnie tknąć, choćby nie wiem co. Że mogę spuścić im łomot w biały dzień, przy dziesięciu świadkach, a jeśli polecą ze skargą do tatusia, ten powie, że mają dać mi spokój.

Faza złości przeszła pod koniec podstawówki, akurat tuż przed tym, jak tata dostał zawału. W tym czasie prawie wszyscy nauczyli się omijać mnie szerokim łukiem. Nikt nie miał ochoty mnie prowokować. Ale któregoś dnia, wracając ze szkoły, zobaczyłem, jak trzech palantów daje wycisk Clayowi Whitakerowi. Nawet go nie znałem, ale to była świetna okazja, żeby komuś przyłożyć. Miałem w sobie bardzo dużo zdrowej dopuszczalnej złości, a oni wyglądali jak doskonała terapia. Było ich trzech, jak wspomniałem, a ja bynajmniej nie należałem do największych osiłków. Teoretycznie powinni załatwić mnie bez większego trudu. Ale ich napędzało zwykłe banalne okrucieństwo. A mnie czysta nieskażona wściekłość.

Po chwili już ich nie było. Clay siedział na ziemi. Wszystko mnie bolało, nie mogłem złapać tchu, więc też usiadłem, nie wiedziałem, dokąd pójść, i było mi wszystko jedno, czy ktoś po mnie przyjdzie czy nie. I nikt nie przyszedł. Jego, czy ich pewnie też bym

załatwił. Clay nie podziękował, w ogóle nie wspomniał słowem na temat całego zajścia, z czego bardzo się cieszyłem, bo nie zasłużyłem na podziękowania. Nie zrobiłem tego dla niego. Nie kierowały mną szlachetne pobudki.

Nie dbałem o to, czy wpakowałem się w kłopoty. Nie dbałem też o Claya Whitakera, który siedział kilka metrów ode mnie, zakrwawiony i zapłakany. Nie dbałem o nic. Wtedy biłem się po raz ostatni. Postanowiłem, że od tego dnia biję tylko, jeśli ktoś dostarczy mi naprawdę poważnego powodu. Co nie miało znaczenia, bo wszyscy zdążyli się nauczyć, że mnie zawsze uchodzi płazem. Nie byłem też pewien, jaki miałby być ten poważny powód, ale zakładałem, że kiedy się pojawi, na pewno go rozpoznam.

O ile się pojawi.

Nie odezwałem się ani słowem, wstałem i poszedłem do domu, i żaden z nas nigdy nie wspominał o tym, co się wydarzyło. Przyzwyczailem się, że mnie nikt się nie czepia, od tego dnia nikt nie czepiał się również Claya Whitakera.

- Chyba zaczynam rozumieć, co czują - mruknąłem. Clay wie, że nie powiedziałem tego poważnie, ale podnosi ręce do góry. Zrozumiał aluzję.

- Okej. Zostawiam cię sam na sam z twoim seksownym stołem. Idę rysować dziewczynę - mówi z wyższością, po czym odwraca się i otwiera szkiecownik.

## Rozdział 12

### *Nastya*

Kiedyś spędzałam bardzo dużo czasu na rozmyślaniach, co będę robić przez jakieś kolejne dwadzieścia lat. Zwykle moje wyobrażenia wyglądały mniej więcej tak: gram w salach koncertowych na całym świecie, co oznacza mnóstwo podróży, noclegi w niesamowicie eleganckich hotelach, puchate ręczniki i jeszcze bardziej puchate płaszcze kąpielowe. Podczas niezliczonych tournée towarzyszą mi niezwykle przystojni, utalentowani i zniewalający muzycy, nieuchronnie szalejący z miłości do mnie. Takie rzeczy się zdarzają. Wszyscy podziwiają talent, który dostałam po rodzinie ze strony ojca, i urodę, odziedziczoną po matce. Noszę eleganckie suknie wieczorowe w kolorach, których nawet jeszcze nie wymyślono. Wszyscy znają moje nazwisko.

A teraz zastanawiam się, co będę robić przez jakieś kolejne dwadzieścia godzin z nadzieją, że w tym czasie przydarzy mi się coś przynajmniej zbliżonego do stanu snu.

Od tygodnia biegam co wieczór. Pogoda mi sprzyja. Nogi wracają do formy. Robię sobie większy wycisk, niż powinnam, ale już nie wymiotuję. Ciało pamięta. Najlepsze jest to, że potrafię osią-

gnąć stan całkowitego wyczerpania, pozbyć się szlamu, nagromadzonego przez cały dzień i normalnie zasnąć. Nadal nie umiem obyć się bez notatek, ale bieganie pomaga. Naprawdę coś mi daje lub może trafniej - coś zabiera. Nieważne. Wiem, że za bardzo się uzależniłam, ale to jedna z nielicznych rzeczy, na których mogę polegać. Trening, notatniki, nienawiść. Te rzeczy na pewno mnie nie zawiodą.

Znam już okolicę. Uważam, ale nie muszę przy tym zbytnio wyteżać uwagi. Zapamiętałam wszystkie dźwięki otoczenia. Wiem, co jest normą, a co nie. Wiem, w których miejscach chodnik jest nierówny, gdzie korzenie wściekłego drzewa uniosły płyty. Mój mózg nauczył się, czego mam się spodziewać, biegając po nocy. Co wieczór zaczynam mniej więcej o tej samej porze, ale nigdy nie biegam dwa razy z rzędu tą samą trasą. Potrafię wrócić z każdego miejsca na tuzin różnych sposobów. Nie czuję się komfortowo. Już nigdy nie poczuję się komfortowo, wychodząc z domu, ale czuję się przygotowana, to już spory postęp od poprzedniego razu, niczego więcej nie mogę oczekiwać.

Przez sześć ostatnich nocy celowo unikałam jasnożółtego domu na Corinthian Way. Tego z ciągle otwartym garażem. Każdego wieczoru mijam tę ulicę i nie potrafię oprzeć się chęci, by przynajmniej nie zerknąć w stronę tamtego domu. Rozpoznaję po układzie świateł, czy garaż jest otwarty czy nie, do tej pory nie spotkało mnie rozczarowanie. Ani razu nie był zamknięty, niezależnie od pory. Zawsze zastanawiam się, co by powiedział Josh, gdybym nagle znów się zjawiła. Zapewne niewiele, ale i tak jestem ciekawa, jakich słów by użył. Czy w ogóle coś by powiedział? A może zignorowałby mnie, pracował dalej, jakby mnie tam w ogóle nie było? Kazał wyjść? Poprosił, żebym została? Nie, na pewno nie. Josh

Bennett nikogo nie prosi o takie rzeczy. Mogłabym wymienić setki scenariuszy, ale naprawdę nie potrafię powiedzieć, który z nich jest najbardziej prawdopodobny. A potem na moment tracę odpowiednią perspektywę. Już nie myślę, co on by powiedział, a zaczynam zastanawiać się nad tym, co ja bym powiedziała. I w tym momencie przyspieszam, biegnę przed siebie, jak najdalej od Corinthian Way i swoich absurdalnych autodestrukcyjnych myśli.

Wracam do domu Margot o dziewiątej dwadzieścia pięć i idę prosto pod prysznic. Gadam więcej niż przez kilka ostatnich miesięcy. W bezpiecznej przestrzeni pustego domu, pośród mruczenia płynącej wody, przypominam sobie, jak wszystko by się skomplikowało, gdybym otworzyła usta. Próbuję wymazać wszystkie słowa z systemu. Mówię Ethanowi Hallowi, że jest palantem i wyobrażam sobie, jak wymierzam doskonały cios pięścią prosto w jego twarz. Albo wsadzam mu widelec w oko, równie kuszące. Mówię pani Jennings, że wbrew powszechnemu przekonaniu Bach nie był bardziej płodny od Telemana, po prostu został lepiej zapamiętany. Mówię Drew, które z jego tekstów są najlepsze i na których laskach powinien je wypróbować zamiast tracić je na mnie. Mówię tacie, że nadal może mówić do mnie „Milly”, chociaż to beznadziejne zdrobnienie, ale sprawia mu to radość, co z kolei sprawia radość mnie, taką, jakiej już chyba nie potrafię odczuwać. Dziękuję terapeutom i dodaję, że wszystko, co mówią i robią, i wszystko, co chcieliby ode mnie usłyszeć, nie jest w stanie mi pomóc. Gadam tak długo, aż woda robi się zimna i głos mi chrypnie. Mam nadzieję, że to wystarczy, i teraz będę trzymać gębę na kłódkę. Nie odezwałam się słowem do nikogo od czterystu pięćdziesięciu dwóch dni. Zapisuję swoje trzy i pół strony, chowam zeszyt i włożę do łóżka, myśląc o tym, jak mało brakowało, bym nie dotrwała do czterysta pięćdziesiątego czwartego.

Udaje mi się skutecznie unikać Josha. Za wyjątkiem piątej lekcji, kiedy spotykamy się w warsztacie, co za każdym razem jest dla mnie bardzo upokarzającym doświadczeniem, bo wszyscy doskonale poruszają się w świecie drewna i narzędzi, a ja ledwo umiem rozpoznać młotek, a może i to nie. Któregoś dnia chłopak imieniem Errol poprosił mnie, żebym podała mu młotek, a kiedy to zrobiłam, popatrzył na mnie jak na idiotkę. Widocznie istnieje jakieś czterysta rodzajów młotków i nie dałam mu odpowiedniego. Teraz już nikt o nic mnie nie prosi.

Mogłabym zrywać się z zajęć technicznych, ale kiedy wybierałam zajęcia, te wydały mi się i tak mniejszym złem w porównaniu z retoryką i wstępem do muzyki. Wybierając między nimi z kolei, uznałam, że łatwiej będzie mi przeżyć retorykę, bo pan Trent powiedział, że mogę zaliczyć zajęcia, zbierając informacje i materiały. Poza tym chodzi na nie megaseksowny Drew, który dostarcza mi niesamowitej rozrywki, a rozrywki zawsze mam za mało. Poza tym, jeśli mam być całkowicie szczerą z samą sobą, czego zwykle staram się unikać, od samego początku wiedziałam, że za nic na świecie nie mogę wrócić na muzykę. To linia uskoku, biegnąca tuż pod powierzchnią mojego niezrównoważonego umysłu. Wolałabym jej unikać. Jestem dobra w unikach.

Poza tym rola asystentki pani McAllister okazała się znacznie bardziej zabawna, niż przypuszczałam. To jak szkolny odpowiednik Big Brothera. Moje zadanie polega na podsłuchiwaniu uczestników programu, to zajęcie przynajmniej nie powoduje u mnie strat psychicznych. Są tam Drew, Josh, dupek Ethan, palant Kevin Leonard i ta twardzielka Tierney Lowell, z którą Drew non stop się kłóci. Z pewnością ona też nie jest moją największą fanką. Nie powiedziała tego wprost, ale rzuca mi takie spojrzenia, jak-

bym w wolnych chwilach zabawiała się mordowaniem szczeniactków, więc nie twierdę tego bezpodstawnie.

Zajęcia techniczne też nie są takie złe, mimo że przeważnie czuję się całkiem nieprzydatna. Nikt mi nie przeszkadza, pan Turner właściwie niczego ode mnie nie wymaga. Zdaje się, że Josh jest tu kimś w rodzaju boga. Przechadza się dokoła z taką miną, jakby sam zbudował to miejsce. Powinni założyć dla niego osobną linię, bo za każdym razem, kiedy dzwoni telefon, powtarza się ta sama sytuacja: Turner podnosi słuchawkę, Turner woła Josha, Josh wychodzi. Często wychodzi. Trzeba naprawić półki? Zawołaj Josha Bennetta. Szuflada się zacięła? Josh to załatwi. Potrzebny kunsztowny komplet do jadalni na specjalne zamówienie? Josh Bennett zawsze do usług.

Tylko niech nikt nie zmusza go do konwersacji. Od dnia, kiedy powiedział, że wcale nie kazał mi przenosić się na inne miejsce - łaskawy despota - nie odezwał się do mnie ani słowem. A ja, rzecz jasna, nie odezwałam się do niego.



## Rozdział 13

### *Josh*

W niedzielny poranek dziesięć po jedenastej zjawia się Drew. Zapomniałem zamknąć drzwi, kiedy poszedłem po gazetę, więc od razu włązi do środka. Muszę odwołać prenumeratę. I tak nie czytam. To jeden ze śladów obecności dziadka. Próbowałem go przekonać, żeby czytał wydanie on-line, ale nic z tego nie wyszło. Powiedział, że lubi dotyk i zapach papieru. Ja nie cierpię dotykać papieru gazetowego, a zapach budzi we mnie jeszcze mniejszy zachwyty. Zapisuję w myślach, że mam tam dzisiaj zadzwonić i odwołać prenumeratę. Nie ma mowy, żeby kolejny egzemplarz wylądował na moim progu.

- Co tam? - rzucam.

- Sarah. Dom. Dziewczyny. Za dużo - wdycha, padając na sofę i wbijając wzrok w sufit.

- Sądziłem, że takie zjawisko, jak za dużo dziewczyn, nie istnieje w twoim świecie.

- W kwestii koleżanek Sarah robię wyjątek.

- Ty nigdy nie robisz wyjątków.

- Okej. Prawda. Ale powinienem.

Nie oskarżam go. Koleżanki Sarah są fatalne. Ładne, ale dobrze o tym wiedzą, co znacznie redukuje ich powab. Mają w so-

bie wszystkie cechy dziewczyn ze szkoły, których nie mogę znieść, a Sarah zaczyna się do nich upodabniać. Chyba mam szczęście, że je onieśmielam, wystarczy, że raz spróbują, szybko zdają sobie sprawę, że nic z tego, i więcej nie wracają.

- Zaliczyłeś co najmniej trzy. Jeszcze nie zmadrzałeś?
- Chyba wreszcie one zmadrzały. Poza tym Sarah tupnęła nóżką i powiedziała, że koniec z tym. Poza zasięgiem.
- Naprawdę wierzy, że posłuchasz?
- Tupnęła nóżką na nie. Ja jestem poza zasięgiem.
- To musi być dla nich wielka strata.
- Nie żartuj. To prawda. Stałem się czymś w rodzaj obrzędu przejścia.
- Co tu robisz?
- Już ci mówiłem. Nie mogę tam wytrzymać. Czuję, jak z sekundy na sekundę opada mi poziom testosteronu.
- No dobra, ale co robisz *tutaj*? - Mój dom nie jest raczej pierwszym miejscem, które wybiera Drew, kiedy ucieka ze swojego. Był, kilka lat temu, ale już nie jest. Jak podejrzewam, ma to coś wspólnego z faktem, że posiadam chromosom Y.
- Nie miałem dokąd pójść.
- Mógłbyś kupić wódkę. Zanieść prezent na przeprosiny.
- Sam tam nie pójde. Pewnie nigdy nie odnaleziono by mojego ciała.
- Tak szybko się poddajesz? - Są setki innych dziewczyn, nie rozumiem, czemu akurat ta.
- Nie. Po prostu muszę zmienić taktykę. Jakieś pomysły? Nie mam żadnych pomysłów, a nawet gdyby, to i tak bym mu nie pomógł. Mam za to kilka pytań, z każdym dniem coraz więcej.
- Jak myślisz, czemu ona nie mówi?

- Nikt nie wie. Wystrzeliłem w jej stronę trochę ulubionych pocisków, sądząc po spojrzeniach, które mi rzuciła, nie ma problemów z rozumieniem angielskiego. Głosuję za brakiem strun głosowych.

Ale ja wiem, że to nieprawda. Śmiała się, kiedy u mnie była - śmiała się głośno. Sprawdziłem. Żeby wyprodukować taki dźwięk, potrzebne są struny głosowe, więc to nie to. Ale może jakaś inna fizyczna przyczyna. Nie mam pojęcia o takich sprawach, ale coś mi podpowiada, że jednak nie, i jestem coraz bardziej ciekawy. Z jakiego powodu ktoś nie mówi? Czy wcześniej mówiła? Może przez całe życie nie wypowiedziała ani jednego słowa. Nie wiem. Wiem tyle, że jest niesamowicie czujna, zawsze ma wszystko pod kontrolą, nawet kiedy nie patrzy. Chyba nic nie może ujść jej uwadze. Jakoś ją rozumiem, inaczej pewnie by mnie to przerażało. Zastanawiam się, czy widzi rzeczy, których ja nie widzę, ale ona mi tego nie powie, zresztą i tak nie spytam.

- Nie jest w twoim typie - mówię. Z nielicznymi wyjątkami, Drew wybiera to, co banalne, ładniutkie i mdłe. W kwestii dziewczyn idzie po linii najmniejszego oporu i na szczęście dla niego, na końcu tej linii znajduje się większość dziewczyn z naszej szkoły. Chyba jeszcze żadna mu nie odmówiła, mimo że wszystkie znają jego reputację, a on nigdy nie próbuje lukrować rzeczywistości. Nigdy nie pogrywał na romantycznych strunach, nie udawał, że czuje coś do dziewczyny, żeby zaciągnąć ją do łóżka. Nie musi. Same wskakują, nie trzeba ich namawiać. Działkę uczuciową załatwiają same.

Prawie każda z tych dziewczyn sądzi, że to właśnie ona będzie tą ostatnią, ale nic z tego. Można by pomyśleć, że znajdzie się przynajmniej jedna, która wezwie go do odpowiedzi, podsumu-

je, ale żadna tego nie robi, bo dociera do nich, że to jest właśnie Drew, i większość przyznaje, że niepotrzebnie oddawała się fantazjom z rodzaju „zreformuję gnojka”.

Chciałbym uznać go za winnego, ale to niemożliwe, skoro nie zaprzecza, nie usprawiedliwia się ani nie przeprosza. Jest taki, jaki jest. Bierzesz albo nie. Ja bym tak nie mógł, choć nie przeczę, że jest w tym pewien urok. Skłamałbym, mówiąc, że nigdy o tym nie myślałem, ale dla mnie wiąże się to ze zbyt wielkim obciążeniem. W grę wchodzi za dużo uczuć ze strony tych dziewczyn, a ja nie potrafię sobie z czymś takim radzić. Po Drew spływa jak po gęsi. Łzy, wyzwiska, gniew, to go w ogóle nie dotyka. Ja jestem zbyt odpowiedzialny, nie chcę martwić się o cudze uczucia. Swoje własne przegnałem dawno temu, nie ma mowy, żebym mierzył się z cudzymi.

- Jest płci żeńskiej. Jest seksowna. Warunki spełnione - mówi bez ogródek.

- I chyba cię nienawidzi. - Chyba nienawidzi równo wszystkich, ale nie powiem tego. Naprawdę próbuję zrozumieć, czemu Drew marnuje czas na tę dziewczynę. To nie w jego stylu. Już dawno powinien zrezygnować.

- A więc to wyzwanie.

- No właśnie. A zbyt wysiłek chyba stoi w sprzeczności z twoją filozofią życiową?

- Zgadza się, ale może wkroczyłem w fazę samodoskonalenia. Z trudem duszę śmiech. A może zbiera mi się na wymioty, sam nie wiem.

- Twój brak wiary we mnie jest obraźliwy. Poza tym nie wszyscy mają pod ręką proste rozwiązania, bez wysiłku i bez zobowiązań. - Patrzy na mnie znacząco. Nie zamierzam dyskutować.

Rzeczywiście nie mam prawa się wywyższać, fakt, nie muszę szukać dziewczyn do ióżka.

Mam Leigh, chociaż odkąd wyjechała do college'u, nie bywa tu tak często jak przedtem. Mieszka tylko parę godzin jazdy stąd, wpada, kiedy wraca do domu na weekendy i ferie. A potem wyjeżdża. Nie mówi, że mnie kocha. Nie pyta, czy ja kocham ją. Nie kocham i nie pokocham. Łączy nas luźny niezobowiązujący układ, używamy się nawzajem, a potem każde idzie do siebie. W tej sytuacji układ idealny. Ale nawet gdybym nie miał Leigh, chyba nie zniżyłbym się do poziomu Drew. Lubię seks, ale znam siebie, pewnie czułbym się jak świnia i zacząłbym chodzić z tą dziewczyną z powodu wyrzutów sumienia.

- Nie uda ci się mnie osądzić. Poza tym w ramach samodoskonalenia zamierzam przezwyciężyć strach przed obdarciem żywcem ze skóry. Idę do niej. - Zeskakuje z sofy i maszeruje do wyjścia.

- Powodzenia - mówię, ale w ogóle tak nie myślę.

Po wyjściu Drew załatwiłem kilka zaległych spraw. Wreszcie odwołałem prenumeratę, chociaż do końca nie wiedziałem, czy rzeczywiście to zrobię. Potem stwierdziłem, że skoro już wziąłem się za porządki, mogę zatelefonować również do hospicjum, z prośbą, by zabrali szpitalne łóżko, pożyczone dwa miesiące temu. Dziadka nie ma od dwóch tygodni, a wydaje się, jakby minęła wieczność. Gdybym nie musiał wykonywać tylu telefonów, pewnie zastanawiałbym się, czy on w ogóle kiedykolwiek tu mieszkał.

Kiedy skończyłem rozmawiać, spojrzałem na telefon i pomyślałem, że może do niego zadzwonię. Chciałem zrobić to wczoraj, i przedwczoraj, i przedprzedwczoraj. Ale nie zadzwoniłem. Roz-

mawiałem z nim w zeszłym tygodniu i było do dupy. Jest w sto razy gorszym stanie niż przed przeprowadzką do hospicjum. Jego mózg już nie należy do niego. Należy do oksycodonu i morfiny, i wszystkich pozostałych środków przeciwbólowych, które w niego pompują, żeby ułatwić sobie zadanie. Rozmowa z nim to już nie rozmowa. Jest ciałem na drugim końcu linii telefonicznej, ale umysł odszedł w niebyt. Niemal słyszę, jak jego mózg z trudem przetwarza słowa, kiedy coś mówię. Nie potrafi złapać sensu, wiem, że go to irytuje, łamie mi to serce, o ile zostało tam jeszcze coś, co można złamać. Ale czasem egoizm zwycięża i jednak dzwonię. Dla siebie. I mówię. Mówię mu rzeczy, których nie powiedziałbym nikomu innemu, bo wiem, że kiedy się rozłączymy, będzie tak, jakbym nigdy nic nie powiedział.

Nawet nasza ostatnia prawdziwa rozmowa, która odbyliśmy w sobotę wieczór, przed przyjazdem jego brata z żoną, którzy mieli zabrać go do hospicjum, była skażona lekami. Kazał mi usiąść, by udzielić rad, których jego zdaniem nadal potrzebowałem. Ja siedziałem na kanapie, a on naprzeciwko, na fotelu z podnóżkiem, jak za każdym razem, kiedy zamierzał przekazać mi nieco mądrości na danym etapie mojego życia. Nigdy tak naprawdę nie słuchałem, bo sądziłem, że tego nie potrzebuję. Ale tego wieczoru słuchałem. Wysłuchałbym wszystkiego, co chciałby mi powiedzieć. Słuchałem zachłannie, desperacko spragniony słów, które chciał mi ofiarować, nawet jeśli wypowiadał je w polekowym otumanieniu.

Powiedział tamtego wieczoru wiele różnych rzeczy, pamiętam je wszystkie. O kobietach i rzeczach niewybaczalnych, o huśtawkach na ganku i domach z czerwonej cegły, i wspomnieniach, które na razie istnieją tylko w przyszłości.

O szóstej mam stawić się na obiedzie u Drew, co znaczy, że muszę wskoczyć pod prysznic i znaleźć jakieś porządne ciuchy. Mama Drew lubi, kiedy wszyscy ładnie ubierają się na niedzielny obiad. To żadna wielka uroczystość, ale pani Leighton twierdzi, że ładny strój czyni niedzielny obiad wyjątkowym, więc podtrzymujemy ten zwyczaj. Próbowałem wymigać się od tych spotkań, ale nie pozwoliła. Ostatnio byłem u nich trzy tygodnie temu. Nie dlatego, że nie lubię. Przeważnie świetnie się bawimy. Jem normalne jedzenie, nie muszę gotować, a Drew nie zachowuje się jak ostatni palant. Tyle że za każdym razem czuję się, jakbym znalazł się w odcinku „Ulicy Sezamkowej”, przyklejony w górnym rogu ekranu i wszyscy śpiewają, że jedna z tych rzeczy nie pasuje do reszty. Jest normalnie, co bardzo wyraźnie przypomina mi, jak popieprzone jest moje życie. Mógłbym przez cały dzień wymyślać powody, żeby tam nie iść, ale wiem, że się nie wywinę, więc trudno, wyjmuję z szafy porządne ubranie i wskakuję pod prysznic.

## Rozdział 14

### *Nastya*

W dłoni i nadgarstku znajduje się dwadzieścia siedem kości. Dwadzieścia dwie kości mojej lewej ręki zostały zmiażdżone. Można powiedzieć, że moja dłoń to prawdziwy cud. Jest w niej pełno płytek i śrubek, i nawet po kilku operacjach nie wygląda dokładnie tak, jak powinna. Ale działa lepiej, niż się spodziewałam. I nie chodzi o to, że nie można nią nic zrobić. Chodzi o to, że nie można robić nią tej jednej rzeczy, której pragnę. Tej, która stworzyła mnie. Mnie.

Wcześniej też nie prowadziłam szczególnie bogatego życia towarzyskiego. Po szkole spędzałam długie godziny w laboratorium bądź na lekcjach prywatnych, w soboty grywałam na ślubach. W sezonie zdarzało mi się zaliczać trzy dniennie. Wybiegałam z kościoła, wskakiwałam do samochodu, w którym czekała mama, i jechałam w kolejne miejsce. Czasami dostawałam świra i rzadko miewałam wolne weekendy, ale świetnie zarabiałam, przy niewielkim nakładzie czasu i minimalnym wysiłku. Organizatorzy ślubu i panny młode raczej nie odznaczają się oryginalnością. Grałam na przemian jakieś pięć utworów, standardy, które zwykle słyszy



się przy takich okazjach. Mogłabym zagrać je pewnie nawet przez sen. Miałam trzy sukienki, tradycyjne i dziewczęce, które wymieniałam jak te utwory, dopasowując stopień formalności do stylu danego ślubu. Ciekawe, jak by zareagowali, gdybym przyszła ubrana tak jak dzisiaj.

Kiedy nie grałam na ślubach, grałam w eleganckich centrach handlowych i restauracjach. Z początku stanowiłam niezłą atrakcję. Prawdziwa maskotka. Nie wiem, czy ktokolwiek znał moje prawdziwe imię, przeważnie nazywali mnie małą pianistką z Brighton, nie przeszkadzało mi to, ponieważ było zgodne z prawdą. Potem się przyzwyczaili, ale kiedy zaczynałam, w wieku około ośmiu lat, wszyscy robili karpia. Nosiłam falbaniaste sukieneczki i gładko uczesane włosy, przewiązane wstążką do koloru. Uśmiechałam się ładnie i grałam Bacha, czy Mozarta i inne wytarte kawałki, o które prosili. Wszyscy mnie znali i zawsze nagradzali oklaskami i pozdrawiali na ulicy. Uwielbiałam to.

Kiedy musiałam przerwać, miałam już odłożoną całkiem sporą sumę. Zbierałam pieniądze na letnie konserwatorium w Nowym Jorku, napalałam się na nie od trzech lat, wreszcie osiągnęłam odpowiedni wiek, piętnaście lat, mogłam aplikować. Rodzice powiedzieli, że jeśli chcę jechać, muszę pracować, ale to brzmiało jak dowcip, bo praca to było granie, a granie nigdy nie było pracą. Poza tym miałam szkołę, lekcje prywatne i recitale, niewiele czasu zostawało na życie towarzyskie, ale nie uważałam tego za jakieś wielkie poświęcenie. A jeśli mam być szczerą, prawdopodobnie w ogóle nie było to poświęceniem. Nie chodziłam na imprezy, nie miałam prawa jazdy, bo byłam za młoda. Podobał mi się Nick Kerrigan, ale czasami tylko zerkaliśmy na siebie i zaraz odwracaliśmy wzrok.

Nie miałam paczki koleżanek, z którymi mogłabym łączyć po sklepach, zresztą mama kupowała mi prawie wszystkie ubrania. W wieku piętnastu lat byłam tak naprawdę o wiele młodsza. Ubierałam się jak do szkółki niedzielnej. Tych kilka dziewczyn, z którymi się przyjaźniłam, było bardzo do mnie podobnych. Wolny czas spędzałyśmy na ćwiczeniach, to nas określało. Pianistki. Skrzypaczki. Flecistki. To była norma. Oceny miałam średnie i z pewnością nie można było nazwać mnie osobą popularną w towarzystwie, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało. Wolałam to niż bycie kimś zwyczajnym. Zwyczajność gównu mnie obchodziła. Ja chciałam być nadzwyczajna.

Normalni ludzie mają przyjaciół. Ja miałam muzykę. Niczego mi nie brakowało.

Teraz brakuje mi wszystkiego. Prześladowuje mnie muzyka, słyszę ją, ale już nigdy nie zagram. Utwory, które słyszę nuta po nucie, drwią ze mnie samym faktem swego istnienia.

Nadal mam pieniądze, które zebrałam na konserwatorium. Więcej niż trzeba. Tamtego lata nigdzie nie pojechałam. Spędziłam je w szpitalach, powoli dochodząc do siebie, na rehabilitacji, ucząc się podnosić monety ze stołu, w towarzystwie terapeutów, analizujących mój gniew.

Odzyskałam władzę w ręku na tyle, że pewnie mogłabym wybębnić jaką melodię na fortepianie, ale to już nie będzie to co kiedyś, nie będzie takie, jak powinno być. Muzyka powinna płynąć, tak by nie można odróżnić, gdzie kończy się jedna nuta i zaczyna kolejna, muzyka powinna mieć w sobie wdzięk, a moja lewa ręka jest całkowicie pozbawiona wdzięku. Są w niej metalowe śruby, zniszczone nerwy i zgruchotane kości, ale wdzięku nie ma ani odrobinę.

Dzisiaj jest niedziela, nie mam nic do roboty. W niedziele nie było ślubów, za to przed południem grywałam w kościele luterańskim, jeśli akurat potrzebowali zastępstwa. Nie byłam wierząca, robiłam to dla jednej z przyjaciółek mamy. Popołudniami grałam na fortepianie w centrum handlowym. Wieczorami ćwiczyłam i czasami odrabiałam prace domowe.

Teraz prócz prac domowych nie mam właściwie nic do roboty, więc, co za cud, zawsze jestem przygotowana. Chociaż i tak nie najlepiej mi idzie.

Margot spędza popołudnia nad basenem, aż do czasu, kiedy musi wyjść do pracy. Ja nie mogę się opalać. Przy takiej bladej karnacji nie powinnam, poza tym nienawidzę siedzieć w bezruchu. Czasami smaruję się filtrem, zwiążuję włosy i pływam, robię tyle okrążeń, aż mięśnie zaczynają odmawiać posłuszeństwa. Nie mogę biegać po południu, więc to niezła alternatywa.

Jestem dopiero przy dwudziestym piątym okrążeniu, kiedy wynurzam głowę z wody i widzę Margot, stojącą nad brzegiem basenu w towarzystwie Drew Leightona i jego nieodłącznego uśmiešku. Zamieram, myślę gorączkowo, skąd on może znać mój adres, i przypomina mi się, że przecież przyjechał po mnie przed tamtą koszmarną imprezą w zeszłym tygodniu. Nie mam najmniejszego zamiaru wyleźć teraz z basenu, ociekająca wodą i prawie goła. Mogę chodzić półgoła do szkoły, ale półgoła i prawie goła to dwie zupełnie różne rzeczy, nie mam ochoty uświadamiać mu różnicy na przykładzie tego maleńkiego bikini. Wystarczy, że jestem nieumalowana, lecz w tym momencie nie da się tego zmienić, trudno. Chwytam okulary przeciwsłoneczne, które zostawiłam na brzegu basenu i zachowuję jak największą odległość między nami.

- Jestem ciotką Nastyi - przedstawia się Margot. - Domyślam się, że wy dwoje się znacie. - Odwraca się i posyła znaczący uśmiech w moim kierunku. Od pierwszego dnia w szkole marudziła, że muszę poznać ludzi i zorganizować sobie życie towarzyskie, więc na pewno jest bardzo szczęśliwa. Drew wkłada maskę uroczego chłopca, która pewnie nieraz służyła mu do uspokajania podejrzliwych matek. Ale nad Margot zapewne będzie musiał bardziej popracować. Jest młoda i ładna, umie flirtować. Jest świadoma jego gierki. Tyle że podejrzenia tłumi nieodparte pragnienie zorganizowania mi życia towarzyskiego. Odchodzi, zostawiając mnie sam na sam z Drew, wraca do leżaka i nowego numeru „Cosmopolitan”. Ale mnie nie oszuka. Wiem, że słucha uważnie.

Gdybym nie utknęła w basenie z powodu braków w garderobie, cała ta sytuacja pewnie dostarczyłaby mi więcej zabawy. Teraz, w obecności cioci-przyzwoitki, Drew nie może posłużyć się swoim arsenalem seksualnych aluzji. Zrzuca buty, siada na brzegu basenu i zanurza stopy w wodzie.

- Uważam, że wystarczająco odpokutowałem. Mogłabyś mi wybaczyć.

Patrzę na niego z kamienną twarzą. Będzie musiał trochę się wysilić, żeby zmarnowała na niego jakąś minę.

- Przez cały tydzień nawet na mnie nie spojrziałaś. To śmierć dla mojej reputacji.

Moim zdaniem jego reputacji nie mogłaby zabić nawet bomba atomowa, a co dopiero tydzień obojętności z mojej strony, ale doceniam jego wiarę w mój potencjał.

- Pozwól, że jakoś ci to wynagrodzę. Zapraszam na obiad, u mnie w domu. Dzisiaj.

Propozycja budzi moje podejrzenia i jestem pewna, że to widać. Niewinne i czyste intencje stanowczo nie są w stylu Drew. Nie łączą się dobrze z czystym nieskażonym seksem, kapiącym z każdego pora na jego ciele.

- Nie zostaniesz ze mną sam na sam. Będzie cała moja rodzina.

Pewnie myśli, że to zapewnienie decydująco podnosi atrakcyjność jego propozycji. Niestety. Nie mam nic przeciwko rodzicom. Zwykle dobrze dogadywałam się z dorosłymi. Teraz pewnie gorzej, ale nie chodzi o rodziców. Chodzi o jego siostrę, nie mam ochoty przebywać w pobliżu tej osoby. Namierzyła mnie już od dawna. Jeszcze przed tamtym niepotrzebnym melodramatem, który rozegrał się na dziedzińcu, z niejakim Joshem Bennettem w roli głównej, nie chcę ponownie narażać się na atak tajfunu, a tak by się to skończyło, gdybym zjawiała się na rodzinnym obiedzie z braciszkiem pod ramię. W życiu. Za nic. Nie ma opcji.

- Jestem pewna, że Nastya chętnie skorzysta z propozycji -wtrąca Margot z za czasopisma. To tyle, jeśli chodzi o udawanie, że wcale nie podsłuchujemy. Mój opór trwał jakieś trzy sekundy. -Idę do pracy. Nie ma sensu, żebyś siedziała sama w domu. -*Dzięki, Margot.* Posyłam jej uśmiech, zarezerwowany dla śmiertelnych wrogów. Margot patrzy na mnie z miną niewiniątka i przebiegłym błyskiem w oku. Wie, że zostałam przyparta do muru. Cholerny mutyzm z wyboru. Czy to w ogóle tak się nazywa? Nieważne. Potrząsam głową, ale nie mogę zaprotestować, zresztą i tak nie mam żadnych argumentów, chociaż pewnie mogłabym bez trudu wymyślić jakiś prawdopodobny wykręt, jak: praca domowa, wolontariat w miejscowym domu pogodnej starości, dzuma. Niestety, wszystkie argumenty utykają w gardle, a ja patrzę bezradnie jak mój los dopełnia się za sprawą wścibskiej ciotki i zadufanego w sobie gów-

niarza. Margot wie, że nie mam żadnych zajęć, a Drew z pewnością nie zamierza odpuścić. Zrywa się z miejsca, pewnie chce uciec, zanim z jakiegoś powodu plan zostanie unieważniony.

- Szósta. Przyjadę po ciebie kwadrans wcześniej. Ubierz się ładnie. Moja mama lubi raz w tygodniu udawać, że jesteśmy cywilizowanymi ludźmi. - Posyła Margot konspiracyjny uśmiech. Wie, że jest jej winien wdzięczność. Żadna tajemnica, że gdybym miała wybór, na pewno bym się nie zgodziła. Jestem na siebie coraz bardziej wściekła. Kopię własny grób. Przestajesz mówić i tracisz wolną wolę. Ciekawe, jak Margot by zareagowała, gdyby знаła prawdę na temat Drew Leightona, wulkanu seksu, któremu właśnie złożyła mnie w ofierze.

- Proszę się nie kłopotać. Sam trafię do wyjścia. Miło było panią poznać. - Odwraca się w moją stronę. - Na razie. - Zabrzmiało jak groźba.

Gdyby tylko Margot nie usłyszała dzwonka, mogłam spędzić ten wieczór w cudownej upragnionej samotności. Nie znalazłabym się w tym strasznym położeniu, czyli twarzą w twarz z szafą o godzinie siedemnastej, zastanawiając się, co należy włożyć na niedzielny obiad rodzinny u swojego nie-chłopaka. Przez cały dzień na przemian to odsuwałam tę chwilę, to znowu wymyślałam, jakie własnoręcznie zadane ciężkie obrażenia ciała mogłyby uratować mnie przed tym koszmarem.

Kiedy mój los został przesądzony, poszłam do kuchni i upiekłam trzywarstwowe ciasto czekoladowe. Mama wyzwałaby mnie od najgorszych, gdybym zjawiała się na obiedzie z pustymi rękami, a prócz deserów nie mam właściwie nic w repertuarze. Unikałam nieuniknionego, jak długo się dało, ale muszę podjąć jakąś decy-

zję, bo raczej nie planuję wystąpić w ręczniku, który właśnie mam na sobie. Czas płynie.

Zgodnie z obietnicą Drew puka do drzwi dokładnie o piątej czterdzieści pięć. Trochę jestem zaskoczona, że po prostu nie zatrąbił, żebym wyszła. No dobra, nie jestem. Chociaż sprawia mi to nieopisane cierpienie, muszę przyznać, że Drew odznacza się zaskakująco dobrymi manierami. Pewnie żeby łatwiej dobierać się laskom do majtek. Nie podejrzewam go o jakieś inne motywacje.

Biorę ciasto, trzymam je przed sobą jak tarczę - tak jakby mogło zasłonić mnie przed wzrokiem Drew. Mam na sobie prostą sukienkę bez rękawów, z niewielkim okrągłym wycięciem pod szyją, z rozszerzonym dołem, sięgającą tuż przed kolano. To najbezpieczniejsza rzecz w całej mojej szafie. Mama kupiła mi ją przed wyjazdem, tę i kilka innych sukienek, których nie noszę. Zatrzymałam ją, ponieważ jest czarna. Ale to chyba jedyny powód. Czuję się, jakbym szła na rozmowę o pracę. Pewnie i tak nie wyglądam odpowiednio jak na niedzielny obiad, ale ta sukienka jest w każdym razie znacznie lepsza od ciuchów, które wkładam do szkoły.

Drew otwiera drzwiczki po stronie pasażera, wślizguję się do środka z ciastem na kolanach.

- Nie musiałaś - mówi Drew, wskazując ciasto ruchem głowy. Wzruszam ramionami. Nie uważam tego za wielkie poświęcenie. Lubię mieć pretekst, żeby coś upiec, a mam ich ostatnio niewiele, co znaczy, że i tak piekę, ale zjadam prawie wszystko sama. Cukier zajmuje bardzo istotne i bardzo obszerne miejsce w mojej piramidzie żywieniowej. - Dostaniesz punkt u mamy. Jest w ciąży. Znowu - dodaje znacząco - i uwielbia czekoladę.

Dziesięć minut później zajeżdżamy przed dom Drew. Mieszka na osiedlu, leżącym kilka kilometrów od domu Margot. Parkuje,

wyłącza silnik, ale jakoś nie wysiada. Wygląda niepewnie i ja też zaczynam czuć się niepewnie. Mam nadzieję, że nie zacznie się do mnie przystawiać pod oknami rodziców, bo będę musiała zareagować, a ciasto raczej tego nie przeżyje. Odwraca się w moją stronę, bierze wdech. Na jego twarzy nie widać uśmiechu, a kiedy zaczyna mówić, ton jego głosu brzmi zupełnie inaczej niż zwykle. Arogancja i pewność siebie gdzieś znikły. Zaczynam naprawdę się denerwować. Jestem przyzwyczajona do jego ostentacyjnej pewności siebie. Jestem na nią przygotowana, stawia nas na równi, sprawia, że żadne z nas nie jest prawdziwe.

- Naprawdę bardzo cię przepraszam. - Szczerść, brzmiąca w jego głosie, zbija mnie z tropu. Byłam przygotowana na zmasowany atak samczego wdzięku i kreatywne aluzje seksualne, ale nie na zwykłe szczerze przeprosiny. Może to nowa strategia. Drew wbija wzrok w przednią szybę, z czego bardzo się cieszę, bo wolę, kiedy nie patrzy prosto na mnie. - U Bennetta nic ci nie groziło. Josh to najlepszy człowiek na świecie. Nie zostawiłbym cię na łasce nikogo innego. Wiem, że beznadziejnie zrobiłem, powinienem był zawieźć cię do domu i sam się tobą zająć, w końcu to ja namieszałem. Niestety, jeśli istnieją dwie możliwości do wyboru, zawsze wybieram tę gorszą, ale naprawdę nie chciałem wyjść na dupka. Tak już mam. - Urywa, milczy przez chwilę, po czym znów przenosi spojrzenie na mnie. - W porządku?

Przekrzywiam głowę, przyglądam mu się. W porządku? Niech będzie, że w porządku. Podejrzewam, że nie kierują nim całkiem czyste motywy, ale jednocześnie bardzo chcę wierzyć, że nie jest totalnie beznadziejny. Przynajmniej miałabym usprawiedliwienie, czemu nie potrafię całkiem go znieubić.

- Na pewno?



Kiwam głową. *Tak, na pewno.*

- Na pewno - powtarza, tym razem bez pytającej intonacji. Kiedy znowu się odzywa, w jego głosie znów pobrzmiewa charakterystyczny ton flirtarza. Rozluźnia się. Wróci! na znajome terytorium. - To chodźmy do środka, bo mam wielką ochotę spełnić swoją najnowszą fantazję, a mianowicie wysmarować cię tym ciastem i zlizać polewę.

Rzucam mu piorunujące spojrzenie. W sumie cieszę się, że ten Drew powrócił. Wywracam oczami i potrząsam głową. Wzrusza ramionami ze zrezygnowaną miną.

- Sorry. Natura to suka. Nie da się za długo z nią walczyć. - Obchodzi samochód dokoła, otwiera drzwi od mojej strony, chce wziąć ciasto, ale potrząsam głową. Muszę je trzymać, czepiam się go jak ostatniej deski ratunku i ruszam w stronę domu, mam nadzieję, że moja lewa ręka nie zbuntuje się i że nie wywalę ciasta na ziemię. Trzy warstwy z polewą karmelową własnej roboty, ozdobione wiórkami gorzkiej czekolady to pewnie gruba przesada, mam jednak nadzieję, że spełni swoje zadanie i przyciągnie uwagę wszystkich, jednocześnie odciągając ją ode mnie.

Wchodzimy do wysokiego holu, za którym znajduje się otwarty salon, urządzonej eleganckimi meblami. Jest nieskazitelnie czysto. Czuję, że powinnam zdjąć buty, żeby nie porobić dziur w wykładzinie, ale może zostałyby to dziwnie odebrane. Poza tym, chociaż buty są niewygodne, to dodają mi pewności siebie. Kiedyś występowałam przed publicznością, teraz chowam się za ciastem i szpilkami. Przechodzimy przez jadalnię. Przy tym stole mogłoby zmieścić się chyba z dziesięć osób. Stoi na nim porcelanowa zastawa i serwetki, ułożone w kształt łabędzi. Drew chyba zauważył mój wytrzeszcz.

- Jak wspominałem, mama lubi raz w tygodniu udawać, że jesteśmy cywilizowanymi ludźmi. - „Cywilizowani” to niezbyt odpowiednie słowo. - Zwykle nie jest aż tak źle. Tym razem chyba trochę przesadziła, z twojego powodu. Zwykle jesteśmy tylko my i Josh. A jego trudno uznać za gościa.

Że co? Nie wiem, z powodu której części tej wypowiedzi powinnam najpierw spanikować: czy tej, gdzie oznajmia, że jego matka przygotowała się na moją wizytę jak na przyjazd królowej, czy tej, gdzie wspomina o Joshu Bennecie. Obie są równie straszne, ale Josh chyba jednak wygrywa w tej konkurencji. Owszem, wizja matki Drew, taksującej mnie baczным spojrzeniem, jest przerażająca, ale jeszcze bardziej przeraża mnie wizja jedzenia obiadu w towarzystwie faceta, który ścierał moje rzygi z podłogi i widział, jak zręcznym ruchem pozbywam się stanika i rzucam go na drugi koniec łazienki. Pół dnia zastanawiałam się, bliska obłędu, co na siebie włożyć i panikowałam na myśl o spotkaniu z siostrą Drew. Do głowy mi nie przyszło, że spotkam tu również Josha Bennetta. Nie mam jednak czasu, by przyzwyczać się do tej myśli, bo rozlega się dzwonek i zaraz potem drzwi się otwierają. Tak, Josh nie jest tu gościem. Nie musi czekać, aż ktoś mu otworzy.

W tym momencie podchodzi do mnie matka Drew i bierze ode mnie ciasto. Najchętniej bym je zatrzymała, zasłoniła się nim chociaż jeszcze przez chwilę, ale to wykluczone, więc poddaję się. Ręce robią się strasznie puste.

- Ty na pewno jesteś Nastya! - Uśmiecha się całą twarzą. Nie ma wątpliwości, skąd Drew i Sarah wzięli urodę. Jest piękna. Mimowolnie zerkam na jej brzuch. To chyba dopiero początki, bo nic nie widać. Zastanawiam się, ile może mieć lat. Pewnie ze czterdzieści. Wydaje mi się co najmniej dziwne, że w tym wieku ktoś

ma ochotę na kolejne dziecko, ale w końcu jeśli istnieje taka możliwość, czemu nie. Przesuwa rzeczy w lodówce, żeby zrobić miejsce na ciasto. Nie prosiłam o to, ale cieszę się. Upał i wilgoć już zdążyły uszkodzić polewę.

- Skarbie, jak miło z twojej strony. Wygląda wspaniale - mówi, zamykając lodówkę i odwracając się w moją stronę. A chwilę później, nawet nie zdążyłam się zorientować, co zamierza, przytula mnie mocno. Nie lubię się przytulać. Nie lubię, kiedy ktoś mnie dotyka, nawet jeśli nie istnieje zagrożenie. To zbyt intymne, wprawia mnie w zakłopotanie. Chyba nie zauważyła, że cała zeszywniałam, puszcza mnie sekundę później, kiedy Drew mówi:

- Jak to możliwe, że do niej mówisz „skarbie”, a kiedy zwracasz się do mnie, nigdy nie używasz żadnych czułych określeń? -mówi z udawanym płaczem w głosie.

- Ależ owszem - odpowiada pani Leighton i w przelocie klepie go po policzku. - Choćby w zeszłym tygodniu nazwałam cię zmorą mego życia.

- Rzeczywiście - przyznaje Drew. - To był jeden z tych dobrych dni. Trudno powstrzymać się od uśmiechu. Jeszcze niedawno moja rodzina też była tak szczęśliwa.

Po chwili dołącza do nas Josh Bennett. Sądząc po minie, on też nie wiedział, że się tu spotkamy. Dosłownie aż cofnął się na mój widok.

Mama Drew wkracza w odpowiednim momencie, ratując nas z opresji. Obejmuje Josha, a on oddaje uścisk. Dziwnie to wygląda. Przyzwyczałam się do Josha odseparowanego od reszty ludzkości polem o promieniu minimum trzech metrów, więc mój mózg potrzebuje paru minut, by przetrwać widok Josha cie-

plęgo i żywego, w objęciach z inną istotą ludzką. Mam nadzieję, że szczeka nie opadła mi zbyt nisko. Podczas wieczornego joggingu będę miała sporo rzeczy do przerobienia, starczy akurat na jakieś piętnaście kilometrów. Najpierw szczerze wcielenie Drew, a teraz jeszcze nie-taki-znowu-niedotykałski Josh Bennett na dokładkę.

Chwilę później do kuchni wchodzi Sarah. Najwyraźniej wiedziała o mojej wizycie, bo na jej twarzy nie widać zaskoczenia. Wyłącznie pogardę.

- Wy pewnie już się znacie - mówi pani Leighton, ratując nas przed zatruciem sztucznym miodem. - Obiad będzie gotowy za dziesięć minut. Sarah, nalej wino. Drew, zabierz Josha i sprawdźcie, jak tata radzi sobie z grillem. Przypilnujcie, żeby znowu nie przesmażył steków. Nastyo, możesz pomóc mi nosić jedzenie. -Kiwam głową, wdzięczna, że dostałam jakieś zadanie i nie muszę stać jak słup, nie na miejscu i niepotrzebna. Ruszam w stronę kuchenki. Podaje mi podstawki pod garnki. Jest w tej sytuacji coś kojącego i niepokojącego jednocześnie. Jakbym już nie była kimś z zewnątrz. Zaledwie kilka godzin temu sądziłam, że spędzę ten wieczór, obżerając się słodyczami i patrząc, jak jacyś biedni kretyni z parciem na szkło łykają bycze jaja w powtórce starych odcinków „Fear Factor”. A teraz stoję w swoich czarnych szpilach pośrodku obrazka przedstawiającego rodzinną idyllę. Jeszcze więcej rzeczy do przerobienia. Powinnam zacząć je spisywać, żeby nic mi nie umknęło.

Obiad okazuje się najprzyjemniejszą rzeczą, jaka przydarzyła mi się od wielu miesięcy. Wbrew całej pompie i paradzie rodzice Drew okazują się całkowicie normalnymi ludźmi. Ojciec jest zabawny i autoironiczny. Matka ma język ostry jak brzytwa i nie

daje sobie wiazić na głowę. Od chwili, kiedy weszliśmy do domu, Drew podkręci! urok dobrze wychowanego chłopca i wyłączył urok podrywacza. Siedzi obok mnie, Josh po jego drugiej stronie, więc w ogóle go nie widzę. Notuję ten fakt w pamięci jako przejaw wyjątkowej łaskawości losu. Sarah zajmuje miejsce naprzeciwko mnie, więc na nią muszę patrzeć, niestety. Do mnie w ogóle się nie odzywa, do innych też prawie nic nie mówi, ale pozostali tyle gadają, że chyba nikt nie zwraca uwagi. Wiem, że często na mnie zerka, nie potrafię stwierdzić, czy jest wściekła, czy tylko zażenowana. Może boi się, żeby nie wyszło na jaw, jak potraktowała mnie w szkole, nie chce, żeby rodzice dowiedzieli się, jaka z niej klasyczna sucz. Zresztą pewnie trochę się domyślają. Widziałam, jak traktuje Drew, na pewno nie potrafi udawać przez cały czas. Może rywalizacja między rodzeństwem jest przyjęta w tym domu, ale traktowanie innych jak gówna z pewnością nie.

Po obiedzie pomagamy zmywać naczynia, a potem pani Leigh-ton stawia na stole moje ciasto i szarlotkę. Sarah przynosi talerzyki, widelce i pudło lodów waniliowych.

- Przepyszne, Nastyo. Gdzie je kupiłaś? Za kilka tygodni urządzam przyjęcie, chętnie bym takie zamówiła.

Potrząsam głową i pokazuję na siebie.

- Tyje upiekłaś? - Jest bardziej zaintrygowana niż zaszokowana. Przytakuje. - Całkiem od zera? - Znów przytakuje. Piekę wyłącznie od zera. Nie mam nic przeciwko gotowym miksom, ale to jednak oszukaństwo i nie ufam im. To ciasto. Nie da się porównać tego z muzyką, ale jednak zawsze coś.

- Ja w ogóle nie potrafię piec - wyznaje pani Leighton. Jestem pewna, że mogłaby się nauczyć. To nie takie trudne, trzeba tylko znać proporcje, a kiedy to się opanuje, można szaleć. Trochę

jak matematyka i nauki ścisłe, zabawna sprawa, bo jestem beznadziejna z tych przedmiotów. - Josh zna kogoś, kto potrafi piec. Prawda, Josh? - Patrzy na niego i odnoszę wrażenie, że nie jest to całkiem niewinne pytanie. Spuszczam wzrok, przesuwam ciasto po talerzyku, w kierunku kałuży topniejących lodów.

- To ktoś ze szkoły. - Jego głos brzmi równie nieswojo, jak ja się czuję. Zaklinam wszystkich w myślach, żeby zmienili temat i przypuszczam, że on robi to samo. Mam nadzieję, że nie zacznie tłumaczyć, w jakich okolicznościach ciastka wylądowały przed jego drzwiami. Najwyraźniej bez trudu odgadł, że były ode mnie, co oznacza również, że wie, z jakiego powodu tam się wzięły.

- Kto? - pyta Drew z buzią pełną czekolady. Interesujące, choć niezbyt zaskakujące. Josh mu nie powiedział. Ciekawe, skąd mama Drew wie. Josh odrobinę za długo zwleka z odpowiedzią. Widzę, jak spojrzenie pani Leighton przeskakuje z niego na mnie. Wygląda na zadowoloną. Dostała odpowiedź.

- Drew, jeszcze raz odezdziesz się z pełnymi ustami, a będziesz robił za kelnera na kolejnym spotkaniu klubu książkowego. - Mierzy w niego widelczykiem. Drew zamyka usta. Widocznie jest to groźba monumentalnych rozmiarów. Unosi ręce obronnym gestem.

Potem zmywamy naczynia, pani Leighton robi kawę i zasiadamy na wielgachnych białych sofach w salonie. Ja dziękuję za kawę. Nie piję tego, choćbym nie wiem ile cukru wsypała, i tak smakuje jak woda z kibla. Prawdopodobnie moje kubki smakowe są tak znieczulone na słodki smak, że wszystko o zawartości cukru mniejszej niż dziewięćdziesiąt procent ma dla mnie paskudny smak. A nawet gdybym była uzależniona od kofeiny, w jakiejś dystopijnej przyszłości, kiedy kawa stanie się nielegalną substan-

cją, podlegającą ścisłej kontroli, i od trzech dni nie miałabym w ustach ani kropli, też bym odmówiła. Nie potrafiłabym przewyciężyć panicznego strachu, że moja ręka zaszwankuje w chwili, kiedy będę trzymać w niej filiżankę kawy, siedząc na tej pięknej, obitej białym brokatem sofie. Sarah też nie pije, więc nie wychodzę na dziwaczkę. Josh za to pochłania trzy porcje, nie żebym zaraz liczyła.

Wszyscy gawędzą, ja słucham, aż kończą się tematy do rozmowy, a dzbanek robi się pusty. Dzwoni telefon, Sarah wykorzystuje okazję do ucieczki, na którą pewnie czekała desperacko, sądząc po tym, jak szybko podrywa się z miejsca. Drew podchodzi do mamy, bierze od niej pustą filiżankę, Josh robi to samo z filiżanką pana Leightona i wychodzi za Drew do kuchni. Nie mogę ukryć się za żadnym naczyniem, więc siedzimy w niezręcznej ciszy. Mam nadzieję, że chłopcy zaraz wrócą. Patrzę na stół, za wszelką cenę chcę uniknąć kontaktu wzrokowego z rodzicami Drew. Wygląda znajomo. Przekrzywiam głowę, patrzę na nóżki i stwierdzam, że stół bardzo przypomina ten, który widziałam w salonie u Josha, tamtego poranka, który wolałabym wymazać z pamięci. Design jest bardzo podobny, tyle że ten egzemplarz wygląda na nowszy. Powierzchnia gładka, bez śladów zniszczenia. Nie zdaję sobie sprawy, że pochyliłam się do przodu i przesuwam palcami wzdłuż toczonej nóżki, kiedy ojciec Drew mówi:

- Piękny, prawda? Dzieło Josha. - Patrzy z dumą na stół, co za szczęście, nie na moją twarz. Zatrzymuję dłoń, ale nie przestaję się gapić. Cofam ramię i odchylam się na oparcie akurat, kiedy Josh staje w drzwiach do kuchni. Pan Leighton podnosi wzrok.

- Co to było? Prezent na Gwiazdkę?

- Na urodziny pani Leighton. - Josh trzyma ręce głęboko w kieszeniach, również patrzy na stolik, nie na nas. Dopiero kiedy Drew go popycha, wchodzi do pokoju.

- Twoja dupiasta fura blokuje mi drogę - mówi, waląc go w plecy. - Sorry, mam. Odwraca się i robi skruszoną minę. Słyszałam znacznie gorsze słowa z jego ust. Zastanawiam się, czy Drew uważa, że jego matka dała się nabrać, bo mogłabym się założyć, że ona dobrze zna jego gierki.

- Klub książkowy - mówi groźnie pani Leighton i unosi ręce, udając, że trzyma w nich tacę.

- Dotarło - odpowiada Drew, po czym przenosi wzrok na Josha. - Mógłbyś przestawić pikapa, proszę? Chciałbym odwiedzić Nastyę do domu - mówi sarkastycznie.

- Chyba wspominałeś, że Nastya mieszka niedaleko Josha? - wtrąca pani Leighton. Słyszę, jak ładuje w to pytanie serię pocisków.

*O nie. Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie. Błagam, nie.*

- Josh, możesz podrzucić Nastyę? Bez sensu, żebyście jechali obaj, skoro Josh i tak wybiera się w tamtym kierunku. - Mam wrażenie, że patrzy na nas wszystkich jednocześnie. Jak ona to robi? Nawet nie stoimy obok siebie. Okropnie denerwujące.

Nie wiem, które z nas ma bardziej przerażoną minę, ja czy Josh. Chyba remis. Josh z rezygnacją kiwa głową, a ja staram się wyglądać tak, jakbym uważała ten pomysł za bardzo trafiony. Dobry, logiczny, praktyczny i wcale a wcale nie żenujący.

Drew i państwo Leighton odprowadzają nas na podjazd. Sarah nie pokazała się od tamtego telefonu, co bardzo mnie cieszy. Drew otwiera przede mną drzwi, a ja zastanawiam się, jak wysoko mogę podciągnąć sukienkę, bo nie chcę jej rozerwać, ale nie



zamierzam też zakończyć tego wieczoru pokazem bielizny w różowe serduszka. W końcu jakoś udaje mi się wdrapać na siedzenie. Mama Drew podchodzi bliżej. Na szczęście już siedzę, więc nie muszę się obawiać, że znowu mnie przytuli, ale to, co następuje, jest chyba jeszcze gorsze.

- Dziękujemy za wizytę. Miło było cię poznać. W następną niedzielę o szóstej? - To właściwie nie jest pytanie. Pani Leighton przekrzywia głowę, by spojrzeć na Josha. - Zabierzesz Nastyę po drodze, prawda? - Znów to zrobiła. Niezła jest. Próbuję potrząsnąć głową. Mogłabym napisać notkę. Sytuacja w pełni usprawiedliwia notkę. Rozglądam się gorączkowo w poszukiwaniu kawałka papieru, ale we wnętrzu pikapa jest równie czysto, jak poprzednio. Nic. Liczę na to, że Josh mnie uratuje, uratuje nas oboje. Może ma jakieś plany i odmówi, a ja tylko zgodnie kiwnę głową. Ale żądam zbyt wiele.

- Nie ma sprawy. Dziękuję, pani Leighton. Panie Leighton. - Tu lekko schyla głowę w stronę ojca Drew.

- Któregoś dnia wreszcie zmusimy cię, żebyś zwracał się do nas Jack i Lexie - mówi ten ze śmiechem, potrząsając głową, jakby wiedział, że to się nigdy nie stanie. - Może w twoje trzydzieste urodziny.

- Do widzenia, panie Leighton - odpowiada Josh.

Drew macha z werandy, zajęty rozmową telefoniczną, Josh wycofuje auto po długim podjeździe. Dziesięć minut w jednym samochodzie z Joshem Bennettem wydaje się znacznie dłuższe niż dziesięć minut w jednym samochodzie z Drew. Drew dokładnie wypełnia ciszę, nawet nie zdając sobie sprawy, że to robi. Josh stapia się z ciszą, jakby był jej częścią. Przez całą drogę nie odzywa się ani słowem, w końcu zajeżdża przed dom Margot - to już trzeci raz.

- Możesz się wykręcić, wiesz. Ale powinnaś pójść. Spodobałaś jej się. Kiwam głową i otwieram drzwiczki. Nie mogę po prostu wysunąć stopy i dotknąć ziemi, a próba wykonania skoku w tych butach, mimo że odległość nie jest duża, raczej nie skończyłaby się szczęśliwie dla moich kostek. Pochylam się, ściągam lewy but, potem prawy, zeskakuję na podjazd, po czym odwracam się, żeby zamknąć drzwi.

- Musisz załatwić sobie inne buty. Pan Turner nie pozwoli ci zbliżyć się do narzędzi w czymś takim. - Potrząsa głową, jakby sam nie mógł uwierzyć, że to powiedział. Możliwe, że mówienie do mnie sprawia mu fizyczny ból. Nie wiem, co miałabym odpowiedzieć. Pan Turner pewnie tak czy inaczej nie dopuściłby mnie do narzędzi, niezależnie od tego, jakie włożę buty. Jeszcze raz kiwam głową i zamykam drzwi.

Dochodzi dziesiąta. Normalnie o tej porze wkładam strój do biegania. Z jednej strony niby mam ochotę pobiegać, ale z drugiej wiem, że dzisiaj to nic nie da. Po raz pierwszy od dwóch tygodni nie jestem do końca pewna, czy rzeczywiście tego chcę. W ruchu lepiej mi się myśli, a dziś mam sporo do przemyślenia, i właśnie to jest problem. Nie mam bieżni, więc muszę wyjść, ale kiedy biegam na zewnątrz, mój umysł dzieli się na części. Jedną część muszę zarezerwować na stały odbiór każdego dźwięku, każdego echa, każdego ruchu wokół mnie. W takiej sytuacji ciężko byłoby przemyśleć to wszystko, co mam do przemyślenia. W ten sam sposób muszę dzielić uwagę, kiedy przebywam między ludźmi, żeby mimowolnie czegoś nie powiedzieć. Potrzeba rozmowy jest całkowicie naturalna, muszę stale uważać, by jej nie ulec. Myślałam, że to będzie łatwiejsze. Że z czasem będzie przycho-

dziło coraz łatwiej. Ale jest odwrotnie. Kiedy przestałam mówić, na początku nie istniało nic, co chciałabym powiedzieć. W ogóle mnie nie kusilo. A teraz coraz częściej pojawiają się rzeczy, które chciałabym powiedzieć, bardzo. Stale bombardują mój umysł, muszę walczyć, dusić je w sobie. To bardzo wyczerpujące.

Decyduję, że dzisiaj jednak oszczędzę wojny swoim zmysłom i zostaję. Ten dzień był wystarczająco męczący.

## Rozdział 15

### *Josh*

- W piątek impreza u Kary. Idziesz?
- Patrzę na Drew, jakby to było pytanie retoryczne. Powinno być.
- W końcu przekonam cię, żebyś ze mną poszedł. - *Nie przekonasz.* -
- Dobra. Mam plan B. O, jest. - Podnoszę wzrok. Nastya idzie korytarzem w naszą stronę. Znowu w tych nieszczęsnych butach. Niedługo zaczynamy regularne zajęcia, to, co jej powiedziałem, jest prawdą. Jeśli nie włoży porządnych butów, chroniących nogi, pan Turner nie wpuści jej do warsztatu. Ale najwyraźniej ona ma to gdzieś.
- Myślałem, że to ja jestem planem B.
- Ty raczej nie jesteś planem. W końcu cię złamię, zobaczysz.
- Znowu ją uchłasz, niech rzyga na twoją sofę.
- Nigdy nie przejdziesz nad tym do porządku dziennego?
- Nie. - To prawda. Myślę, że obrazy z tamtej nocy będą prześladować mnie do końca życia.
- Hej, Nastyo-bestio! - Drew przyspiesza kroku, zostawia mnie w tyle, żeby złapać Nastyę, zanim ta zniknie za drzwiami warsztatu. Wyobrażam sobie spojrzenie, którym go miażdży. - No co?
- Słyszę, podchodząc bliżej. - To takie pieśczośliwe określenie.

- Jeżeli to nowa taktyka, to zaczynam poważnie obawiać się o jego bezpieczeństwo. Ale w tym momencie jej twarz się zmienia, niemal niedostrzegalnie. Chyba walczy ze sobą, lecz przegrywa, uśmiecha się lekko do niego. Może to nawet nie jest uśmiech. Jej wargi ledwo się unoszą się, ale ten niby-uśmiech widać wyraźnie, ponieważ tak bardzo tam nie pasuje. Byłbym rozczarowany, gdyby okazało się, że gadki Drew na nią działają, ale chyba jednak nie działają. Zdaje się, że jest po prostu rozbawiona. Uśmiech znika w ciągu sekundy i Nastya wchodzi do środka, a Drew zostaje na korytarzu. Nawet nie zdążył powiedzieć jej o imprezie.

- Wszystko dobrze się skończyło.

- Nie zabiła mnie - mówi z uśmiechem, wyraźnie zadowolony z rezultatu.

- A powinna.

Tierney Lowell zamyka szafkę i odwraca się w naszą stronę. To znaczy w stronę Drew tak naprawdę. Mnie chyba w ogóle nie zauważa. Jej dzinsy są tak obcisłe, że boję się o jej krążenie, ma czarny stanik pod białą koszulką, która kończy się nad talią, akurat, by pokazać trochę kuszącej nagiej skóry. Tierney dysponuje odpowiednim ciałem do takiego stroju i odpowiednią porcją odwagi. Ich dwoje było razem przez jakiś czas w zeszłym roku, ale nie skończyło się to zbyt szczęśliwie. Tierney nie pogodziła się z odrzuceniem. Nie zaskoczyło mnie to. Zaskoczyło mnie raczej, że w ogóle coś takiego się wydarzyło. Tierney to twarda sztuka, a Drew to Drew. Nie pasuje. Drew powiedział mi dopiero, kiedy i tak się wydało, a wtedy było już po wszystkim. On przerzucił się na nową dziewczynę, Tierney się wściekła, a ludzie gadali, że wykazała się wielką naiwnością, jeśli czuje się zaskoczona. Ja uważam, że wcale nie zaskoczona, tylko rozczarowana.

Drew nie odpowiada i Tierney odchodzi bez słowa.

- To była pomyłka od samego początku - mówi Drew. Większość z nich to pomyłki, moim skromnym zdaniem. Ten niekończący się dramat nie jest wart zachodu. Idę do warsztatu, a Drew do sekretariatu, kolejną godzinę zamierza spędzić w roli asystenta, roznosząc papiery, flirtując na korytarzu i ogólnie rzecz biorąc, unikając większego wysiłku.

Nastya siedzi obok Kevina Leonarda, na miejscu, które pan Turner wskazał jej w zeszłym tygodniu. Cieszę się, bo czułem się trochę nerwowo, kiedy siedziała za moimi plecami. Lubię obserwować ludzi i mieć pewność, że nikt nie obserwuje mnie. Większość i tak nie patrzy w moją stronę, ale ona zdecydowanie do tej większości nie należy.

Kiedy rozlega się dzwonek, pan Turner sprawdza listę obecności, przesuwał wzrokiem po klasie. Potem mówi, żeby jedna osoba z każdego stolika podeszła do biurka po pudło z materiałami. Siedzę sam, więc wstaję. Przy wszystkich stołach siedzą po dwie osoby, za wyjątkiem tego jednego, który zajmują Nastya, Kevin i Chris Jenkins. Nastya najwyraźniej nie zamierza się ruszyć, w końcu robi to Chris. W pudle znajduje się kilka ka' wałków drewna, młotek, gwoździe w różnych rozmiarach, papier ścierny i kilka innych przedmiotów, chyba w każdym pudle inne. Kevin wyrywa pudło z rąk Chrisa i wywala zawartość na stół. Pudełko z gwoździami otwiera się i gwoździe rozsypują się na wszystkie strony. Wszyscy się odwracają, ale nikt nie wstaje.

- Posprzątaj, Leonard - mówi pan Turner. Nie jest ani odrobinę zaskoczony kretynstwem Kevina. Wiem, czemu przyjął go na zajęcia. Muszę przyznać, że Kevin naprawdę nieźle sobie ra-

dzi. Nie ma wyczucia stylu, ale instynktownie rozumie zasady konstrukcji i proporcji. Szkoda, że taki z niego dupek.

Nastya klęka na podłodze, zbiera gwoździe do lewej ręki. Chris podnosi te, które rozsypały się po stole, wkłada je do pudełka. Kevin rechocze. Nastya pozbierała już większość, ma ich pełną pięść. Nagle, w chwili, kiedy wstaje, gwoździe znów rozsypują się po podłodze. Nie wiem, co się stało. Tak jakby wypuściła je z dłoni. Nawet nie wygląda na zdziwioną. Po prostu zaczyna znowu je zbierać. Chyba tylko ja zauważyłem. Nikt nie spieszy jej z pomocą. Ja też nie.

Pan Turner zaczyna tłumaczyć zadanie. W ciągu dzisiejszych zajęć i trzech kolejnych mamy zaprojektować, zaplanować i zbudować coś, co jest przydatne bądź posiada wartość estetyczną, z materiałów znalezionych w pudle. Mamy prawo dodać jedną lub dwie rzeczy, ale nie więcej. Już obejrzałem zawartość swojego pudła i wiem, co zrobię. Do końca zajęć mierzę, szkicuję i planuję, a pozostali kłócą się, czyj pomysł jest najlepszy i co powinni wybrać. Jutro zabieram się do pracy. A oni pewnie dalej będą się kłócić.

Ostatnią godzinę spędziłem, przeszukując wszystkie szuflady w garażu, ale nadal nie wiem, gdzie podziałem wykrywacz profili. Zamykam ostatnią szufladę, patrzę na zegar na ścianie. Dziesiąta trzydzieści. Za późno, żeby kupić nowy, nie żebym tak bardzo go dzisiaj potrzebował, ale i tak nie mam nic do roboty.

Podnoszę się i obracam, szukam, jak by tu zabić czas. Stoi na podjeździe, tuż za progiem garażu. Cieszę się, że nie wrzasnąłem z wrażenia ani nie zrobiłem niczego równie żalospnego, bo pewnie musiałbym od razu obciąć sobie jaja i jej wręczyć. Już nie byłbym ich godzien.

Wygląda niemal dokładnie tak samo jak za pierwszym razem, tyle że teraz nie zgubiła drogi i nie jest przestraszona. Przyszła specjalnie. Patrzymy na siebie przez chwilę, nagle zdaję sobie sprawę, że czekam, aż coś powie, a to przecież nigdy nie nastąpi. Nie wiem, co sam miałbym powiedzieć, więc decyduję się na zuchwały i niesłychany ruch i w ogóle nie reaguję. Odwracam się, po czym znów zaczynam szukać wykrywacza, którego, jak wiem, tu nie ma. Udaję, że nie interesuje mnie, co ona robi, ale jestem hiperświadomy każdego jej oddechu. Wiem dokładnie, w której sekundzie podejmuje decyzję. Ale wbrew moim przypuszczeniom nie odchodzi, tylko wchodzi do środka.

Nie mogę udawać, że jej nie widzę. Czekam, co robi. Znowu się rozgląda, tak jak tamtej nocy, kiedy zjawiała się tu po raz pierwszy, spocona, zgubiona i niesamowita. Nie patrzy na mnie w tej chwili, bardziej interesuje ją wnętrze garażu. To tylko garaż, kupa drewna i narzędzi. Nie wiem, co w tym takiego fascynującego, ale nie dyskutuję, ponieważ kiedy ona przygląda się wszystkiemu dokoła, ja mogę przyglądać się jej. Znowu nie ma makijażu, włosy ściągnęła do tyłu, więc widać jej twarz. Nawet na obiedzie u Drew wystąpiła w pełnym rynsztunku: czarna kredka, ciemnoczerwone usta, cały zestaw. Wygląda to okropnie, szczególnie kiedy się wie, co jest pod spodem.

Nie jest aż tak spocona i zdyszana jak wtedy, ale z pewnością biegała. Ciekawe, czy biega co wieczór. Jej nogi to same mięśnie, ramiona podobnie. Zupełnie nie pasują do twarzy, która przypomina te porcelanowe lalki, nadal leżące na półkach w pokoju mojej siostry. Dziecinna. Gładka, twarda, nieskazitelna i wrażliwa.

Przechadza się dokoła, przesuwa ręką wzdłuż blatów, zatrzymuje się koło imadła, przyczepionego na brzegu jednego ze sto-



łów. Obraca je kilka razy, patrzy, jak imadło się zamyka, a potem wsuwa dłoń do środka, nie przestaje zaciskać. Nie jestem w stanie się poruszyć, zastanawiam się, co ona wyprawia, a ona nie przestaje, imadło zwiera się coraz mocniej dokoła jej dłoni i nie wiem, jak długo jeszcze mogę nie reagować, kiedy mam zerwać się z miejsca i zapytać, czy całkiem jej odwaliło. Powoli dociera do mnie, że właśnie patrzę, jak laska miażdży własną rękę -a może nie, chyba jeszcze sama nie zdecydowała. Zatrzymuje się w ostatniej chwili, rozkręca imadło, tylko trochę, tak by wyjąć rękę, a potem wraca do oględzin garażu.

Odwracam wzrok i zaczynam przeszukiwać te same szuflady, które przeszukałem już dwa razy. Przesuwam się sukcesywnie wzdłuż blatu, biegnącego dokoła garażu. Zbudowaliśmy go razem, tata i ja, wiele lat temu. Mark Bennett twierdził, że powierzchni do pracy nigdy dosyć. Zbudowaliśmy więc tyle, ile tylko dało się zmieścić. Może po prostu potrzebowaliśmy jakiegoś zajęcia.

Stoję plecami do niej, ale słyszę, jak się porusza, kiedy się odwracam, siedzi na blacie po przeciwnej stronie. Usiadła sobie, rozgościła się. Okej. Tylko że trochę świruję, kiedy ona tak na mnie patrzy. Bo to właśnie robi w tej chwili. Obserwuje mnie i nawet nie próbuje tego ukryć. Chciałbym wrzasnąć, kazać jej się wynosić, a jednocześnie chcę, żeby została. Kretyn.

W końcu siadam i oglądam deski, które zamierzam niedługo wykorzystać. Potem rysuję projekt. To cicha praca, można wykonywać ją w środku nocy, poza tym potrzebuję jakiegoś zajęcia, bo inaczej skończę jako uczestnik walki na spojrzenia, próbując -zupełnie bez sensu - odczytać jej myśli czy coś w tym stylu. O północy zeskakuje z blatu i rusza do wyjścia, nie mówiąc ani słowa, nie dając żadnego znaku, dokładnie tak jak przyszła.

Na trzech pierwszych lekcjach jestem dość rozkojarzony, ale nikt nie zauważa. W czasie długiej przerwy czekam na nią, zastanawiam się, czy na mnie spojrzy. Tego dnia nie pojawia się na dziedzińcu, kiedy tuż przed dzwonkiem idę do warsztatu, widzę ją, opartą o ścianę, w towarzystwie Claya Whitakera. Odwracam się i ruszam w drugą stronę.

Biorę pudło z materiałami, zanoszę do swojego stolika i wyciągam projekt. W tym momencie wchodzi do klasy, idzie w stronę blatu za moimi plecami po pudło swojej grupy. Ani Kevin, ani Chris jeszcze się nie pokazali.

- Dzień dobry, Słoneczko. - Mówię to całkiem bez zastanowienia, ale na szczęście na tyle cicho, że tylko ona słyszy. Pewnie nie powinienem, pewnie w ogóle nie powinienem robić aluzji do wczorajszych wydarzeń, ale nie mogłem się powstrzymać. Czuję, że wczoraj ze mną pogrywała i chcę się zrewanżować. Niech sobie nie myśli, że może zjawiać się u mnie i bawić w tajemnicze gierki, kiedy przyjdzie jej na to ochota.

Nie widzę jej, ale niemal czuję, jak sztywnieje. Świetnie. Może, jeśli nie chce, żebym przypominał jej o nocy, kiedy wyrzygała flaki w mojej łazience, zastanowi się dwa razy, zanim znowu przyjdzie jej do głowy pojawić się w moim domu jak gdyby nigdy nic. Zastanawiam się, co mogłoby uświadomić jej, że żyje w tym samym świecie, co wszyscy pozostali ludzie, i że w tym świecie wszyscy ludzie dają mi święty spokój.

Szybko odzyskuje formę, wraca na swoje miejsce, nie patrząc na mnie. Minutę później przychodzą Kevin i Chris, rozlega się dzwonek. Pan Turner rozpoczyna zajęcia i niemal natychmiast robi się straszny harmider. Niesamowite, ile decybeli potrafi wyprodukować czternaścioro uczniów plus kilka pił i młotków.

Minęła połowa zajęć, Nastya nie ruszyła się z miejsca. Nie potrafi jednak ukryć zainteresowania. Śledzi uważnie, co robią Chris i Kevin. W pewnym momencie wyciąga rękę, przysuwa sobie rysunek, który wcześniej narysował Chris, przygląda się przez chwilę, a potem przesuwa go z powrotem na poprzednie miejsce. Tamci nic do niej nie mówią, ale kiedy się pochyla, widzę, jak Kevin zagląda jej w dekolt. Mam ochotę przywalić mu w mordę.

Kilka minut później Kevin wstaje i podchodzi do biurka pana Turnera. Ten pisze coś na kartce, podaje ją Kevinowi, Kevin wychodzi, zostawiając Nastyę samą z Chrisem. Widać, że Chris potrzebuje drugiej pary rąk, co i raz zerka na Nastyę, jakby nie był pewien, czy może ją poprosić o pomoc. Wreszcie ma dosyć, słyszę, jak mówi jej, żeby przytrzymała w miejscu kawałki drewna, które chce zbić gwoździami. Pokazuje jej, w którym miejscu ma położyć ręce, ona przytakuje i umieszcza dłonie po obu stronach, zgodnie z instrukcją. Chris wbija gwoźdź, potem przechodzą do kolejnego zestawu. Ma chyba cztery takie. Staram się dojrzeć, co zrobili do tej pory. Nie widzę rysunku, próbuję domyślić się, co to będzie. Wygląda całkiem niezłe.

W tym momencie wraca Kevin, mnie kartkę i wrzucają do kosza, stojącego w rogu.

- Mam nadzieję, że nie leniuchowaliście - mówi i nie patrząc na Chrisa, wali go w plecy. Chciałbym móc powiedzieć, że to, co następuje potem, przebiega w zwolnionym tempie, tak jak w katastroficznych scenach w filmie, kiedy wszystko dzieje się bardzo powoli, żeby widz wiedział, co dokładnie się wydarzyło. Tutaj nic nie zwalnia, ale właśnie w ten sposób to widzę. Kevin wali Chrisa w plecy, Chris, który właśnie zamierzył się młotkiem, pod wpływem uderzenia, wali nim mocno - i nie tam, gdzie

trzeba. Młotek trafia w serdeczny palec lewej dłoni Nastyi, płasko przyciśnięty do blatu, podczas gdy kciuk podtrzymuje kawałki drewna.

Wpatruję się w jej twarz. Widzę, jak jej oczy rozszerzają się niemal niezauważalnie pod wpływem bólu, ale zaraz znów zwężają. Zachodzą łzami, które jednak nie spływają na policzki. Czemu nie płacze? Widziałem, jak mocno przywalił ten młotek. I słyszałem. Chyba nawet ja bym się poryczał. Potem byłoby mi głupio, ale raczej nie potrafiłbym nad tym zapanować. Jestem pewien, że to właśnie tego rodzaju ból. Nastya siedzi całkowicie nieruchomo, nie cofa ręki. Nie patrzy na Chrisa ani na Kevina, za to oni dwaj gapią się na nią jak debile. *Kurwa, niech ktoś przyniesie lód.* Chris ma przerażoną minę. Kevin ma taką minę, jakby nie wiedział, co się stało. Nastya patrzy na rękę, ale nadal jej nie cofa. Mam nadzieję, że wreszcie ktoś się ruszy i pójdzie po lód, bo inaczej ja będę musiał to zrobić. Powinienem był pójść od razu, ale z jakiegoś powodu też nie mogę się ruszyć. Nie mogę oderwać od niej wzroku. Dlaczego nie płacze? Wreszcie Chris wyrywa się z transu i biegnie do zamrażarki, która stoi w warsztacie właśnie w razie takich sytuacji. Pan Turner już jest przy Nastyi, ogląda jej palce. Widzę, jak Nastya wzdryga się lekko, ale jej twarz przypomina kamień. A może porcelanę.

Chris przybiega z workiem lodu, podaje go Nastyi, która robi zdziwioną minę, przez chwilę wygląda, jakby zamierzała odrzucić pomoc. To przypomina mi o scenie z imadłem, zastanawiam się, czy ona naprawdę nie jest nienormalna. Ale zaraz widzę, że zmienia zdanie, przyjmuje lód, bez żadnego gestu, bez podziękowania. Cieszę się z tego. Widać, że facet czuje się winny, jak nie wiem co. Patrząc na jego twarz, można pomyśleć, że boli go bardziej niż ją,

ale jeszcze jej nie przeprosił. Oczywiście, tak naprawdę to Kevin powinien przeprosić, ale na to bym nie liczył. Pan Turner wraca od biurka, wręcza Nastyi kartkę z pozwoleniem wyjścia z klasy i każe Valerie Estes, jedynej dziewczynie w grupie, towarzyszyć jej do lekarza. Między uderzeniem młotka a chwilą, kiedy Chris przybiegł z lodem, minęło zaledwie kilka sekund, wydaje się jednak, że trwało to znacznie dłużej. Może czas jednak potrafi zwolnić. Kiedy jej już nie ma i wszystko się uspokaja, odtwarzam całą tę scenę w swojej głowie. I wtedy dociera do mnie, że nawet w momencie uderzenia, kiedy młotek z całą siłą przygniótł jej palce, kiedy ból musiał być nie do wytrzymania, ona nie wydała żadnego dźwięku.

*Chyba żartujesz.*

To pierwsza myśl, która przychodzi mi do głowy, kiedy ona znowu wkracza do mojego garażu. Drugi wieczór z rzędu. Mój wzrok biegnie do jej dłoni, widzę, że dwa palce ma włożone w szynę. Dzisiaj nie widać po niej wahania. Najpierw myślę, że pewnie zaraz siądzie na blacie, w tym samym miejscu co wczoraj. I przez minutę tak to wygląda. Potem jednak siada na podłodze, po tu-recku, opiera się o szafki. Widocznie nie przeszkadza jej warstwa trocin i pyłu na podłodze. Dziwi mnie jednak ten wybór. Nie żeby blat był jakoś szczególnie czysty, ale wygląda znacznie lepiej niż podłoga. Potem dociera do mnie, że pewnie nie mogłaby podciągnąć się na jednej ręce.

Wracam do przerwanej pracy i tak mija co najmniej pół godziny. Ja pracuję, ona patrzy.

- Nie bolało cię to? - pytam w końcu, bo naprawdę chciałbym wiedzieć, nawet jeśli ona nie odpowie. Obraca ręką, jakby się zastanawiała. Wzrusza ramionami. Dobra odpowiedź. Czego się

spodziewałem? Odczekuję jeszcze kilka minut, próbuję się skupić, kalibruję pilarkę, w końcu zadaję prawdziwe pytanie.

- Czego chcesz? - Zabrzmiało ostrzej, niż chciałem, ale może to i lepiej. Cisza. Doprowadza mnie do szału, że nie wiem, po co ona tu przychodzi. Nie żebym miał ochotę nawiązać przyjaźń. Może dzisiaj wreszcie coś do niej dotrze i więcej nie wróci. Próbuję przekonać samego siebie, że bardzo by mnie to ucieszyło, ale nie jestem przekonany. Odsuwam te rozmyślenia na bok, próbuję skupić się na pilarce.

Cisza trwa. Nie wiem, jak długo ona zamierza tu siedzieć, gapić się. Jakbym miał ducha w garażu. Nawiedzony garaż. Tylu moich bliskich zmarło, można by pomyśleć, że to raczej ktoś z nich powinien tu straszyć. Prawdę mówiąc, kiedyś miałem taką nadzieję. Bardzo tego pragnąłem. Modliłem się o to. Mama, siostra, tata, babcia. Po śmierci każdego z nich liczyłem na to, że powróci, choćby tylko raz, pokaże się. Da mi znak. Że istnieje coś więcej, że jest to coś dobrego, że są tam szczęśliwi, ale nikt nie powrócił. Dziadek przed odjazdem zapewniał mnie, że istnieje życie po śmierci, że dawno temu je widział, choć tylko w przebłysku. Nie uwierzyłem mu. To był wytwór choroby i środków przeciwbólowych, a nie wspomnień i prawdy. Może umrzeć w każdej chwili, a ja nie zamierzam czekać na żaden znak. Poczuję tylko ulgę, że nie został już nikt, kogo mógłbym stracić.

O dziesiątej trzydzieści duch podnosi się, otrzepuje prawą ręką z trocin i znika.

## Rozdział 16

### *Nastya*

W niedzielę zgodnie z umową Josh zjawia się dokładnie o piątej czterdzieści pięć. Kiedy pikap zajeżdża przed dom, biegnę do lodówki. Na deser zrobiłam tiramisu, wszyscy lubią kawę, za wyjątkiem Sary, a ona jakoś mnie nie obchodzi. Palce nadal mam w szynach, wyjmuję naczynie jedną ręką, co okazuje się dość trudne. Rano Margot włożyła deser do lodówki, ale wcześniej wyszła do pracy, więc muszę radzić sobie sama. Idzie mi strasznie niezgrabnie, ale jakoś udaje mi się objąć dłonią brzeg naczynia i chwycić porządnie. Dzwonek rozlega się dokładnie w momencie, kiedy podchodzę do drzwi, ale teraz w prawej ręce trzymam tiramisu, a nie mogę chwycić klamki lewą, więc stoję tak i nie bardzo wiem, co robić, tylko gapię się na drzwi. Wreszcie stawiam naczynie na podłodze i otwieram.

Josh stoi na progu z rękami w kieszeniach, ma taką minę, jakby zabierał mnie na randkę. Włosy jak zwykle opadają mu na czoło, odrobinę za długie. Jak u dzieciaka, któremu brakuje mamy i nikt nie przypomina mu, że trzeba je obciąć. Muszę przyznać, niestety, że świetnie prezentuje się w bordowym polo i spodniach w kolorze khaki, chociaż wytarte džinsy, w których zwykle cho-

dzi, też mi się podobają. Nie mogę przyzwyczać się, że ma na sobie inne buty niż te robocze. Zaczynałam wierzyć, że są przyklejone do niego na stałe.

Musimy się pospieszyć, zbiera się na deszcz. Na niebie rośnie wielka chmura. Nie wychodziłam przez cały dzień, więc wcześniej nie zauważyłam. Lubię siedzieć przy stole w kuchni i obserwować, jak nagle na niebie pojawiają się chmury, tutaj dzieje się to tak szybko, dosłownie w ciągu kilku minut.

Ale dzisiaj byłam zbyt zajęta robieniem tiramisu, wyrzucaniem sobie, że nie poszłam kupić nowej sukienki, i obmyślaniami genialnego planu, jak by tu wywinąć się od tego obiadu. Dyzenteria trafiła na szczyt listy wykrętów. Byłoby znacznie prościej, gdyby rodzice Drew odnieśli się do mnie z niechęcią, a zesłotygo-dniowa impreza przebiegła w wymuszonej i nieprzyjemnej atmosferze, tak jednak się nie stało. Nie pasuję tam i nigdy nie będę, nie w taki sposób, w jaki by chcieli. W ogóle nie rozumiem, czemu znowu mnie zaprosili. Moim jedynym wkładem w ten wieczór było ciasto. Drew wprawdzie twierdzi, że nie da się przecenić roli ciasta w przypadku jego mamy. Pewnie tolerują mnie ze względu na Drew. A jeśli tak, to zapewne spodziewają się, że niedługo zniknę. Ciekawe, ile dziewczyn zjawiało się na Niedzielnym Obiedzie u Leightonów jeden jedyny raz, by więcej nie powrócić.

Jeśli chodzi o strój, w końcu doszłam do wniosku, że lepiej porzucić mrzonki i zapomnieć o ładnej, tradycyjnej i niewinnej sukience. Im szybciej pozbedziemy się złudzeń, tym wcześniej rozejdziemy się, nie ponosząc przy tym większych strat. Tak więc mam na sobie czarną bluzkę bez pleców i czarną minispódniczkę - z naciskiem na mini - a do tego skórzane botki do kolan na wysokich obcasach. Jeśli poprzedniej niedzieli wyglądałam trochę



nie na miejscu, to jeszcze było nic w porównaniu z dzisiejszą odsłoną. A potem wszystko wróci do normy. Drew znajdzie sobie miłą dziewczynę, z którą będzie uprawiał seks bez zobowiązań, a ja wrócę do wygodnej, pozbawionej wszelkich oczekiwań egzystencji.

Josh przygląda mi się przez minutę, jakby szukał odpowiedzi na niezadane pytanie. Wita mnie jednym słowem: „Słoneczko”. Ja jego żadnym.

Klękam, żeby podnieść naczynie z tiramisu, ale nie udaje mi się wsunąć palców pod spód. Przeklinam w myślach młotki i młotko-watych facetów. Kombinuję, już chcę przesunąć naczynie wnętrzem lewej dłoni w prawo, kiedy Josh wchodzi do środka i klęka, stanowczo zbyt blisko mnie, po czym bez słowa podnosi naczynie. Nie pachnie trocinami i wcale mi się to nie podoba. Nieważne, jak świetnie wygląda, Josh Bennett bez butów roboczych i zapachu trocin w ogóle mi nie pasuje.

Zajeżdżamy przed dom Leightonów, wysiadamy i w tym momencie niebo się otwiera. Obejmuję naczynie ramieniem i mocno przyciskam do piersi. Jakimś cudem i tiramisu, i moje nogi przeżyły skok na ziemię bez szwanku. Josh wyjmuję naczynie z moich rąk i biegnie pod daszek werandy. Jakoś udaje nam się całkiem nie przemoknąć. Josh jeszcze nie dzwoni do drzwi, podaje mi tiramisu, unosi ręce i ujmuje moją twarz, przesuwa kciuki po skórze po oczami. Chyba rozdziawiam usta, nie mam pojęcia, co on wyprawia.

- Czarny syf - wyjaśnia Josh i uświadamiam sobie, że makijaż mi się rozmazał. Potem bez słowa otwiera drzwi.

Wchodzimy do środka i dalej wszystko przebiega niemal dokładnie tak jak tydzień wcześniej. Stół wygląda znacznie mniej

wymyślnie, z czego się cieszę, bo to znaczy, że nie jestem aż taką sensacją. Zaraz jednak stwierdzam, że skoro nie jestem sensacją, znaczy to, że mam tutaj swoje miejsce, a tego stanowczo nie chcę.

Idziemy do kuchni przez jadalnię, dostrzegam, że na stole postawiono dodatkowe nakrycie i zastanawiam się, dla kogo jest przeznaczone. Drew walczy z wieżą, widać dzisiaj jego kolej wybrać muzykę do obiadu, nawet wolę nie myśleć, co to będzie.

Wkraczam do kuchni, przygotowana na pełen odraży wzrok pani Leighton, ale moje oczekiwania nie sprawdzają się. Pani Leighton posyła mi uśmiech, po czym zaczyna robić miejsce w lodówce i mówi, że niepotrzebnie sprawiałam sobie kłopot. Mam monstrualne *déjà vu* i wiem, że za minutę pani Leighton mnie przytuli, czy tego chcę czy nie.

Przy granitowym stoliku na dwóch stołkach barowych siedzą Sarah i jeszcze jedna dziewczyna, którą kojarzę ze szkoły. Chyba ta, która oskarżyła mnie, że zostałam spłodzona przez Drakulę. Śmieją się i próbują spleść razem swoje włosy. Szczyt niedojrzałej dziewczynkości. Mam ochotę się z nich ponabijać, ale ze zdumieniem stwierdzam, że ogarnia mnie smutek.

Przez chwilę czuję się jak jedyna mieszkanka postapokaliptycznego świata, patrzę za okno i myślę o tej części swojego życia, która odeszła na zawsze. Zastanawiam się, jakby to było mieć przynajmniej jedną przyjaciółkę. Miałam kiedyś kilka, ale też nie takich. To były maniaczki takie same jak ja, ogarnięte obsesją na punkcie muzyki. To nas łączyło. Inne dziewczyny rozmawiały o lakierach do paznokci i chłopakach, my o utworach muzycznych. Przyjaźń nigdy nie stała na pierwszym miejscu, zawsze najważniejsza była muzyka. Gdyby odjąć z tego równania muzykę,

nie wiem, czy zostałyby coś jeszcze. A jeśli nawet, to i tak musiałam od nich się odciąć, potem. Przebywanie w ich towarzystwie sprawiało mi zbyt wielki ból.

Lily dzwoniła do mnie przez kilka miesięcy, ale mówiła tylko o przesłuchaniach, recitalach i ćwiczeniach. Próbowałam cieszyć się razem z nią, ale nie potrafiłam. Byłam zazdrosna i wkurwiona. To tak, jakby najlepsza przyjaciółka zaczęła chodzić z twoim byłym chłopakiem, w którym nadal jesteś szaleńczo zakochana, a ty musisz patrzeć na jej szczęście, teraz ona ma wszystko, co kochałaś, a ty już nie możesz tego mieć. Inaczej mówiąc, bolesne, przygnębiające i niezdrowe. A ja jestem wybitnie zdrowa.

Nawet gdybym mówiła - bo, powiedzmy sobie szczerze, milczenie zdecydowanie utrudnia nawiązywanie przyjaźni - pewnie i tak do nikogo bym się nie zbliżyła. Straciłam niemal cały szesnasty rok życia. Podczas gdy inne dziewczyny myślały o nadchodzących imprezach, kursie na prawo jazdy i stracie cnoty, ja musiałam myśleć o rehabilitacji, konfrontacjach policyjnych i wizytach u psychiatry. Wychodziłam z domu i szłam do lekarza, nie na mecz piłki nożnej. Rozmawiałam z inspektorami, nie sprzedawczyniami w sklepie odzieżowym.

W końcu moje ciało wyleczyło się - w takim stopniu, w jakim to było możliwe. Umysł też powoli składał się do kupy. Tyle że te rozsypane części złożyły się trochę jakby nie tak jak trzeba. Miałam wrażenie, że w miarę jak moje ciało zdrowieje, umysł coraz bardziej się rozpada i na całym świecie nie ma wystarczającej liczby drutu i śrubek, by to wszystko poskręcać z powrotem.

Tak więc w wieku piętnastu i szesnastu lat nie robiłam tego, co zwykle się wtedy robi. W wieku, kiedy większość dzieciaków próbuje dojść, kim są, ja próbowałam pojąć, *dłaczego* jestem. Już

nie należałam do tego świata. Nie to, że chciałam umrzeć, po prostu czułam że powinnam nie żyć. Co jest bardzo trudne, kiedy wszyscy oczekują od ciebie, że będziesz czuć wdzięczność właśnie za to, że żyjesz.

Miałam mnóstwo czasu na przemyślenia, mnóstwo czasu na wściekłość i uzalanie się nad sobą. Na pytanie: *Dlaczego ja?* Zdobyłam czarny pas w tej dziedzinie. Byłam ekspertką. Nadal jestem. Kiedy raz zdobędziesz taką umiejętność, zawsze będzie ci służyć. Chyba nie muszę wspominać, że całe to rozmyślanie i te wszystkie pytania niewiele mi dały. I wtedy zaczęłam skupiać uwagę na złości. Przestałam martwić się o to, czy jestem miła, czy przypadkiem nie ranię uczuć innych ludzi i czy na pewno mówię to, czego ode mnie oczekują, czy wracam do zdrowia w taki sposób, w jaki tego oczekują, tak by wszyscy mogli uwierzyć, że wszystko jest okej i że mogą zająć się swoimi sprawami, ruszać dalej. Moi rodzice chcieli w to wierzyć, więc przez długi czas próbowałam przekonać ich, że tak, że jest okej. Próbowałam też przekonać samą siebie, ale w tym przypadku było znacznie trudniej, bo znałam prawdę. Nie było okej. Zdałam sobie sprawę, że tak czy inaczej będę czuła się beznadziejnie. Prawdopodobnie będę czuła się beznadziejnie już do końca życia, życia, którego właściwie już nie powinno być. Które powinno było puścić mnie wolno. Tak więc wściekłam się. A potem wściekłam się jeszcze bardziej. I dalej się wściekałam. A kiedy jesteś wściekła tak długo, to zaczynasz nienawidzić. Przestałam uzalać się nad sobą i zamiast tego znienawidziłam samą siebie. Żal był żaloszny, nienawiść ustawiła wszystko jak trzeba. Wzmocniła moje ciało i moje postanowienie. A postanowienie było następujące: muszę się zemścić. Nienawiść wydawała się niebywale zdrowa.

Nauczyłam się też, że nienawiść, chociaż dobra w wielu przypadkach, nie przysporzy ci zbyt wielu przyjaciół. Odwracam się od Sary i tej drugiej, która, okazuje się, ma na imię Piper. *Piper*. Obracam imię w głowie. Jest totalnie bezsensowne, pozbawione znaczenia, idealne dla kogoś takiego jak ona. Idę do jadalni i nie mam najmniejszych wątpliwości co do przyczyn tego, czemu z nikim się nie przyjaźnię.

Mimo obecności Sary i Piper, obiad i tym razem przebiega w miłej atmosferze. Rozmawiamy, no dobra, *oni* rozmawiają o podaniach do college'u, zjeździe absolwentów, przesłuchaniach do teatru i drastycznych zmianach w prawie podatkowym. To ostatnie dzięki uprzejmości pani Leighton, która jest dyplomowaną księgową. Trochę się wyłączam, bo zawilości prawa podatkowego pozostają raczej poza zasięgiem moich możliwości intelektualnych, potem jednak rozmowa schodzi na zajęcia z retoryki.

- W sobotę za dwa tygodnie mamy turniej - mówi Drew.

- Na jaki temat będziecie dyskutować? - pyta jego tata, dolewając sobie wina. Pani Leighton patrzy na butelkę z taką miną, jakby chciała mu ją wyrwać, ale pewnie jej nie wolno. Z powodu ciąży zapewne nie bierze do ust ani kropli. Ale rozumiem ją. Mam ochotę zrobić to samo.

- Nie wiem. Coś o konieczności oszczędnego gospodarowania surowcami. - Patrzy w moją stronę, a konkretnie na ubranie czy raczej brak tegoż, i dodaje: - Pan Trent polecił Nastyi pomóc mi przy zbieraniu materiałów, chciałem wybrać coś, co naprawdę ją interesuje.

W tym momencie Sarah dusi się tym, co akurat trzyma w ustach. Pan Leighton obraca wino w kieliszku, z taką miną, jakby wierzył w to, co powiedział Drew, i rozważał istotne argumenty w tym te-

macie. Piper chyba nie załapała. Kątem oka widzę, jak Josh zaciska szczęki, jedyny dowód na to, że siedzi przy tym samym stole i śledzi rozmowę. Nadal obserwuję, jak walczy ze sobą, by zachować spokój, gdy nagle rozlega się uderzenie - to czubek buta pani Leighton spotkał się z łydką Drew.

## Rozdział 17

### *Josh*

Tata zaczął uczyć mnie stolarki, kiedy miałem osiem lat, po śmierci mamy i siostry. Nie wiem, czy rzeczywiście chciał, czy też nie miał wyboru, bo uparcie za nim łąziłem. Ciągłe zaszywał się w garażu i musiałem chodzić tam za każdym razem, kiedy chciałem się z nim zobaczyć. W sumie mówił niewiele, ale podłapałem, ile się dało. Na początku głównie go obserwowałem i sporo nauczyłem się w ten sposób, ale w chwili, kiedy wziąłem narzędzia do ręki, uświadomiłem sobie, że tak naprawdę niewiele potrafię. Moim pierwszym dziełem był koślawy karmnik dla ptaków. Zrobiłem cztery, zanim osiągnąłem zadowalający rezultat. Zajmuję się stolarką od prawie dziesięciu lat i czasami nadal czuję, że gówno wiem.

Ciekawe, co Nastya z tego ma. Obserwuje uważnie, co robią inni podczas zajęć technicznych, ale sama nawet nie dotknęła gwoźdźcia od tego wypadku z młotkiem. Obserwuje mnie przy pracy co wieczór od dwóch tygodni. Nie udało mi się jej pozbyć, poddałem się. Wczoraj spróbowałem naprawdę brutalnej opcji. Stwierdziłem, że jeśli powiem jej, żeby wypierdalała, i to nie poskutkuje, to już nic nie poskutkuje, więc powiedziałem. Nie poskutkowało. Poszła sobie dopiero jakąś godzinę później.

Teraz znowu siedzi na swoim stałym miejscu, patrzy na mnie, więc to jest pewnie odpowiedź na moje pytanie. Jej nogi bez ustanku kołyszą się w przód i w tył, jakby się ze mnie nabijały. *Cha, cha, machamy sobie, a ty nie możesz nas wyrzucić. Zapomnij.* Nam wrażenie, że słyszę ten zaczepny śpiewny ton, jak z podwórka, na którym bawią się dzieciaki. Chcę im powiedzieć, żeby się zamknęły. Wyjmuję baterię z wiertarki, kładę ją na blacie i zastanawiam się...

- Po co ci te wszystkie piły?

Można by pomyśleć, że w takim momencie odwrócić się gwałtownie, totalnie zszokowany, ale jest raczej tak, jakbym od samego początku spodziewał się, że ona coś powie, i tylko zastanawiał się, co to będzie. Zapewniam, że przerobiłem w myślach niejeden scenariusz, ale w żadnym nie pytała o piły. Owszem, odwracam się, bo chcę na nią spojrzeć, ale o wiele wolniej, z większym opanowaniem, niż mógłbym przypuszczać.

- Służą do różnych celów, różnego rodzaju prac, różnych rodzajów drewna. To skomplikowane. Zajęłoby kilka godzin, gdybym miał o nich wszystkich opowiedzieć. - No dobra, może nie takie znowu skomplikowane. Wymagałoby jedynie rozwlekłego i nużącego wykładu, a w tym momencie nie mam ochoty zaprzętać sobie głowy piłami. Nie mogę uwierzyć, że rozmawiamy o piłach. Słowo „surrealistyczny” to stanowczo za mało.

- Chyba nic nie chcę, ale pójdę sobie, jeśli ty tego chcesz. - Dopiero po chwili dociera do mnie, że to jest odpowiedź na pytanie, które zadałem tydzień temu. Czyżby sprawdzała, czy mówiłem poważnie? Rozglądam się, szukam rękawicy, którą mi rzuciła, bo najwyraźniej ona oczekuje, że ją podniosę. Muszę zdecydować, czy naprawdę chcę, żeby sobie poszła, bo jestem pewien, że jeśli tym razem każę jej to zrobić, weźmie mnie za słowo.



Powinienem powiedzieć, że tak. Tak, kurwa. Próbuję pozbyć się ciebie od chwili, kiedy tu przylaziaś, ale to kłamstwo i oboje o tym wiemy. Jeszcze nie jestem gotowy, żeby dać jej odpowiedź, więc odpowiadam pytaniem. Mówi i chcę, by tak zostało. Jakaś część mnie podpowiada, że jeśli ona dzisiaj stąd wyjdzie, to pewnie już nie wróci, nieważne, co powiem, i już nigdy nie usłyszę ani słowa z jej ust. Ponownie stwierdzam, że przypomina ducha, i w każdej chwili może zniknąć.

- Kto jeszcze wie, że mówisz? - pytam, nie tylko po to, żeby coś jeszcze powiedziała, naprawdę chcę wiedzieć. Czy Drew wie i nic mi nie powiedział? Czy rozmawia z rodziną? Drew wspominał, że mieszka z ciotką - właściwie powiedział „z seksowną cioteczką” - ale nic więcej nie wiem.

- Nikt.

- Czy kiedyś mówiłaś? Wcześniej? -Tak.

- Powiesz mi, czemu przyjęłaś śluby milczenia?

- Nie - odpowiada, patrząc mi prosto w oczy. Żadne z nas nie odwraca wzroku. - A ty więcej o to nie spytasz. Nigdy.

- Okej. Nigdy więcej nie spytam. Zrozumiano - mówię rzeczowym tonem. - A dlaczego się na to zgodziłem?

- Nie zgodziłeś się.

- A czemu powinienem?

- Nie wiem, czy powinieneś.

- A więc nie zgodziłem się dochować twojego sekretu, a ty nie mówisz, dlaczego powinienem to zrobić. Masz niezbyt mocne argumenty. Dlaczego uważasz, że nikomu nie powiem?

- Bo wydaje mi się, że wcale nie chcesz. - W tym momencie wygrała, nawet jeśli jeszcze o tym nie wie. Ma rację. Nie chcę ni-

komu o tym mówić. Chcę zachować jej tajemnicę wyłącznie dla siebie, ale ona nie może o tym wiedzieć.

- Wiele ryzykujesz.

- Czyżby? - Przekrzywia głowę i przygląda mi się uważnie.

- Nie masz powodu, żeby mi ufać.

- Nie, ale i tak ci ufam - odpowiada, ruszając w stronę wyjścia.

- A ja mam niby zaufać tobie? - mówię do jej pleców. Ta dziewczyna naprawdę musi być stuknięta, skoro uważa, że może zjawiać się tu jak gdyby nigdy nic, a ja będę się na to godził.

Przystaje, odwraca się, patrzy mi prosto w oczy, a potem rusza dalej.

- Ty nie musisz mi ufać. Nie znam żadnego z twoich sekretów.

Wychodzi, zanim zdążyłem coś powiedzieć. Była tu tylko przez chwilę, ale w ciągu tych kilku minut wszystko się zmieniło. Może daje mi czas do namysłu, czy tego chcę, cokolwiek to jest. Jej tajemnica? Jej przyjaźń? Jej historia? Może nie chcę. Wiem na pewno, że nie powinienem chcieć i to może wpłynąć na moją decyzję.

Wiem o niej coś, czego nie wie nikt więcej. Nie miałem sekretów od wielu lat. Wszyscy znają moją historię. Matka i siostra giną w wypadku. *Tragedia*. Ojciec dostaje zawału serca. *Umiera*. Babcia walczy z rakiem jajników. *Przegrywa*. Rok później dziadek również wygrywa los na tej samej loterii. Nie wiem, czyja też niedługo umrę, czy jednak będę żył, jako jedyny ocalony.

Nikommu o niej nie powiem. Tyle wiem na pewno. Setki pytań tworzy się w mojej głowie, a jedno powraca raz po raz: *Dlaczego ja?* To oczywiste pytanie, pytanie, które dręczy mnie jeszcze wiele godzin po jej odejściu. Ale nie zadam go, bo niezależnie od tego, jak brzmiałaby odpowiedź, nie chcę jej. To nieistotne.

Minęło kilka dni. Myślałem, że przyjdzie następnego wieczoru, ale nie przyszła. Jeszcze następnego też nie. Ani następnego. Co dzień widuję ją w szkole, ale nawet nie spojrzała w moim kierunku. Zaczynam myśleć, że wyobraziłem sobie to wszystko. Może w tym scenariuszu to ja dostałem rolę świra? Przez kilka dni usiłowałem przekonać samego siebie, jak bardzo się cieszę, że ona już nie przychodzi. W końcu właśnie tego chciałem. Użyłem różnych argumentów. Okazały się niezbyt skuteczne.

Nie widziałem się z nią nawet na obiedzie u Leightonów. Leigh przyjechała na weekend. Teoretycznie to powinno wszystko ułatwić, ale chyba tylko utrudniło.

- Nie masz akcentu.

To pierwsze, co mówię, kiedy w końcu przychodzi, dokładnie tydzień po tym, jak się do mnie odezwała. -Nie.

- Myślałem, że masz. No wiesz, imię. - Nie mogę ścierpieć tego imienia. W ogóle do niej nie pasuje. Ale chyba nic w niej do niczego nie pasuje. Zastanawia się przez chwilę i już mi się wydaje, że odpowie, ale nie odpowiada. Tylko chodzi po garażu, dotyka narzędzi, przesuwa dłonią po fragmentach nieskończonych mebli. Zaczyna mnie to wkurzać.

- Jesteś Rosjanką? - pytam, w nadziei, że oderwę ją od tego fascynującego zajęcia.

- Mogłeś zadawać pytania poprzednim razem. Dzisiaj moja kolej. - Nie opowiedziała na moje pytanie, ale przynajmniej chwilowo osiągnąłem zamierzony skutek.

- Nie przypominam sobie, że bym umawiał się na coś takiego.

- Nie przypominam sobie, że bym dawała ci możliwość wyboru. - Znowu krąży dokoła. Przygląda się. Mam ochotę złapać się

za krocze, sprawdzić, czy moje jaja nadal tam są, bo możliwe, że leżą w jej kieszeni i powinienem je stamtąd wyjąć. Przez jakiś czas było to bardzo zabawne, inne i intrygujące, ale już nie jest. Znosić jej obecność tutaj to jedno, ale jeśli teraz zaczną się przesłuchania i dziewczynska psychoanaliza, to ja wysiadam.

- Wiesz, kto lubi mówić? Drew. Może pójdziesz do niego, na pewno bardzo by się ucieszył. - Muszę odejść gdzieś dalej. Udaję, że potrzebuję czegoś ze skrzyni z narzędziami, stojącej na drugim końcu garażu. Siada wygodnie na blacie, jej nogi natychmiast zaczynają się kołysać.

- Myślę, że wolałby wykorzystać moje usta do innych celów. -W jej głosie nie ma ani śladu kokieterii czy dwuznaczności. Mówi to tak, jakby wspominała, że ma pomóc Drew w matematyce.

- Naprawdę to powiedziałaś?

- Chyba tak - rzuca obojętnie.

- No, w takim wypadku cieszyłby się przez cały tydzień.

- Gdybym chciała, to cieszyłby się przez rok. - Co za pewność siebie. Zastanawiam się, czy ma ku temu podstawy. Ale nie powinienem się nad tym zastanawiać. Nadal kołysze nogami, doprowadza mnie to do szału.

- A chciałabyś? - Nie o to miałem zamiar zapytać. Ciekawe, czy bardzo by bolało, gdybym odgryzł sobie język.

- To ja zadaję pytania.

- Na pewno nie mnie. -*Aha*.

- Mieszkasz sam? - Chwilę to trwało. -Tak.

- Dlaczego uzyskałeś samodzielność?

- Z konieczności.

- Czy to trudne?

-Co?

- Czy trudno jest uzyskać samodzielność?

- Nie. Żenująco łatwo.

Nie odpowiada od razu, co, o ironio, teraz wydaje się niezwykle. Spoglądam na nią i widzę, że na mnie patrzy. -Co?

- Próbuję zrozumieć, czy to był sarkazm.

- Nie, serio, naprawdę żenująco łatwo. Liczą się właściwie dwie rzeczy. Wiek i pieniądze. A tak naprawdę głównie pieniądze. Myślę, że nawet dwunastolatek mógłby uzyskać samodzielność, gdyby tylko władze miały pewność, że nie będzie ich kosztował ani centa.

- Ale co musiałeś zrobić? - Jeżeli zamierza zadawać mi tego typu pytania, to jakoś przeżyję. Odpowiem na wszystkie, jeśli tylko będzie trzymała się z dala od spraw prywatnych. Mieszka z ciotką. Może chce uzyskać samodzielność, chociaż pewnie wkrótce skończy osiemnaście lat, więc nie widzę większego sensu. Dziadek i ja zajęliśmy się tą sprawą rok temu, zaraz po tym, jak dowiedział się, że jest chory.

- Wypełniasz kilka papierków, dostarczasz dokumenty, potwierdzające, że masz co najmniej szesnaście lat i posiadasz środki finansowe, wystarczające, by samodzielnie się utrzymać. Jeszcze tylko podpis opiekuna prawnego, szybkie przesłuchanie i sprawa załatwiona.

Kiwa głową, jakby to wyjaśnienie ją zadowalało. Nie pyta o pieniądze. Może jednak nie jest całkiem pozbawiona oglądy towarzyskiej.

- A kto był twoim opiekunem? - Interesujące pytanie, ale ja nie zamierzam otworzyć tych drzwi. Niech zapyta kogoś innego.

Wszyscy znają moją historię. Na razie jednak chyba nic mi nie grozi. Dowie się, pewnie wcześniej niż później. Nie łudzę się, na pewno tak będzie, ale na razie cieszę się, że istnieje ktoś, kto nie zna mojej tragicznej story. Przynajmniej przez chwilę.

- A czemu pytasz?

- Tak się zastanawiałam, czy może to ta osoba zaprosiła cię do siebie w niedzielę. Drew powiedział, że masz spotkanie i nie przyjdiesz. - Owszem, miałem spotkanie, ale z całą pewnością nie z dziadkiem. Nie zamierzam jednak mówić tej dziewczynie o Leigh. Ani teraz, ani potem.

- Znajomy przyjechał. - Oczekuję kolejnego ataku, ale nie. Sam chętnie zadałbym jej kilka pytań, mam jednak wrażenie, że na dziś skończyła z gadaniem, boję się, że jeśli pociągnę tę rozmowę, przyjdzie mi tego żałować.

Po jakichś dziesięciu minutach, wypełnionych ciszą i huśtaniem nogami, znowu zaczyna zadawać pytania. Zaskakują mnie, ale w tej dziewczynie wszystko mnie zaskakuje. Nie mam nic przeciwko takim pytaniom. Dotyczą narzędzi, drewna i stolarki. Nie wiem, ile jest tych pytań, ale pod koniec chrypnie mi gardło.

Kiedy zeskakuje z blatu - sygnał oznaczający *wychodzę* - mówię głośno to, o czym myślałem przez cały wieczór.

- Jesteś inna, niż przypuszczałem. - Łapię jej spojrzenie. Wygląda na nieco zaskoczoną i znacznie bardziej zaciekawioną, niż chciałaby po sobie pokazać.

- A przypuszczałeś, że jaka jestem?

- Cicha.

## Rozdział 18

### *Nastya*

Głos mojej matki. Pierwsze, co usłyszałam, kiedy otworzyłam oczy. *Córeczko. Wróciłaś do nas.* Myliła się.

Jeśli Edna St. Vincent Millay miała rację i dzieciństwo jest krainą, w której nikt nie umiera, moje dzieciństwo skończyło się, kiedy miałam piętnaście lat. To chyba więcej, niż dostał Josh, bo z tego, co dowiedziałam się od Drew, dzieciństwo Josha skończyło się, kiedy miał lat osiem. Nic więcej nie wiem, nie zadaję Joshowi pytań, na jakie sama nie jestem gotowa.

W ten weekend muszę pojechać do domu. Mama spodziewała się mnie już miesiąc temu. Dziwne, że jeszcze jej tu nie ma. Charlotte Ward zwykle nie czeka, jeśli czegoś chce.

Niewiele rzeczy muszę zabrać ze sobą. Prawie wszystkie moje stare ubrania zostały w domu. Będę widziała się tylko z rodziną i terapeutą, więc stylówkę rodem z Alei Sław zostawiam u Margot, co znaczy, że przynajmniej przez kilka dni moje stopy będą szczęśliwe. W piątek nie idę do szkoły, żeby zdążyć do Brighton na umówioną wizytę u terapeuty. Najpierw myślałam, żeby

powiedzieć Joshowi, ale w końcu nie powiedziałam, z wielu powodów, przede wszystkim dlatego, że nie mam wobec niego żadnych zobowiązań. Pewnie mogłabym zdążyć na niedzielny obiad o osiemnastej, ale chyba najlepiej będzie w tym tygodniu się wywinąć.

Kiedy wchodzę do wnętrza budynku w wiktoriańskim stylu, w którym dorastałam, totalnie niepasującego do otoczenia, czuję, że wróciłam do domu. To uczucie trwa zaledwie chwilę. Nie jest prawdziwe. Chciałabym raz w życiu wrócić do domu, chciałabym, żeby dom był tym, czym był wcześniej. A może to tylko moja wyobraźnia tworzy obraz jakiegoś beztroskiego czasu, może on istnieje w mojej pamięci, a tak naprawdę nigdy nie istniał.

Mama siedzi przy stole w jadalni, którego używaliśmy tylko podczas świąt. Wszędzie dokoła porozkładała odbitki próbne. Mama pracuje jako fotograf, zabawna sprawa, bo jest niesamowicie piękna, a nigdy nie ma jej na zdjęciach, zawsze to ona robi zdjęcia. Pracuje jako wolny strzelec, ale nigdy nie brakuje jej zleceń, jest naprawdę dobra, co znaczy, że może stawiać warunki, brać te zlecenia, które jej odpowiadają. Ściany mojej sypialni zawsze były pokryte jej zdjęciami. Moimi ulubionymi. Siadywałam z nią przy stole, oglądałam odbitki i wybierałam te, które zwróciły moją uwagę. Zawsze znajdowałam jakąś fotografię, która szczególnie do mnie przemawiała, wskazywałam ją i mama robiła dla mnie kopię. To był nasz rytuał. Nie pamiętam ostatniego zdjęcia, które wybrałam. Mogłabym teraz podejść do niej, usiąść i wybrać któreś, ale tego nie robię. Teraz ściany pokrywa nowa tapeta.

Na mój widok natychmiast zrywa się z krzesła. Trzy kroki i już jest przy mnie, obejmuje mnie. Odwzajemniam uścisk, bo wiem, że tego potrzebuje, nawet jeśli ja nie. Jest inaczej niż w przypad-



ku pani Leighton, ale nie w takim sensie, jaki wydaje się oczywisty. Znacznie bardziej niezręcznie. Odsuwa się i widzę wyraz jej oczu, do którego tak się przyzwyczaiałam, który widziałam tysiące razy przez ostatnie trzy lata. Wzrok osoby, która wygląda przez okno, czekając na kogoś, kto, jak wie, nigdy nie wróci do domu.

Nie tylko ja nie jestem już tym, kim byłam. Nikt z nas nie jest. Żałuję, że nie mogę tego zmienić, że nie mogę dać im tego, co, jak wierzyli, odzyskali w dniu, kiedy odnaleźli mnie żywą, a nie martwą. Kto wie, jacy bylibyśmy teraz, gdyby moja matka mogła obserwować, jak odchodzę powoli? Tak czy inaczej straciłaby tamtą małą dziewczynkę, tylko później i stopniowo. Nie w taki sposób, w jaki to się stało - za jednym zamachem, brutalnie. Nawet gdyby to się nie wydarzyło, dziecięca część mnie w końcu by znikła. Niepostrzeżenie. Po prostu dorosłam za szybko i za bardzo. W mgnieniu oka.

A ona nie była przygotowana na rozstanie.

Ratuje mnie Asher, mój brat, który w tym momencie zbiega ze schodów. Jest rok młodszy ode mnie i jakieś pół metra wyższy. Chwyta mnie w niedźwiedzim uścisku i podnosi. Chyba z pięćdziesiąt razy zostawiałam mu karteczki z wiadomością, że nie znoszę, kiedy ktoś mnie dotyka, ale on widocznie ich nie czytał albo ma to gdzieś. Jeśli o mnie chodzi, nie stosuje się do żadnych reguł i nie przestrzega wyznaczonych granic. Co rodziców martwi, a mnie wkurza tak, jak tylko potrafi wkurzyć rodzeństwo. Asher wchodzi mi na głowę, a ja na to pozwalam. Tylko jemu. Tylko on nie boi się, że mnie utraci, czy odepchnie, bo wie, że i tak pewnie nic się nie zmieni i nie ma nic do stracenia.

Za godzinę mam być na terapii. Asher mówi, że mnie zawiezie. Wzruszam ramionami. Potrafię prowadzić, ale jestem umó-

wioną na trzecią trzydzieści, to moja godzina duchów, więc chętnie przyjmę towarzystwo, poza tym stęskniłam się za nim. Jest moim młodszym bratem, ale chyba nie zdaje sobie z tego sprawy. Zrobiłby wszystko, gdyby tylko mógł coś zmienić i przypuszczam, że czuje się beznadziejnie, bo nie może.

Podczas jazdy opowiada mi o szkole. Jest w przedostatniej klasie i ma mnóstwo znajomych. Gwarantuje to granie w futbol, w przeciwieństwie do grania na fortepianie. Spotyka się z dziewczyną, imieniem Addison. Mam ochotę powiedzieć mu, że jej imię znaczy, niestety, „syn Adama”. Pewnie i tak by się nie przejął, bo twierdzi że jest „gorąca, aż parzy”, chociaż coś czuję, że to nie wszystko. Może sobie mówić, co chce, żeby ocalić twarz, ale znam go i wiem, że wysoka temperatura wystarcza tylko do pewnego momentu, prócz formy dziewczyna musi posiadać też jakąś treść. Nie ma powodów do obaw. Na pewno nie nazwę go palantem. Jest dosyć palantów na świecie. Cieszę się, że mój brat do nich nie należy. W tym roku ma dwa przedmioty zaawansowane, czyli dwa razy więcej niż ja, za kilka tygodni przystępuje do testów i zakuwa jak szalony, powiedział, że mogę pomóc mu przez weekend, jeśli chcę. Nie wiem, na czym ta pomoc miałaby polegać, ale obawiam się, że moje milczenie raczej ją uniemożliwia, więc musi sobie radzić sam. Podczas piętnastominutowej jazdy przerabiam siedem ostatnich tygodni z nieskomplikowanego życia Ashera Warda. Nic dziwnego, że jego imię oznacza „błogosławiony”.

Chodzę na terapię, chociaż nic nie mówię podczas sesji, ale dzięki temu nikt się nie czepia. Nie wiem, co dobrego miałyby wynikać z nieregularnych wizyt u terapeuty, ale w ten sposób pokazuję, że się staram. To nieprawda. Staram się tylko robić to, co konieczne, by zostawili mnie w spokoju.

Jestem ekspertką w dziedzinie różnych rodzajów terapii. Tyle że nie potrafię sprawić, by zaczęły działać. Rodzice zapisali mnie na terapię, kiedy jeszcze leżałam w szpitalu, co jest bardzo zalecanym sposobem postępowania w przypadku, kiedy twoja piętnastoletnia córka nagle trafia w szpony demona, po czym wraca do świata żywych.

Chodziłam na terapię wystarczająco długo, wiem, że nie ponoszę winy za to, co się stało. Nie prosiłam o to ani na to nie zasłużyłam. Ale przez to jest chyba jeszcze gorzej. Może nie winię się za to, co mnie spotkało, ale kiedy mówią ci, że coś wydarzyło się zupełnie przypadkowo, zarazem mówią ci coś jeszcze. Mianowicie, że wszelkie twoje działania nie mają najmniejszego znaczenia. Nie ma znaczenia, czy postępujesz odpowiednio, czy ubierasz się odpowiednio, zachowujesz się odpowiednio i przestrzegasz zasad, bo zło i tak cię dopadnie. Zło jest bardzo przedsiębiorcze i zaradne.

Kiedy zło mnie dopadło, miałam na sobie różową jedwabną bluzkę z perłowymi guzikami i białą spódnicę do kolan, szłam do szkoły, nagrać sonatę Haydna na przesłuchanie do konserwatorium. Najsmutniejsze jest to, że wcale nie musiałam. Nagrałam ją już wcześniej, wraz z etiudą Szopena, preludium i fugą Bacha, nie byłam jednak do końca zadowolona z rezultatu i chciałam powtórzyć nagranie. Może gdybym potrafiła przeżyć tę drobną niedoskonałość, teraz nie musiałabym żyć z niedoskonałością znacznie większych rozmiarów.

Tak czy inaczej, nie robiłam nic złego. Był środek słonecznego dnia, a nie ciemna noc. Nie wagarowałam, nie uciekłam z domu. Szłam dokładnie tam, dokąd miałam iść, znajdowałam się w odpowiednim miejscu i czasie. On mnie nie ścigał. Nawet mnie nie znał.

Mówią ci, że to był przypadek, byś pozbyła się poczucia winy. Ale tak naprawdę mówią, że nie masz kontroli nad swoim życiem, a skoro nie masz kontroli, to znaczy, że jesteś całkowicie bezsilna. Wolałabym ponosić winę.

Chodzę też na spotkania grupy wsparcia, nienawidziłam ich od początku, nawet kiedy jeszcze mówiłam. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, w jaki sposób słuchanie o cudzych tragediach miałyby poprawić mi nastrój. Wszyscy siedzą w kółeczku i lamentują nad nieszczęściami, które przypadły im w udziale. Może po prostu nie jestem sadystką. Nie czuję się lepiej, kiedy patrzę na innych ludzi, unicestwionych podobnie jak ja. Te spotkania nie dają mi poczucia bezpieczeństwa. Jedyne poczucie beznadziei, a beznadziei mam dosyć swojej własnej.

Poza tym, kiedy nie mówisz, członkowie takiej grupy zaczynają traktować cię trochę wrogo. Jakbyś kradła cudzy ból, brała, ale nic nie dawała w zamian. Patrzą na mnie jak na złodziejkę. Któregoś razu blondynka imieniem Esta - nie mogłam znaleźć znaczenia, poza hiszpańskim słowem, oznaczającym „to” - powiedziała mi, że mam „się ogarnąć albo zamknąć”. Nie bardzo wiedziałam, jak zareagować, ale żałowałam, że nie mówię, bo zapytałabym, co pali. Potem dowiedziałam się, że ugodziła ją nożem własna matka, i już nie miałam ochoty robić sobie z niej żartów.

Słuchałam o gwałtach, ranach postrzałowych, zbrodniach nienawiści, wysłuchiwałam historii ludzi, którzy znali napastników i ludzi, którzy ich nie znali, ludzi, których oprawcy zostali ukarani i takich, których nie zostali. Nie znajduję w tym żadnej pociechy. Jeśli wycieczka do cudzych koszmarnych snów ma poprawić mi humor, to wolę czuć się beznadziejnie. I nie sądzę, żeby im dała coś moja opowieść. Poza tym ja w ogóle nie mam prawa do żadnej opowieści.

I tak było co tydzień. Siadywałam w kółku razem z innymi ludźmi, którzy przeszli przez taki sam syf, jak ja i patrzyli na mnie takim wzrokiem, jakbym wepchała się do klubu, nie płacąc składki. Chciałam wrzeszczeć, wykrzyczeć, że zapłaciłam nie mniej niż wszyscy inni w tym pokoju, tylko że nie mam ochoty wymachiwać pokwitowaniem.

Na dzisiejszym spotkaniu terapeutka nie rozmawia ze mną o poczuciu winy. Mówi o mówieniu. Chciałabym powiedzieć, że słucham, ale głównie myślę o tym, jak ulepszyć przepis na ciasto beżowe i technikę ciosów w kickboxingu.

W drodze do domu następuje to, czego się spodziewałam.

- Mama nadal ma nadzieję, że wrócisz. - Mówiąc to, Asher na mnie nie patrzy. Nie wiem, czy ma na myśli powrót do domu czy po prostu powrót. - Ale ty nie wrócisz. - To nie jest pytanie. Potem robi się jeszcze lepiej. - Chcą, żebyś jeszcze raz porozmawiała z oficerem Martinem. - Oczywiście, to Ash dostał za zadanie podłożyć bombę. Wiem, że tego nienawidzi, ale jakoś tak wyszło, że to on gra rolę negocjatora. - Przyjdzie do nas, jeśli chcesz, żebyś nie musiała chodzić na komendę. Chcą pokazać ci kilka zdjęć. Wiedzą, że nic nie pamiętasz, ale i tak chcą, żebyś na nie spojrzała, może pod ich wpływem odświeży ci się pamięć.

Patrzę za okno, żebym nie musiała patrzeć na jego twarz i okłamywać go za pomocą milczenia. Nie potrzebuję odświezaczy pamięci. Pamięć mnie nie zawodzi. Pamiętam wszystko.

Każdy szczegół.

Każdej nocy.

Od czterystu siedemdziesięciu trzech nocy.

W sobotę spotykam się z oficerem Martin. Patrę na zdjęcia. Na rysunki. Potrząsam głową. Nie ma go tu. Jak zwykle. Nie wiedzą, kogo szukać. Policjantka daje nam kolejną wizytówkę. Nie wiem, ile takich już mamy.

Powinam powiedzieć. Wiem, że powinam. Ale on jest mój. Nie chcę, żeby mi umknął. Chcę, żeby zapłacił, i sama chcę zdecydować jak.

W niedzielę rano tata robi naleśniki na śniadanie, zgodnie z rodzinną tradycją. Kiedy schodzę na dół, wita mnie zapach smażonego boczku, wiem że da się wyczuć w domu jeszcze przez parę dni. Mnie już tutaj wtedy nie będzie, ale będzie ten zapach.

Asher zjawia się w spodenkach do pływania, bez koszulki, mama natychmiast wysyła go z powrotem na górę. Jęczy, ale posłusznie idzie po ubranie. Wybiera się na plażę ze słynną Addison Hartley, która ma przyjechać po niego za niecałą godzinę. Muszę przyznać, że chętnie poznam dziewczynę, z której powodu mój brat udaje, że wcale nie zachowuje się jak zakochany idiota. Cieszę się też z jego powodu, bo wycieczka na plażę w towarzystwie osoby, w której jesteś idiotycznie zakochany, jest absolutnie i cudownie normalna. Proponuje, żebym z nimi poszła, ale ja potrząsam głową.

- Chodź z nami. Będzie fajnie - próbuje mnie namawiać. Na pewno byłoby fajnie, gdyby szli tylko Asher z dziewczyną. Mimo przerażającej bledości mojej skóry, mogłabym rozważyć tę propozycję, gdyby nie to, że będą tam też inne osoby. Wyjechałam z Brighton, ale nadal mnie tu pamiętają. Znowu potrząsam głową.

- Idź. Będą wszyscy twoi przyjaciele - mówi mama z nadzieją. Ciężko patrzeć na jej twarz, gdy maluje się na niej nadzieja, a ty zaraz tę nadzieję zabijesz. Nie wiem, gdzie bardziej się myli: czy myśląc, że to decydujący argument, czy też myśląc, że mam tutaj

jakichś przyjaciół. Jedyni przyjaciele z mojej przeszłości zapewne spędzają dzisiejszy dzień w towarzystwie jakiegoś instrumentu muzycznego i na pewno nie biegają półnago po plaży.

- Nie ma powodu, żebyś nie poszła, Mil... - Tata urywa. Jasne, tato, nie ma powodu, może poza tym, że przez cały czas musiałabym mieć na sobie koszulkę, żeby nie pokazywać blizn, oraz znosić setki pytań, na które nie odpowiadałabym nawet, gdybym mówiła. Z dwojga złego wolałabym już, żeby nabili mnie na pal.

Gdybym musiała wybrać, dla kogo z nas ta cała sytuacja jest najtrudniejsza, to powiedziałabym, że dla taty. Tata to cichy morderca. Miły, opiekuńczy, ale w razie potrzeby potrafiłby zabić, by nas ochronić. Jest dokładnie taki, jaki powinien być ojciec. Problem polega na tym, że mnie nie ochronił. Ponieważ nie mógł. Nikt nie mógł. Ale wydaje mi się, że on nie patrzy na to w ten sposób.

- Czasem musisz wyjść do ludzi - podejmuje. Wyczuwam, że zbliża się wykład pod tytułem: „nie ma wykrętów”. Asher i ja nigdy nie mieliśmy prawa do wykrętów, nawet teraz. Mam wrażenie, że mówi o czymś więcej niż wyprawa na plażę. - Nie miałaś wyboru, nie mogłaś zapobiec temu, co ci się przydarzyło. My też nie. Ale teraz masz wybór. My nie. To ty decydujesz, a my siedzimy na ławce rezerwowych i możemy tylko patrzeć, nawet jeśli raz po raz podejmujesz złe kroki. - Aha, wkraczamy w sferę metafory sportowej. - Nie zamierzamy zmuszać cię do niczego, na co sama nie jesteś gotowa. Już i tak zmusiliśmy cię do wielu rzeczy. Ale sama musisz zdecydować, jak długo to będzie determinować twoje życie.

Moi rodzice chyba dostrzegli, że strzelili sobie w stopę, podkreślając nieustannie, że Asher i ja sami podejmujemy decyzje,

odpowiadamy za nie i ponosimy ich konsekwencje. Nie mogą tego cofnąć. A teraz muszą patrzeć, jak podejmuję wszystkie decyzje, dobre i złe, i ponoszę ich skutki, bo tak mnie nauczyli.

Ich strategia sprawdzała się, kiedy byłam małą pianistką z Brighton. Wtedy podejmowałam tylko słuszne decyzje. Wtedy wybierałam to, co oni by wybrali. Poddałam się temu strumieniowi, pozwoliłam, by kształtował mnie jak kamień, który woda wygładza tak długo, aż przybierze idealny kształt. I wtedy wyciągnięto mnie z wody i rozbito na tysiące kawałków, których nie potrafię poskładać z powrotem. Nie wiem, dokąd zmierzają. I brakuje tyłu, że te, które ocalały, nie pasują do siebie.

Chyba zostanę w kawałkach. Mogę je wymieniać, układać na nowo, zależnie od dnia, zależnie od potrzeby.

Siedzimy przy stole i zajadamy naleśniki z gotowego miksru. Nawet Asher się nie odzywa. Po śniadaniu idę do swojego pokoju i szukam kolejnych imion, które mogłabym przyczepić na ścianie. Widzę z okna Addison, ale nie schodzę. Nigdy się nie poznamy, ale Asher ma rację, rzeczywiście jest gorąca, aż parzy.

W niedzielne popołudnie, tuż po piątej, wsiałam do samochodu. Wszyscy mnie odprowadzają. Mama przypomina, bym wysłała jej esemes, że dotarłam bezpiecznie. Tata obejmuje mnie, potem zamyka drzwi mojego, teraz bardzo czystego samochodu - dzień wcześniej kazał go umyć Asherowi. Blokuję zamek, wyłączam radio i ruszam.

Wizyty w domu to prawdziwy szok kulturowy. Inny dom, inna twarz, inne ubrania, inne imię. Taka sama narzuta. Czasami myślę sobie, że chętnie wsadziłabym Ashera do pudełka i zabrała ze sobą do Margot. Ale wtedy dowiedziałby się, jak tam żyję.



Skutki tego byłyby raczej marne, znów musiałabym zmierzyć się z rozczarowaniem i straconymi nadziejami, czyli tym, przed czym uciekłam, wyprowadzając się z domu. A kiedy już by mnie rozpoznał w krzyżówce Śnieżki z modelką Victoria's Secret, pewnie próbowałby sprać każdego biedaka, który śmiałby zawiesić na mnie oko.

Dotrę na miejsce około siódmej. Specjalnie tak to zaplanowałam, żeby nie mieć dylematu, czy pójść na obiad do Drew, czy nie. Zaczynam mieć wyrzuty sumienia, że żadne z nas, ani Josh, ani ja, nie powiedziało mu, że spędzamy ze sobą tyle czasu. Nie dlatego, że nie chcę, by się dowiedział, chyba wreszcie dotarło do niego, że nie ma takiej ilości alkoholu, która potrafiłaby sprawić, że pójdę z nim do łóżka, więc nie o to chodzi. Chodzi o to, że nieuchronnie zacząłby się zastanawiać, jak to możliwe, że spędzamy ze sobą tyle czasu, skoro ja nie mówię, a nawet jeśli jego podejrzenia byłyby nieuzasadnione, to i tak wolałabym ich uniknąć. Poza tym, jeśli mam być szczerą, chwile w garażu Josha, z dala od szkoły, Margot i całej reszty, należą wyłącznie do mnie. Na razie nie chcę z nikim się nimi dzielić. Wygląda na to, że Josh też nic nie powiedział.

## Rozdział 19

### *Josh*

- Nastya nie przyjdzie dzisiaj na obiad. Prosiła, żebym podrzuciła to po drodze do pracy. - Stojąca w drzwiach blondynka wręcza naprawdę imponujące, starannie ozdobione ciasto. Widzę niebieski wzorek na brzegu talerza. Poprzednim razem, kiedy widziałem ten talerz, leżał przed moimi drzwiami, przykryty górą ciasteczek.

- Prosiła? - pytam sceptycznie. Rozmawia z innymi, a mnie okłamuje? Nie wiem dlaczego, ale jakoś mnie to rusza. Bardzo.

- Zostawiła mi kartkę, na której napisała *Podrzucić. Niedziela 17.45.*, pod spodem był ten adres. A na samym dole słowo proszę. Najdłuższy komunikat, jakim zaszczyliła mnie od wielu lat.

- W jej głosie pobrzmiewa irytacja. Chyba nie ma ochoty się tłumaczyć.

- Okej. Dzięki. - Biorę od niej ciasto. Patrzy na mnie, jakby na coś czekała.

-Kim jesteś? - pyta.

- Josh Bennett. -A ty?

- Mogę wejść?

Mocno dziwi mnie ta prośba, ale nie chcę wyjść na nieuprzejmego. Spoglądam na nią jeszcze raz. Jest bardzo szczupła, opalona, ma jasne włosy i ani odrobinę nie przypomina seryjnej morderczynie. Nastya też nie, ale domyślam się, że to jej ciotka, otwieram szerzej drzwi i wpuszczam ją. Nie wiem, czego może chcieć ode mnie, chyba że Nastya pogrywa ze mną znacznie poważniej, niż przypuszczałem, i ta kobieta wie o rzeczach, o których ja nie mam pojęcia.

- Margot Travers. Nastya u mnie mieszka. - Wyciąga rękę. W odpowiedzi unoszę ciasto. - Przejdę od razu do rzeczy, bo spieszę się do pracy, poza tym, szczerze, owijanie w bawełnę nie jest w moim stylu. - *Okej.* - Nawet gdybym nie musiała przywozić ciasta, i tak zjawiałabym się tutaj w ten weekend, bo jestem bardzo ciekawa, co się dzieje. - Nie wiem, czy jestem bardziej zdenerwowany czy zaciekawiony, w każdym razie słucham uważnie. - W telefonie Nastyi jest traker. - Przerzywa na chwilę, pewnie daje mi szansę, żebym zareagował. Nie korzystam. - Czasami go sprawdzam, kilka tygodni temu pokazał się ten adres, więc zaczęłam sprawdzać częściej i wiesz, co odkryłam? - Jasne, że wiem, i ty wiesz, że wiem. Pytasz dla dramatycznego efektu, zaraz i tak mi powiesz. - Ten adres pokazywał się wiele, wiele razy, o dziewiątej, dziesiątej, jedenastej wieczorem. Czasem o północy. - Zgadza się. Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam. Niech mówi dalej, odezwę się, kiedy zapyta mnie o coś bezpośrednio. I pyta. - Czy jest coś, o czym chciałbyś mi powiedzieć?

- Czy jest coś, o czym chciałaby pani wiedzieć? - Teraz następuje pojedynek na spojrzenia.

- Co się dzieje?

- Czemu jej pani nie spyta?

Patrzy na mnie, jakby chciała powiedzieć *aha, jasne.*

- Ona ze mną nie rozmawia.

Za każdym razem, kiedy kończy zdanie, przesuwa wzrokiem dokoła, jakby szukała kolekcji pornosów albo wejścia do tajnej wytwórni amfetaminy. Chyba powinienem się obrazić, ta kobieta niemal rzuca Nastę w ramiona kogoś takiego jak Drew, a mnie zmusza do składania zeznań. Cóż, może dlatego, że Drew zapukał grzecznie do drzwi i zaprosił Nastę na niedzielny obiad w rodzinnym gronie, a ja pozwalałam jej koczować w swoim garażu, w środku nocy i bez przyzwotki.

- A czemu ja miałbym rozmawiać? - mówię. Zachowuję się jak dziecko. Nagle jednak zdaję sobie sprawę, o co ona tak naprawdę pyta, co tak naprawdę chce wiedzieć. Tej kobiety nie interesuje, czyjej siostrzenica przychodzi tutaj uprawiać ze mną seks. Ona chce wiedzieć, czy Nastya ze mną rozmawia. Biorę głęboki wdech. Chcę to zakończyć, jeśli dam jej jakąś odpowiedź, może się odczepi. Poza tym odnoszę wrażenie, że zaraz zacznie mówić o zasadach albo mi grozić, a ja nie toleruję takich rzeczy. Może i nie podoba mi się, że Nastya przesiaduje w moim garażu, ale nikt nie będzie za mnie decydował. Mogę dać jej odpowiedź, ale ze względu na siebie, nie na nią.

- Chodzimy razem na zajęcia techniczne. Jest w tyle za resztą grupy, więc przychodzi tu wieczorami, po joggingu, i obserwuje mnie przy pracy.

Patrzy na mnie, długo, już zaczynam się zastanawiać, co odpowie.

- I to wszystko? - Wydaje się rozczarowana. Mruży oczy i dodaje: - A twoi rodzice nie mają nic przeciwko?

- Ani trochę. - To nie jest kłamstwo. Nie do końca.

- Gdzie Nastya? - wita mnie tata Drew, ledwo przestąpiłem próg. Sekundę później zjawia się mama. Gra muzyka, słyszę, że dzisiaj kolej Sary. Wolałbym słuchać wycia piły tarczowej, ale zasady panujące w tym domu nie pozwalają obrażać cudzych gustów.

- Nastya nie przyjdzie? - pyta pani Leighton, szczerze rozczarowana, biorąc ode mnie ciasto. - To skąd ciasto?

- Jej ciotka przywiozła je dzisiaj po południu, powiedziała, że Nastya ją prosiła.

- Najmilsza dziewczyna na świecie! - wykrzykuje pani Leighton, zabierając ciasto do kuchni. Nie wiem, czy istnieje jeszcze jakiś człowiek, skłonny określić Nastyę w ten sposób, zastanawiam się też, czy pani Leighton widzi coś, czego my nie widzimy.

Tej niedzieli siadamy do obiadu w piątkę, jak tyle razy wcześniej. Nie rozmawiamy o Nastyi aż do deseru, kiedy na stół wjeżdża ciasto.

- Jest walnięta - mówi Sarah, zadowolona, że wreszcie ma okazję ją obgadać. Patrzy przy tym na mnie, a ja odwracam wzrok, bo mnie wkurwia.

- Saro, zrozum, że nie wszystkim jest łatwo w życiu. Niektórzy mają problemy, powinnaś nauczyć się współczuć innym, a nie z góry oceniać. - Pani Leighton przebija ją wzrokiem, który przez te wszystkie lata trzymał naszą trójkę w karchach. Czwórkę, jeśli liczyć również pana Leightona.

-To dlatego ją zapraszacie? -Dupa. Zastanawiam się, czy w moim głosie słychać, jaki jestem wkurzony.

- Nie, naprawdę ją lubimy. - Pani Leighton wydaje się zdziwiona pytaniem. Jej słowa brzmią szczerze, ale właśnie ta szczerłość mnie wkurza. Zanim zdążę coś powiedzieć, Sarah otwiera swój suchy pysk i ratuje mnie przede mną samym, nawet jeśli tylko na chwilę.

- Mów za siebie.
- Zamknij się, debilko. - Drew zapewne wypowiada te słowa jakieś sto razy dziennie.
- Drew! - Pani Leighton odkłada widelec na stół. Widać, że najchętniej walnęłaby nim z całej siły.
- Co? Ona może zachowywać się jak suka, a ja nie mogę powiedzieć, żeby się zamknęła? - Drew wstaje i odsuwa krzesło od stołu.
- Siadaj, Drew. - Wymuszony spokój w głosie jego mamy brzmi jak groźba i Drew siada posłusznie. Szykuje się na zasłużoną karę, ale ja jeszcze nie skończyłem.
- Jak możecie ją lubić? Nawet jej nie znacie. - Powinienem odpuścić. Wiem, że powinienem, ale nie mogę. Traktują ją jak maskotkę czy zwierzątko. *Spójrzcie tylko na tę dziewczynkę, którą wzięliśmy do siebie, jest niezrównoważona psychicznie, zagubiona i nie mówi. Czyż nie świadczy to o naszej niesamowitej hojności i empatii?* Nienawidzę tego i nie chcę słyszeć takich rzeczy z ust mamy Drew.
- Nie wiem, na ile można poznać kogoś, kto nie może mówić -mówi ze współczuciem w głosie.  
*Kto nie mówi, poprawiam w myślach. Może, ale nie chce.* Tę jedną rzecz wiem na pewno.
- Pani Leighton patrzy teraz na mnie. Próbuje wytłumaczyć to mnie i sobie zarazem. Chce mnie przekonać, ale nie musi. Ja już wiem. Odpowiedź brzmi: *nie można*. Ani trochę, w każdym razie nie Nastyę, bo nic ci nie da, a to, co da, nie jest prawdziwe. Ze mną rozmawia, ale ja też jej nie znam.
- To jak możecie mówić, że ją lubicie? - Już nie jestem taki wściekły, ale nadal chcę wiedzieć.

- Widać, że to miła dziewczyna. Ma dobre maniery. Nigdy nie przychodzi z pustymi rękami. - Nie wiem, jak można stawiać na równi dobre maniery i bycie miłym, ale nie odzywam się, bo wściekać się na Sarę to jedno, a na mamę Drew - coś zupełnie innego. Chyba nigdy dotąd mnie nie wkurzyła. Beznadziejne uczucie. Nawet nie wiem, skąd się wzięło.

- Najwyraźniej coś złego dzieje się w jej życiu, nie mamy prawa osądzać...

- No to o co chodzi? Zapraszacie ją, bo jej wam żal, czy może jest wam potrzebna, żeby nauczyć Sarę, jak być lepszym człowiekiem? - Musiałem jej przerwać. Zmierzała nieuchronnie do punktu, w którym zaczęłaby się psychoanaliza, a do tego nie mogłem dopuścić. Nie chciałem tego wysłuchiwać. Miałbym wrażenie, że to mnie analizują, otwierają, oglądają każdy krok, każdy wybór i motywację, i czują się dzięki temu lepsi, zdrowi. Nie chcę, żeby to robili, chociaż jej tu nie ma. Jasne, czuję się, jakbym właśnie otworzył się przed nimi, oszczędził im kłopotu, wywalił wszystkie swoje uczucia, niech położą je na stole, pogrzebią w nich widelcem.

- Josh. - Wiele wyraża tym jednym słowem. Wzywa mnie do odpowiedzi, osądza, przesłuchuje i udziela łaski. Wszyscy na mnie patrzą. Nie mogę ich winić. Sam się o to prosiłem, bo jestem durnym gówniarzem i nie potrafiłem trzymać ryja na kłódkę. To nawet nie był wybuch. Nie podniosłem głosu. Chyba nawet ton mojego głosu się nie zmienił, ale dla nich to i tak coś niespotykanego. Równie dobrze mógłbym wytatuować sobie jej imię na klacie. Żalotne, głupie i kurewsko żenujące.

- Przykro mi - podejmuje pani Leighton. Sądzi, że się łudzę, widzę to. Ale ja nie zamierzam zmieniać tematu. Nikogo nie zamierzam ratować.

- Ona nie jest żadną egzotyczną atrakcją. - Znów jej przerywam, nie potrzebuję przeprosin. Nie jest mi ich winna. Powinienem przerwać, kiedy mam przewagę, ale to byłby dowód rozsądku, a ja nie jestem dzisiaj rozsądny.

- A tak się ubiera. - Najwyraźniej Sarah też nie jest.

- Podoba mi się jej sposób ubierania. - Nie wiem, czy Drew próbuje zmienić temat, przypominając wszystkim, że jest idiotą, czy naprawdę jest idiotą.

- No, mniej roboty - rzuca Sarah.

- Masz jakiś problem? - pytam ją.

- A ty? Moi rodzice nie mają prawa być dla niej mili, ja nie mam prawa być niemiła. To ty masz problem. - Sarah podnosi głos, nie krępuje się. Najgorsze, że mówi prawdę. Rzeczywiście, to ja mam problem, ale nie wiem, na czym on polega.

Nie wiem, jak to się stało, że obiad zmienił się w takie gówno, ale mam wrażenie, że to moja wina. Mogłem się nie odzywać, posłuchać, jak grają w fajną grę pod tytułem *Rozkmiń Słoneczko* i nie wtrącać się. Ale stało się inaczej.

Pani Leighton łapie mnie, kiedy już siedzę w pikapie, wolałbym, żeby zostawiła mnie w spokoju tak jak cała reszta. Najwyraźniej ta kobieta rości sobie do mnie jakieś prawa, czy mi się to podoba, czy nie.

- Który z was z nią chodzi?

- Chyba żaden. - Może Drew, ale nie sędzę. Zresztą w tym przypadku *chodzenie* nie byłoby odpowiednim słowem, ale o tym wolę nie myśleć. - Albo może Drew.

- Wątpię. - Rzuca mi znaczące spojrzenie.

- To czemu pani pyta?



- Josh. - Wolałbym, żeby nie wypowiadała mojego imienia w ten sposób. Miękki, niepewny, jakby lizała kawałki szkła. - Popatrz tylko, jak ona się ubiera, jak chowa twarz za makijażem. Nie mówi. Może milczy, ale woła o pomoc.

Czuję się, jakbym oglądał „General Hospital”.

- To czemu nikt jej nie pomaga?

- Może nikt nie wie jak. Czasami łatwiej udawać, że wszystko jest w porządku niż zmierzyć się z faktem, że nic nie jest takie, jakie być powinno, ale nic nie możesz z tym zrobić. - Zastanawiam się, czy tak naprawdę ma na myśli mnie i czy we własnym mniemaniu jest subtelna.

- Czemu pani mówi to mnie? Nie powinna pani powiedzieć tego raczej Drew?

- Drew nic to nie obchodzi.

Jest to niewątpliwie oskarżenie. Odpowiadam:

- Mnie też nie.

## Rozdział 20

### *Nastya*

Nienawidzę swojej lewej ręki. Nienawidzę na nią patrzeć. Nienawidzę, kiedy drży i zacina się, i przypomina o utraconej tożsamości. Ale i tak na nią patrzę, ponieważ przypomina mi również o tym, że znajdę chłopaka, który wszystko mi odebrał. Zamierzam zabić swojego mordercę. I zamierzam zrobić to lewą ręką.

W czwartek Clay Whitaker dogania mnie na korytarzu, kiedy idę na pierwszą lekcję, włosy ma w nieładzie, ciuchy podobnie. Szkicownik, zamknięty, tkwi pod pachą, jak zwykle, jakby był z nim zrośnięty czy coś. Chciałabym zobaczyć, co jest w środku. Ciekawe, jak szybko je zapełnia i który to już z kolei. Bo na pewno nie jest to ten sam co na początku. Może zużywa je równie szybko, jak ja moje zeszyty. Pewnie ma w domu cały stos, od podłogi do sufitu. Mogłabym się założyć, że na każdej stronie widnieje inny rysunek, żaden się nie powtarza. Pod tym względem moje zeszyty się różnią. Przypuszczam, że szkicowniki Claya to coś w rodzaju rysunkowego albumu wspomnień, w każdej chwili może zajrzeć do nich i wie, w jakim miejscu znajdował się, kiedy wykonywał ten i ten szkic. Moje zapiski tak nie wyglądają. Nie mogę

otworzyć ich na chybił-trafii, przeczytać fragmentu i powiedzieć, co działo się w tamtym momencie w moim życiu i w moim umyśle. Mogę powiedzieć tylko, co działo się tego jednego dnia, dnia, którego mam nie pamiętać.

- Hej, Nastya! - mówi zdyszany, uśmiecha się. Przystaję, odsuwam się na bok, żeby nie stać na środku korytarza. Wzbudził moją ciekawość, owszem, zawsze mówi mi „cześć”, ale nigdy nie szuka ze mną kontaktu.

- Mam do ciebie prośbę, a ponieważ jesteś mi coś winna, to myślę, że się zgodzisz.

*Serio?* Jakoś się nie boję, ale nie bardzo rozumiem, co niby jestem mu winna. Mrużę oczy. Uśmiech nie znika z jego twarzy.

- No, ile razy dostałaś się w czasie długiej przerwy do angielskiego skrzydła dzięki temu, że pewna książka blokowała drzwi? Książka, która, nawiasem mówiąc, jest totalnie zniszczona i pewnie będę musiał za nią zapłacić, więc masz wobec mnie podwójny dług.

Przez chwilę rozważam to w myślach. *No dalej. Gadaj.* Daję mu znak ręką.

- Chcę cię narysować. - Nie tego się spodziewałam, ale właściwie to nie wiem, czego się spodziewałam. Nie jest to taka zaskakująca prośba, biorąc pod uwagę, że wyszła od Claya Whita-kera, ale naprawdę nie rozumiem, dlaczego chce właśnie mnie. I mam nadzieję, że nie ma na myśli pozwania nago, bo to wykluczone. Stukam w jego szkicownik, daję znać ruchem ręki, żeby go otworzył. Od dawna umieram z ciekawości, żeby zobaczyć jego rysunki, teraz nadarza się doskonała okazja. Uśmiecha się jeszcze szerzej, jeśli to w ogóle możliwe. I szczerze. Nie zamierza mi nic więcej sprzedać, ale jego rysunki zrobią to za niego.

Do tej pory staliśmy naprzeciwko siebie, teraz podchodzi bliżej, staje obok, opiera się plecami o ścianę. Rzuci plecak na podłogę i otwiera szkicownik. Pierwszy rysunek przedstawia starszą kobietę. Jej twarz jest pomarszczona, wargi cienkie, oczy zapadnięte. Strasznie przygnębiające. Zerkam na niego. Czeka na moją reakcję. Nie wiem, jak zareagować, pokazuję tylko, żeby odwrócił kartkę. Na kolejnym rysunku widnieje twarz mężczyzny. Wygląda jak starsza wersja Claya, pewnie jego ojciec - chyba że to coś w rodzaju autoportretu z przyszłości. Podobnie jak pierwszy rysunek, ten też wygląda niesamowicie realistycznie. Przysięgam, można spojrzeć tym osobom w oczy i poznać ich myśli. To nie tylko genialne, to niemal przerażające. Kolejny przedstawia kobietę. Widać, że ma przekrwione oczy, choć rysunek jest czarno-biały. Reaguję instynktownie. Czuję to. Chciałabym jej dotknąć, dowiedzieć się, co się stało. Ale to nic w porównaniu z tym, co czuję, kiedy Clay odwraca kolejną kartkę.

Patrzę na samą siebie. To ja, a jednocześnie nie ja. Nigdy mnie takiej nie widział. Moja twarz wygląda młodziej, spojrzenie jest jasne. Nie ma śladu makijażu, włosy są gładko ściągnięte do tyłu i związane w koński ogon, który spoczywa na moim prawym ramieniu. Tego rysunku dotykam. Nie panuję nad tym. Moja ręka sama się wyciąga. Cofam ją w momencie, gdy palce stykają się z papierem. Żałuję, że pokazał mi ten rysunek. Nie mogę dalej oglądać. Zamykam szkicownik, przesuwam w jego stronę.

Może ten drugi rysunek jest jednak autoportretem z przyszłości. Clay potrafi naprawdę zobaczyć daną osobę, nie tylko to, co na wierzchu, ale też to, co kryje się za skórą, za twarzą i wiekiem. To właśnie zrobił ze mną. Cofnął czas. Zabrał wszystkie dni i la-

ta, wszystko, co się wydarzyło, i narysował mnie taką, jaka byłam kiedyś.

Patrzę na niego i nie wiem, co wyraża moja twarz. Jedno z tysiąca uczuć, nad którymi nie mam ochoty zastanawiać się w tym momencie, na korytarzu przed pierwszą lekcją. Zaraz rozlegnie się dzwonek, dokoła zbiera się coraz więcej ludzi.

Clay patrzy na mnie. Czeka, już się nie uśmiecha. Pewnie patrzył przez cały czas, kiedy oglądałam rysunki, obserwował moje reakcje, obnażając przede mną swoją duszę. Bo wiem, że nawet jeśli jest dumny ze swoich prac, w tym momencie czuje się tak, jakby zdzierał z siebie ubranie, obracał się nagi przede mną i czekał na werdykt. Dokładnie tak się czułam, kiedy grałam własne kompozycje.

-No i?

Wyjmuję notes z plecaka. Dzwonek brzęczał już dwa razy, muszę pędzić do klasy. *Kiedy i gdzie?* piszę i podaję mu notes, i w tym samym momencie pojawia się Michelle Księga Pamiątkowa, chwytą go za ramię i ciągnie za sobą.

- Chodź! Spóźnimy się! - Chyba nawet nie zauważyła, że Clay ze mną rozmawia.

- Pogadamy w czasie długiej przerwy! - krzyczy przez ramię, a ja ruszam w przeciwnym kierunku i ściga mnie moja własna twarz.

- W prawo. Tylko trochę. I do tyłu. Zapomnij. Beznadziejne światło. Wracamy na dół. W tym domu tylko w kuchni jest normalne światło. - Clay zabiera szkicownik, węgiel i jakieś inne rupiecie, a ja ruszam za nim. Siedzę tu już od trzech dni. Clay zachowuje się jak opętany. Rozumiem go. Znam to uczucie. Znam tę nieodpartą potrzebę tworzenia. Obserwuję go przy pracy i tro-

chę go nienawidzę. Ale nie mam wyrzutów sumienia. Jestem usprawiedliwiona. Brakuje mi tego. Tak bardzo chciałabym to odzyskać, że chętnie dałabym jeszcze raz zniszczyć sobie rękę, by tylko poczuć coś innego. Czasami to pragnienie prawie mnie zabija.

To trochę przytłaczające, kiedy otaczają cię ludzie, którzy mogą robić to, czego ty już nie możesz. Ludzie, którzy coś tworzą. Których dusze już nie zamieszkują ciał, tylko ich dzieła, bo tyle z siebie w nie przelali. Josh. Clay. Mama. Chciałabym im to ukraść, przywrócić sobie życie.

- Znowu na dół? - Maddie Whitaker jest tutaj przez cały czas. Pracuje w domu, zajmuje się wprowadzaniem danych, rzadko kiedy wychodzi. Z tatą Clay widuje się tylko w weekendy, na drugim końcu miasta, dlatego pozuję mu w ciągu tygodnia.

- Światło do dupy - mówi. To wystarcza jej za odpowiedź.

Pozuję przez kolejną godzinę, obserwuję Claya. Węgiel w ręku, brwi ściągnięte jak zawsze, kiedy próbuje się skupić. Na razie niczego mi nie pokazał. Nie wiem, ile szkiców już zrobił. Myślałam, że zgadzam się na jeden-dwa rysunki, ale dawno przekroczyliśmy tę liczbę. O jakieś osiemdziesiąt.

Wreszcie lituje się nade mną i pozwala wyjść do łazienki. *Ile jeszcze?* piszę na kartce, wyrwanej z pliku, leżącego na blacie kuchennym. Chcę odwlec chwilę, kiedy znowu będę musiała usiąść.

- Nie wiem. Będę wiedział, kiedy wszystkie narysuję, ale nie mogę wiedzieć ile, dopóki ich nie narysuję.

*Jaki tajemniczy*, piszę. Bo jeśli mam spędzać z nim tyle czasu, to muszę nawiązać jakiś kontakt. Poza tym Clay mnie nie wyda.

- Niezamierzenie. Są ludzie, których potrafię uchwycić za pierwszym razem. Większość wymaga dwóch-trzech podejść. Ty więcej.

Ma mnie. Wpadłam. *Dlaczego potrzebujesz aż tylu, żeby uchwycić moją twarz?*

- Nie twarz. Twarze, wszystkie twarze. - Urywa, sprawdza, czy rozumiem. - Większość ludzi ma więcej niż jedną twarz. A ty masz więcej twarzy niż większość.

Rwie twarze na strzępy, a potem składa je od nowa, tak jak ja robiłam z muzyką. Potrafiłam grać jakiś utwór po sto razy, nasycać go za każdym razem innym uczuciem, odnajdywać prawdę o nim. On robi to samo z twarzami, tylko że nie wkłada w nie prawdy, lecz wydobywa ją za pomocą kreski. Szuka prawdy o mnie. Ciekawe, czy ją odnajdzie. A jeśli tak, czy pokaże mi, gdzie ona jest.

## Rozdział 21

### *Josh*

Frez nawala drugi wieczór z rzędu. Wczoraj myślałem, że doprowadziłem go do porządku, ale dzisiaj znowu mnie wkurza. Chciałem skończyć to krzesło w tym tygodniu, bo trzy kolejne projekty czekają w kolejce i wszystkie powinny zająć wyższe miejsce na liście priorytetów. Ale chciałem je skończyć, to jak obsesja. W rezultacie mam opóźnienie i na parę następnych tygodni chyba zamieszkać w garażu, próbując nadgonić zaległości. Nie szkodzi. Istnieją znacznie gorsze miejsca.

Dziwna jest ta cisza. Nie powinno jej tu być. Jestem przyzwyczajony do ciszy, ale wystarczyły dwa dni, żebym to poczuł. Niepokojące. Przez tyle lat spędzałem w tym garażu czas w samotności, a wystarczyły niecałe dwa miesiące i wszystko na nic. Nie przychodzi od wielu dni. Może i dobrze, bo wszystko wskazuje na to, że powinienem odzyskać kontakt z rzeczywistością. Próbuję pracować przy zamkniętych drzwiach, by udowodnić sobie, że potrafię. Nie zamierzam znowu do kogoś się przyzwyczajać. Proszę bardzo, ona może przychodzić. Może siedzieć w moim garażu, podawać narzędzia, zadawać pytania. Może używać mnie jak wentyla bezpieczeństwa, wyrzucić gadanie ze swojego systemu. Mogę znosić



jej towarzystwo, ale nie mogę na nie czekać. I nie będę. Nie wiem, kiedy znowu się zjawi. Zastanawiam się, jak długo wytrzymam przy zamkniętych drzwiach, nim zacznę się dusić.

### *Nastya*

W tym tygodniu zrobiłam więcej kilometrów niż przez kilka poprzednich. Sporą część czasu spędziłam w pewnym garażu, próbuję to zmienić. Ale brakuje mi go. To coś więcej niż kilkudniowe rozstanie z przyjacielem. W tym momencie on jest moim jedynym przyjacielem. Owszem, mam Drew, po drodze przyplątał się też Clay, ale to Josh jest moją ucieczką. Tajemną kryjówką.

Nie byłam u niego od wielu dni. Przez cały tydzień pozowałam Clayowi, siedziałam na krześle, zniecierpliwiona i śmieszna, myśląc tylko o tym, żeby wreszcie wstać i sobie pójść. Nienawidzę siedzieć bez ruchu. Jeśli spędziło się kilka miesięcy z łóżku, czekając na powrót ciała do zdrowia, a następnie w fotelu, próbując doprowadzić rękę do stanu używalności, to potem ma się naprawdę dosyć i chce się tylko biegać. I każdego dnia, kiedy wracam od Claya, muszę biegać. Tylko to trzyma moją nadwerżoną psychikę w jakiejś takiej formie. Poza tym kilka tygodni temu Margot wreszcie się ugięła i pozwoliła mi zawiesić w salonie worek treningowy, teraz mam w co przywalić i temu zajęciu również poświęcam sporo czasu.

W piątek wieczorem nie wytrzymuję. Nawet nie wiem, czy zastanę go w domu, ale nogi same mnie niosą. Ciekawe, czy jemu też mnie brakowało. Zwalniam kroku, kiedy docieram na podjazd. Stoi tyłem do mnie, majstruje coś przy jednej z pił. Rozglądam się, szukam miejsca, gdzie mogłabym usiąść, ale blat jest za-

jęty. Nawet jednego wolnego skrawka. Całą powierzchnię zajmują stopy ścinków drewna, jakieś narzędzia, pudełka. Nigdy wcześniej nie widziałam tu takiego bałaganu. Josh jest pedantem, stąd wniosek, że zrobił to specjalnie. Zastanawiam się, czy to jakaś wiadomość. Może doszedł do wniosku, że dobrze mu, kiedy się tu nie kręcę. Odzyskał samotność i stwierdził, że za nią tęsknił.

Ale na razie nie jestem gotowa stąd wyjść. Jeśli czeka mnie odrzucenie, chcę, by towarzyszyło mu całkowite upokorzenie. Mam nadzieję, że on zaraz wylezie z tej kretyńskiej piły i coś powie, ale jakoś mu się nie spieszy. Kątem oka widzę krzesło, stojące obok frontowych drzwi, nad którym pracowałem w zeszłym tygodniu. Rozpoznaję nogi, kształt, który kosztował go wiele wysiłku. Widocznie skończył w tym tygodniu. Ciekawe, czy zrobił je na zamówienie, czy dla siebie. Krzesło jest wspaniałe. Za każdym razem, kiedy widzę jeden z jego mebli, coraz bardziej go nienawidzę. Moja zazdrość to żywa istota. Zmienia się, przybiera nowe kształty, rośnie. Jak moja wściekłość. Jak żal mojej matki.

Przesuwam ręką wzdłuż łuku oparcia, klękam, by przyjrzeć się nogom. Podłokietniki są szerokie, wygięte, naśladują linię oparcia. Zastanawiam się, czy zaczął pracować nad kolejnym, bo przypuszczam, że to część kompletu. Moje palce nadal przesuwają się wzdłuż oparcia. Nawet nie zdążyłam się obejrzeć, a już siedzę. I dopiero wtedy w pełni doceniam doskonałość wykonania. To krzesło wcale nie wygląda na wygodne, a mogłabym siedzieć na nim do końca świata. Kładę ręce na podłokietnikach, odchylam się do tyłu i w tym momencie widzę, że Josh na mnie patrzy. Wkurza mnie, że tak się gapi, chociaż teoretycznie powinnam już się do niego przyzwyczaić i wolałabym, żeby nie wyglądał tak jak wygląda, bo naprawdę trudno odwrócić wzrok w drugą stronę.

Minę ma jakby trochę zaniepokojoną, ale jednocześnie jakoś dziwnie podstępna. Dokładnie taką samą jak Clay, kiedy pokazywał mi mój portret. Czeka na reakcję, słowa uznania. Spoglądam na krzesło, na którym siedzę, potem znów na Josha, on jednak już na mnie nie patrzy. Znowu grzebie przy pile, jakby uznał, że wszystko wróciło do normy i jest dokładnie tak jak należy. W tym momencie doznaję olśnienia. Zdaję sobie sprawę, że zaplanował to wszystko. Specjalnie nabalaganił, żebym nie mogła usiąść na blacie, żebym zwróciła uwagę na krzesło. Ponieważ zrobił je dla mnie.

To wystarczy, żebym natychmiast poderwała tyłek. Josh podnosi wzrok, zaalarmowany nagłym ruchem, przez chwilę patrzymy na siebie. Przypuszczam, że wyglądam jak oszalone zwierzę, gotowe w każdej chwili rzucić się do ucieczki, tak jak pierwszej nocy, kiedy tutaj przyszedłam. Mogłabym powiedzieć głośno, o czym myślę, ale nie muszę. On już wie.

- To tylko krzesło. - Negocjator próbuje odwieść mnie od skoku w przepaść.

- Nie mogę go przyjąć. - Usiłuję powiedzieć to odpowiednim tonem, by dać mu do zrozumienia, że to on postępuje nieracjonalnie.

- Dlaczego nie?

- Powinieneś je sprzedać.

- Nie chcę.

- Nie wezmę go. Daj je komuś innemu.

- Musisz mieć jakieś miejsce do siedzenia. Płaczesz się tutaj, ciągle coś przestawiasz, wchodzisz mi w drogę. A teraz masz gdzie siedzieć. Więc siedź. - Podkreśla swoje słowa ruchem głowy, siadam i krzesło wydaje mi się jeszcze bardziej doskonałe niż chwi-

łę wcześniej. Josh pochyla się, kładzie dłonie na moich dłoniach, spoczywających na podłokietnikach, i patrzy mi prosto w oczy, a ja czuję się bardzo dziwnie.

- To tylko krzesło. Przestań analizować. Nie sprzedam go i nie dam nikomu innemu. Zrobiłem je dla ciebie. Jest twoje. - Odsuwa się i prostuje. Kiedy zabiera ręce, zdaję sobie sprawę, że właśnie dotknął mnie po raz pierwszy i chciałabym, żeby znów położył swoje dłonie na moich. - Poza tym już jest na nim twoje imię.

- Gdzie?

- Zajrzyj pod siedzenie. Najpierw zamierzałem umieścić je z tyłu, żeby było widać, ale nie wyglądało to najlepiej.

Ześlizguję się z krzesła, przywieram do podłogi, jak najniżej, i wykręcam głowę, żeby zobaczyć, o czym on mówi. Nie ma wątpliwości. Na spodniej stronie siedzenia widnieje wygrawerowane słońce.

W tym momencie wiem, co dostałam od niego, wiem, że nie chodzi o krzesło. To zaproszenie, to wiadomość, że jestem tu mile widziana. Tak naprawdę dostałam nie miejsce do siedzenia, lecz miejsce, w którym mogę zostać.

## Rozdział 22

### *Nastya*

Dziwi mnie, że ludzie tak bardzo boją się, co może ich spotkać w ciemnościach, a w ogóle nie myślą o swoim bezpieczeństwie w ciągu dnia, jakby słońce dawało wystarczającą ochronę przed całym złem tego świata. A nie daje. Szepcze, mami ciepłem, by potem wepchnąć cię twarzą w błoto. Światło dnia przed niczym nie może cię ochronić. Złe rzeczy dzieją się na okrągło, nie czekają, aż zjesz kolację.

Nigdy nie byłam w domu Josha w środku dnia. Teraz, po południu, wygląda zupełnie inaczej. I nie byłoby mnie tutaj, gdyby po wyjściu ze szkoły nie okazało się, że mój akumulator padł, definitywnie i nieodwołalnie. Mieszkam niedaleko i właściwie mogłabym wrócić na piechotę, ale o tej porze nigdzie nie chodzę. Rano jeszcze jakoś daję radę, ale o tej porze, przez tych kilka popołudniowych godzin nienawidzę przebywać na zewnątrz. Nawet noc nie działa na mnie w ten sposób. Ciemności nie budzą we mnie takiego strachu jak dzień. Popołudniowe słońce jest niczym prześladowca, wypala wspomnienia w mojej głowie. Josh zawsze proponuje, że odwiezie mnie do domu. Uważa, że nie po-

winnam czuć się bezpiecznie, biegając samotnie po nocy. I nie czuję się. Nie jestem głupia, wiem, że na zewnątrz nigdy nie jestem bezpieczna, nigdzie, o żadnej porze dnia czy nocy. Po prostu w dzień bardziej się denerwuję.

Tak więc wylądowałam u Josha Bennetta, jest trzecia piętnaście po południu, siedzimy na kanapie i oglądamy „General Hospital”. Podczas ostatniej przerwy na reklamy Josh cierpliwie tłumaczył mi, co wydarzyło się w serialu przez ostatnią dekadę, na tyle, na ile jest to możliwe w ciągu trzech i pół minuty. Ja z kolei usiłowałam w tym czasie zjeść jak najwięcej żelków Twizzlers. Kiedy reklamy się skończyły, Josh urwał gwałtownie i powiedział, że resztę opowie podczas następnej przerwy. W sumie tak za bardzo nie patrzyłam w telewizor. Głównie patrzyłam na Josha, zastanawiając się, kim on jest tak naprawdę. Zaczynam dochodzić do wniosku, że jest ich dwóch, że to bracia bliźniacy, bo z każdym dniem nabieram coraz większego przekonania, że to nie może być ten sam człowiek. Tak jak w tym filmie z Christianem Bale'em, w którym bracia bliźniacy prowadzą życie jednej osoby i nigdy nie wiadomo, z którym akurat rozmawiasz. Tak właśnie przy nim się czuję.

Zgniatam puste opakowanie i idę do kuchni.

- Gdzie masz śmietnik? - Spędzam w tym domu mnóstwo czasu, ale nigdy nie wchodzę do środka. Właściwie mieszkamy w garażu.

- Pod zlewem - odpowiada, nie odrywając wzroku od telewizora. - Czy ty jesz czasami coś prócz cukru?

Wyliczam w myślach dzisiejsze menu: dwa batoniki proteinowe, dwie paczki orzechowych emenemsów (ale małe, więc właściwie należy liczyć jako jedną), no i właśnie wchłonięte żelki.

- Czasami - mówię. Tak naprawdę, gdyby nie trening, mogłabym darować sobie nawet te batoniki. Kiedy mieszkałam z rodzi-

cami, codziennie siadaliśmy przy stole i spożywaliśmy normalne posiłki, prawdziwe, takie jak niedzielne obiady u Drew. Margot nie gotuje, poza tym zawsze musimy jeść wcześnie, żeby zdążyła do pracy, o tej porze zwykle nie mam apetytu. Może kiedy skończę osiemdziesiąt lat, będę jadła obiady o czwartej po południu, ale na razie niezbyt mi to odpowiada.

Wracam na kanapę. Oglądamy odcinek do końca. O czwartej wiem już całkiem sporo na temat rodzin Quartermaine'ów i Spencerów. Nie powinnam z tego żartować. Podczas rekonwalescencji, kiedy przez kilka miesięcy byłam przykuta do łóżka, też zaliczyłam swoją działkę oper mydlanych. I kiepskich teleturniejów. I kiepskich talk shaw. Zostałam ekspertem w dziedzinie programu telewizyjnego. Ale „General Hospital” nie oglądałam. Jednakże, dzięki zdobytym dzisiaj kompetencjom, mogę udawać, że tak.

Potem wskakujemy do pikapa Josha i jedziemy po nowy akumulator. Najpierw musimy zajechać na parking przed szkołą, bo, owszem, znam model i markę swojego samochodu, ale na tym moja wiedza się kończy. Okazuje się, że to za mało, by określić, jakiego typu akumulatora potrzebuję, więc musimy wrócić. Josh patrzy na mój samochód, coś zapisuje, potem bierze ode mnie kluczyki i podnosi maskę. Mam przy sobie plecak ze wszystkimi książkami, postanawiam przy okazji wrzucić go do samochodu, bo nie mam ochoty go dźwigać, i wyskakuję z pikapa. Natychmiast przychodzi mi pożałować lenistwa, bo dokładnie w tym momencie na parkingu pojawia się Tierney Lowell. I nie tylko ona. Z budynku wychodzi jeszcze kilku uczniów, nagle dociera do mnie, że jest dopiero po czwartej i właśnie kończą się różne kółka i zajęcia dodatkowe. Akurat na Tierney zwracam uwagę, bo z jakiegoś powodu pała ona do mnie nienawiścią. Dobra, większość dziewczyn

mnie nie cierpi, a z powodu ciuchów jestem łatwym celem. Rozumiem. Ale widać, że ta dosłownie ma ochotę mnie zasztyletować, jakbym właśnie nakarmiła jej psa czekoladą. Normalnie mi to nie przeszkadza, łatwo ją zignorować, unikam jej bez większego wysiłku. Ale w tym momencie wyskakuję z wozu Josha Bennetta, a on stoi obok i za chwilę mamy razem odjechać, jest to akt ekshibicjonizmu, którego absolutnie nie miałam w planach.

Natychmiast wracamy do pikapa, dzielimy tę samą milczącą potrzebę, by jak najszybciej stąd zniknąć. Kiedy wyjeżdżamy z parkingu, spoglądam przez okno, obserwuję samochody. Szyby są przyciemniane, ale i tak nie zamierzam ryzykować. Kiedy już czuję się w miarę bezpiecznie, zadaję pytanie, które nie daje mi spokoju, odkąd wyszliśmy z domu Josha.

- Oglądasz „General Hospital”? - Tak naprawdę nie potrzebuję potwierdzenia. Wiem przecież, że ogląda. Nie patrzy na mnie, ale widzę, jak jego wargi unoszą się w półuśmiechu, który zawsze pojawia się na twarzy Josha w chwilach zażenowania, w rzeczywistości jest to prawdziwy uśmiech, który Josh próbuje stłumić.

- Tak - mówi. Okej, odpowiedział na moje pytanie, ale ja tak naprawdę chcę wiedzieć dlaczego, chcę wyjaśnienia, *no bo ratunku*. Ale jeśli coś potrafi zaskoczyć mnie bardziej niż najświeższe odkrycie, że Josh jest kryptowielbicielem oper mydlanych, to fakt, że Josh nie poprzestaje na tej odpowiedzi i daje mi wyjaśnienie, wyjaśnienie, o które nawet nie prosiłam. - Moja mama oglądała ten serial. Bardzo sumiennie. Nie przegapiła ani jednego odcinka. Tata i ja ciągle się z niej nabijaliśmy. Kiedy zmarła, myślałem, że może jeszcze wróci, a jeśli wróci, to muszę być na bieżąco, żeby opowiedzieć jej, co się wydarzyło, żeby niczego nie straciła. Więc oglądałem. Codziennie. Po jakimś czasie zda-



łem sobie sprawę, że ona nie wróci, ale zdążyłem się wciągnąć. I oglądam dalej. - Wzrusza ramionami, jakby pogodził się z tym faktem, tylko nie wiem, czy chodzi o to, że jego mama nie wróci, czy o to, że nadal ogląda „General Hospital”. Może sam nie jest pewien.

- Ile miałeś lat?

- Osiem. Chyba wystarczająco dużo, by zrozumieć. Tyle że tak naprawdę nie chciałem... Sam nie wiem... Tata próbował jakoś nadać temu sens, ale naprawdę nie da się wytłumaczyć, jak to możliwe, że osoby, którą widywałeś każdego dnia przez całe twoje życie, już nie ma. Ktoś wcisnął klawisz „delete” i zniknęła. Nie mogłem zrozumieć, że któregoś wieczoru wróciłem do domu i okazało się, że osoba, która jeszcze rano śmiała się i tuliła mnie do siebie, po prostu przestała istnieć. Nie wierzyłem, że to możliwe. Nie chciałem uwierzyć. Więc tak... „General Hospital”.

Przez cały czas nie odrywam od niego wzroku. To pierwsza prawdziwa rzecz, jaką powiedział o sobie. Głupio mi, bo ja niczego takiego mu o sobie nie powiedziałam. Nawet swojego imienia.

Odwraca się, patrzy na mnie przez sekundę, niemal przepaszająco. A może z rezygnacją? Potem skupia wzrok na drodze, a chwilę później wjeżdżamy na parking. Mam teraz jeden z sekretów Josha Bennetta. Dał mi go. Chciałabym móc go oddać.

## Rozdział 23

### *Josh*

Za każdym razem, kiedy rozlega się dzwonek do drzwi, spodziewam się, że znowu ktoś przyniósł coś do jedzenia. Po śmierci mamy i siostry przerobiłem przyspieszony kurs żałoby. Nauczyłem się, jak to funkcjonuje, jak ja powinienem reagować, ale przede wszystkim, jak mają reagować inni ludzie. Nie sądzę, by istniał jakiś pisany kodeks, chociaż to całkiem możliwe, bo mam wrażenie, że wszyscy kierują się tymi samymi zasadami. Sporą rolę odgrywa w tej dziedzinie jedzenie. Babcia tłumaczyła mi stojące za tym mechanizmy psychologiczne, ale nie słuchałem zbyt uważnie, bo też niezbyt mnie one obchodziło. Owszem, każdy musi jeść, ale to jeszcze nie znaczy, że chcesz, by wszyscy nachodzili cię bez przerwy, używając garów i ciastek z bakaliami jako pretekstu do podglądania twojej rozpacz.

W wieku ośmiu lat wiele dowiedziałem się na temat bezsensownych rytuałów żałobnych, kondolenki i tym podobnych i zrozumiałem, że nie da się ich zmienić. Zawsze mogłem liczyć na lawinę żarcia i współczucia. Nie potrzebowałem ani jednego, ani drugiego.

Niektórzy próbują opowiadać różne zabawne anegdotki z przeszłości, co zwykle wcale nie jest śmieszne, tylko bardzo smutne.

Potem patrzą na siebie z zakłopotanymi minami i w końcu wstają i sobie idą, a ty dziękujesz za wizytę, chociaż teraz czujesz się jeszcze gorzej.

Są też tacy, którzy cieszą się, że mają pretekst i mogą sprawdzić, jak koszmarnie wygląda twoja twarz od płaczu, i czy już całkiem się załamałeś, a potem obgadać to z sąsiadami. *Widziałeś biednego Marka Bennetta i chłopaka ? Co za straszna tragedia. To takie smutne. Albo coś równie beznadziejnego. Ale przynieśli ci coś do jedzenia, więc są usprawiedliwieni.*

Dziesięć minut później znowu dzwoni dzwonek i zaczynamy zabawę od nowa. I tak przez wiele dni z rzędu. Wiele niepotrzebnych słów i cała góra żarcia. Głównie lazania.

Może są tacy, którym konwencjonalne wyrazy współczucia i zapasy jedzenia przynoszą pociechę, tyle że tata i ja nie należeliśmy do takich osób. Ale dziękowaliśmy wszystkim uprzejmie. Przyjmowaliśmy owinięte folią naczynia i kondolencje. Potem wyrzucaliśmy wszystko do śmieci i zamawialiśmy pizzę. Zastanawiam się, czy naprawdę istnieją na świecie ludzie, którym pociechę po stracie bliskich przynoszą gary z jedzeniem.

Potem myślę o Leigh. Czasami zdarza się, że do twoich drzwi puka ktoś, kto potrafi ofiarować więcej niż jedzenie i słowa. Czasami ktoś przynosi ci coś, czego naprawdę potrzebujesz i nie jest to zakichane ciasto z bakaliami.

Pewnego razu Leigh zjawiała się na progu mojego domu, dzierżąc w rękach jakże znajomo wyglądające naczynie, przykryte srebrną folią. Babcia zmarła dwa dni wcześniej, chyba z sześć takich stało na blacie w kuchni i kilka w lodówce. Miałem piętnaście lat, przypuszczam, że na mojej twarzy wyraźnie odmalowało się obrzydzenie na widok kolejnego naczynia. Ale bynajmniej nie

na widok Leigh. Miała na sobie bardzo krótką zieloną sukienkę na ramiączka i wyglądała niesamowicie seksownie. Tylko tyle pamiętam. Kojarzyłem ją ze szkoły, ale była dwie klasy wyżej ode mnie, nigdy nie rozmawialiśmy. Do tamtego dnia nawet nie wiedziałem, jak ma na imię.

Wziąłem od niej naczynie - prezent od jej mamy, która знаła moją babcię. Zaprosiłem ją do środka, bo nauczyłem się, że tego właśnie się po mnie oczekuje. Dziadka nie było w domu, sam musiałem odegrać rolę pogrążonego w smutku gospodarza. Odbębniliśmy stosowną konwersację, z uwzględnieniem wszystkich najważniejszych punktów. Postaliśmy kilka minut w kuchni, walcząc zaciekle o tytuł najbardziej zażenowanej osoby, a potem ona spytała, czy ktoś jest w domu, i czy chcę pójść do sypialni. Chyba w ten sposób chciała wyrazić współczucie, a ja miałem okazję podziękować za poczęstunek.

To była jej pierwsza wizyta. Ale nie ostatnia. Nigdy ze sobą nie chodziliśmy. Nigdy nie byliśmy parą. Zakradała się w nocy do mojego pokoju albo łądowności w jej samochodzie, ale na tym kończyło się nasze zaangażowanie i tak to trwa, już od prawie trzech lat. Nawet teraz, kiedy wyjechała do college'u, udaje nam spotykać się regularnie. Czasami rozmawiamy, ale nigdy na poważne tematy.

Może to był błąd. Może to jest błąd. Tak czy inaczej, nie czuję się z tym źle. W czasie, kiedy się zjawiała, miałem za sobą śmierć czterech bliskich osób, została jeszcze jedna. Potrzebowałem choćby jednej normalnej rzeczy w swoim życiu i Leigh mi ją dała, nie poniosłem żadnych kosztów w postaci uczuć czy zaangażowania. Nie musiałem jej kochać. Lubię ją, chociaż nie wiem, czy to przesądza sprawę. Przypuszczam, że nawet gdybym się zaangażo-

wał, dla niej nie miałyby to żadnego znaczenia. Nadal stosujemy politykę równych szans. I nie zadajemy żadnych pytań. Jest miła, wyluzowana i niesamowicie atrakcyjna. Ale gdyby jutro odeszła, nie tęskniłbym. Ludzie ciągle znikają. Może nawet bym nie zauważył.

Nastya zjawia się w garażu tuż po ósmej. Nie przynosi ciasta z bakaliami. A gdyby przyniosła, jestem pewien, że byłoby to ciasto własnej roboty, posypane cynamonem i niesamowite. Przynosi dwie torby z zakupami. Mija mnie bez słowa, jedną ręką, nie wypuszczając torby, niezgrabnie otwiera drzwi prowadzące do domu.

- Słoneczko? - Nie odpowiada, więc idę za nią. Kiedy wchodzę do kuchni, stoi przy zamrażarce i wkłada do niej cztery półtoralitrowe pojemniki z lodami. - Co ty robisz?

- A jak sądzisz? - warczy.

- Jesteś przy nadziei? Odwraca się na pięcie. -Co?

Chyba jednak nie. Unoszę ręce obronnym gestem. Najwyraźniej nie jest w nastroju do żartów.

- Sorry. - Podchodzę do otwartej lodówki, Nastya układa pojemniki. - Strasznie dużo lodów.

- Jasne, bo skoro mam ochotę na lody, to na pewno jestem w ciąży. Zaraz powiesz, że na pewno mam okres, bo tylko to usprawiedliwia, że dziewczyna jest wkurzona, i oczywiście, ponieważ jesteś facetem, nie powiesz „okres” tylko użyjesz jednego z tych debilnych określeń, jak ciota czy coś w tym stylu. - Trzaska drzwiczkami zamrażarki. W tym momencie pewnie powinienem przysiąc na wszystkie świętości, że wcale nie zamierzałem wspo-

minąć o okresie, a już na pewno nie za pomocą dziwnych eufemizmów, ale uznaję, że bezpieczniej będzie się nie odzywać i poczekać, aż jej przejdzie.

W przypadku każdej innej dziewczyny pewnie mógłbym zastosować niezawodną samczą strategię, podejść do niej, przytulić i pozwolić, by złożyła głowę na moim ramieniu. Tanie, ale działa. Drew za to ręczy. Obawiam się jednak, że w tym przypadku mogłoby wywołać zupełnie inną reakcję: strumień kreatywnych wyzwisk bądź kopniak w jaja.

- Lubię lody. A ty nigdy ich nie kupujesz. Kiedy przez dłuższy czas nie jem lodów, dzieją się straszne rzeczy - mówi, odrobinę spokojniej.

- Jesteś pewna, że kupiłaś wystarczającą ilość?

- Spierdalaj.

- Może od razu powinnaś któreś otworzyć - sugeruję.

I tak robimy. Ale nie otwieramy jednego pojemnika, otwieramy wszystkie cztery i jemy prosto z nich, na syfnym stoliku, stojącym obok kanapy. Specjalnie go tam trzymam, bo i tak wygląda fatalnie i nie żal mi, że się zniszczy. Nie muszę pamiętać o podkładkach ani przejmować się kopytami Drew. Chyba zmienię ten stolik dopiero, jak Drew wyjedzie do college'u albo wreszcie zamorduje go jakaś laska.

Nastya nie wyjada lodów ze środka jak każdy normalny człowiek. To znaczy normalny człowiek, który nie je lodów z pucharka. Nastya czeka, aż lody trochę się stopią, po czym zbiera tę podtopioną warstwę z brzegów pojemnika. Twierdzi, że takie lody smakują znacznie lepiej. Nie mogę sprawdzić, czy to prawda, bo mnie każe wyjadać te zamrożone ze środka i grozi straszliwą karą, jeśli odważę się ruszyć te z brzegu. Robimy całkiem pokaz-

ne wyrwy we wszystkich czterech pojemnikach. Teraz jest stanowczo bardziej Słoneczkiem niż Nastya. Notuję w pamięci, że kiedy wkurwi się następnym razem, zamiast leków na poprawę nastroju należy zaaplikować porcję lodów.

Oboje jesteśmy na cukrowym haju. Idziemy do garażu, bo mam kilka rzeczy do skończenia. Przypuszczam, że Nastya, naładowana węglowodanami, pewnie zgodnie z modus operandi zaraz pójdzie biegać, ale jakoś nie rusza się z miejsca.

- Daj mi coś do zrobienia - mówi z odrobiną wahania w głosie.

- A co chciałabyś robić? - pytam, mierząc ją wzrokiem.

- Na pewno nic, co wymaga użycia narzędzi elektrycznych. Coś, co mogłabym robić prawą ręką.

- Może szlifować? - proponuję. - Beznadziejna robota, ale...

- Mogę szlifować. Tylko pokaż mi jak.

Chwytam arkusz papieru ściernego i pokazuję, jak umieścić go w szlifierce.

- Szlifuje się tą stroną. - Biorę jej ręce i pokazuję, jak mocno trzeba przyciskać, są takie miękkie, wcale nie chcę, żeby dotykały papieru ściernego.

- Skąd będę wiedziała, że to już? - pyta, przystępując do pracy.

- Mój tata miał taką zasadę: kiedy ci się wydaje, że to już, znaczy, że jesteś mniej więcej w połowie.

Przekrzywia głowę i patrzy na mnie, jakbym był zupełnie do niczego.

- No to skąd będę wiedziała, że to już? Uśmiecham się.

- Kiedy będziesz sądziła, że już, pokaż mi. Po kilku razach się zorientujesz.

Patrzy na mnie o sekundę dłużej niż to konieczne, a potem przenosi wzrok na szlifierkę. Wiem, że chciałaby zapytać o wiele rzeczy. Widziałem te pytania w jej oczach, kiedy wspomniałem o tacie. Jak? Kiedy? Co się stało? Ale nie zadaje żadnego z nich. Skupia się na pracy, nie przerywam jej. Nie cierpię szlifować.

Po północy ogłaszamy koniec. Nie wiem, jak jej ręce wytrzymały tyle czasu. Oszlifowała całą górę rzeczy. Nie pytałem, co jest nie tak.



## Rozdział 24

### *Nastya*

Zjawiam się na miejscu o siódmej czterdzieści. Josh jest na podjeździe, stoi oparty plecami o pikapa. Na mój widok otwiera drzwi, okrąża samochód i otwiera też te po stronie pasażera.

- Najwyższy czas, Słoneczko - mówi. - Już myślałem, że nie przyjdiesz.

- Nie wiedziałam, że planujesz wycieczkę w teren.

- Muszę zdążyć do Home Depot przed zamknięciem.

- Nie musiałeś na mnie czekać. - Bo nie musiał. Nie płakałabym, że przepadła mi cotygodniowa wycieczka do sklepu z materiałami budowlanymi.

- Nie. Ale wiedziałem, że zjawisz się tu wcześniej czy później, i jeśli garaż będzie zamknięty, poczujesz się opuszczona, a ja będę miał wyrzuty sumienia, a nienawidzę mieć wyrzutów sumienia. Wolałem więc poczekać. - Jeden kącik jego ust unosi się do góry.

- Ty to masz ciężkie życie - rzucam sucho.

- Nikomu prócz ciebie przez myśl by nie przeszło, żeby powiedzieć mi coś takiego. - Wydaje się dziwnie zadowolony.

- Pole siłowe na mnie nie działa.

- A to co ma znaczyć?

Rzucam mu ostre spojrzenie, bo jestem pewna, że wie. Dalej gapi się na mnie, wzruszam ramionami i dorzucam głębokie westchnienie, dając mu do zrozumienia, że tłumaczenie tego kosztuje mnie mnóstwo wysiłku.

- W szkole wszyscy omijają cię szerokim łukiem. Kiedy zobaczyłam cię pierwszego dnia na dziedzińcu, pomyślałam, że chyba otacza się coś w rodzaju pola siłowego. I żałowałam, że sama takiego nie mam. Możesz się schować, mimo że wszyscy cię widzą. Niesamowite.

- Pole siłowe - powtarza, nieco rozbawiony. - Może i tak. Ludzie mówili na to „martwa strefa” - dodaje, lecz nie tłumaczy dalej. - Może masz jakąś specjalną moc. - Domyślam się, że chodzi mu o moją odporność na pole siłowe, ale nic nie mówię.

Nie posiadam żadnych mocy. Jestem tego pewna, bo bardzo długo nie mogłam odżalować ich braku. Mam za to niezrównaną umiejętność pogrążania się w goryczy i wpadania w źle ukierunkowaną wściekłość, ale to się chyba nie liczy. Czuję się trochę oszukana. Przez kilka ostatnich lat przeczytałam całą górę książek i obejrzałam całe mnóstwo filmów i we wszystkich, kiedy bohater umiera i zostaje przywrócony do życia, w ramach rekompensaty dostaje jakąś nadnaturalną moc. *Przykro nam, nie wygralesz głównej nagrody, wieczny odpoczynek na razie nie będzie ci dany, ale nie odejdziesz z pustymi rękami!* Nawet jeśli bohater wraca złamany i całkiem do niczego, przynajmniej dostaje kosmiczną nagrodę pocieszenia, na przykład umiejętność czytania w myślach, rozmawiania ze zmarłymi czy wyczuwania węchem kłamstw. Coś w tym stylu. A ja nie potrafię nawet manipulować żywiołami.

Oczywiście, gdybym miała traktować dosłownie wszystko, co piszą w książkach i pokazują w filmach, musiałabym też uwierzyć,

że nastoletni chłopcy zwracają się do swoich koleżanek „kotku” i to czułe określenie jest jak pociąg ekspresowy do gorącego romansu. Minutę temu był dupkiem, ale wystarczy jedno „kotku” i pozamiatane. Seria omdleń i zanik poczucia godności osobistej uruchomione. „Oooooo, powiedział do mnie „kotku”. Mam mokro w majtkach, koooochaaam gooo!” Czy faceci naprawdę tak mówią do lasek? Brakuje mi doświadczenia w tej dziedzinie. Wiem jedno: gdyby facet tak mnie nazwał, pewnie roześmiałabym mu się prosto w nos. Albo bym go udusiła.

Idę za Joshem do kolejnej alejki. Czuje się tutaj niemal równie swobodnie jak w swoim garażu. Jakby pociągał go jakiś niewidzialny sznurek, prowadził prosto do potrzebnych mu rzeczy. Działa na autopilocie, nawet nie musi myśleć. Pewnie spędza połowę życia w tym sklepie.

- Drewno kupię następnym razem, dzisiaj nie mam siły. Poza tym chyba i tak będziemy musieli pojechać do składu drewna, żeby starczyło na wszystko, co potrzeba. - Forma liczby mnogiej wbija mi się prosto w czaszkę.

- A co robisz? - pytam, ale najpierw rozglądam się dokoła, sprawdzam, czy na pewno nikogo nie ma w pobliżu.

- Zamówienie dla jednego z nauczycieli. A potem dwa krzesła ogrodowe.

- Sprzedajesz wszystko, co robisz?

- Część rozdaję. Część sprzedaję. Żeby mieć kasę na drewno i narzędzia.

- To dlatego nie aplikowałeś do college'u?

- He? - mówi, wkładając do wózka jeszcze dwie puszki lakieru.

- Słyszałam, jak rozmawiałeś z panią Leighton. Jeszcze nie wysłałeś papierów. Nie chcesz?

- Jakoś nie czuję tej całej nauki.

- A twoi rodzice chcieli, żebyś uczył się dalej?

- Nie wiem. Nie dotarliśmy do tego punktu.

- To co zamierzasz robić?

- Pewnie to samo, co teraz. Tyle że jeszcze więcej. Rozumiem. Kiedyś myślałam dokładnie tak samo, tyle że to nieaktualne.

- Możesz sobie na to pozwolić? - pytam. Stoimy przed regałem, pełnym malutkich szufladek, a w szufladkach leżą śrubki we wszelkich możliwych rozmiarach. Josh ładuje je do wózka, nawet nie patrząc.

- Mogę pozwolić sobie niemal na wszystko, co mi się zamarzy. - Nie wiem, co tak naprawdę ma na myśli, ale mówi to z goryczą, a jeśli ma ku temu powody, to ja nie chcę ich znać.

Idziemy do kasy samoobsługowej, zaczynam wyjmować rzeczy z wózka i podawać mu, po jednej, a on przesuwają je pod czytnikiem. Nagle uderza mnie, jakie to wszystko jest zwyczajne. Mógł spokojnie przyjechać sam, bo naprawdę do niczego nie jestem mu tutaj potrzebna. A ja mogłam przez ten czas pobiegać, to właśnie powinnam teraz robić. Gdybym nie zastała go w domu, właśnie bym biegła. Biegłabym aż do utraty tchu. W jednej kwestii ma rację, zastanawiam się, czy zdaje sobie z tego sprawę i czy dlatego na mnie czekał. Gdybym zastała zamknięty garaż, poczułabym się okropnie opuszczona i może nigdy więcej bym nie przyszła.

Wracamy do jego domu tuż po dziewiątej, pomagam mu wnieść pakunki do garażu i patrzę, jak je rozpakowuje. Porusza się po tym miejscu z gracją i pewnością siebie, ani jednego zbędnego ruchu. Każdy jest wyważony i celowy. Nie czuję się zakłopotana, obser-

wując go. On też mnie obserwuje. Mamy niepisaną umowę. Pozwalam mu patrzeć. On pozwala patrzeć na siebie. Żadne z nas nie ma pretensji. To prezent, który dajemy sobie nawzajem. Bez zobowiązań i oczekiwań, bez czytania między wierszami. Każde z nas jest dla drugiego zagadką. Może gdybym potrafiła go rozwiązać, a on rozwiązałby mnie, moglibyśmy nawzajem sobie siebie wyjaśnić. Może tego właśnie potrzebuję. Kogoś, kto mnie wyjaśni.

Kiedy wszystkie zakupy są na swoich miejscach, zamyka drzwi garażu i wchodzi do domu, czeka, aż wejdem za nim.

- Jadłaś?

- Tak, jadłam przed wyjściem. A ty?

- Też. Ale mogę coś podgrzać, jeśli jesteś głodna. Gotowałaś dzisiaj?

- Patrzy na mnie sceptycznie.

Prycham. Prychanie jest bardzo atrakcyjne. -Nie.

- To co jadłaś na obiad?

- Ciasteczka z masłem orzechowym.

- Chyba nie muszę pytać, czy żartujesz? Jak ty możesz trenować na takiej diecie?

- Masło orzechowe zawiera mnóstwo protein - mówię z udawanym oburzeniem. - Poza tym zmieniłam przepis. Musiałam zjeść bardzo dużo, żeby stwierdzić, czy rezultat jest zadowalający.

- No i? - pyta Josh, po czym wyjmując z lodówki butelkę wody, wypija połowę i podaje mi.

- Nie wiem. Przyniosę ci trochę, to mi powiesz.

- Zjem twoje ciasteczka, ale pod warunkiem, że pozwolisz nakarmić się normalnym jedzeniem.

- Chcesz coś dla mnie ugotować? - O mało nie dławię się wodą. Oddaję mu butelkę.

- I tak będę gotować. Co za różnica, skoro już tu jesteś?
- Nie kłopotz się.
- Nie będę. - Uśmiecha się, a ja podchodzę do blatu i biorę do ręki odtwarzacz mp3, leżący obok telefonu.
- Czego słuchasz? - pytam, włączając odtwarzacz.
- Niczego. To dla ciebie. Leży nieużywany. Pomyślałem, że może chciałabyś słuchać muzyki, kiedy biegasz.
- Oj. Wyłączam go, nie patrząc, i odkładam na miejsce.
- Nie trzeba. Nie potrzebuję. Ale dzięki.
- Jak to? Jesteś jedyną znaną mi osobą, która nie słucha muzyki podczas biegania. Nie nudzi ci się? - pyta Josh. To uzasadnione pytanie, ale odpowiedź brzmi „nie”. Nigdy nie jest aż tak cicho, żebym mogła się nudzić i na pewno nie zamierzam wsadzić sobie tego gówna w uszy, to jak zaproszenie dla potencjalnego napastnika. Wzruszam ramionami, odsuwam odtwarzacz i odwracam się.
- W sumie nie. Słyszałam, że odbyłeś miłą pogawędkę z moją ciocią - mówię sarkastycznie. Podchodzę do sofy, zrzucam buty i podwijam nogi na siedzeniu.
- Zastanawiałem się, czy ci o tym wspomni.
- A czemu miałyby nie wspominać?
- Wzrusza ramionami. Oboje bardzo często wzruszamy ramionami, kiedy ze sobą przebywamy. Może dlatego zaczęłam mówić. Ramiona mnie rozboleły.
- Co powiedziała? - pyta, siadając obok mnie.
- Powiedziała, że nie jest głupia i że mam nie jej traktować tak, jakby była.
- A więc nie powinnaś tu teraz być?
- Nie, nie. Nie o to chodzi. Po prostu chce, żebym dawała jej znać, gdzie jestem. Mam wysyłać esemesy, reszta jej nie interesuje. - To

prawda. Margot rzeczywiście zrobiła mi wykład na ten temat. Upewniła się, że widzę, jak nieodpowiedzialnie i lekceważąco wobec niej się zachowałam, i rozumiem, że jeśli coś mi się stanie, to ona będzie musiała stawić czoło mojej matce, kobiecie mierzącej sto sześćdziesiąt dwa centymetry, która potrafiłaby wywołać strach nawet w wikińskim wojowniku. Ale kochana Margot nie zamierzała sadzać mnie w kącie ani stawiać żadnych ultimatum, na szczęście, bo i tak bym je olała. Nie ze zwykłej chęci buntu, nie dlatego, że nie zamierzam nikogo słuchać, ale dlatego, że nie zrezygnuję z wycieczek do garażu.

- Posłuchaj, Em - powiedziała Margot. - Nie jestem naiwna. Mam trzydzieści dwa lata, a na koncie całą listę historii, których nigdy nie opowiem mamie, a gdyby moją mamą była Charlotte, lista liczyłaby znacznie więcej pozygi, więc uwierz mi, rozumiem. Ale ty z kolei musisz zrozumieć, że za ciebie odpowiadam, a poza tym kocham cię. - W tym momencie chyba się wzdrygnęłam, ale mnie zignorowała. - Niedługo skończysz osiemnaście lat i wiem, że wszelkie próby zabrania ci czegokolwiek są skazane na porażkę, ale chcę, byś wykazała się odrobiną szacunku i dawała znać, gdzie jesteś, z kim jesteś i co robisz. W takim przypadku nie będę się wtrącać. W przeciwnym nie zawaham się rzucić cię w szpony twojej mamy.

Nie omieszkała dodać, że wie, jaka jestem rozsądna, a rozsądne dziewczyny często robią strasznie głupie rzeczy, a potem uściskała mnie i dorzuciła jeszcze, że mogę jej mówić o wszystkim, i że nie zamierza mnie osądzać. To chyba była jej wersja rozmowy o tym, skąd się biorą dzieci.

Też ją uściskałam, bo tylko w ten sposób mogłam podziękować jej za to, że nie zmusza mnie do walki. Nie zamierzała utrudniać mi spotkań z nim, a ja naprawdę bardzo potrzebuję w życiu czegoś, co nie sprawia mi trudności.

## Rozdział 25

### *Josh*

- Jak nauczyłeś się gotować? - Dzisiaj wieczorem nogi zwisają nie z blatu w garażu, tylko z blatu w kuchni. Codziennie przychodzi na obiad. Czasami pomaga. Czasami tylko patrzy. Zawsze mówi.

Wyciągam rękę i otwieram szafkę nad zamrażalnikiem, w której mama trzymała wszystkie swoje książki kucharskie. Nastya patrzy na przepelnioną półkę. Używam tylko tych z przodu, ale szafka jest bardzo głęboka, stoją w trzech rzędach.

- Nauczyłeś się z książek? - pyta, unosząc brwi.

- Chyba większość ludzi uczy się w ten sposób?

- Siedemnastoletni chłopcy raczej nie.

- Siedemnastoletni chłopcy raczej w ogóle rzadko potrafią gotować.

Zero odpowiedzi. Nie powiedziałem tego, by wprowadzić ją w zakłopotanie, ale chyba jest zakłopotana, bo zapada ta charakterystyczna cisza. Cisza, którą wszyscy próbują wypełnić, ale nie potrafią, ponieważ gorączkowo próbują odnaleźć odpowiednie słowa. I kiedy tak siedzą i myślą, cisza rozciąga się coraz bardziej i w końcu nie zostają już żadne słowa, które potrafiłyby zmienić



sytuację w mniej zenującą. Wszystkie odpowiednie słowa rozpuściły się w ciszy, kiedy tak intensywnie myśleli.

- Jeśli ma być do dupy, to może zamówimy pizzę - proponuje. Cisza z nią nie wygra. Nie onieśmiela jej. Kiedy ktoś przez ponad rok nie odzywa się do żadnej żywej istoty, pewnie dobrze radzi sobie z milczeniem.

- Nie będzie do dupy - odpowiadam.

- Cóż za pewność siebie.

- Gotuję już od jakiegoś czasu.

- Jakiego?

- Od trzech lat, mniej więcej. - Zacząłem, kiedy stan babci się pogorszył. Mniej więcej w tym samym czasie nauczyłem się obsługiwać pralkę i wymieniać worek w odkurzaczu.

- Miałeś czternaście lat. Dlaczego?

- Znudziło mi się jedzenie na obiad suchych płatków prosto z pudełka, więc któregoś dnia wyciągnąłem jedną z tych książek i zacząłem czytać.

- Ja w ogóle nie potrafię gotować.

- Potrafisz piec. -1 to jeszcze jak. W zeszłym tygodniu przyniosła te ciasteczka z masłem orzechowym, posypane cukrem, ozdobione na wierzchu kratką z ciasta. Kiedy je zobaczyłem, przypomniałem sobie, że mama też takie robiła, kompletnie o tym zapomniałem. Zacząłem się zastanawiać, ile jeszcze rzeczy zapomniałem.

- To nie to samo.

- Nauczyłabyś się, gdybyś tylko chciała. Mogę nawet pożyczyć ci książkę, jeśli chcesz - mówię nieco sarkastycznym tonem. Nie wygląda na zachwyconą moim pomysłem. - To wcale nie takie trudne.

- Może dla ciebie. Nie każdy może być taki wspaniały we wszystkim jak Josh Bennett. - Teraz wyszedłem na jakiegoś legendarnego dupka.

- Wiesz, ile żarcia wspaniały Josh Bennett spieprzył na początku? - Znowu wyszedłem na legendarnego dupka.

- Oświeć mnie.

- Powiedzmy, że przez kilka kolejnych miesięcy dalej żarłem płatki na obiad. A potem dużo rozgotowanego jedzenia bez smaku.

- Mogłeś chodzić na obiady do Drew.

- Jasne, gdybym tylko potrafił codziennie znosić przy stole jego towarzystwo. - Nie jestem masochistą, ale to prawda, zawsze mnie zapraszali.

- Jest twoim najlepszym przyjacielem. Chociaż nie pojmuję, jak do tego doszło.

- Obaj graliśmy w baseball, należeliśmy do Małej Ligi. Kiedy wszyscy moi bliscy zaczęli umierać, a wszyscy pozostali zaczęli mnie ignorować, Drew nie przestał do mnie przychodzić, chociaż próbowałem się go pozbyć. W końcu musiałem pogodzić się z tym, że sobie nie pójdzie.

- Cały Drew, faktycznie. *I cała ty, Słoneczko.*

- Mała Liga? - mówi z krzywym uśmiechem.

- Ale krótko. Skończyłem z tym, kiedy zorientowałem się, że wolę robić kije niż nimi machać.

Obserwuje, jak kroję warzywa. Wiem, że nie zaproponuje pomocy, kiedy w grę wchodzi ostre narzędzia.

- Ja na początku też wszystko chrzaniłam - mówi, wracając do poprzedniego tematu. Trudno w to uwierzyć. Myślę, że wyszła z kanału rodnego, dumnie dzierżąc w dłoni foremkę i szpatułkę do ciasta.

- Kiedy zaczęłaś?

- Miałam piętnaście lat. - Spogląda na swoją lewą rękę, obracając. Uznaję, że nic więcej nie powie, przyzwyczailem się, że skąpi informacji na swój temat. Wymijające odpowiedzi to wszystko, czego można się spodziewać, tym razem jednak mnie zaskakuje. - Moja ręka była do niczego, przechodziłam intensywną rehabilitację. Powiedzieli, że mogłabym ugniatać ciasto na chleb, żeby wzmocnić rękę. W którymś momencie stwierdziłam, że skoro mam już poświęcać tyle czasu na zagniatanie ciasta, to równie dobrze mogę zacząć piec z niego chleb. - Śmieje się krótko.

- Pewnie łatwiej powiedzieć niż zrobić.

- Eufemizm. - Uśmiecha się mimowolnie. Ten widok kłóci się ze wszystkim, do czego mnie przyzwyczała. - Za pierwszym razem ciasto w ogóle nie wyrosło. Wyszedł z tego taki płaski twardy dysk. Ale tata zjadł i powiedział, że wcale nie jest takie złe. Gdybyś widział jego minę, kiedy próbował przeżuć to świństwo. Nie mam pojęcia, jak tego dokonał. - Ciągłe się uśmiecha. Widzę, jak wspomnienia przemykają po jej twarzy i nagle uświadamiam sobie, że od dobrej chwili nie kroję warzyw, tylko gapię się na nią. Zmuszam się, żeby wrócić do pracy, zanim zauważy. - Potem nastąpiło jeszcze wiele nieudanych prób. Zawsze coś było nie tak. Nigdy mi nie wychodziło. Wkurwiało mnie to, jak nie wiem co.

- Poddałaś się? - pytam, a ona patrzy na mnie, jakbym powiedział coś bardzo niestosownego.

- Miałam przegrać z głupim bochenkiem chleba? Mowy nie ma. Zużywałam niesamowite ilości mąki. Mama zaczęła kupować drożdże hurtowo. Raz tak się wkurzyłam, że cisnęłam ciastem o sufit. Kiedy mama weszła i zobaczyła, jak stoję na drabinie i próbuję zeskrobać ciasto szpatułką, myślałam, że na zawsze

zabroni mi wstępu do kuchni. Ale w końcu się udało. Zajęło to kilka miesięcy, ale wreszcie zdołałam upiec całkiem przyzwoity bochenek. - Wzrusza ramionami, znowu spogląda na swoją lewą rękę, zgina palce. - A ręka rzeczywiście się wzmocniła.

- Pieczesz jeszcze chleb?

- O nie. - Prycha, jakbym zadał najbardziej absurdalne pytanie na świecie. - To beznadziejna robota. Zabiera mnóstwo czasu, poza tym przy tutejszej wilgotności to byłby prawdziwy koszmar. Po prostu chciałam wiedzieć, że potrafię to zrobić, jeśli tylko zechcę. I tak wolę rzeczy z dużą zawartością cukru.

Pokazuje podbródkiem deskę, na której kroję warzywa.

- Chyba już mają dosyć.

Patrzę na czerwoną paprykę, którą unicestwiłem, słuchając opowieści Nastyi.

- Nie moja wina, że jesteś taka rozpraszająco ładna. - Minutę zajmuję mi uświadomienie wkurwionej i nadal działającej części mojego mózgu, że tak, naprawdę to powiedziałem. I nie wiem, czy w ogóle istnieje słowo „rozpraszająco”. Jeśli nawet, to brzmi beznadziejnie. Zupełnie w moim stylu. Wydaje mi się, że w tym momencie najlepiej udawać, że to się w ogóle nie stało, i mam nadzieję, że ona zgodzi się na ten plan, ale nie, robi coś innego, niemal równie dobrego.

- Drew mówi, że jestem zarąbiście seksowna. - Wzrusza obojętnie ramionami i tym samym uwalnia mnie od kłopotu.

- To też - mówię z uśmiechem, nie patrząc na nią. Potem zbieram to, co zostało z papryki, nalewam oleju do rondla i wykładam warzywa na blat. - Ustaw piekarnik na ósemkę. - Nastya szykuje się, by wykonać polecenie i w tym samym momencie otwierają się drzwi. Oboje podskakujemy.

- Hej, co je... - Drew urywa w połowie słowa. Nie wiem, czy wyraz jego twarzy wynika bardziej z tego, że Nastya siedzi w mojej kuchni jak gdyby nigdy nic, czy też z tego, że jest niemal nie do rozpoznania. Ma na sobie białe dżinsowe spodenki i różową koszulkę, na twarzy ani śladu makijażu, co zresztą widać wyraźnie, bo włosy ściągnęła do tyłu. Wygląda młodziej, jak zwykle w takim wydaniu. A wzdłuż linii włosów widać nierówną bliznę, którą normalnie zawsze zakrywa. Przywykłem do takiej Nastyi, ale wiem, że Drew do tej pory nie widział jej w wersji choćby odrobinę przypominającej prawdziwego człowieka, a ja nigdy mu o tym nie wspominałem.

Nie wiem, czy można uznać to za zdradę. Jeśli tak, powinienem czuć się winny, i jakaś część mnie rzeczywiście tak się czuje. Ale jednocześnie czuję się usprawiedliwiony. Nawet jeśli to samolubne. Niech się wkurza, proszę bardzo. I tak było warto.

Nastya ześlizguje się z blatu. Już myślę, że zamierza wyjść i zostanę sam na placu boju, płacząc się w wyjaśnieniach, ale nie. Przechodzi przez kuchnię, otwiera górą szafkę, w której trzymam naczynia, i wyjmuję jeszcze jeden talerz, a potem sztuce z szuflady i kładzie wszystko na stole. Drew podchodzi do stołu, przyciąga krzesło i siada, nawet na sekundę nie odrywając od niej oczu. Jakby próbował zrozumieć, kim ona tak naprawdę jest. Złudzenie optyczne. Moje oczy już się przyzwyczyły, ale on nadal walczy.

- To jak, przedstawiś mnie swojej dziewczynie? - pyta, przenosząc wzrok na mnie. W tym pytaniu jest raczej ciekawość niż złośliwość. I chyba odrobina podziwu.

- To nie jest moja dziewczyna. - Jedną ręką podaję Nastyi podstawki pod garnki, drugą mieszam w rondlu. Nie patrzę na nią.

- W takim razie - mówi, sadzając sobie Nastię na kolanach -co dzisiaj na obiad?

## Rozdział 26

### *Josh*

- Skąd możesz wiedzieć, że Boga nie ma? - wypluwa z siebie Tierney Lowell. Dyskusja trwa już dwadzieścia minut od chwili, gdy rozległ się dzwonek na piątą lekcję. Zaczęło się od rozmowy na temat opowiadania, które czytaliśmy w zeszłym tygodniu, rozmowa jakimś dziwnym sposobem przekształciła się w regularną słowną nawałankę na temat istnienia Boga.

- A skąd możesz wiedzieć, że jest? - odparowuje Drew. Nie stara się za bardzo. Lenistwo lub apatia. Widziałem go nieraz podczas dyskusji, to tutaj jest poniżej jego możliwości. Drażni się z Tierney dla zabawy.

- Nie powiedziałam, że wiem. Wiara nie ma nic wspólnego z wiedzą. Dlatego nazywa się wiara, palancie. Dlatego mówimy „przyjąć coś na wiarę”.

- Panno Lowell?

- Debil, kretyn, idiota, baran, Drew - wylicza Tierney. To zabawa pani McAllister. Należy wymienić jedno niedopuszczalne słowo i podać pięć innych, którymi można je zastąpić.

- Od kiedy to jesteś taka religijna? - Drew nie waha się ani chwili. Wszyscy słuchają uważnie, głowy obracają się w tę i z po-

wrotem, jakby oglądali mecz tenisa. Niemoralne jednostki, dyskutujące o istnieniu Boga, to wspaniała rozrywka. Szczególnie, gdy dorzucimy wyraźne napięcie seksualne między uczestnikami debaty. W sali słyhać jeszcze tylko zgrzytanie zszywacza. Słoneczko od początku lekcji spina jakieś kartki. Siedzi w kącie, odwrócona plecami, ale widzę, że słucha.

- Nienawidzę religii. Wierzę w Boga.
- Wiara w Boga jest dla słabych. - Drew wydaje się znudzony, ale wyraźnie świetnie się bawi.
- W takim razie czemu ty nie wierzysz? - Odchyła się na krześle, ale Drew nie łapie się na przynętę.
- Ludzie wierzą w Boga, ponieważ nie wierzą w samych siebie. Potrzebują czegoś, na czym mogą się oprzeć i na co mogą zwalić winę, zamiast wziąć odpowiedzialność za własne gówno: odchody, ekskrementy, brudy, błędy, wady.
- Powiedział ktoś, kto za nic nie bierze odpowiedzialności.
- Nigdy nie wypieram się swoich czynów.
- Co czyni z ciebie niedościgły wzór moralności.
- Moralności? - Drew wypluwa to słowo, jakby poparzył sobie język.
- Czy przypadkiem nie mamy tu do czynienia z klasyczną sytuacją pod tytułem: kocioł przygania garnkowi? - Kevin Leonard i inni klasowi wielbiciele ziela uznają, że to najbardziej niesamowita rzecz, jaką kiedykolwiek słyszeli. - Nie pouczaj mnie. Ja biorę odpowiedzialność za wszystko, co robię.
- Nie za wszystko.
- Jeśli coś mi zarzucasz, to poprzyj to konkretnymi przykładami, bo inaczej twoje argumenty nie mają żadnej wartości.
- To nie jest debata, Drew. - Nie wygląda na przestraszoną. Raczej zdradzoną.

- Ale może być. Te same zasady. Chcesz coś powiedzieć, uzasadnij. Jak nie umiesz, nie mów, bo wtedy twoje argumenty są słabe. Jak ludzie, którzy wierzą w Boga.

Pani McAllister zmienia temat i skutecznie kończy dyskusję. Dziwne, że wcześniej nie zareagowała. Owszem, rozmowa wprawdzie się skończyła, ale Drew i Tierney aż do dzwonka posyłają sobie piorunujące spojrzenia. Tylko czekam, aż zaczną zdzierać z siebie ubrania.

*Nastya*

- Siadaj. Dam sobie radę. - Josh odpycha mnie od zlewu. Właśnie posprzątaaliśmy naczynia ze stołu. Jadam u niego coraz częściej. Tylko wtedy spożywam normalne posiłki. Josh przyrządza prawdziwe jedzenie, a ja dostarczam desery.

- Gotowałeś. Mogę pozmywać.

- Nie. Nie możesz. - Wrywa gąbkę z mojej ręki i zakręca wodę, a ja sprzątam resztę rzeczy ze stołu i wkładam naczynia do zlewu. Popadliśmy w jakąś cudaczną domową rutynę, jak tak pomyśleć, to dość żałosne.

- Nie mogę pozmywać naczyń? - pytam z niedowierzaniem.

- Nie. - Potrząsa głową.

- Dlaczego nie?

- Bo jesteś beznadziejna.

- Beznadziejna? To tylko naczynia, a nie operacja mózgu. Trzeba jedynie zmyć resztki jedzenia z talerzy.

- Właśnie. Jak można tego nie umieć? Za każdym razem po twoim wyjściu muszę zmywać wszystko jeszcze raz.

- Nieprawda. - *Czy prawda?*



Patrzy na mnie i wiem, że prawda.

- Jesteś upierdliwym pedantem.

- Tak, lubię jadać z czystych talerzy. Mam poważny problem psychologiczny - mówi z kamienną twarzą.

A więc tak nisko upadlam. Nie potrafię nawet porządnie pozmywać naczyń. On gotuje, zmywa, robi niesamowite meble. Czuję się całkowicie zbędna. Buczy suszarka i doznaję olśnienia, że jednak mogę jeszcze na coś się przydać.

- Dobra. Idę poskładać pranie. - Ruszam w stronę pralni.

- Nie ma mowy. Siadaj.

- Ubrań też nie mogę poskładać?

- Nie ma mowy, żebyś dotykała moją bieliznę.

- Chyba żartujesz.

- Nie. To by było bardzo dziwne. - Przechyliła się i mokrą ręką otwiera szufladę, w której leżą ściereczki. - Proszę. Wycieraj. - Ciska we mnie jedną z nich, przy okazji ochlapując mnie wodą.

Wyrywam mu ścierkę z ręki.

- A może użyję twoich świeżo wypranych bokserek? - Dziecinne uwagi nie są bynajmniej poniżej mojej godności.

- Skąd wiesz, że noszę bokserki?

- Miałam taką nadzieję. - Alternatywa jest mało zachęcająca. Wzrusza ramionami i podaje mi talerz.

- No dalej. To ty będziesz z nich jadła.

- Nikt cię nie lubi - rzucam, bo świetnie się bawię, mrużąc pod nosem jak naburmuszona nastolatka.

W końcu wycieram talerze ściereczką. Josh mówił prawdę. Rzeczywiście zmywa lepiej ode mnie. Przede wszystkim z tej przyczyny, że nie cierpię sprzątania i temu podobnych czynności, ale o tym nie musi wiedzieć.

- Co to było dzisiaj na angielskim, z Tierney i Drew?
- Co? Dyskusja o Bogu? Drew i Tierney zawsze się kłóca. Drew argumentowałby nawet za zaletami celibatu, gdyby Tierney była przeciwko.
- Może. Wyglądało na coś osobistego.
- Drew lubi ją wkurzać. Dzisiaj tylko się z nią drażnił. Gdyby chciał, mógłby od razu ją załatwić.
- Dziwię się, że tego nie zrobił. Załatwiłby każdego. - Naprawdę mi imponuje. Kiedy jest w nastroju, potrafi przypuścić taki atak werbalny na przeciwnika, że pod koniec biedny delikwent ledwo trzyma się na nogach. Podczas turnieju kilka tygodni temu wygrał we wszystkich rundach, a nawet nie wykorzystał w pełni arsenału swego wdzięku.
- Nie musiał. Ona nie ma szans w starciu z nim. To nie było warte wysiłku.
- Prawda. Cały Drew. Robi coś dla zabawy, do momentu, kiedy się znudzi. Jak kot, bawiący się schwytaną jaszczurką, aż ta zmieni się w mokrą szmatkę.
- Dlaczego pani McAllister im pozwoliła? Nawet nie dyskutowali na temat.
- W ten sposób poznaje ludzi. Łatwiej jej kogoś rozpracować, jeśli pozwoli tej osobie po prostu gadać. Dowiaduje się, jak ten ktoś myśli. Poznaje jego silne i słabe strony. - Niezły zwiad. Jestem pod wrażeniem. Ale to niezbyt efektywna metoda, kiedy dyskutują tylko dwie osoby w klasie.
- Nikt prócz nich nie doszedł do głosu.
- Nikt nie jest na tyle głupi, żeby dyskutować o istnieniu Boga. Takiej dyskusji nie można wygrać. - Wkłada ostatnie naczynia do szafki.

- Którą ze stron masz na myśli?  
- Obie.  
- A ty wierzysz w Boga?  
- Tak - odpowiada z przekonaniem. Widocznie mina mnie zdradza, bo zaraz pyta: - No co?  
- Jestem zaskoczona. Nie przypuszczałam.  
- Bo jestem przeklęty i wszyscy dokoła mnie umierają? - pyta beznamiętnym tonem.  
Nie chcę tego mówić, ale rzeczywiście tak właśnie pomyślałam.  
- Wierzę w Boga, Słoneczko. Zawsze wierzyłem.  
A potem mówi coś, co wcale nie brzmi jak uzalanie się nad sobą ani jak melodramat. To stwierdzenie faktu. -1 wiem, że mnie nienawidzi.  
Może te słowa powinny wbić mnie w ziemię, ale nawet nie mrugnęłam okiem. Może powinnam zaprotestować, powiedzieć, że nie powinien tak myśleć. Że to nieprawda. Że to komiczne. Tyle że to nie jest komiczne. Ani trochę. Kiedy patrzysz, jak kolejne bliskie ci osoby systematycznie znikają z twojego życia i w końcu w wieku siedemnastu lat zostajesz całkiem sam, to co można myśleć? Jego podejście wydaje się absolutnie sensowne, dziwię się tylko, że sama na to nie wpadłam.

## Rozdział 27

### *Josh*

- Wyglądasz idiotycznie.

Słoneczko zjawia się w garażu o ósmej, ubrana na imprezę. Nienawidzi imprez, ale Drew za każdym razem udaje się ją namówić.

Nasza rutyna stała się, hm, rutyną. Odrabiamy lekcje, szykujemy obiad, a potem idziemy do garażu. Czasami Nastya idzie biegać, a potem wraca i szlifuje lub tylko przygląda się temu, co robię, i zadaje setki pytań. Chętnie wyszlifuje wszystko, co jej każę, ale za nic nie zbliży się do żadnego z narzędzi, bo nie ufa swojej ręce.

- No co? Nie pasują? Może wcale ich nie oddam. - Patrzy na stare znoszone buty robocze, które pożyczyła ode mnie. Na jej stopach wydają się ogromne, zawiązała je najściślej, jak się dało, żeby nie spadły. Przyszła ubrana w czarną sukienkę, gorszego narzędzia tortur nie można sobie wyobrazić, i w pantoflach bez palców. Pracują różne urządzenia, więc pozwoliłem jej zostać tylko pod warunkiem, że zmieni buty. Jakaś część mnie liczyła na to, że sobie pójdzie, żebym nie musiał patrzeć na nią w tej sukience i walczyć z własnym kutasem, ale niestety, nie oszczędziła mi tej

męki. Kilka tygodni temu, kiedy pogodziłem się z faktem, że nie zamierza odejść, obiecałem sobie, że się do niej nie zbliżę. Nie jestem aż tak autodestrukcyjny. Ale kiedy paraduje tutaj w czarnej obcisłej kiecce i moich butach roboczych, zastanawiam się, jak długo uda mi się dotrzymać słowa.

- Jesteś pewien, że nie chcesz iść? - pyta. Pyta za każdym razem, kiedy wychodzi z Drew. Ale nie mam zamiaru ulec, nawet po to, by być blisko niej. Drew zajeżdża przed dom i ratuje mnie od odpowiedzi.

- Fajne butki. Podobają mi się. Może pozwolę ci w nich zostać.

Pokazuje mu faka, na nim jednak nie robi to wrażenia.

- Powinieneś z nami pójść - mówi do mnie Drew. - Mógłbym cię z kimś poznać.

- Sam się poznaj. Ja nie potrzebuję.

- Jasne, wiemy. - Patrzy na Nastyę. - Ja też nie. Nie narzekam, grzeje mnie moje prywatne Słoneczko.

Te słowa wywołują u mnie stanowczy protest. Chodzi z nią na imprezy, dotyka jej, gada rzeczy, na jakie nikomu innemu by nie pozwoliła. Dobra. Ale nie ma prawa nazywać jej Słoneczkiem. Wbijam gwóźdź, żeby nie stracić kontroli. Za minutę sobie pójdą, koniec. Szkoda, że jeszcze tyle trzeba czekać.

- Jeszcze raz nazwiesz mnie Słoneczkiem, to pożałujesz, pojebie.

Nie wiem, kto z nas szybciej się odwraca, ja czy Drew, w każdym razie w tym momencie odbiera mi mowę. Kiedy docierają do mnie jej słowa, szok ustępuje miejsca rozbawieniu. Próbuję zapanować nad uśmiechem. Najwyraźniej Słoneczko też nie życzy sobie, by Drew nazywał ją w ten sposób.

Nie wiem, kiedy zdecydowała się do niego odezwać, ale na pewno nie stało się to w tej chwili. Może nie potrafię jej rozgryźć, ale wiem na pewno, że wszystko, co robi, jest starannie przemyślane. Rozważa konsekwencje każdego czynu. Ta dziewczyna nie zna słowa „spontanicznie”. Planuje każdy oddech.

- Ty mówisz? Ty mówisz! Ona mówi! - Drew patrzy na mnie, oczekuje jakiejś reakcji, ale reakcja nie następuje. Owszem, jestem zaskoczony, ale nie w szoku. Znowu walczę z uśmiechem.

Jeżeli to w ogóle możliwe, jego oczy robią się jeszcze bardziej okrągłe.

- Ty zdrajco! Wiedziałeś! - Chodzi w tę i z powrotem między nami dwojgiem, nie może się zdecydować, na kogo patrzeć. Żadne z nas nie patrzy na niego.

Po chwili odzyskuje przytomność umysłu, a ja w przypiływie zdrowego rozsądku zamykam drzwi do garażu. Dom stoi na końcu ulicy i raczej nikt tu nie zajrzy, ale Drew zachowuje się bardzo głośno, a publiczności nie potrzebujemy.

- No, no, no - mówi bardzo z siebie zadowolony, zupełnie bezpodstawnie. Drew potrafi każdą sytuację obrócić w swój prywatny triumf. Najwyraźniej to właśnie jego nieodparty urok sprawił, że niemowa odzyskała głos. A może wydaje mu się, że właśnie dokonał wielkiego odkrycia.

- Od kiedy? - pyta. Nie wiem, co ma na myśli. Wskazuje na mnie i Nastyę. - Wy dwoje. Od kiedy?

- My dwoje nic. Rozmawiamy, i tyle. - Spoglądam na Nastyę, która stoi oparta o blat. Ona patrzy na mnie. Nie wiem, czy próbuje dać mi coś do zrozumienia, czy czegoś ode mnie chce. Czuję ulgę wymieszaną z żalem. Cieszę się, że już nie trzymam tego w tajemnicy przed Drew, ale nic nie mogę poradzić, czuję też,

że straciłem coś nie do odzyskania i że ona oddała to, nie pytając mnie o zdanie.

- I tyle? Nie odezwała się do nikogo, odkąd się tu zjawiała. Ani jednym słowem. Do nikogo prócz ciebie. A ty mówisz „i tyle”?

- Nie chciałem cię rozczarować. - To chyba raczej ja jestem rozczarowany. Wiem, że jest trochę mniej moja niż zaledwie kilka minut temu.

- Ona nie ma akcentu. - Odwraca się w stronę Nastyi.

- Zawiedziony? - Jej głos brzmi jak miód doprawiony arszenikiem. Zupełnie inaczej niż ten, którego używa w rozmowach ze mną.

- Ekstremalnie. Liczyłem na megaseksowny efekt. Jeszcze nigdy nie słyszałem, jak ktoś wykrzykuje moje imię z obcym akcentem. Bardzo na to czekałem.

- Jesteś ohydny. - Więcej w tym rozbawienia niż złości.

- Trochę sobie poczekałaś, żeby mi to powiedzieć. Lepiej?

- Nie aż tak jak się spodziewałam. - Marszczy nos i wygląda niesamowicie uroczo. Chyba skończyła, bo podchodzi do drzwi i naciska guzik.

- Hej! - woła Drew w tym samym momencie, jakby właśnie przypomniał sobie o czymś bardzo ważnym. - Czy ty przypadkiem nie nazwałaś mnie przed chwilą pojebem?

W jej oczach zapalają się iskierki, jeden kącik ust unosi się lekko.

- Nie da się ukryć.

W oczach Drew również zapala się figlarny błysk. Uśmiech to mieszanina dumy i niedowierzania. Już rozumiem, czemu zdecydowała się do niego odezwać.

- No to zaczynamy imprezę, Słoneczko.

## Rozdział 28

### *Nastya*

Impreza u Jen Meadows jest do dupy i już w momencie, kiedy wchodzimy do środka, wiemy, że raczej długo tam nie zabawimy. Czuję ulgę, bo mimo że wszystko dzieje się we wnętrzu, hałas, towarzyszący takim wydarzeniom, zawsze źle na mnie działa. Ciężko wyodrębnić pojedyncze dźwięki i określić źródło ich pochodzenia. Dotarłam do takiego etapu, że potrafię wyluzować się w podobnych sytuacjach, we wnętrzu i pośród innych ludzi, ale jeśli mam wybór, wolę ciszę.

Dzisiaj Drew przykleja się do mnie na dobre. Zwykle na wejście obejmuje mnie ramieniem, w ten do bólu stereotypowy sposób dając do zrozumienia, że jestem jego własnością, ale zaraz po skończonym pokazie puszcza mnie wolno, chociaż nigdy nie pozwala mi zbytnio się oddalić, nie więcej niż na kilka metrów. Dzisiaj jednak w ogóle nie zamierza rezygnować z uścisku.

Raz po raz rzuca mi spojrzenie z ukosa, z takim uśmiechem, jakbyśmy wspólnie coś knuli. Powinnam żałować tego, co zrobiłam, ale nie żałuję - mimo że przez całą drogę próbował dowiedzieć się, dlaczego nie mówię, aż wreszcie wyjaśniłam mu, nie szczędząc drastycznych szczegółów, jaki los go spotka, jeśli zapy-



ta jeszcze raz. Nie zapytał. Możliwe, że wiąże się to jakoś z jego miłością do najcenniejszej części męskiego ciała.

Oplata mnie ramieniem w talii i przesuwa w stronę ściany, widzę zza jego ramienia Tierney Lowell, która właśnie wchodzi do środka. Chris chwyta ją za rękę i szepcze jej coś do ucha. Tierney przechodzi przez salon.

Drew przesuwa ręką po moim ramieniu, splata palce z moimi palcami i ostentacyjnie ciągnie w stronę schodów. Mam dwie rzeczy do wyboru: mogę próbować powstrzymać go na oczach publiczności, czyli przystanąć i zaprzecić z całych sił, podczas gdy on będzie próbował zaciągnąć mnie na górę albo mogę po prostu pójść za nim. Opcja A z pewnością wzbudzi większe zainteresowanie. Za to na widok Drew i mnie zmierzających do sypialni na piętrze nikt nawet nie uniesie brwi. Wszyscy sądzą, że bzykamy się od kilku dobrych tygodni. Nie szkodzi. Drew miał wiele okazji, ale nigdy nie próbował. Właściwie mnie nie dotyka, tylko czasem obejmuje lub bierze za rękę. Żadnych ukradkowych ob-macywanek. Z jakiegoś powodu jestem mu potrzebna, nie wiem jakiego, ale na pewno nie chodzi o seks.

- Dlaczego chcesz, żeby wszyscy myśleli, że jesteśmy razem? - pytam szeptem, kiedy wciąga mnie do pustej sypialni i zamyka drzwi. Pochyla się i przekręca klucz. Pokój rozjaśnia tylko blask w szparze pod drzwiami i światło latarni za oknem. To pokój gościnny, wszystko wskazuje na to, że łóżko było już dzisiaj używane. Muzyka nadal gra bardzo głośno, nie muszę się martwić, że ktoś nas usłyszy, ale i tak ściszam głos, a Drew idzie za moim przykładem.

- Bo powinniśmy być. - Opiera się o drzwi i przymyka oczy. Wiem, że nie powiedział tego szczerze.

- Ciebie nie interesuje żadne „razem”. Tylko jednorazowe numerki.
- Mógłbym zrobić wyjątek. - Mierzy mnie wzrokiem, ale widzę, że bez przekonania; nadal nie wiem, czemu zadaje sobie tyle trudu.
- Pewnie mógłbyś, ale na pewno nie dla mnie.
- A co byś zrobiła, gdybym cię teraz pocałował?
- Pewnie bym ci pozwoliła, żeby sprawdzić, o co to całe zamieszanie. A potem odgryzłabym ci wargi i kazała zeżreć, co byłoby dość trudne, no bo nie miałbyś warg.
- Kiwa głową, nie patrząc na mnie.
- Jesteś przerażająca.
- Więc nie zamierzasz mnie pocałować?
- Nie. Ale nie z powodu wizji, którą przede mną roztoczyłaś, chociaż trudno jej się oprzeć.
- Musisz mieć ważny powód, że tak ryzykujesz utratą reputacji.
- Nie ryzykuję. Jak myślisz, co teraz robimy? Rozmawiamy? Nie mówisz, to znacznie zawęży opcje. Wszyscy na dole dobrze wiedzą, że właśnie cię posuwam. - Wyciąga koszulę ze spodni i gniecie ubranie.
- Podoba mi się?
- Jeszcze nigdy nie było ci tak dobrze - mówi hipnotyzującym głosem, jakby stosował na mnie jakieś sztuczki w stylu Jedi.
- Niewątpliwie. To dlaczego tego nie robimy, skoro to robimy?
- Mógłbym wziąć cię za słowo. - Otwiera jedno oko i patrzy na mnie.
- Ale nie weźmiesz. - Może byłabym trochę rozczarowana, gdybym nie czuła takiej ulgi. - Powinieneś przynajmniej powiedzieć mi dlaczego. Ja pokazałam ci swój sekret.

- Gdybym ja pokazał ci swój, pewnie rozprawiłabyś się z nim równie brutalnie, jak z wargami. - Nic nie powie, chociaż najwyraźniej coś ukrywa.

- To po co tak się starasz od kilku miesięcy, skoro nie zamierzasz pójść dalej?

- Wszyscy myślą, że bzykam ciebie i dzięki temu nie oczekują, że będę bzykał wszystko, co się rusza.

- Ale przecież bzykasz wszystko, co się rusza? - Nigdy do końca nie kupiłam jego image'u, w każdym razie nigdy nie wierzyłam, że nie istnieje nic więcej. Ale on sam ten image sprzedaje. Uwierzyłam, że jeśli sprawdzisz w słowniku definicję moralnego upadku - lub męskiej dziwki - będzie ona brzmiała „Drew Leighton”. A teraz ten image legł w gruzach.

- Lubilem cię znacznie bardziej, kiedy nie mówiłaś.

- Aha, wiem. Ale nie da się cofnąć czasu. Nigdy nie wiesz, co masz, póki tego nie stracisz. Perspektywa czasu to suka. Odpowiedz na pytanie.

Wywraca oczami, wzdycha ciężko, pilnuje, żebym odczuła w pełni, jak bardzo cierpi.

- Tego ode mnie oczekują. Jeśli przestanę, wszyscy będą próbowali dowiedzieć się z jakiego powodu. Zaczną snuć domysły. Wolałem załatwić to za pomocą drobnego oszustwa.

- Dlaczego ja?

- Uznałem, że nikomu nie powiesz prawdy. - Wzrusza ramionami. Jeśli Drew Leighton w ogóle potrafi wyglądać na zmieszanego, powiedziałabym, że właśnie się stara, ale to nie za bardzo w jego stylu.

- Sorry. Na początku tak nie myślałem. Jeśli to poprawi ci humor, zapewniam, że zamierzałem zastosować wobec ciebie ten plan co zawsze. Gdybyś na to poszła, bzyknęlibyśmy się przy

pierwszej okazji i teraz by nas tutaj nie było. Ale ty potraktowałaś wszystko jak żart. Co za ulga. Naprawdę mi ulżyło. A im bardziej za tobą ganiałem, tym mniej poważnie mnie traktowałaś. Tak więc zasadnicze pytanie brzmi, dlaczego ty się na to wszystko godziłaś?

- Z tego samego powodu, co ty. Ludzie widzą, że jestem na ob-sikanym terenie, poza zasięgiem. Nie licząc Ethana Ówoka, mam święty spokój. Czysty zysk. - Nie obchodzi mnie, co ludzie o mnie mówią. Nie przejmuję się plotkami i kłamstwami. Chodzi mi właśnie o to, żeby prawda nie wyszła na jaw.

- A jakie miejsce zajmuje Josh w tej całej historii? - pyta, w końcu spoglądając mi prosto w oczy.

- Nie rozmawiamy o Joshu.

- Nie? - drąży.

- Josh posuwa kogoś innego. - A do tego należy dodać, że nie chce do nikogo się przywiązać i jest nierealnym marzeniem.

- No to co? Josh Bennett ma koleżankę do bzykania. - Drew wzrusza ramionami, jakby właśnie oznajmił, że Josh nosi majtki. Mówi to tym samym tonem co za pierwszym razem, kiedy mi o tym powiedział, a jego słowa brzmią tak samo do dupy jak wtedy. - Jak myślisz, niby jak zdołał przez cały czas utrzymać łapy z daleka od ciebie? To nic nie znaczy. - Spojrzenie, które mu rzucam, mówi coś innego. - Nie bądź taka surowa. To dobry chłopak, ale nie jest święty.

- Kim ona jest dla niego? - Staram się, żeby mój głos nie brzmiał tak, jakbym była zazdrosna, czy próbowała wydobyć jakieś informacje, ale prawda jest taka, że jestem i próbuję.

- Jest - opowiada Drew i patrzy na moją klatkę piersiową, bo w końcu to Drew, a potem podnosi wzrok i spogląda mi prosto w oczy - jest substytutem Słoneczka.

Jakoś trudno mi w to uwierzyć, Josh nigdy nie próbuje się do mnie zbliżyć.

- On nawet nie rzuca mi ukradkowych spojrzeń, nie mówiąc już o dotykaniu.

- Masz rację. Nie rzuca ci ukradkowych spojrzeń. Patrzy prosto na ciebie i w ogóle się z tym nie kryje. Do tej pory ślinił się tak tylko na widok czegoś, co ma cztery nogi i jest zrobione z mahoni, ale tego czegoś chyba nie zamierza zaprosić na randkę.

- Nie pozwól mu, Drew. Nie ze mną. Ciebie posłucha.

- Nie. Nie posłucha. - Urywa, patrzy na mnie. - Wydaje mi się, że ta deska została przecięta.

- Że co?

- No, że już za późno. Okręt odpłynął, sprężynka pękła. Chciałem użyć metafory stolarskiej, ale jak widać, brakuje mi odpowiedniego zasobu słów. Chyba nie wyszło, co?

- Nie za bardzo.

- Nie przejmuj się. Josh pragnie wieść życie wolne od niepotrzebnych komplikacji. Na razie chyba jesteś bezpieczna. - Podnosi rękę i targa sobie włosy.

- Jak długo mamy tu siedzieć? - Mam dosyć rozmów na temat Josha. Pewnych rzeczy lepiej nie dotykać, to jest najlepszy przykład. Patrzę na zmiętą pościel. Nie. Osuwam się po ścianie na podłogę, siadam obok Drew ze skrzyżowanymi nogami. Kładzie moją głowę na swoim ramieniu.

- Co najmniej dwadzieścia minut. Muszę dbać o reputację.

## Rozdział 29

### *Josh*

- O kurwa! - Ostrze piły przecina mi skórę i po kilku sekundach spodnie nasiąkają krwią w miejscu, gdzie przyciskam zranioną rękę. Nie za dobrze radzę sobie z widokiem krwi. Szczerze mówiąc, w ogóle sobie nie radzę. Bardzo niefajna sytuacja.

Osuwam się na podłogę, opieram plecami o szafki. Muszę zatrzymać krwawienie, ale na razie chcę posiedzieć, to priorytet, bo jestem bliski zemdenia.

- Co jest? - Nastya bierze moją rękę, chcę jej powiedzieć, żeby tego nie robiła, bo strasznie krwawię, ale z moich ust wydobywa się tylko kolejne przekleństwo.

- Aha. - Przyciska ranę, a ja próbuję sięgnąć prawą rękę po ręcznik, leżący na blacie. Odpycha go dalej.

- Jest cały w smarze i trocinach. Ja pierdzielę! - wykrzykuje, kiedy krew zaczyna spływać po jej ramieniu. Ale nie cofa ręki. - Trzymaj. - Chwyta moją prawą dłoń i przyciska do rany, z której nadal wali krew.

W tym momencie popełniam błąd i zerkam na rękę. Zaczyna kręcić mi się w głowie. Krew to mój kryptonit. Mogę znieść rzygi w gigantycznych ilościach, ale nie krew. Szczególnie własną.

- Strasznie tego dużo - mówię.  
- Wcale nie. - Przyciska swoją rękę do mojej.  
- Wcale tak - odpowiadam. Skoro już siedzę na podłodze jak jakaś pipka, bliski utraty przytomności, to niech tej krwi przynajmniej będzie naprawdę dużo.

- Nie - mówi stanowczo i nie ma dyskusji. Patrzy mi prosto w oczy, zmusza, żebym też na nią patrzył. - Naprawdę.

Rozgląda się dokoła w poszukiwaniu czegoś do zatamowania krwotoku.

- Możesz wstać? - pyta.

Kurwa. Jeśli teraz wstanę, to pewnie zemdleję. Nie mam czasu rozważać, jak wielkie grozi mi upokorzenie, bo Nastya skutecznie odwraca moją uwagę. Mianowicie zdejmuję koszulkę. Jednym ruchem. A potem okręca ją dokoła mojej ręki, nawet nie zdążyłem zapytać, co do cholery wyprawia. Niemal równie imponujące jak tamten manewr ze stanikiem.

- To chyba ja powinienem zdjąć T-shirt? - pytam dla rozluźnienia atmosfery. Bardziej pod swoim adresem, bo wygląda na to, że jej ta sytuacja ani trochę nie rusza.

- Gdybym wiedziała, że zdążysz go zdjąć, zanim stracisz kolejny litr krwi, to wybrałabym taką opcję, uwierz mi. - Zawija koszulkę ciasno dokoła mojej ręki, przytrzymuje. - Poza tym muszę się skupić, a widok ciebie bez T-shirtu mógłby wywołać u mnie problemy z oddychaniem. I oboje byśmy zemdleli. - Złośliwa.

- Ja nie zemdlałem. -*Jeszcze.*

- Jeszcze - mówi z uśmiechem, a potem podnosi moją rękę i ogląda swoje dzieło. - Przynajmniej nie zakrwawisz dywanu. Do środka - zarządza, ale ja jestem zbyt zajęty gapieniem się na jej piersi w różowym koronkowym staniku. Nie wiem, czy bardziej wstrząsa

mną fakt, że widzę jej cycki czy też to, że stanik jest różowy a nie czarny, tak czy inaczej przynajmniej nie myślę o krwi. A potem mój zdradziecki kutas daje znać o swoim istnieniu. A ja dalej wykrwawiam się na środku garażu. Dziesięć sekund temu najbardziej bałem się, że przy niej zemdleję. Teraz to już nie jest moje największe zmartwienie. Kutas znowu drga i zaczyna twardnieć. *Teraz próbuję* myśleć o krwi, ale ona jest tuż obok, pomaga mi wstać. Za późno. Spogląda w dół. *No jasne*, że spogląda w dół.

- Chyba żartujesz. - Patrzy znowu na moją twarz. Gdyby został jeszcze jakiś zapas krwi w moim ciele, to pewnie zrobiłbym się czerwony jak burak. Na szczęście podzieliły się nią moja ręka i kutas. - Serio? Akurat teraz? W tym momencie? *Poważnie?* - Potrząsa głową i śmieje się. Może ten widok był wart upokorzenia. - To koszmar być facetem.

- Twoja wina. Zdjęłaś bluzkę.

- Jeśli ruszysz dupę i w końcu wejdiesz do domu, to zaraz się ubiorę.  
- Delikatnie ciągnie mnie za ramię.

Podnoszę się bardzo powoli. Na szczęście mocno zawiązała koszulkę, krwotok został zatamowany. Udaje mi się pokonać drogę do domu, nie tracąc tych marnych resztek, które zostały z mojego chromosomu Y.

Kilka minut później wychodzi z sypialni w jednym z moich T-shirtów. Widok co najmniej równie straszny jak ten bez. Kładzie na stole apteczkę.

- Masz tylko to? Chyba nie starczy.

- Łazienka gościnna. Pod zlewem.

Na stole zjawiają się wielka butla wody utlenionej i gaza. Nastya rzuca mi nerwowe spojrzenie.

- Nie patrz. Jasne?



- Myślałem, że nie jest tak źle.

- Bo nie jest. Ale coś mi się wydaje, że ciebie mogłoby wykończyć nawet draśnięcie papierem, więc zamknij oczy albo skup wzrok na czymś innym.

Wybieram *coś innego*. Wyciągam rękę, podciągam brzeg jej -mojej -koszulki i przeciągam palcem po bliznie na brzuchu, bo wcześniej za bardzo skupiłem się na górnej partii. Pod moim dotykiem niemal niezauważenie wstrzymuje oddech, a potem trzepie mnie po łapie. Puszczam brzeg koszulki.

- Jeszcze nie umierasz, spokojnie mogę ci przywalić. A jak przywalę, będzie bolało.

Nie wątpię.

- Skąd ta blizna?

- Operacja.

- Bez kitu, Słoneczko. A ta na skroni? - Już od dawna chciałem zapytać. Tę drugą odkryłem dopiero dzisiaj, wraz z różowym koronkowym stanikiem i zestawem niebywałych mięśni brzucha.

- Biłam się z kotem.

- Brzmi wiarygodnie.

- Świetnie. A teraz przestań gadać. Jesteś bliski zemdlenia.

- To ty mów do mnie. - Odchylam głowę i przymykam oczy, a ona zaczyna majstrować przy mojej ręce.

- Co mam mówić?

- Nie wiem. Cokolwiek, byle nie o krwi. Opowiedz jakąś historię.

- Jaką historię chciałbyś usłyszeć? - Przemawia do mnie jak do pięciolatka, a ja zachowuję się jak pięciolatek. Pewnie z powodu utraty krwi.

- Prawdziwą.

- Powiedziałaś, że ma nie być o krwi.

Nie wiem, co to ma znaczyć, ale wiem, że coś znaczy. Kolejny fragment układanki. Im więcej mi ich daje, tym bardziej abstrakcyjny staje się obraz. Wyglądają jak fragmenty trzech różnych układanek. Próbujesz je dopasować, ale to niemożliwe, a kiedy próbujesz złożyć je na siłę, nic z tego nie wychodzi.

Zaczyna przemywać moją rękę, obserwuję jej twarz. Sprawia wrażenie całkowicie nieporuszonej. Nie mogę się oprzeć i zerkam na rękę. Rana biegnie od nasady kciuka ukośnie do nadgarstka. Boli jak cholera. Nastya nakłada jakieś odkażające świństwo i owija wszystko gazą, bo nie ma takich dużych bandaży.

Znika w kuchni, słyszę, jak otwiera lodówkę i buszuje w szafkach. Wraca, wręcza mi puszkę coli i batonik czekoladowy. A więc prócz lodów chomikuje u mnie również słodycze. Pewnie niedługo zajmie szafkę z lekami i pół komody. A potem pewnie zniknie. Ciekawe, jak szybko.

- Umieram?

- Chyba przeżyjesz. A bo co? - Jest wyraźnie rozbawiona.

- Bo oddałaś mi batonik. To tak jakbyś podzieliła się własną krwią. Więc pewnie umieram.

- Powiedzmy, że to transfuzja. Jesteś równie blady jak ja. Przerazający widok.

- Sądziłem, że ciebie nic nie jest w stanie przerazić.

- Na pewno nie widok krwi. W przeciwieństwie do niektórych. - Uśmiecha się krzywo.

- Wiszę ci koszulkę. Nie musiałaś tego robić.

- Krwawiłaś jak świnia. Nie miałam czasu szarpać się z twoją garderobą. Poza tym wiesz, ile osób widziało mnie bez ubrania? Nie rusza mnie to.

Nie uznaję ostatniej części wypowiedzi. Lubię wyobrazić ją sobie bez ubrania, ale wyobrazić sobie, że inni ją tak widzieli, już znacznie mniej.

- Chyba twierdziłaś, że wcale nie straciłem tak dużo krwi. Zawiązuje opatrunek i kładzie moją rękę na stole.

- Stosunkowo rzecz biorąc, to nie.

- Stosunkowo do czego? Zranienia ostrym nożem?

- Może potrzebne będą szwy. - Spojrzenie, które jej rzucam, mówi stanowczo, że to wykluczone. - Szybciej się zagoi. Poza tym lekarz i tak powinien obejrzeć ranę, sprawdzić, czy nie przeciąłeś ścięgna czy coś w tym rodzaju.

Wzdrygam się na te słowa, a ona znowu uśmiecha się krzywo. Dzisiejszego wieczoru na jej twarzy bardzo często pojawia się krzywy uśmiezek. A wszystko moim kosztem.

- A dopóki się nie zagoi, nie będziesz mógł bawić się swoimi narzędziami - śpiewa. Jestem świadomy podtekstu, pewnie mógłbym odparować, że mam jeszcze prawą rękę, ale wie, że trafiła w czuły punkt. Nie protestuję. - Kompromis - oznajmia, po czym chwyta telefon i pisze esemes. - Margot ma dzisiaj wolne, obejrzy cię. - Kilka sekund później rozlega się sygnał. Pokazuje mi telefon. *Przyjeżdżajcie.*

Godzinę później jesteśmy z powrotem u mnie. Moja ręka została opatrzona i zabandażowana, mam trzymać się z daleka od narzędzi co najmniej przez tydzień, w zależności od tego, jak będzie się goiło.

- Teraz i twoja lewa ręka jest do niczego. - Unosi ją i obraca. -Dostaniesz świra, co?

- Bardzo prawdopodobne. - Wizja tygodnia czy więcej bez pracy jest bardziej przygnębiająca, niż chciałbym przyznać.

- Nie będziesz mógł nawet zmywać naczyń.  
- Będziemy jeść na papierowych talerzach - odpowiadam sucho.  
- Posiedzę przy tobie. Zamiast terapii - mówi. Dopiero po minucie dociera do mnie, co ma na myśli. Garaż, narzędzia, drewno, praca. Moja terapia. Wszystko, co sprawia, że jeszcze nie zwariowałem. - A może chcesz spróbować mojej?

Terapią okazują się nocne biegi. Nie jogging. Nie truchtanie dla relaksu. Maksymalny wycisk. Już trzeci dzień z rzędu dowala mi jak jakiś mały porcelanowy kapral. Żenujące i wykańczające. Za każdym razem rzygałem. Chciałbym powiedzieć, że tego nienawidzę.

Nie jestem w stanie dotrzymać jej kroku, w każdym razie nie na większym dystansie. Mam dłuższe nogi i mogę wyprzedzić ją w sprincie, ale brakuje mi wytrzymałości. Ona potrafi biec bardzo długo, ale wcale nie przypomina to zwykłego treningu. Pędzi, jakby ktoś ją gonił.

- Z czasem będzie łatwiej - stwierdza. Stoi kilka kroków dalej, a ja rzygam w krzaki pod domem jakiegoś nieszczęśnika.

- O ile będę to dalej robił - odpowiadam i stwierdzam w myślach, że powinienem zabierać ze sobą butlę płynu do płukania ust. Albo przynajmniej gumę do żucia.

- A nie zamierzasz? - Zero zaskoczenia czy zaciekawienia. Tylko rozczarowanie.

Nie radzę sobie z cudzym rozczarowaniem. Szczególnie jej. Jeśli chce, żebym z nią biegał, będę biegał. Może w końcu znudzi się jej czekanie na mnie i odeśle mnie do domu, i wreszcie będę mógł schować się w garażu. Uciekanie to jej strategia. Moja - chowanie się.

Po powrocie od razu wskakuję pod prysznic, wcześniej proponuję, że odwiozę ją do domu. Z trudem zmuszam się do zakręcenia wody, bo mógłbym tak stać przez całą noc. Wszystko mnie boli.

Kiedy wracam do salonu, na stoliku leży kartka.

*Musiałam biec - żart niezamierzony. Nie ufam sobie. Ty mokry i nagi w pokoju obok to zbyt wielkie ryzyko. Wolałam nie kusić losu. Do zobaczenia.*

*RS. Złożyłam twoje pranie. Ale nie martw się. Gatek nie tknęłam.*

Pod spodem widnieje niewielki rysunek uśmiechniętego słoneczka. Trudno wyobrazić sobie coś mocniej kłójącego się jej naturą.

Przechodzę do pralni. Na pralce leży stos starannie poskładanych ubrań. Otwieram drzwiczki suszarki. W środku zostały wyłącznie bokserki.

## Rozdział 30

### *Nastya*

- Lody.

*Znam to słowo. Lubię to słowo.* Podnoszę wzrok znad podręcznika do fizyki, który jest moim wiernym towarzyszem od dobrych trzech godzin. Za nic nie zdam testu. Niepotrzebnie w ogóle zapisałam się na te zajęcia. Przejaw zbytniego optymizmu. Josh podchodzi do mnie, pochyla się i zamyka podręcznik. Przypuszczam, że jest to reakcja na grad przekleństw, który chwilę temu wyleciał z moich ust.

Nauka nigdy nie była moją mocną stroną. Nie jestem zbyt bystra, bez problemu dowodzę tego twierdzenia kilka razy dziennie. Za to Asher jest bystry. To on odhaczył tę pozycję w rodzinnym formularzu. Ale Asher ma baseball. Ja miałam fortepian. Teraz nie mam nic.

- Potrzebujesz przerwy. Idziemy. Już. - Znowu głos rozgniewanego tatusia.

- Teraz?

- Teraz. Pamiętasz, jak mówiłaś, że jeśli długo nie jesz lodów, zaczynają dziać się straszne rzeczy? Jesteś zestresowana i drażliwa jak nastolatek, który nie może sobie pobzykać.

- Piękna analogia. - *Robią się wtedy drażliwi?*  
- Sorry, ale to fakt. A nikt nie chce drażliwego Słoneczka. To wbrew prawom natury. - Odsuwa od stołu krzesło razem ze mną.  
- Mówisz tak, jakbym była kapryśnym czterolatkiem. -*Kapryśny: nadąsany, zrzędlivy, poirytowany, humorzasty, rozdrażniony.* Podłapałam to od Ashera, kiedy uczył się do testów.  
- Bo tak się zachowujesz. Tyle że masz barwniejsze słownictwo. Rusz tyłek i do wozu. Jedziemy. - Chwyta kluczyki, idzie do drzwi, otwiera je i czeka.

O ósmej zajeżdżamy przed niewielkie centrum handlowe, Josh prowadzi mnie do małej lodziarni na tyłach. Jeśli ktoś nie wie, że tam jest, raczej jej nie znajdzie. Jest wtorek, prawie nie ma ludzi, tylko w kącie siedzi rodzina z małym chłopcem, jego ubranie zjadło chyba więcej lodów czekoladowych, niż on sam. Nigdy wcześniej tu nie byłam. Wolę jeść lody prosto z pojemnika, przy blacie w kuchni, gdzie nikt mnie nie widzi. Lody wprawiają mnie w stan szczęścia. Lubię kontemplować ten stan.

To miejsce to prawdziwy pastelowy raj. Jest małe i zewsząd krzyczy SŁODKO!, najgłośniej, jak tylko się da. Stoi tu sześć stolików ze szklanymi blatami. To musi być koszmar, utrzymać je w czystości. Krzesła mają oparcia ze srebrnego metalu, dopasowane do nóg stolików, i miękkie siedzenia w kolorze bladego różu, błękitu, żółci i lawendy. Patrzę na siebie. Czern i jeszcze więcej czerni. Wyglądam jak Elwira, władczyni ciemności, wkraczająca do sklepu z kosmetykami dla nastolatek.

Jakaś dziewczyna wyciera stoliki, nie znam jej, za ladą stoi inna dziewczyna, ją znam. Nazywa się Kara Matthews, chodzi do ostatniej klasy, spotkałyśmy się na zajęciach z muzyki, na które już nie uczęszczam. Gapi się na nas. Nagle chyba sobie to uświada-

mia, bo odwraca wzrok, ale nietrudno się domyślić, co jej chodzi po głowie. *Nastya Kashnikov i Josh Bennett we wtorkowy wieczór wchodzą do lodziarni.* To jak początek kiepskiego dowcipu. Lub Apokalipsy. Nie mówiąc już o narzucających się skojarzeniach.

- Co wybierasz? - pyta Josh, wiedząc doskonale, że nie mogę odpowiedzieć. Unoszę brwi i rzucam mu zniecierpliwione spojrzenie. Unosi ręce w geście kapitulacji. - Nie chciałbym wyjść na męskiego szowinistę, ale jeśli nie powiesz mi, co chcesz, sam będę musiał zdecydować. - Słyszę w jego głosie jakąś podejrzaną nutę, nie ufam mu. Wzruszam ramionami. Jestem w tym świetna. Równać się temu może jedynie moja nadzwyczajna umiejętność kiwania głową.

Nic więcej nie mogę zrobić. Siadam przy stoliku, twarzą do okna, żebym nie musiała patrzeć na Karę Matthews ani znosić jej spojrzeń. Całe szczęście, że mam na sobie to samo ubranie co w szkole. Josh podchodzi do kontuaru, słyszę jego głos, ale nie potrafię rozpoznać słów. Za to Karę Matthews słyszę wyraźnie.

- Poważnie? - śmieje się. Jestem bardzo ciekawa, co powiedział, ale mówił za cicho. Wizja Josha Bennetta flirtującego z Karą Matthews znajduje się poza możliwościami mojej wyobraźni. Przesuwa palcem wzdłuż ściętego brzegu blatu, zastanawiam się, jaką to mieszankę Josh mi zaserwuje. Pewnie sorbet limonkowy plus kulkę o smaku masła orzechowego czy inną dziką kombinację w tym stylu. Czekam w nieskończoność. Zamówienie porcji lodów chyba nie powinno trwać tak długo. Już mam się poddać i sprawdzić, co się dzieje, ale w tym momencie słyszę, że idzie, rozpoznaję ten nierówny krok.

- Obiad podano - mówi Josh i wychodzi z za moich pleców, dzierżąc w rękach coś, co najtrafniej można by określić mianem



koryta. Stawia koryto na stole. Zdaje się, że są tu wszystkie dostępne smaki. To wyczyn godny taty. Zawsze robi! coś w tym stylu, coś tak ekstremalnie komicznego, że nie miałam wyjścia, musiałam się rozchmurzyć, choćby nie wiem jak wielka tragedia mnie spotkała. To było dawno temu, zanim dowiedziałam się, czym jest prawdziwa tragedia. Kiedy potrafiłam wpaść w rozpacz, bo Megan Summers miała fajniejsze ciuchy albo spaprałam coś w czasie występu. Charles Ward zaliczał kolejne mistrzostwa świata w poprawianiu mi humoru. Jego wyczyny były lepsze niż stadko szczeniaków. Może nawet lepsze niż porcja podtopio-nych lodów.

- Nie wiedziałem, które chcesz, więc zamówiłem wszystkie. -Nie kłamie. Patrzę na koryto i stwierdzam, że brakuje tam jedynie tych smaków, których jeszcze nie wymyślono. Josh siada naprzeciwko mnie, opiera łokcie na stole, bezowocnie usiłuje ukryć kretyński wyszczerz na twarzy.

Nie mam przy sobie nic do pisania, a mówienie tutaj odpada, więc wyjmuję z torby telefon i piszę wiadomość do chłopaka, siedzącego naprzeciw mnie. Sekundę później rozlega się sygnał w jego telefonie. Wyjmuje go i czyta:

*A dla siebie nic nie wzięłeś?*

I wtedy Josh Bennett robi coś, co wstrząsa mną głęboko. Josh Bennett, król smętnych stoików, wybucha śmiechem. Śmieje się i jest to jeden z najwspanialszych dźwięków, jakie kiedykolwiek słyszałam, piękny, naturalny i swobodny. Wiem, że Kara Matthews na nas patrzy i że jutro wszyscy będą gadać. Ale w tej chwili zupełnie mnie to nie obchodzi. Josh Bennett się śmieje i przez minutę wszystko jest dokładnie takie, jakie powinno być.

- Na Święto Dziękczynienia wyjeżdżamy - mówi moja mama przez telefon.

Jest dziesiąta wieczorem, próbowała dodzwonić się trzy razy i wysłała wiadomość z krótkim tekstem: *Proszę, zadzwoń*. Dziesiąta wieczór to nie jest dla niej zbyt późna pora. Już nie. Często pracuje w nocy. Nie pamiętam, żeby przed moim wypadkiem kiedykolwiek siedziała nocami nad pracą. Ale potem tak, nieustannie. Kiedy ja dochodziłam do siebie, ona przechodziła najpłodniejszy okres w swojej twórczości. Tłumaczyła, że czuwała, w razie gdybym się obudziła i czegoś chciała, ale przypuszczam, że po prostu nie mogła spać. Lepiej siedzieć przed komputerem pełnym zdjęć niż leżeć w łóżku pełnym koszmarów. Czasami jej towarzyszyłam, bo też nie mogłam spać. Obserwowałam ją przy pracy, pełna podziwu, jak wiele można osiągnąć na paliwie złożonym z herbaty i żalu.

- Zatrzymamy się w bardzo pięknym domu. Liczymy na to, że przyjedziesz. - Czeka na jakąś reakcję. Zawsze czeka. Mama nie traci nadziei, że któregoś dnia przerwę ciszę. Przypuszczalnie jest jej wszystko jedno, co powiem, bylebym tylko się odezwała.

- Pomyśleliśmy, że fajnie będzie pojeździć na nartach. - *Narty? Poważnie? Z tą ręką?* Nie mam ochoty nigdzie jechać. A już na pewno nie na narty. Już raczej wolałabym zagrać w dwa ognie i dostać piłkę w pysk. Dwa razy.

- Rozmawiałam z doktor Andrews. Możemy umówić się na wizytę przed wyjazdem. Mówi, że powinno być dobrze, byle za długo nie przeciążać ręki. Jeśli zaczniesz cię boleć, możemy wrócić, posiedzieć z kawą przy kominku. - Nie cierpię kawy. Nie cierpię nart. Jestem z Florydy. Nie mam wyczucia równowagi ani dobrej koordynacji ruchów, a moja ręka lubi buntować się w najmniej

odpowiednich momentach. Nie wspominając już o tym, że siedzi w niej cała masa śrubek i płytek, wykrywacz metalu na lotnisku chyba by zwariował.

Mój brat, zapalony sportowiec, na pewno jest w siódmym niebie. Nie chcę, żeby zrezygnowali ze względu na mnie, ale ten problem chyba nie istnieje. Pojadą tak czy inaczej. A ja nie. Zostanę, nieszczęśliwa, i wszyscy będą nieszczęśliwi, i to będzie moja wina. Znowu. Mam dosyć ponoszenia odpowiedzialności za cudzą rozpacz. Nie radzę sobie nawet z własną. Mama mówi dalej. Nie boi się, że jej przerwę, wylicza wszystkie mocne argumenty, które mają mnie zachęcić. Jakby wierzyła, że jeśli przedstawi je w odpowiednio szybkim tempie, to nabiorą skuteczności.

- To duży dom. Należy do Mitcha Millera, szefa taty, w tym roku Mitch z niego nie korzysta i zaproponował nam. Addison też jedzie. - Addison? Wszystko się zgadza. Zasady nigdy nie stanowiły wielkiego problemu dla mojej mamy, najważniejsza zawsze była doskonałość w jakiejś dziedzinie. Asher i ja pewnie moglibyśmy przelecieć pół kraju tuż pod jej nosem, bylebyśmy nie zapomnieli, co jest najważniejsze. Zastanawiam się, czy to aktualne w moim przypadku, teraz, kiedy w niczym nie jestem dobra. Znając Ashera, pewnie jeszcze nie spał z tą dziewczyną, ale nadarza się doskonała okazja, by osądzić własną matkę, więc to wykorzystuje.

Pukam trzy razy w telefon, co oznacza, że zamierzam się rozłączyć.

- Zastanów się przynajmniej. Margot też z nami jedzie, nie chcę, żebyś została sama na święta. - Rozłączam się, żeby nie zdążyła powiedzieć, że mnie kocha. Nie dlatego, że nie chcę tego słuchać, ale dlatego, że nie chcę, by usłyszała, że ja nie.

Moje pozaszkolne życie zmieniło się nie do poznania, lecz między siódmą piętnaście a drugą czterdzieści pięć wszystko zostało po staremu. Josh i ja ledwo się zauważamy, Drew przy każdej okazji rzuca we mnie naładowanymi seksem pociskami, a ja próbuję omijać przepisy dotyczące odpowiedniego stroju. Resztę czasu zajmuje mi unikanie wszystkiego, co danego dnia wymaga robienia uników. Tierney Lowell i jej groźne spojrzenia. Ethan Hall i jego niedwuznaczne propozycje. Wszyscy w czasie długiej przerwy.

Właśnie przemierzam dziedziniec, by schronić się w ulubionej pustej łazience, gdzie mogę liczyć na dwadzieścia pięć minut niczym niezakłóconego lęku. Patrzę na Josha. Już jest na swoim miejscu. Jego trzecia lekcja odbywa się w sali tuż obok, więc zwykle zdąża pierwszy. Pozwalam sobie na to spojrzenie, bo jest daleko i nikt nie zauważy. Kiedy przechodzę obok niego, zawsze pilnuję, żeby odwrócić wzrok, boję się, że jeśli popatrzę na niego choćby przez sekundę, wszyscy od razu zgadną, co się dzieje w mojej głowie. Przechodzę więc obok, kątem oka widzę, że patrzy na swoje ręce, zastygły w tej samej pozycji co za pierwszym razem, kiedy go zobaczyłam, zastanawiam się, czy robi tak specjalnie, bo wie, jak świetnie wyglądają wtedy jego ramiona.

- Słoneczko.

Szept jest bardzo cichy, ledwo go słyszę i na szczęście słyszę go tylko ja, ale wiem, że to nie złudzenie. Podnosi wzrok dopiero, kiedy zatrzymuję się i patrzę na niego, zastanawiając się, co on do licha sobie wyobraża. Odwzajemnia moje spojrzenie, jakby w ogóle go nie obchodziło, że ktoś zauważy.

- Siadaj.

Podchodzę do niego, przynajmniej nie muszę dłużej tkwić pośrodku dziedzińca. Odwracam się plecami do wszystkich, a twarzą do niego. Mrużę oczy. *Co ty wyprawiasz?*

- Kara Matthews wisiała na telefonie chyba przez całą noc -mówi beznamiętnie. Nie zaskakuje mnie. Wiem już, że bzykamy się z Joshem od dobrych kilku tygodni, wymienia się mną z Drew. On chyba też to słyszał. Nie odpowiadam na te uwagi. Udaję głuchą i odchodzę w swoją stronę. Josh chyba też nie reaguje. Dziwi mnie tylko, że ktoś odważył się podejść na tyle blisko, że on to usłyszał. Większość osób omija go szerokim łukiem, boją się, że padną trupem, jeśli zbliżą się za bardzo albo, co gorsza, będą musieli uznać jego istnienie. Nie wiem też, czemu mnie zawołał. Dostarczanie im amunicji nie pasuje do jego modus operandi.

- Siadaj - powtarza. Łagodnie i miękko, nie jest to rozkaz ani polecenie. Jakby nic innego nam nie pozostało. - Nie ma sensu chować się w łazience. Schowaj się tutaj. Pole siłowe, rozumiesz. - Przy ostatnich słowach ścisza głos, jakby powierzał mi sekret, po jego twarzy przemyka cień uśmiechu, który tylko ja jestem w stanie dostrzec i który znika natychmiast. Josh, znowu poważny, dodaje: - Tu nikt nie będzie ci przeszkadzał.

No to siadam. On na oparciu, ja na siedzeniu. Nie dotykamy się. Nie rozmawiamy. Nawet nie mamy ze sobą kontaktu wzrokowego. Tego dnia, po raz pierwszy, odkąd zjawiłam się w tej szkole, dziedziniec nie wydaje się aż tak przerażający.

## Rozdział 31

### *Josh*

Dziadek zmarł dziś rano. Nic się nie zmieniło.

Myślałem, że kiedy umrze, załamie się i będę płakał, i schleję się na umór, i wpadnę w szal, bo już nic nie zostało, bo on był ostatni. Ale nie. Nie załamalem się. Nie wywaliłem dziury w ścianie. Nie oklepałem mordy żadnemu palantowi. Zachowuję się tak, jakby w ogóle nic się nie stało. Ponieważ jest to tak niewiarygodnie normalne.

- Dokąd jedziemy? - pyta Słoneczko, sadowiąc się w pikapie. Dzisiaj garaż nie może nic mi dać. Jest jedyną rzeczą, na której polegam, nie chcę czuć, że w tym momencie nawet on zawiódł. Wolę go zostawić, dzięki temu nie muszę się bać, że to też straciłem. Nie wiem, dokąd jedziemy. Po prostu chcę dokądś pojechać.

Przez cały czas nie odzywam się ani słowem. Nawet nie odpowiedziałem na jej pytanie. Słoneczku cisza nie przeszkadza. Opiera głowę o szybę, patrzy przez okno i pozwala mi jechać przed siebie.

Wycieczka kończy się na parkingu nieczynnego salonu samochodowego. Leżymy na naczepie i gapimy się w niebo.

Jeszcze nie zacząłem liczyć. Nie wiem, czy tylko ja tak mam, czy wszyscy: za każdym razem, kiedy ktoś umiera, odliczam, ile

czasu minęło. Najpierw minuty, potem godziny. Potem dni, tygodnie, miesiące. I pewnego razu uświadamiasz sobie, że już nie liczysz i nie wiesz nawet, kiedy przestałeś. W tym momencie ta osoba odchodzi naprawdę.

- Mój dziadek zmarł - mówię.

- Gdybyśmy mieli teleskop, mogłabym pokazać ci Morze Spokoju. - Wyciąga rękę w stronę nieba. - Widzisz? Na Księżycu. Stąd właściwie go nie widać.

- To dlatego masz w pokoju zdjęcie Księżyca? - Zdążyłem się przyzwycząić, że zawsze zbacza z tematu.

- Zauważyłeś?

- Nic więcej tam nie wisiało. Myślałem, że interesujesz się astronomią.

- Nie. Trzymam je, bo mi przypomina, że to jeden wielki kit. Kiedyś uważałam, że brzmi jak nazwa jakiegoś pięknego spokojnego miejsca. Takiego, w jakim chciałabyś się znaleźć po śmierci. Wszędzie dokoła woda i cisza. Miejsce, które wciąga cię i przyjmuje do siebie, bez względu na wszystko. Tak to sobie wyobrażałam.

- Brzmi całkiem nieźle.

- Gdyby jeszcze było prawdziwe! Ale nie jest. To w ogóle nie jest morze. To tylko wielka ciemna plama na Księżycu. Ta nazwa to kłamstwo. Nic nie znaczy.

Jej lewa ręka leży na brzuchu, zamyka się i otwiera. Ona robi tak przez cały czas, chyba całkowicie nieświadomie.

- A więc twoja dziwaczna fascynacja imionami dotyczy nie tylko ludzi?

- Tak naprawdę wszystkie nazwy i imiona to kłamstwo. Ktoś może nosić imię oznaczające doskonałość, a być totalnie do ni-

czego. Każdą rzecz można nazwać, jak się tylko chce, ale to jeszcze nie znaczy, że jest taka naprawdę. - W jej głosie brzmi gorczy. A może po prostu brak złudzeń.

- Skoro nazwy są bez sensu, to skąd ta obsesja? - Nie potrafię zliczyć, ile okaleczonych gazet zostawiła u mnie w kuchni na stole, kiedy już przedarła się za pomocą nożyczek przez kronikę urodzeń. Początkowo myślałem, jest jedną z tych dziewczyn, które lubią szukać imion dla przyszłego potomstwa, tyle że w jej wykonaniu to zajęcie przybrało ekstremalną formę. Ale widocznie to takie dziwaczne hobby.

- Bo fajnie jest w końcu znaleźć imię, które naprawdę coś znaczy. Nawet za cenę tych wszystkich bezsensownych. - Po jej twarzy przemyka uśmiech, bardzo słaby. Zastanawiam się, o czym myśli, ale nie daje mi dojść do słowa.

- Jak myślisz, gdzie on teraz jest? - pyta, ciągle patrząc w niebo.

- Chyba w jakimś miłym miejscu. Nie wiem. - Czekam, ona też.

- Raz spytałem go, czy się boi. Śmierci. A potem zdałem sobie sprawę, że nie powinno pytać się o takie rzeczy kogoś, kto umiera, bo nawet jeśli wcześniej o tym nie myślał, to teraz na pewno zacznie.

- Zrobiło mu się przykro?

- Nie. Śmiał się. Powiedział, że nie boi się ani trochę. Ale w tym czasie brał mnóstwo leków, nie był do końca sobą. Powiedział, że wie, dokąd pójdzie, bo już tam kiedyś był. - Urywam, chyba nie chcę opowiadać więcej o dziadku i jego zaburzonej psychice. Nie zawsze był taki. Dopiero pod koniec, przez te wszystkie leki i ból. Ale ona patrzy na mnie z zaciekawieniem, widzę w jej oczach setki pytań i czuję, że muszę coś jeszcze powiedzieć.

- Kiedy miał jakieś dwadzieścia lat, pracował na budowie, które-



goś razu spadł, jego serce się zatrzymało, był martwy przez około minutę. Opowiadał tę historię setki razy.

- To dlaczego uważasz, że mówił pod wpływem leków, skoro już wcześniej ją słyszałeś?

- Bo wcześniej zawsze mówił, że nic nie pamięta. Wszyscy pytali go, czy widział światło i tak dalej, a on zawsze odpowiadał, że kiedy się obudził, nic nie pamiętał. Ale tego ostatniego wieczoru przed odjazdem do szpitala kazał mi usiąść i oznajmił, że chce dać mi dwie rzeczy: jedną ostatnią radę i swój ostatni sekret. Właśnie wtedy zdradził, że dokładnie pamięta, gdzie się znalazł, kiedy umarł. Ze szczegółami.

- Co powiedział?

- Powiedział, że to miejsce nie miało żadnej określonej formy czy sensu. Coś jakby odczucie, pozbawione świadomości. Jak sen podczas gorączki. Sen o drugiej szansie. Jedynym konkretnym obrazem, który uchwycił, była huśtawka na werandzie domu z czerwonej cegły. Wtedy nie wiedział, co to znaczy, więc nikomu o tym nie wspominał. A potem pokazał mi zdjęcia, on i babcia na huśtawce, na werandzie domu z czerwonej cegły, w którym mieszkała, kiedy się poznali.

- Jakie wzruszające - mówi, a w jej głosie brzmi coś jak rozczarowanie. Chciałbym wyciągnąć rękę i dotknąć jej twarzy czy dłoni.

- Taa, wzruszające - mówię, w ogóle tak nie myśląc. - Tyle że poznali się dopiero trzy lata po tamtym wypadku, dlatego wtedy nie rozumiał, co ten obraz znaczy. Ale kiedy tylko zobaczył tę huśtawkę i ten dom, wiedział od razu. Wiedział, że śmierć nie była mu wtedy przeznaczona. Ze miał wrócić i spotkać ją, bo jego niebo znajdowało się tam gdzie ona, chociaż wówczas nie mógł tego

wiedzieć. I dlatego się nie bał. - Odwracam się i patrzę na nią, zagapioną na Księżyc, na jej wargach błąka się uśmiech, rozczarowanie minęło bez śladu. Patrzę w niebo, żeby zobaczyć to samo, co ona, a ona przysuwa się bliżej i kładzie głowę na mojej piersi. Może marznie albo niewygodnie jej leżeć na metalowej naczepie, nieważne. Nie analizuję, tylko obejmuję ją i przyciągam bliżej, jakbym robił to od stu lat. - Tak jak mówiłem. Za dużo środków przeciwbólowych.

- To była dobra rada? - pyta w drodze powrotnej. Znowu patrzy przez okno, z głową opartą o szybę.

-Co?

- Powiedziałeś, że dziadek udzielił ci ostatniej rady. Pytam, czy była dobra. - Prostuje się na siedzeniu i patrzy na mnie.

- Nie - śmieje się. - Chyba najgorsza na świecie. Ale to pewnie również winą leków.

- Teraz musisz mi powiedzieć. Muszę wiedzieć, co kwalifikuje się jako najgorsza rada na świecie. - Odwraca się w moją stronę, wsuwa jedną nogę pod drugą.

- Powiedział - zaczynam, trochę zażenowany - że w przypadku każdej kobiety istnieje pewna niewybaczalna rzecz, taka, której nigdy nie będzie w stanie zapomnieć, i że dla każdej kobiety jest to coś innego. Kłamstwo, zdrada, różnie. Powiedział, że najważniejsza rzecz w związku to dowiedzieć się, co to jest, i tego nie robić.

-Ijuż?

- Ostrzegałem. Powiedział też, że w nocy był w kuchni szop pracz, więc...

- Uwierzyłeś?

- W szopa czy w radę?

Spogląda na mnie, przekrzywia niecierpliwie głowę, a ja zerkam na nią i przenoszę wzrok z powrotem na drogę.

- Ty mi powiedz. Jesteś dziewczyną. Bo chyba nie należysz do tych dziewczyn, które chcą, by nazywać je kobietami, co? Mimo że masz prawie osiemnaście lat. Jakie to dziwne.

- Przestań - rzuca sucho.

- No to jaka jest twoja? - pytam.

- Moja rada?

- Nie, rzecz, której nie potrafiłabyś wybaczyć. Bo chyba masz coś takiego.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. - Odwraca się do okna. - Morderstwo pewnie odpada.

- Odpada. Byłabyś martwa, więc trudno mówić o wybaczeniu.

- Niekoniecznie, ale załóżmy. Chyba nie potrafiłabym wybaczyć, gdyby ktoś kochał mnie za mocno.

- To by było niewybaczalne? Poproszę pięć synonimów i dodatkowe wyjaśnienia.

- Za duże zobowiązanie. Ludzie mówią, że miłość jest bezwarunkowa, ale to nieprawda, a nawet gdyby była, to nigdy nie jest za darmo. Zawsze wiąże się z jakimiś oczekiwaniami. Wszyscy chcą czegoś w zamian. Jakby wymagali, żeby ta druga osoba była szczęśliwa, przez co automatycznie staje się odpowiedzialna za ich szczęście, bo nie mogą być szczęśliwi, póki ona nie będzie szczęśliwa. Musi być taka, jak tego po niej oczekują i czuć to, co, jak uważają, powinna czuć, ponieważ ją kochają; a kiedy ona nie może dać im tego, czego chcą, czują się beznadziejnie i wtedy ona też czuje się beznadziejnie, i wszyscy czują się beznadziejnie. Po prostu nie chcę takiej odpowiedzialności.

- Wolałabyś, żeby nikt cię nie kochał? - pytam. Żałuję, że prowadzę i nie mogę patrzeć na nią dłużej niż przez sekundę.

- Nie wiem. Tak tylko powiedziałam. Na to pytanie nie ma odpowiedzi. - Wysuwa nogę, na której siedziała, prostuje ją i znowu opiera głowę o szybę.

- Najgorsza rada na świecie - mówię.

Jestem przyzwyczajony do samotności, ale tej nocy czuję się bardziej samotny niż zwykle. Tak jakbym był samotny nie tylko w tym domu, ale na całym świecie. Może to dobrze, już nigdy nie będę musiał tego robić.

Wieczorem, kiedy kładę się do łóżka, nie odliczam.

## Rozdział 32

### *Nastya*

Nie przestałam mówić od razu. Mówiłam aż do dnia, kiedy wszystko sobie przypomniałam, prawie rok później. Tego dnia zamilkłam. To nie był plan ani strategia. Ani skutek zaburzeń psychosomatycznych. To był wybór. Ja go dokonałam.

Nagle dostałam wszystkie odpowiedzi. Odpowiedzi na wszystkie pytania, tylko że nie chciałam ich udzielić. Nie chciałam wypuścić ich w świat, nie chciałam uczynić ich prawdziwymi. Nie chciałam przyznać, że takie rzeczy się zdarzają, i że przydarzyły się mnie. Wybrałam więc milczenie i wszystko, co z nim związane, bo nie potrafię kłamać wystarczająco dobrze.

Z początku zamierzałam powiedzieć prawdę. Chciałam tylko dać sobie trochę czasu. Miałam nadzieję, że znajdę odpowiednie słowa i odwagę, by je wypowiedzieć. Nie złożyłam ślubów milczenia. Nie straciłam mowy. Po prostu zabrakło mi słów. Nadal mi ich brakuje. Nigdy ich nie odnalazłam.

Budzę się w dniu swoich osiemnastych urodzin i nie czuję żadnej różnicy. Nie czuję się starsza ani dojrzała, ani wolna. Czuję się niedostateczna, bo wiem, jaka miałam być w wieku osiem-

nastu lat, a taka nie jestem. Brat taty, wujek Jim, przechodził kryzys, kiedy miałam czternaście lat i zamieszkał z nami na jakiś czas, żeby „przemyśleć różne sprawy”. Mama powiedziała, że to się zdarza w pewnym wieku. Docierasz do półmetka życia i nagle zdajesz sobie sprawę, że nie zrobiłeś tego, co zamierzałeś, że nie stałeś się tym, kim chciałeś zostać. To bardzo przygnębiające. Ciekawe, czy ona wie, jak bardzo jest przygnębiające, jeśli docierasz do tego punktu w wielu osiemnastu lat.

Kiedy wracam ze szkoły, samochodu Margot nie ma w garażu. Normalnie o tej porze Margot śpi, w łóżku bądź na leżaku przy basenie. Wzięła wolne, Margot uwielbia przyjęcia urodzinowe, jest znacznie bardziej podekscytowana ode mnie.

Zrzucam buty, ciskam plecak na łóżko i schodzę do kuchni. W tym momencie rozlega się dzwonek. Za drzwiami stoją: moja ciotka Margot, mama, tata, Asher i jego dziewczyna, Addison. Mama dzierży w rękach tort, jej uśmiech trochę wędnie na mój widok. Ciągle mam na sobie te same ciuchy co w szkole i pełen makijaż. Mama nigdy nie widziała mnie w tym wcieleniu. Tylko we fragmentach, ale nigdy w pełnym przepychu. Chyba jest nieco wstrząśnięta. Margot wygląda jak Margot, mój brat wygląda na zrezygnowanego, tata stara się nie wyglądać, Addison zaś nie wie, jak ma wyglądać. Chyba zastanawia się, co tu w ogóle robi, podobnie jak ja.

Potem następuje zwyczajowe *Niespodzianka! Wszystkiego najlepszego!*, przesuwam się na bok i wchodzi do środka z tortem, prezentami i tak dalej. Rodzice proponują, żebyśmy poszli do restauracji, ale ja nie mam ochoty. Jest trzecia trzydzieści, zbyt duże ryzyko, że spotkam ludzi ze szkoły, więc Margot zamawia pizzę i wkłada tort do lodówki, a cała reszta siada w salonie.

- Pewnie jeszcze dałoby się zarezerwować bilet, gdybyś chciała z nami pojechać - rzuca mama. Wytrzymała dokładnie czterdzieści trzy sekundy.

- Ten dom jest niesamowity. Powinnaś to zobaczyć, Em. Trzy kominki. Balkon. *Wanna z hydromasażem*.

Twarz Addison robi się różowa, Asher rzuca jej przepaszające spojrzenie. Wspominać o wannie z hydromasażem przy rodzicach to niezbyt mądre posunięcie.

- Też mogłabyś kogoś zabrać, jeśli chcesz. - No naprawdę. Mogłaby już odpuścić. Nadzieja mamy to niebezpieczna broń. Widzę, że Margot obserwuje mnie z kuchni. Ciekawe, co, jeśli w ogóle, powiedziała im na temat moich zajęć pozalekcyjnych. - Margot wspominała, że co niedziela chodzisz na obiady do jakiegoś chłopca. Jak on się nazywa? - Zwraca się do Margot.

- Drew Leighton. - Margot nadal na mnie patrzy. Ani słowa o Joshu Bennecie. Zastanawiam się, czemu zatrzymała to dla siebie, a powiedziała im o Drew.

- Drew - powtarza mama. - Właśnie. Może od razu do niego zadzwonisz? Mógłby poświętować razem z nami. Chętnie go poznamy. Znacie się ze szkoły?

Przytakuję.

- Chodzą razem na zajęcia z retoryki - odpowiada za mnie Margot.

- Addison też chodzi na zajęcia z retoryki - wtrąca Asher. Mam nadzieję, że porozmawiamy teraz o niej, bo od Drew Leightona jest stanowczo za blisko do Josha Bennetta, a nie zamierzam dopuścić do niego nikogo z mojej rodziny.

- To ten Drew Leighton? - Po raz pierwszy słyszę głos Addison. Miękki i kobiecy jak cała ona. Siedzi obok Ashera, trzymając

go za rękę, trochę mnie to wkurza. - Znam go! To... - urywa, a ja posyłam jej uśmiech. Nie mogę się powstrzymać. Obie wiemy, co chciała powiedzieć. - Jest naprawdę dobry. Wszyscy go znają.

- Serio? - Asher patrzy na nią podejrzliwie, potem na mnie i wiem, że zamierza przeprowadzić śledztwo.

Kiwam głową, Addison tłumy uśmiech i podejmuje, skręcając w bardziej odpowiednim kierunku:

- W zeszłym roku był trzeci w stanie, każdy wie, że to najgroźniejszy przeciwnik w dziedzinie improwizacji i debaty w schemacie Lincolna-Douglassa. W tym roku nikt nie ma ochoty z nim się mierzyć.

- W jej głosie słychać coś na kształt podziwu. Nic dziwnego, jeśli widziało się Drew w akcji, a ona widziała lub przynajmniej dobrze zna jego możliwości. Czuję się niemal dumna, że ktoś mówi o Drew w ten sposób, o tej jego stronie, o której powinno się mówić, chociaż trochę to dziwne. Nagle uświadamiam sobie, że uśmiecham się do niej na całego, może jednak aż tak mnie nie wkurza, że trzyma Ashera za rękę.

Zjadamy pizzę, jest sympatycznie, stwierdzam, że brakowało mi ich i zastanawiam się, czy nie przesadziłam. Może jednak nie było aż tak beznadziejnie. A może tak mi się zdaje, bo w tym momencie obserwuję ich z zewnątrz. Są tu z powodu moich urodzin, ale znajdują się jakby w szklanej bańce, a ja tylko przyglądam im się z zewnątrz. Nawet Addison ma swoje miejsce na tym obrazku. Ja nie.

Asher nawija o szkole, baseballu i zjeździe absolwentów. Margot o brakach w personelu i zabójczym grafiku. Tata rzadko się odzywa. Od czasu do czasu zerka na mnie. Patrzę mu prosto w oczy, zastanawiam się, co widzi, ale nie dostrzegam w nich absolutnie nic, może są odbiciem moich oczu. Od dnia, kiedy zabroniłam mu nazywać mnie Milly, a potem w ogóle przestałam się odzywać,



właściwie nie mamy kontaktu. Mama nadal próbuje, tata stracił nadzieję. Może to on jest mądrzejszy. Co wcale nie poprawia mi humoru. Tata zamknął się w sobie, a to gorsze niż gniew czy rozczarowanie. Człowiek, który zawsze potrafił wyczarować u mnie uśmiech, teraz nie potrafi załatwić nawet jednego dla siebie. Jestem tchórzem i oszustką, zamordowałam w nim hart ducha. Kiedy myślę, że zламаłam mu serce, nienawidzę siebie jeszcze bardziej, niż nienawidziłam do tej pory.

Potem jemy obiad - pizzę w takich ilościach, że nikt nie ma siły nawet myśleć o torcie. Może z wyjątkiem mnie. O cieście mogę myśleć bez ograniczeń.

Mama i Margot przynoszą prezenty i kładą je przede mną na stole. Jest ich stanowczo za dużo, a wołałabym nie dostać żadnego, ponieważ nie chcę czuć wdzięczności, poza tym nie mogą dać mi tego, czego tak naprawdę pragnę.

Otwieram wszystkie po kolei, czuję się jak pod mikroskopem, uważnie obserwują wyraz mojej twarzy, mam ochotę krzyczeć, ale nie mogę. Więc przełykam krzyk jak piach i krew.

Ostatni prezent kryje się w małym pudełku. Powinna mnie ostrzec zaniepokojona mina mamy. A może to twarz taty mówi prawdę, wygląda, jakby uważał, że to bardzo zły pomysł, pewnie mówił to mamie ze sto razy. Rozdzieram papier i oto trzymam w ręku nowiutki wypasiony iPhone.

Mama zaczyna wychwalać jego zalety, tak jakbym nie wiedziała, co potrafi - na przykład namierzyć, gdzie dokładnie znajduję się w danym momencie. Puszczam tę przydługą reklamę mimo uszu, ale nagle okazuje się, że jest pewien haczyk.

- Jest twój, będziemy płacić rachunki. Pod jednym warunkiem: raz w tygodniu będziesz dzwonić i z nami *rozmawiać*.

Uśmiecham się. Nie mogę się powstrzymać. Jeszcze dwie i pół minuty temu naprawdę nieźle się bawiłam. Wyrzucałam sobie, że początkowo byłam niezadowolona z ich przyjazdu, zaczęłam nawet myśleć, że może to jest punkt zwrotny. Ale nie. To jest zasadzka.

Moja rodzina zmieniła ten dzień w okazję do interwencji kryzysowej. Nagle wszyscy zaczynają tłumaczyć, jak bardzo rani ich moje zachowanie. Dowiaduję się, ze szczegółami, że moje milczenie dotyka wszystkich członków rodziny. Słucham. Nie przywiązali mnie do krzesła, żebym nie mogła uciec, nie przywołali na pomoc obiektywnej trzeciej strony, by wywołać we mnie poczucie winy w stosownej ilości, które powinno towarzyszyć rozmowie na wciąż najważniejszy i aktualny temat. Na temat mnie. Wcale nie muszę tego słuchać, ale słucham, aż wszyscy się wypowiedzą.

Wszyscy z wyjątkiem Addison, która ma mocno zakłopotaną minę. Pewnie skusili ją wizją przyjęcia urodzinowego. Wygląda, jakby chciała uciec stąd równie mocno, jak ja, trochę mi jej żal. Może mogłybyśmy prysnąć razem?

Kiedy zapada cisza, uśmiecham się. Kocham ich, a oni kochają mnie i wszyscy o tym wiemy. Ściskam brata. Kiwam głową w stronę Addison i Margot. Całuję mamę i tatę w policzek. Zostawiam wspaniałą iPhone na stole i wychodzę.

Aparat mamy nadal leży na blacie w kuchni, nietknięty. Nie zrobiła ani jednego zdjęcia.

Wchodzę do garażu i siadam na blacie, krzyżując nogi. Josh pokrył moje krzesło jeszcze jedną warstwą lakieru, więc na razie jest nie do użytku. Moim zdaniem wyglądało w porządku, ale Josh tak długo tłumaczył, dlaczego nie mam racji, że w końcu się poddałam.

- Mama zmieniła moje urodziny w interwencję - mówię. Kiedy te słowa wychodzą z moich ust, wzdrygam się, bo zdaję sobie sprawę, że to trochę fatalne, skarżyć się na rodziców komuś, kto ich nie ma. To tak jakby marudzić, że masz za ciasne buty w obecności osoby, chodzącej boso po rozbitym szkłe.

Oto ironiczna strona naszej znajomości, czuję wstyd za każdym razem, kiedy o tym myślę. On nie ma rodziny. Nikogo, kto by go kochał. Ja jestem otoczona miłością, tylko że wcale jej nie chcę. Kicham na wszystko, za co on dziękowałby Bogu. Jeśli potrzebowałabym kolejnego dowodu na to, że jestem bezduszna, to proszę bardzo, oto on.

- Kiedy miałaś urodziny? - pyta, podnosząc wzrok.

- Dzisiaj.

- Wszystkiego najlepszego. - Uśmiecha się, ale ze smutkiem. -Aha.

- Nic nie powiedziałaś. - Podchodzi do blatu, umieszcza wiertarkę na ładowarce.

- Ludzie, którzy rozpowiadają naokoło, że mają urodziny, to palanty. Fakt naukowy. Możesz sprawdzić w Wikipedii.

- A więc interwencja? - Przekrzywia głowę. -Yhm.

- Nie wiedziałem, że masz problem z narkotykami. Powinienem schować srebra?

- Chyba są bezpieczne.

- Alkohol?

- Nie. Chociaż różnie bywa.

- Fakt. Coś wiem na ten temat i więcej wolałbym się nie dowiadywać.

- Podchodzi do blatu i siada obok mnie. Tak blisko, że jego noga dotyka mojej. - To w jakiej sprawie ta interwencja?

- W sprawie milczenia. - Rzuca mi sceptyczne spojrzenie. - Chcą, żebym zaczęła mówić.

- Gdybyś co wieczór przesiadywała w ich garażu, może zmieniliby zdanie.

- Dupek.

- Oto moje Słoneczko - mówi, kopiąc mnie w stopę.

- Dali mi iPhone'a, pod warunkiem, że będę do nich dzwonić raz w tygodniu. - Zbieram trociny na kupkę i robię dołek pośrodku, wygląda to jak wulkan.

- Nie taki prezent sobie wymarzyłaś, co?

- Liczyłam na implanty. Kiwa głową z namysłem.

- Spory atut, kiedy szuka się pracy.

Przez minutę milczymy. Mimowolnie zaczynam bujać nogami, a on je przytrzymuje, ale nic nie mówi. I w końcu:

- A przynajmniej tort był smaczny? - Dobrze mnie zna.

- Nie dotarłam do tortu.

- Prawdziwa tragedia. Interwencja to nic. - I tak nie jestem głodna.

- Nie mówię o torcie. - Bierze mnie za rękę i ściąga z blatu, zanim zdążę zaprotestować. - Mówię o życzeniu.

Zostawia mnie samą i wchodzi do domu, kilka minut później odjeżdżamy, a między naszymi siedzeniami stoi czerwone plastikowe wiaderko pełne jednocentówek.

Kiedy zajeżdżamy na parking przed centrum handlowym, jest jeszcze jasno. Wiaderko jest pełne po brzegi, Josh ostrożnie wyciąga je z pikapa, żeby monety się nie rozsypały. Jedną dłońią chwytą za rączkę, a drugą wsuwa pod spód, zatrząskuje stopą drzwi. Słońce właśnie zaczyna zachodzić, włączają się światła

na placu. To jedno z tych ekskluzywnych miejsc, pełne sklepów, w których nikt normalny nie kupuje i restauracji ze zbyt drogim żarciem, którego i tak nikt normalny nie chciałby jeść. Ale fontanna jest niesamowita. Króluje pośrodku tej całej pretensjonalnej szopki i przebija ją pretensjonalnością. Co kilka minut zmienia się kształt wyrzucanych strumieni wody, a także kolor świateł. Przecina ją mostek, po obu jego stronach woda bryzga wielkimi łukami, które urywają się w połowie, tak że można przejść pod spodem, nie moknąc. Totalna magia, czuję się jak mała dziewczynka. Szkoda, że nie mam przy sobie aparatu mamy.

Idę za Joshem, który przystaje pośrodku mostku, stawia wiaderko u swoich stóp i zaklina monety. Zasiana nas fontanna, zresztą nie sądzę, byśmy mogli spotkać tutaj kogoś ze szkoły, ale i tak martwię się, że ktoś mnie zobaczy bądź co gorsza usłyszy. To jeden z powodów, dla których nigdzie nie chodzę, ale nie jedyny.

- Dalej, nie żałuj sobie - mówi Josh.

- Czego?

- Życzeń. W przypadku tortu możesz pomyśleć tylko jedno i tylko pod warunkiem, że zdmuchniesz wszystkie świece, totalna żenada, w końcu w dniu urodzin nie powinni nikomu dawkować życzeń. Monety to lepsza inwestycja, możesz mieć tyle życzeń, ile tylko chcesz.

Patrzę na wiaderko.

- Chyba tyłu nie wymyślę. - Tak naprawdę pragnę tylko jednej rzeczy.

- Na pewno wymyślisz. To proste. Patrz. - Pochyliła się, lewą ręką bierze całą garść monet, a prawą wybiera jedną spośród nich. Namyśla się i wrzuca ją do fontanny. - Widzisz? Nawet nie trzeba celować. - Odwraca się i patrzy na mnie wyczekująco. - Masz.

- Czuję zapach trocin, kiedy bierze moją lewą dłoń i wysypuje na nią monety. Ręka drga, przytrzymuje ją, potem puszcza. -Twoja kolej.

Patrzę na monety, potem na fontannę i zastanawiam się, czy istnieje coś takiego jak magia i cuda. Josh patrzy na mnie, kiedy wypowiadam w myślach to samo życzenie co zawsze. To jedno, które na pewno nie może się spełnić, ale i tak je wypowiadam, więc chyba całkiem nie straciłam nadziei.

- Co sobie życzyłaś?

- Nie mogę powiedzieć! - mówię z oburzeniem.

- Dlaczego nie?

- Bo wtedy się nie spełni. - Czy naprawdę muszę to tłumaczyć? Jestem prawie pewna, że obowiązuje taki warunek.

- Bzdura.

- Takie są zasady - upieram się.

- Dotyczą tylko tortów i spadających gwiazd, a nie monet w fontannie.

- Kto tak powiedział? - pytam głosem pierwszoklasistki.

- Moja mama.

W ten sposób zamyka mi usta. Patrzę na monety i na fontannę, wszędzie, byle nie na niego, bo nie chcę go spłoszyć i mam nadzieję, że jeszcze coś powie. I mówi, ale wołałabym, żeby nie powiedział.

- Ale chyba niewiele jej życzeń się spełniło, więc może jednak się pomyliła.

Przez chwilę widzę ośmioletniego chłopca, który siedzi przed telewizorem i czeka, aż jego mama wróci do domu.

- Może wypowiedziała nieodpowiednie życzenie - mówię cicho.

- Może.

- Wspominasz częściej o mamie niż o tacie.

- Tata był ze mną dłużej. Pamiętam go. Pamiętam, jaki był. Mamę prawie zapomniałem, więc staram się częściej o niej myśleć. Boję się, że w przeciwnym wypadku obudzę się któregoś dnia i okaże się, że w ogóle jej nie pamiętam. - Wrzuca monetę do fontanny, patrzy, jak znika pod wodą. - Gdybyś spytała mnie o siostrę, jedyne słowo, które przychodzi mi na myśl to „upierdliwa”. Pamiętam, że strasznie mnie wkurzała. I tyle. Gdyby nie zdjęcia, chyba nawet nie potrafiłbym powiedzieć, jak wyglądała. - Patrzy na mnie. - Twoja kolej.

Nie wiem, czy chodzi o życzenia czy wyznania, stawiam jednak na monety. Nie myślę o niczym, po prostu rzucam.

- Przykro mi. - To najłatwiejsze i najbardziej puste słowa, a ja je wypowiadam.

- Dlatego, że nie pamiętam mamy, czy dlatego, że zapytałaś?

- To i to. Ale głównie to drugie.

- Nikt nigdy nie pyta. Pewnie uważają, że robią mi przysługę. Że jeśli o tym nie wspomną, ja nie będę musiał o tym myśleć. Ale ja ciągle o tym myślę. Nie mówię o tym, ale to nie znaczy, że zapomniałem. Nie mówię, bo nikt nie pyta. - Urywa, znowu na mnie patrzy, zastanawiam się, czy mam się odezwać, ale nie chcę, boję się, że jeśli coś powiem, on powie wszystko. Przenosi wzrok na fontannę, ale mam wrażenie, że nadal mnie obserwuje. - Spytałbym cię, gdybyś mi pozwoliła. Pytałbym tyle razy, aż w końcu byś powiedziała. Ale mi nie pozwolisz.

Mimo wszystko udaje nam się odzyskać wesoły nastrój. Wywalamy do fontanny prawie całą zawartość wiaderka. W pewnym momencie przechodzi obok nas kobieta z dwiema dziewczynkami,

Josh daje jej garść monet i prosi, żeby nam pomogły, bo już nie mamy pomysłów na życzenia. Przykładają się do zadania z wielką powagą i namaszczeniem, jakby każde życzenie było tak cenne, że nie wolno go zmarnować. Zaciskają mocno oczy, skupiają się z całych sił. Chciałabym, żeby wszystkie ich życzenia się spełniły.

Pod koniec robimy megażyczenia i wyrzucamy całe garście monet. W pewnym momencie odpina się zapięcie przy mojej bransoletce, która spada do fontanny wraz z nasączonymi życzeniem monetami. Josh podwija nogawki i ściąga buty. Ja muszę tylko zdjąć buty, bo nadal jestem w tej samej spódnicy co w szkole, bardzo krótkiej. Wchodzimy do wody, modląc się, żeby nie nadbiegli ochroniarze. Rozglądamy się uważnie dokoła. Woda jest płytka, na szczęście, bo ma naprawdę niską temperaturę i nogi lodowacieją mi po sekundzie.

- Gdzie spadła? - pyta Josh. Pokazuję w kierunku, gdzie rzuciłam monety. Chyba nie mogła polecieć bardzo daleko. Idziemy tam, ale nic nie widać, bo całe dno jest zasłane monetami. Pewnie połowa to nasze. Dywan srebra, miedzi i kolorowych świateł. Za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że widzę bransoletkę, pochylam się i wsadzam rękę do wody, i dokładnie w chwili, kiedy znowu to robię, Josh kopie mnie w łydkę, lekko, ale wystarczająco mocno, żebym straciła równowagę i poleciała na ryj prosto w lodowatą wodę. Potem następuje wybuch jego śmiechu i moje mordercze spojrzenie. Już mam go złapać i pociągnąć za sobą, ale nie muszę, bo odskakuje za szybko i sam wpada do wody.

- Zła karma, panie Bennett.

Spodnie i pół koszuli ma przemoczone, ale głowę udało mu się utrzymać na powierzchni, w przeciwieństwie do mnie, czyli



mokrego szczura. Jedno spojrzenie i znowu wybucha śmiechem, w końcu i ja zaczynam się śmiać.

- Tylko nie po nazwisku, nienawidzę tego - mówi.

- Jakoś nie interesuje mnie w tym momencie, czego nienawidzisz - mówię, próbując nasycić głos jadem, ale nie jest to proste, kiedy walczy się z początkami hipotermii. Czuję się jak jeden z tych szalonych członków klubu morsów, którzy każdej zimy wskakują do lodowatego oceanu, w myślach zapisuję ten wyczyn na listę rzeczy, których na pewno nigdy nie zrobię.

- Ołać bransoletkę. Nie jest tego warta - stwierdzam i wychodzę z fontanny, a Josh za mną. Nie dyskutuje.

Rozdzielamy resztę monet między tamte dwie dziewczynki, a ich matka posyła nam mordercze spojrzenie, chyba ma dosyć życzeń na dzisiaj. A może dlatego, że właśnie wyleźliśmy z fontanny i jesteśmy całkowicie przemoczeni. Biorę wiaderko i macham nim, kiedy idziemy w stronę parkingu, zostawiając za sobą fontannę, bransoletkę, osiemnaście dolarów w jednocentówkach i dwie rozchichotane dziewczynki. Josh sięga po wiaderko, prawą ręką przytrzymuje moją dłoń i rozwiera palce, lewą ujmuje uchwyt. Jego ręce są równie lodowate jak moje, ale i tak przyjemne, czekam, kiedy mnie puści, ale nie puszcza.

Kiedy docieramy do pikapa, rzuca wiaderko na tył, a potem ujmuje moją twarz w dłonie, tym samym ruchem, co wtedy przed domem Leightonów.

- Czarny syf - mówi, wycierając kciukami czarne smugi. Kącik jego ust unosi się do góry. Potem odsuwa się i otwiera drzwi po mojej stronie. - Wszystkiego najlepszego, Słoneczko.

Kiedy już siedzi obok mnie, mówię:

- Chciałabym, żeby moja ręka była taka jak kiedyś.

To było moje pierwsze życzenie, jedyne, które naprawdę się liczyło.

- Chciałabym, żeby moja mama była tu dzisiaj, bez sensu, całkowicie nierealne życzenie. - Wzrusza ramionami i odwraca się w moją stronę, tłumiąc ten uśmiech, którym zawsze mnie zabija.
- To wcale nie takie bez sensu, że chciałbyś ją znowu zobaczyć.
- Nie tyle chodzi o to, że chciałbym ją zobaczyć - odpowiada, spoglądając na mnie wzrokiem, który jest znacznie starszy niż jego wiek. - Chciałbym, żeby ona zobaczyła ciebie.

## Rozdział 33

### *Josh*

- W łazience gościnnej są czyste ręczniki.
  - Mam nadzieję, że terma jest gigantycznych rozmiarów, bo zamierzam zostać pod prysznicem na zawsze! - woła Słoneczko z holu. Ciągle się trzęsie, w końcu prawie nie ma na sobie tłuszczu, czuję się fatalnie, że wrzuciłem ją do fontanny.
  - Nastawię wody na herbatę. Chcesz?! - krzyczę z kuchni, napełniając czajnik.
  - Pijesz gorącą herbatę? -No. A co?
  - No bo nie jesteś stary. Ani nie jesteś Anglikiem. Mogłabym policzyć na palcach jednej ręki znanych mi facetów w twoim wieku, którzy piją gorącą herbatę.
  - Zawsze robiłem dziadkowi herbatę. I sam się przyzwyczailem. Zamknij się. - Stawiam czajnik na kuchence i idę do łazienki. - To chcesz czy nie?
  - Nie. Herbata jest do dupy. Wyjdę za godzinę. Albo dwie. -Drzwi się zatrzasują.
- Dziesięć minut później wychodzę spod prysznicza, woda w łazience dla gości nadal leci, chyba nie żartowała. Wrzucam mo-

kre ciuchy do pralki, a potem idę do kuchni i włączam kuchenkę. Może herbata jest do dupy, ale i tak zagotuję wodę. Gorącej czekoladzie na pewno się nie oprze.

Rozlega się dzwonek, przypuszczam, że to Drew, bo nie licząc dziewczyny, właśnie zużywającej w łazience cały zapas gorącej wody, jest on jedyną osobą, której wizyty mogę się spodziewać. Ale ma klucze, nie wiem, czemu po prostu nie wejdzie.

- Czego? - otwieram drzwi, gotów na opowieść, co tym razem tak go wkurzyło, że musiał natychmiast wynieść się z domu, ale to nie Drew. To jakiś dzieciak, nigdy wcześniej go nie widziałem, wpatruje się we mnie intensywnie, badawczo. Nie tak, jakby czegoś chciał ode mnie, ale jakby zastanawiał się, kim do cholery jestem, tyle że to on zapukał do moich drzwi, a nie ja do jego.

- W czym mogę pomóc? - pytam w końcu, bo nic nie mówi.

- Jest tu moja siostra? - *Siostra?* - Margot mówiła, że powinna być tutaj. Nastya - wypluwa jej imię, jakby miało ohydny smak.

- Ona jest twoją siostrą? - Nie widzę większego podobieństwa, no może kiedy przyjrzeć się naprawdę uważnie. Dzieciak jest bardzo podobny do Margot.

- No. Wyszła z przyjęcia. Jest tutaj?

Otwieram szerzej drzwi i wpuszczam go do środka. Woda nadal leci, wszelkie wykręty nie mają sensu. *Ja pierdolę, Słoneczko*. Chłopak bynajmniej nie ma zachwyconej miny. Nietrudno domyślić się dlaczego. Stoję przed nim w T-shircie i spodniach od dresu, włosy mam nadal wilgotne, a z głębi korytarza dobiega dźwięk płynącej wody.

- Jest pod prysznicem - mówię, skoro i tak nie da się tego ukryć. Muszę ją ostrzec. - Powiem jej, że przyszedłeś.

- Dlaczego moja siostra bierze prysznic w twoim domu? - pyta. Jest wkurzony. Reaguje, jak na nadopiekuńczego brata przystało, i w pewnym sensie budzi to we mnie szacunek, ale nie podoba mi się, że zwraca się do mnie, w moim własnym domu, jak do ostatniego gnojka. Tak samo jak wtedy Margot. Nie wydaje mi się, żebym sprawiał wrażenie szczególnie groźnego osobnika, Nastya zaś bynajmniej nie wydaje się delikatnym kwiatuszkiem.

- Twoja siostra skończyła osiemnaście lat. Może brać tu prysznic i robić różne inne rzeczy, jeśli tylko przyjdzie jej ochota.

- Moja siostra emocjonalnie utknęła na poziomie piętnastolatki. - Podnosi wzrok. Nie spodziewałem się takiej rozmowy. Nawet nie wiem, co odpowiedzieć.

- Twierdzisz, że jest niedojrzała? - To jedyne, co mi przychodzi na myśl. Nie potrafię zdecydować, po której jestem stronie. Czasami wydaje mi się najstarszą osobą, jaką znam, a czasami zachowuje się jak mała dziewczynka.

- Twierdzą, że jest pokręcona. - Wypuszcza z płuc powietrze, wygląda na zmęczonego, jakby mówił to już tysiąc razy i nie miał ochoty więcej powtarzać.

- Nie zgadzam się. - Chociaż zgadzam się. Tylko nie wiem, z jakiego powodu i w jaki sposób miałyby to cokolwiek zmienić.

- Znam swoją siostrę.

- Znam twoją siostrę. - Wiem o niej tyle, ile mi mówi. Fragmenty życia, przebłyski, które ofiaruje mi, kiedy czuje się wyjątkowo hojna, a może po prostu nierozważna.

- A wiedziałeś, że dzisiaj są jej urodziny? - pyta. Nie odpowiadam. - Tak myślałem. A sądząc po twojej minie chwilę temu, nie wiedziałeś też, że ma brata. Zastanawiasz się czasami, czego jesz-

cze nie wiesz? - *Nieustannie*. - Ona już ma problemy, nie potrzebuje kolejnych. Zostaw to.

Niezbyt mi się podoba, że zaklasyfikował mnie jako kolejny problem.

- Skoro jest coś, o czym według ciebie powinienem wiedzieć, to czemu po prostu nie powiesz? A jeśli nie chcesz powiedzieć, to zabieraj swoją protekcyjną postawę i zjeżdżaj stąd.

Nie odpowiada. Nie zdradzi jej i chociaż bardzo chciałbym się dowiedzieć, co jest grane, szanuję to. Ale nie zamierzam godzić się na rolę negatywnego bohatera. Chciałbym polubić tego dzieciaka, ale zaczyna mnie poważnie wkurzać.

- Lubisz wykorzystywać pokręcone laski? To twoja specjalność? -pyta.

- A jaka jest twoja? Szantaże i nieuzasadnione oskarżenia? Woda przestaje płynąć i już mam pobiec ją ostrzec, ale w tym

momencie drzwi się otwierają. Nawet nie zdążyłem dać jej czegoś do ubrania. Wychodzi do przedpokoju, kapiąc wodą, owinięta ręcznikiem, krew opuszcza mój mózg, a dumny kutas znowu daje o sobie znać, bo tak zwykle dzieje się, kiedy piękne, mokre i ubrane wyłącznie w ręcznik dziewczyny parady po moim domu. Chciałbym nacieszyć się tym widokiem, no bo *bez kitu*. Ale nie pora na to, na szczęście do kutasa dociera, że jej totalnie wkurwiony brat stoi tuż obok, kutas leży posłusznie.

Nastya otwiera usta, ale zauważa go, nim zdążyłem coś powiedzieć. Nie wiem, kto robi większe oczy. Następuje między nimi jakaś niewerbalna komunikacja. Nie potrafię powiedzieć, czy Nastya wygląda na przestraszoną czy zawstydzoną, ale odnoszę wrażenie, że zrobiła się kilka lat młodsza na sam jego widok. W tym momencie rozlega się gwizdek, jesteśmy tak spięci, że ma-

ło brakuje, a posikalibyśmy się w majtki. Za wyjątkiem Nastyi, bo ona nie ma majtek. Przenoszę wzrok z jednego na drugie, w końcu zatrzymuję na niej.

- Mamy towarzystwo, Słoneczko. Kto chce herbaty?

Brat Nastyi w końcu godzi się z tym, że Nastya zostaje, i wychodzi. Ciekawe, co ją czeka po powrocie. Ja nie muszę martwić się o takie rzeczy, ale ona ma rodzinę, nie wiem, czy ujdzie jej na sucho, że nie wróciła do domu, mimo że ma już osiemnaście lat. Raz stwierdziła, że rodzice boją się narzucać jej dyscyplinę, ale nie pogłębiła tematu. Może po prostu jej się boją. Już i tak spędza tutaj większość czasu, nie mam pojęcia, ile informacji dociera do jej rodziców. Jeżeli do tej pory nie podejrzewali nas o to, że się bzykamy, to teraz zaczną.

- Nie ma mowy, żebyś tu spała - mówię, kiedy wyciąga z bieliż-niarki poduszkę i koc, których wcześniej używała.

- Okej, przepraszam. - Wkłada pościel z powrotem i rozgląda się za kluczami.

- Nie musisz jeszcze wychodzić.

- Ale powiedziałaś...

- Miałem na myśli, że sofa jest bardzo niewygodna. Możesz spać w moim łóżku, ja będę spał na sofie.

- Nie wywalę cię z twojego własnego łóżka. Sofa jest w porządku. Już na niej spałam.

- No to wiesz, że jest do dupy.

- Wolę ją niż powrót do domu Margot i samotność. Ale nie chcę, żebyś oddawał mi łóżko. - Siada na sofie i przyciska do siebie poduszkę.

- Więc śpij ze mną.

- Co? - Robi wielkie oczy, a ja zaczynam się śmiać.
- Nie o to mi chodzi. Po prostu śpijmy w tym samym łóżku. Jest ogromne, nawet mnie nie zauważysz.
- Śmiem wątpić. - Rozgląda się, jakby coś ją zastanowiło. -A tak w ogóle, jak to możliwe, że w całym domu masz tylko jedno łóżko?
- W pokoju Amandy stoi jeszcze jedno, ale jest nie do użytku, zaginęło gdzieś pod stosem gratów, które tam trzymam. Pozbyłem się tego, które stało w moim dawnym pokoju, kiedy przywieźli łóżko szpitalne dla dziadka. Tak więc teraz mam tylko to jedno. - W jej wzroku nie ma poczucia winy, tylko zrozumienie.
- Na pewno nie jest aż tak źle - mówi, ruszając do pokoju Amandy. Drzwi są zawsze zamknięte, nigdy tam nie wchodziła, ale robi to teraz. Staje na niemal nieistniejącym kawałku dywanu, wodzi wzrokiem dokoła. Na łóżku leżą pudła i stosy ubrań. Tu i tam stoją nieudane meble mojej roboty, mnóstwo rzeczy, które powinienem trzymać w garażu, ale nie trzymam, bo bardziej potrzebuję wolnej przestrzeni tam niż tutaj.
- Okej, jest aż tak źle - stwierdza ze śmiechem. Potem mruży oczy z zaciekawieniem. Biegnę spojrzeniem za jej wzrokiem. - Masz pianino - mówi miękko, podchodząc bliżej. - Czemu stoi tutaj?
- To Amanda uczyła się grać. Ja nie. Wstawiłem je tutaj kilka lat temu, żeby zrobić w salonie miejsce na nowy stół.
- Przesuwa palcami po klawiaturze, tak lekko, że nie jestem pewien, czy naprawdę ich dotknęła. Robi to z szacunkiem, niemal nabożnie.
- Grasz? - pytam. Nigdy o tym nie wspominała.



- Nie - odpowiada, nie odrywając wzroku od klawiatury. W końcu patrzy na mnie i dodaje: - Ani trochę.

Później kładziemy się do łóżka i okazuje się, że jego rozmiar nie ma znaczenia. Nie jestem totalnym kretynem. Wiem, że to bardzo zły pomysł, że pociągnie za sobą tragiczne skutki. Ale Na-stya ma rację. Miło nie być samemu. A sofa naprawdę jest potwornie niewygodna.

- To tylko ja, czy rzeczywiście jest dziwnie? - pyta po dwudziestu minutach niezręcznej ciszy. Żadne z nas nie może zasnąć.

- Nie tylko ty - przyznaję.

- Chcesz, żebym sobie poszła?

- Nie. - Nie muszę nawet niczego z nią robić. Nie żebym nie chciał, bardzo pragnę jej dotknąć, bardziej, niż powinienem. Ale naprawdę nie o to chodzi. Po prostu cieszę się, że jest tuż obok.

Wyciąga rękę i odnajduje moje ramię, przesuwa po nim palcami, aż dociera do dłoni. W podobny sposób przed chwilą dotykała klawiatury, wyraźnie czuję ślad, który jej palce zostawiają na skórze. Ogarnia mnie spokój, którego brakowało jeszcze chwilę wcześniej. A potem Nastya bez słowa zwija się w kłębek obok mnie i tak zasypiamy. Jej dłoń w mojej. Razem.

W środę na lekcji plastyki Clay Whitaker pokazuje mi teczkę z rysunkami, nad którymi teraz pracuje. Mam ochotę go walnąć. Ciągłe rysuje, dodaje coś, zabiera, w zależności od tego, w jakim konkursie bierze udział, czy do jakiej szkoły zamierza złożyć papiery, a potem pokazuje mi rezultaty, chociaż nigdy o to nie proszę i nie mam bladego pojęcia o sztuce. Nie chcę walnąć go z powodu samej teczki, ale za to, że pokazał mi ją tutaj, na środku

klasy, a ja nie potrafię zachować kamiennej twarzy. To chyba test. Spoglądam na niego i już wiem na pewno, że to test.

Ostatni rysunek przedstawia Słoneczko. Jej twarz pod różnymi kątami. W jej oczach widzę wszelkie możliwe do wyobrażenia uczucia. Wybaczam mu te wszystkie minuty, kiedy kradł ją z mojego garażu.

- Narysuj jeden dla mnie. - Słowa wychodzą z moich ust, zanim zdążyłem zmusić je do posłuszeństwa.

- Chcesz, żebym cię narysował? - Jest urażony albo rozczarowany. Nie takiej reakcji ode mnie oczekiwał.

- Nie. Chcę, żebyś narysował ją. Dla mnie. Chyba ciut się udobruchał.

- Jak? - pyta.

- Jak to, jak? - Jestem wkurzony i słycać to w moim głosie, ale tak naprawdę jestem wkurzony na samego siebie. Właśnie wywaliłem flaki na podłogę pośrodku klasy, a on grzebie w nich butem dla zabawy.

- Jak ją widzisz? Jeśli chcesz, żebym ją dla ciebie narysował, powinienem narysować ją tak, jak ją widzisz. A nie tak jak, ja ją widzę.

- Narysowałeś setki jej portretów. Po prostu narysuj jeszcze jeden i mi go daj. - Wskazuję na teczkę.

- Co czujesz, kiedy na nią patrzysz?

- Pytasz, kurwa, poważnie? Zapomnij. - Jeśli zamierza rozmawiać ze mną o uczuciach, to od razu może pocałować mnie w dupę.

- Najwyraźniej masz jakiś powód.

- Tak, chcę walić konia przy jej portrecie. Co ci do tego? - Cały czas rysuję, więc nie muszę na niego patrzeć, ale rysunek wygląda coraz gorzej. Będę musiał zacząć od nowa, trudno.

- Szczęście, lęk, rozpacz, tęsknotę, złość, pragnienie, miłość, pożądanie?

-Tak.

- Tak, co?

- Wszystko - odpowiadam, bo to prawda, czy mi się podoba czy nie.

- Będzie gotowy za parę dni.

Zgodnie z obietnicą dwa dni później Clay wkracza do klasy, wręcza mi wielką kartonową teczkę i mówi, że mam otworzyć ją dopiero po przyjsciu do domu. Jakaś część mnie miała nadzieję, że o wszystkim zapomniał albo że to był zły sen, że nigdy o to nie prosiłem. A potem Clay pokazuje mi kolejny rysunek, który dołączył do zbioru w teczce, i już wiem, gdzie była przez ostatnie dwa dni.

- Jesteś opętany - mówię, oddając rysunek. -Tylko ja?

- Aha. - Patrzy na mnie sceptycznie i już wiem, że to był wielki błąd, ale nie mogę tego cofnąć. - Chciałem tylko rysunek. Nie poprosiłbym cię, gdybym wiedział, że tak chujowo zareagujesz.

- Nie martw się. - Na chwilę gładki Clay znika. - Nic jej nie powiem.

Przyjmuję te słowa, przez minutę nic nie mówimy, a mój mózg opuszcza ciało i macha mi na pożegnanie.

- Co robisz dziś wieczorem? - pytam.

- Zapraszasz mnie na randkę?

- Obiad u Drew o szóstej. - Ogłaszam oficjalnie, że zwariowałem. Rodzice Drew wyjechali na weekend, ale jego mama przyrzadziła całą tonę żarcia i uparła się, że mamy jak zwykle spotkać

się w niedzielę na obiad. Potem zdecydowali się wrócić wcześniej, więc Drew przeniósł imprezę na dzisiejszy wieczór.

- Chyba oszalałeś - mówi Clay. - Najpierw rysunek, a teraz to? Nie chcę zostać przypadkową ofiarą twojego autodestrukcyjnego planu.

- Będziesz miał okazję poprzyglądać się obiektowi swojego opętania.  
- Kiwam głową w stronę szkicownika. - Możesz przyprowadzić Michelle Księżę Pamiątkową.

- Wiesz, że Drew się wścieknie, kiedy nas zobaczy? -Aha.

- O szóstej?

- O szóstej.

## Rozdział 34

### *Nastya*

Potrafię zachować kontrolę. Owszem, nie mam wpływu na to, czy jakiś przypadkowy psychol nie znajdzie mnie w przypadkowym miejscu i czasie, ale jeśli do tego dojdzie, będę umiała zapanować nad sytuacją.

Przez ostatnie dwa lata wzięłam udział w wielu lekcjach samoobrony i teraz wiem, co mogłam zrobić tamtego dnia, ale nie zrobiłam. Nie jestem mistrzynią sztuk walk. Ani trochę. Znam tylko kilka trudnych, lecz niesamowicie skutecznych sposobów na znokautowanie przeciwnika, a także kilka bardzo brzydkich sztuczek z walk ulicznych, chociaż one też mogą okazać się niewystarczające. Mogłam wydlubać mu oczy, zmiażdżyć krtań bądź kopnąć kolaniem w jaja lub też zastosować złotą klasyczną metodę: wrzeszcz i bierz nogi za pas. Nie zrobiłam jednak żadnej z tych rzeczy. Wiecie, co zrobiłam? Uśmiechnęłam się i powiedziałam: „cześć”. Bo byłam uprzejma. I głupia.

Podjazd przed domem Drew jest pusty. Josh bierze pojemnik z babeczkami - pojemnik to prezent od Margot, zupełnie bez okazji - i wchodzi do środka, a ja za nimi. Usiłuję zapanować nad

uśmiechem, bo zwykle widzę go, jak dźwiga jakieś deski, więc różowy pojemnik na babeczki w jego rękach wygląda dość egzotycznie. Drew i Sarah siedzą w kuchni, zastępują panią Leighton. Od razu wyczuwam woń obiadu. Włoska kuchnia.

- Josh - atakuje Sarah, ledwo przestąpiliśmy przez próg - chyba zgodzisz się, że nie należy podgrzewać jedzenia w temperaturze wyższej niż sto osiemdziesiąt stopni?

- Szybciej podgrzeje się w dwustu trzydziestu - oponuje Drew.

- Wyschnie na wiór - mówi Sarah śpiewnie. Ta dyskusja najwyraźniej toczy się już od dłuższej chwili. Patrzy na mnie i robi zdegustowaną minę, chyba zarezerwowaną dla mojej osoby.

- Zależy co, ale tak, prawdopodobnie wyschnie - potwierdza Josh, podchodząc do blatu i kładąc na nim babeczki. Powietrze drży od gorąca bijącego z dwóch piekarników, zastanawiam się, czy krem na bazie szwajcarskiej bezy, którym tak pieczołowicie udekorowałam babeczki, zdoła przetrwać tę łaźnię. Kiedy go nakładałam, ręka nie drgnęła ani razu, wyglądają idealnie.

- No widzisz! - mówi Sarah do Drew i triumfalnie podchodzi do piekarnika, by obniżyć temperaturę. Widocznie słowo Josha wystarczy również w tym przypadku.

- Pieprz się - rzuca Drew.

- Twoja dziewczyna tu jest. Ją poproś. - Sarah uśmiecha się do mnie słodziutko, po czym rusza w stronę swojego pokoju.

- Nienawidzę jej - mówi Drew, nie komentując uwagi o dziewczynie.

Patrzę na miski i talerzyki, piętrzące się na blacie. Pani Leighton chyba przewidziała, że będzie nas więcej niż czworo, bo jedzenia starczyłoby dla całej armii.

W ciągu kolejnych piętnastu minut dzwonek u drzwi rozlega się cztery razy. Pierwsza wchodzi Piper, w stroju, który wcześniej chyba skoordynowała z Sarą. Mówi „cześć” Joshowi i Drew, a potem pędzi do pokoju Sary, na mnie nawet nie racząc spojrzeć. Potem nadciągają Damien Brooks i Chris Jenkins. Chrisa znam dobrze z pamiętnych warsztatów z młotkiem w roli głównej. Spogląda na mnie niepewnie i mówi „cześć”. Od tamtego wypadku starał się ignorować mnie jeszcze bardziej niż przedtem. Nie przypuszczałabym, że to w ogóle możliwe, ale wykonuje naprawdę świetną robotę. Damiena kojarzę z widzenia. Zerka na moją klatkę piersiową, nic nie mówi. Chris w obu rękach trzyma po kracie piwa. Damien - w lewej dwunastopak, a w prawej butelkę tequila. Widocznie Clay przedstawił im zupełnie inną wizję niedzielnego obiadu i już wiem, czemu przełożył go na piątek. Mogłam wykazać się większą kreatywnością, kilka dni temu wręczając w łazience zaproszenie Tierney Lowell. Dzwonek rozlega się po raz trzeci i jestem jedyną osobą, która spodziewa się właśnie jej.

To było w środę, w łazience na końcu korytarza. Tierney musiała mnie wcześniej przyuważyć i specjalnie za mną pójść, bo nie korzystała z toalety. Kiedy umyłam ręce, podała mi ręcznik papierowy, ruchem tak groźnym, że natychmiast poczułam do niej szacunek. Każdy, kto potrafi podać ci papierowy ręcznik w taki sposób, byś odebrał to jak groźbę, zasługuje na podziw. Dalej wbijała we mnie piorunujące spojrzenie, a nie chciałam wyjść na prostaczkę, więc odwzajemniłam je. To było tak absurdalne, że miałam ochotę się roześmiać. Naprawdę musiałam nieźle się namęczyć i mocno zaciskać gardło, żeby nie eksplodować, ale zaangażowałam się całą sobą w walkę na spojrzenia i nie zamierza-

łam przegrać. Tierney najwyraźniej chciała coś powiedzieć, nie mogłam się doczekać, bo nie czułam się ani trochę onieśmielona w jej obecności, chociaż słyszałam różne plotki na jej temat: dilerka, nielegalne aborcje, walki na noże. Dotarły do mnie nawet pogłoski, że rozrzuca szkła na plaży.

Nie wierzyłam w to wszystko ani trochę. Czekałam, aż wreszcie przestanie patrzeć na mnie takim wzrokiem, jakbym otruła jej babcię. Naprawdę jakoś tam ją lubię i chciałabym, żeby ona też mnie lubiła, bo szczerze, miło byłoby mieć przyjaciółkę, z którą można czasem nie-rozmawiać.

- Musisz znać mnóstwo sztuczek, skoro jeszcze się tobą nie znudził. - Zagadka rozwiązana. *Drew*. Powiedziałabym *oczywiście*, jakbym wiedziała przez cały czas, tyle że nie wiedziałam, nawet teraz jakoś tego nie widzę. Nawet jeśli rzeczywiście spotykała się z *Drew*, tak jak twierdził *Josh* - a w przypadku *Drew* wszystko jest możliwe - to ona też nie wygląda mi na typ, który szuka stałego związku. Jakoś nie wydaje mi się, by Tierney Lowell dała się komukolwiek wykorzystywać, a już szczególnie komuś takiemu jak *Drew Leighton*. Żałowałam, że nie jestem bardziej rozmowna, bo bardzo chciałam poznać resztę tej historii. Bardzo.

Dupa. Trzeba będzie napisać notkę. To złamanie zasad, ale uznałam tę sytuację za absolutną konieczność, zagrożenie życia, bo ciekawość z pewnością by mnie zabiła. Chwyciłam zeszyt, który Tierney trzymała w ręku, wyjęłam długopis z torebki. Postanowiłam postawić wszystko na jedną kartę, skoczyć na główkę, bo wiedziałam, że istnieje tylko jedna przyczyna, dla której Tierney zaatakowała mnie w łazience: czysta autentyczna zazdrość. *Nadal go kochasz?* napisałam na kartce i podałam jej. Czułam się naprawdę melodramatycznie.



Rozdziawiła usta, zmrużyła oczy i głosem kapiącym od wymuszonego jadu powiedziała:

- *Nigdy* go nie kochałam.

Nie roześmiała się jednak, jakbym właśnie zasugerowała najbardziej absurdalną rzecz na całym świecie, więc zabrałam kartkę i napisałam: *Spotykamy się w kilka osób u Drew, niedziela 18.00*. To była notka logistyczna, całkowicie do zaakceptowania.

Tierney przeczytała ją i popatrzyła na mnie z nieskrywanym sceptycyzmem, najwyraźniej tradycje rodziny Leightonów nie są jej obce.

- To rodzinny obiad.

Potrząsnęłam głową i jeszcze raz wskazałam na kartkę, w nadziei, że ją przekonam. Na pewno nie do końca wierzyła, że nie zamierzam wplątać jej w jakąś aferę z elementami świńskiej krwi i publicznego upokorzenia, widziałam też jednak, że rozbudziłam jej ciekawość. Wyszłam z łazienki, zastanawiając się, co wygra.

W przeciwieństwie do pozostałych, Tierney czeka, aż ktoś jej otworzy. Nie byłam pewna, czy przyjdzie, wczoraj, kiedy Drew zmienił plany, zostawiłam kartkę w jej szafce, ale nie wiedziałam, czy ją znajdzie. Josh otwiera drzwi, Tierney stoi na progu, wygląda chyba trochę na zdenerwowaną, ma krótką dzinsową spódnicę i dwie fioletowe koszulki na ramiączkach, jedną na drugiej. Jest naprawdę ładna, tyle że zawsze ma wściekłą minę. A może tylko wtedy, kiedy patrzy na mnie.

- Tierney? - mówi Josh, nie dlatego, że musi się upewnić, ale dlatego, że ten widok wyraźnie go zaskakuje. Obserwuję go uważnie, ale Josh to Josh i jak zwykle nie daje nic poznać po sobie. Je-

go twarz nie poruszyłaby się nawet, gdyby zobaczył na progu dwie hieny złączone w akcie kopulacji.

Chciałam wydobyć z niego coś więcej na temat Tierney i Drew, ale dziwnie reaguje, kiedy wspominam o Drew, więc postanowiłam uzbroić się w cierpliwość i poczekać do dzisiaj, aż może wreszcie coś się wyjaśni.

- Zostałam zaproszona - mówi, robi odpowiednią minę, by przypadkiem nikt nie pomyślał, że przyszła tutaj, by zobaczyć się z Drew pod nieobecność jego rodziców. Głupio mi, że postawiłam ją w takiej sytuacji. Josh nic więcej nie mówi. Otwiera kolejne drzwi i wpuszcza ją do środka. Tierney chwyta moje spojrzenie, ale tylko sprawdza, jak się ubrałam, i idzie do kuchni. Dobrze zna ten dom.

Nonszalanckim krokiem ruszam za nią. Chcę zobaczyć minę Drew. W momencie, kiedy wkracza do kuchni, słyszę, jak Damien Brooks drze się:

- T-Lo wylądowała! - tym samym rozwiewając wszelkie ewentualne wątpliwości co do rozmiarów własnego kretynizmu. -Co tam, sexy? Nie wiedziałem, że będziesz.

- Ja też nie. - Patrzy na Drew, który właśnie wrócił z garażu, gdzie wsadzał do lodówki resztę piw.

- Tierney - mówi Drew, opanowując zaskoczenie.

- Drew.

- Powinniśmy się ciebie spodziewać?

- Twoja... - urywa, macha ręką w moim kierunku - ona mnie zaprosiła.

Wiedziałam, że to kiedyś nastąpi. Drew podchodzi, obejmuje mnie w talii i przyciąga do siebie. Zdążyłam przyzwycząć się do jego ostentacyjnie zaborczych gestów, nie protestuję. Josh spogląda na rękę Drew i odchodzi na bok.

- Zabawne, nie wspominała o tym - mówi Drew, ale takim głosem, jakby wcale nie uważał tego za zabawne. Lekko zaciska palce na moim nagim brzuchu, tam, gdzie koszulka podjechała do góry. Odpycham go, próbuję rozegrać to tak, jakby to było nasze zwykłe zachowanie, chyba zresztą jest, ale chcę, żeby trochę się kontrolował, i daję mu to do zrozumienia odpowiednią miną.

- Później, Bestio, obiecuję. - Mówi do mnie, ale patrzy przy tym na Tierney. - Na razie muszę podać obiad! - Klaszcze w ręce teatralnym gestem. - Znacie zasady. Wszyscy pomagają! - Przez kolejnych kilka minut ta dziwna banda, złożona z przeróżnych osobników, od ładnych i grzecznych chłopców i dziewczynek po zdziry i ekscentrycznych dziwaków, intensywnie pracuje. Wyciągamy talerze, nalewamy drinki, krążymy między kuchnią a jadalnią. Damien Brooks kroi chleb czosnkowy, a Tierney Lowell układa serwetki w nieskazitelne wachlarzyki. Totalny surrealizm. Pani Leighton byłaby z nas dumna.

Kiedy zjawiają się Clay i Michelle Księga Pamiątkowa, nikt nie jest zdziwiony.

- Chcesz mi coś powiedzieć? - mówi Josh szeptem, tak bym tylko ja go słyszała, kiedy idziemy ramię w ramię do jadalni, niosąc talerze i sztuce. Czy jest zły? Nie wiem. Wiem, że wystąpiłam przed szereg, zapraszając Tierney, ale jeśli ktoś powinien wściec się z tego powodu, to Drew, a nie Josh. Nie odpowiadam, na szczęście nie muszę, bo nie jesteśmy sami. Kto wie, jak skończy się ten wieczór? Siedzimy na beczce z prochem, ciekawe, kto pierwszy zapali zapałkę.

Obiad jest wspaniały, przynajmniej samo jedzenie. Pyszne i w ogromnej ilości, właściwie przez cały czas wszyscy przeżuwają, co pozostawia niewiele okazji do rozmów, i bardzo dobrze. W pierwszej chwili stwierdziłam, że pani Leighton ciut przesa-

działa, lecz kiedy obserwuję, ile potrafią zezreć kilkunastoletni faceci, zaczynam się martwić, czy aby wystarczy. Widziałam Josha i Drew w akcji i wydawało mi się, że są nieźli, ale to małe piwo w porównaniu z Damianem i Chrisem, którzy dosłownie wchłaniają jak odkurzacze wszystko, co stoi na stole. Mam niemal ochotę oddać im swój talerz z niedojedzoną porcją, bo inaczej pewnie grozi im śmierć głodowa. Rozważam, czy nie powinnam wymknąć się do kuchni i schować połowy babeczek, bo będę potrzebowała dużo cukru, żeby przetrwać ten wieczór.

### *Josh*

Posprzątaaliśmy po obiedzie i sadowimy się na sofach w salonie. Znikło już sporo puszek piwa, a butelka tequila, którą przyniósł ten gnojek Damien Brooks, wznosi się na stole niczym zły omen.

Sarah wypłała dwa piwa do obiadu i już zachowuje się debilnie. Jeszcze dwa i skończy twarzą na dywanie. Sarah pijana ma swoją pozytywną stronę, na chwilę przestaje być taką suczą. Przypominam sobie, czemu kiedyś ją lubiłem i dlaczego teraz tak nie cierpię.

Szukam wzrokiem Słoneczka. Właśnie wychodzi z kuchni, mija Damiena, który chwyta ją za rękę, próbuje zatrzymać. Nie wiem, co się stało, wiem tylko tyle, że pół sekundy później Damien leży na podłodze, a Słoneczko wciska kolano w jego plecy. Potem równie szybko zostawia go tak i odchodzi na bok.

- Co to było, do kurwy nędzy? - wyje Damien. Podnosi się i próbuje udawać, że nic go nie boli, ale wyraźnie widać, że jednak tak. Uznałbym ten incydent za bardzo zabawny, gdybym nie widział jej twarzy. Ale widziałem i wiem, że nie ma w tym nic zabawnego. Stoi, oparta plecami o ścianę, nie wiem, przestraszona czy wściekła. Pró-

buję uchwycić jej wzrok, sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale ona chyba specjalnie patrzy w inną stronę. Zastanawiam się, czy uda mi się wydostać ją stąd na kilka minut, ale nie zdążam.

- Musisz mnie tego nauczyć! - Sarah robi wielkie oczy i po raz pierwszy patrzy na Nastęę bez obrzydzenia. W jej oczach widać czysty podziw. Czuję coś podobnego. Damien jest najwyższy i najpotężniejszy z nas wszystkich, a my wszyscy jesteśmy wyżsi i potężniejsi od Słoneczka.

Tierney zerka z boku na Drew.

- Mnie też by się przydało.

Kolejną godzinę zajmuje improwizowany pokaz technik samoobrony. Odsunęliśmy meble pod ściany, podłogę wyłożyliśmy poduszkami.

Ja gram rolę napastnika i nieźle dostaję w kość, Słoneczko pokazuje wszystkie wrażliwe punkty na ciele, od gałek ocznych przez dolne żebra i krocze - owszem, nie mam nic przeciwko, żeby znalazły się tam jej dłonie, ale nie dopuszczę nawet do markowanego ataku - aż po stopy. Bez wątplenia wyciągnąłem kiepski los na tej loterii. Na szczęście nie chce tak naprawdę sprawić mi bólu, ale traktuje pokaz bardzo poważnie. Na pewno nie uważa go za żart czy wygłup.

- Obawiam się, że mógłbym zrobić ci krzywdę - mówię, kiedy każe mi podejść bliżej. A tak naprawdę boję się, że to ona mnie zrobi krzywdę. Jest niesamowicie silna.

Chwyta kartkę papieru, leżącą na blacie, przez chwilę bazgra po niej, w końcu pokazuje mi, mrużąc oczy wyzywająco, a ja staram się opanować uśmiech.

*Musisz mocno się postarać. Nie bądź cipką!..!!!*

Prowokuje mnie, bo sądzi, że jej nie uderzę. I ma rację. Za każdym razem planuję walnąć ją z całej siły, ale nie potrafię i osła-

biam cios. Pewnie jest wściekła, skoro to napisała, więc przykładam się bardziej. W końcu rzucam się na nią, jakbym naprawdę chciał ją powalić. Tyle że to ja kończę na podłodze. Jestem pewien, że ćwiczyła ten manewr setki razy, nie mam pojęcia, jak to w ogóle zrobiła. A najsmutniejsze jest to, że tym razem to ona nie poszła na całość ze względu na mnie.

Potem bierze kartkę i znowu pisze. Zakładam, że to do mnie, bo ona w ogóle rzadko pisze. Ale podaje kartkę Sarze i pozostałym dziewczynom, a potem odwraca się i zaczyna zbierać poduszki.

Próbujemy doprowadzić pokój do porządku, ale niezbyt dobrze nam idzie. Kiedy sofy wracają na miejsce, uznajemy, że to wystarczy. Sarah kładzie kartkę od Słoneczka na stoliku i idzie do kuchni po następne piwo. Wreszcie udaje mi się przeczytać, co napisała. Na kartce widnieje nazwa szkoły sztuk walk, do której uczęszcza, i numer telefonu, a poniżej kilka słów, wielkimi literami:

**PO PIERWSZE: UCIEKAĆ I TO SZYBKO.**

Drew siada na kanapie, obok siebie sadza Nastyę, a ja zajmuję miejsce po jej drugiej stronie. Mimowolnie dotykam nogą jej nogi, nie odsuwa się, ja też nie. Przez ostatnią godzinę dotykała mnie niemal bez przerwy. Można by pomyśleć, że powinienem mieć dosyć. Ale nie mam. Ani trochę. Nie żeby miało to większe znaczenie, pewnie skończy ten wieczór w objęciach Drew.

- Wiem - bełkocze Sarah, stawia na blacie kolejną pustą butelkę po piwie i rzuca się na kozetkę. - Zagrajmy w „prawda czy wyzwanie”.

- Słabe! - krzyczy Damien z kuchni, gdzie otwiera wszystkie szafki po kolei, szukając kieliszków do wódki.

- Ta gra jest totalnie do dupy - wtóruje mu Chris.

- Ja bym chętnie zagrał - mówi Drew, przesuwając palcami po ramieniu Słoneczka i budząc we mnie chęć mordy.

- Serio? - Sarah jest zbyt nawalona, nie stać jej na sceptycyzm.

- Aha. Gdybym miał trzynaście lat i był kretynem.

Sarah nie mówi mu, żeby się zamknął, bo w tym momencie Tierney wychyla się z kuchni i rzuca:

- Boisz się, Drew?

- Przerazenie krąży w mych żyłach, Tierney. Przypomnij mi jeszcze raz, co tu robisz. - Unosi dłoń Nastyi, całuje ją i kładzie na swojej nodze. Za każdym razem, kiedy jej dotyka, siedzę jak na szpilkach, przez niego czuję się jak jakiś opętany stalker.

- Przyszłam pograć w „prawda czy wyzwanie” - stwierdza Tierney rzeczowo, po czym przechodzi do salonu, po drodze wyjmując kieliszki z rąk Damiena. Stawia je na stole, nalewa tequilę. -Wszyscy grają. Kto się wykręca, musi wypić. Proste. - Napełnia ostatni kieliszek, stawia butelkę, nie roniąc przy tym ani kropli.

Sądziłem, że Clay i Michelle Księga Pamiątkowa zareagują nerwowo, ale wygląda na to, że świetnie się bawią. Przypuszczam, że jeśli występuje się w roli obserwatora, ten wieczór może być naprawdę cholernie zabawny.

- Okej, Drew. Prawda czy wyzwanie? - mamy za sobą cztery rundy, tym razem pyta Chris. Już po pierwszej zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie, napięcie zaczyna mnie wykańczać. Chętnie wróciłbym do domu.

Słoneczko jest po trzech kolejkach, już mocno wstawiona. Za każdym razem wybierała prawdę, ale nie udzieliła ani jednej odpowiedzi. Pytali, z iloma facetami uprawiała seks, ile miała lat, kiedy straciła cnotę, i w jakim najdziwniejszym miejscu to robiła.

Za każdym razem kończyło się na tequili. Podczas ostatniej rundy, kiedy Piper zmieniła temat i bezczelnie spytała ją, czemu nie mówi, wypilem za nią.

- Prawda - mówi Drew.

- Ile czasu zabrało ci, żeby... - Chris zerka na Nastyę, urywa.

- Żeby co? Zadajesz pytanie i nawet nie jesteś w stanie tego powiedzieć? - nabija się z niego Piper.

- Chyba się boi - chichocze Sarah. - Wie, że może dostać od niej łomot.

- To i tak beznadziejne pytanie. Wszyscy wiedzą, że się bzykali. Co za różnica kiedy? - mówi Damien.

- Nieważne - wtrąca Tierney. - Pytanie zostało zadane. Odpowiedź albo tequila.

Drew patrzy na Nastyę, gdybym nie przyglądał się tak uważnie, mógłbym przegapić wymianę spojrzeń między nimi, wiem, że nastąpił jakiś przepływ informacji, chociaż nikt prócz mnie tego nie zauważył. Cała sytuacja mocno mnie rusza, a to teraz rusza mnie jeszcze mocniej.

- Na imprezie u Trevora Masona. Drugi tydzień szkoły.

- To dobrych kilka miesięcy temu. Chyba pobiłeś rekord, Drew? - mówi Tierney, ale nie potrafi nadać głosowi odpowiednio złośliwego tonu.

Wszyscy gadają, ale ja już nie słucham. Impreza u Trevora Masona to ta, na której Drew tak ją załatwił i potem przez pół nocy leżała w mojej łazience, aja bałem się, że to poważne zatrucie i o mało nie zawiozłem jej do szpitala. On ją pieprzył, aja sprzątałem jej rzygi.

Jakaś część mnie chce wierzyć, że Drew nigdy jej nie dotknął, w każdym razie nie tak naprawdę. Ale nie zapytałem, bo wierzy w to tylko część mnie.



- Drew - mówię i wcale nie dbam o to, że słyhać, jaki jestem wkurwiony. - Prawda.

- Drew był przed chwilą, poza tym musisz dać mu wybór - jęczy Piper, ale wszyscy zlewają zasady, bo bardzo chcą wiedzieć, co tu jest grane. Za wyjątkiem Drew i Nastyi, którzy wyglądają, jakby chcieli mi powiedzieć, że mam się zamknąć. Dobra rada. Niestety, nie słucham.

- Prawda, Drew. - Nie odrywam od niego wzorku, wyczuwam napięcie Nastyi. Zabiera rękę z jego kolana, delikatnie przyciska nogę do mojej nogi, ale nie reaguję.

- Dobra.

- Przeleciałeś ją przed imprezą czy po imprezie? - Dobrze wie, o co chodzi.

- Poproszę teąuilę, Tierney - mówi. Pewnie byłem idiotą, wierząc, że nie zerznąłby jej, kiedy była w takim stanie.

- Hej! - Głos wyrywa mnie z impasu. Zamieram, do środka wchodzi Leigh. Nikt z nas nawet nie zauważył, kiedy drzwi się otworzyły. Próbuje zebrać myśli. Czy byliśmy umówieni? Czy wiedziałem, że zamierza przyjechać? Nagle pokój robi się sto razy mniejszy, czuję się jak w pułapce. Leigh i Słoneczko w jednym pokoju to jak zderzenie dwóch planet. Katastrofa kosmiczna, koniec świata. Już kilka godzin temu osiągnąłem swój górny poziom dramatyzmu. Właśnie dlatego unikam tego typu sytuacji.

Leigh uśmiecha się, totalnie nieświadoma, w co się pakuje. Było źle, jeszcze zanim tu weszła, teraz jest jeszcze gorzej. Odruchowo wstaję, kiedy do mnie podchodzi. Widzę, jak Drew sadza sobie Nastyę na kolanach i szepcze jej coś do ucha. Jej oczy poruszają się nieznacznie. Cały czas pamiętam, że zanim wyjdę, chcę dostać od niego odpowiedź.

- Coś się stało? - pytam, staram się, żeby mój głos nie zdradził, jaki jestem wkurzony, bo Leigh nie zrobiła nic złego, tylko że naprawdę, naprawdę nie chcę jej tutaj.

- Spontaniczny przyjazd - odpowiada. - Zajrzałam do ciebie, ale cię nie zastałam, a Home Depot już zamknięte - uśmiecha się znacząco - więc pomyślałam, że tylko tutaj mogę cię znaleźć.

- Nie musisz ukrywać, że tak naprawdę chciałaś zobaczyć się ze mną.  
- Jeśli Drew sądzi, że w ten sposób rozluźni atmosferę, to jest debilem.

- W ogóle się nie zmieniłeś, co? - mówi Leigh z uśmiechem.

- Za to ty tak. Cycki chyba ci urosły. - Unosi głowę i zmienia temat, nie dając jej czasu na odpowiedź. - Żałuj, straciłaś fantastyczną grę w „prawda czy wyzwanie”. Właśnie skończyliśmy. - Może jednak nie jest aż takim debilem. Leigh dała mu doskonały pretekst, żeby się wywinąć, nie omieszkał go wykorzystać.

- Ostatnio grałam w to w gimnazjum - śmieje się Leigh. Siada na kanapie obok Nastyi i Drew, napiera na mnie, tak że nie zostaje między nami nawet centymetr wolnego miejsca. Nastya zerka na nią raz po raz, na mnie nie patrzy.

- Szkoda, że my nie możemy tego powiedzieć - mówi Damien z jękiem bólu.

- A wyglądało na to, że świetnie się bawisz, kiedy zaproponowałeś Piper, żeby zrobiła ci ręką w kiblu - wtrąca Sarah.

- Okurwamać. - Tierney wydobywa z siebie afektowane westchnienie. - Zrobiło się strasznie dramatycznie. Starczy tej tequili, dziwnie się po niej zachowujecie. - Rzuca woreczek z ziołem na stół i zwraca się do Drew: - Potrzebuję dwulitrowej butelki, czegoś do przecięcia plastiku, sitko i dzbanek wody.

Żaden obraz Dalego nie mógłby równać się ze sceną, która rozgrywa się w tym momencie w salonie państwa Leighton. Ludzie, którzy jeszcze pół godziny temu sabotowali się nawzajem, teraz grzecznie współpracują, szukając rzeczy, potrzebnych do zrobienia bongy. Znoszą Tierney kolejne przedmioty, licząc na jej łaskawość, jakby była królową mrówek czy czymś w tym stylu. Przegląda je wszystkie i stwierdza:

- Brakuje sitka.

- Nie znalazłam - odpowiada Sarah.

Tierney wychodzi z salonu. Wraca kilka minut później, w rękę trzyma niewielkie okrągłe sitko.

- Skąd je wzięłaś?

- Z kranu w łazience - mówi, klękając na podłodze obok stolika, i zaczyna konstruować bong.

Piper przygląda się podejrzliwie, w końcu oznajmia:

- Ja tego ustami nie dotknę.

- Dotknęłabyś łapą fiuta Damiena, a tego nie dotniesz ustami? - Tierney robi zde gustowaną minę i po raz kolejny wydaje z siebie głębokie westchnienie. - Twoja strata. Tak jest lepszy efekt, ale jak chcesz. - Rozgląda się, zatrzymuje wzrok na Damieniu. - Trzymaj. - RzUCA mu garść bibulek i mówi, żeby zrobił Piper skręta. Po chwili odpycha go na bok, ratując trawę przed zmarnowaniem.

- Jak nie potrafisz, to się za to nie zabieraj - warczy.

- Nie jest tak źle - broni się Damien, ale nie protestuje, kiedy Tierney zabiera bibułkę.

- To jest sztuka, ćwoku. Precz z moich oczu. - Tierney robi najcieńszego skręta, jakiego kiedykolwiek widziałem. Ma rację, to jest sztuka, a ona posiada niezwykły talent. Ja nie potrafię robić

skrętów, nie żeby to było jedno z moich ulubionych zajęć, ale fajnie mieć taki talent.

- Każdy powinien trenować umiejętności manualne - mówi Drew, leniwie przeczesując palcami włosy Słoneczka. Tierney rzuca mu mordercze spojrzenie, po czym wraca do pracy.

Trudno nie czuć podziwu, kiedy się na nią patrzy. Jest doskonale skupiona, jakby przeprowadzała zaawansowaną technicznie operację, wkłada w to całą siebie. Clay dzielnie trwa u jej boku i wypytuje o każdy szczegół. Przypomina trochę Słoneczko u mnie w garażu. Tierney wyjaśnia mu wszystko krok po kroku, tłumaczy nie tylko, co robi, ale również zarysowuje tło naukowe. To jak nielegalna wersja lekcji fizyki.

Próbuję skupić wzrok na Tierney, bym nie musiał za bardzo myśleć o tym, że Leigh przesuwając dłonią po moim udzie, a Słoneczko siedzi tuż obok niej i ma doskonały widok.

Tierney kończy i podaje fajkę Clayowi, niemal z niego dumna.

- Ty pierwszy. Zapracowałeś. - Potem odwraca się do nas i mówi, że mamy się rozchmurzyć, bo ma już dosyć tej ponurej atmosfery i nie zamierza marnować dobrego zioła na frajerów.

Leigh pochyla się i szepcze mi do ucha coś o sypialni, wstajemy i zanim zdążę uświadomić sobie, co się dzieje, idziemy do przedpokoju. Robię błąd i odwracam się, z nadzieją, że zdobędę argument w postaci obrazka, przedstawiającego Drew i Nastyę razem na sofie, ale w tym momencie ona na mnie patrzy. I nie odwraca wzroku. Upewnia się, że odpowiem za to, co zamierzam zrobić. Drew przesuwając spojrzeniem od niej do mnie i obejmuje ją mocniej ramieniem w talii, ona odwraca wzrok na sekundę, nim zniknę z jej pola widzenia.

## Rozdział 35

### *Josh*

Odprowadzam Leigh do wyjścia i wracam do salonu; żałuję, że nie jestem pijany lub upalony jak cała reszta. Sarah i Piper znikły, pewnie odpadły w pokoju Sary. Przez szklane drzwi przesuwne widzę Michelle, która leży na trawniku, zapatrzona w niebo. A może śpi. Z tego miejsca nie widać. Bong został na stole, Da-mien i Chris, nieźle nastukani, próbują pozabijać się wzajemnie na Playstation. Na drugim końcu pokoju Tierney uczy Claya robić skręty, on bredzi coś, że chciałby ją narysować, na co ona wybucha histerycznym śmiechem. Drew siedzi na kanapie i gapi się na nią. Słyszając moje kroki, odwraca się, widzę odrazę na jego twarzy. Nie potrzebuję. Starczy mi własnej.

- Gdzie ona jest? - pytam.

- Naprawdę cię to obchodzi? - Upewnia się, że wiem, jaki ze mnie dupek.

- Że co?

Jestem zmęczony i chcę iść do domu, moja tolerancja dla Drew jest na wyczerpaniu od kilku dobrych godzin.

- To proste pytanie. - Moja pięść zaciska się coraz mocniej z każdym słowem, zmuszam się, by ją poluznić. - Czy obchodzi

cię, gdzie ona jest? Czy obchodziło cię to, kiedy w moim pokoju gościnnym posuwałaś inną dziewczynę? - Nie pojmuję, jak on śmie mówić to wszystko. Słoneczko i ja nie jesteśmy parą, kto jak kto, ale on powinien o tym wiedzieć.

Tierney obserwuje tę scenę, totalnie zamroczona, walcząc z nadciągającą ciemnością.

- Nie tutaj, Drew.

- Dobra. W takim razie wychodzimy. - Drew podnosi się z kanapy, jest zaskakująco trzeźwy i nagle uświadamiam sobie, że nie widziałem, by coś pił od obiadu. Nie wypił nawet tej tequila, którą naląła mu Tierney, kiedy nie chciał powiedzieć, czy po raz pierwszy przeleciał Słoneczko trzeźwą czy schlaną.

- Odpowiedz na moje pytanie. - Opieram się o pikapa, wsuwam rękę do kieszeni, bo muszę coś z nimi zrobić.

- Odwiozłem ją do domu. A teraz ty odpowiedz na moje. - Nie ma żartów. Jest naprawdę wkurzony.

- Nie o to pytanie mi chodziło.

- Wiem. Najpierw odpowiedz.

- Tak, naprawdę obchodzi mnie, gdzie ona jest - mówię.

- O tym właśnie myślałaś, kiedy byłeś z Leigh w sypialni? - sarkastyczny i protekcjonalny ton działa mi na nerwy. I nie *obchodzi* mnie, czy zasłużyłem czy nie.

- Zrywałem z nią - mówię, chociaż wcale nie jestem mu winny wyjaśnienia. Przez cały czas zastanawiałem się, co ja właściwie wyprawiam. Siedziałem na łóżku, patrzyłem na jej zielone oczy, jasne włosy i idealne ciało, które mogło być moje na każde zawołanie, bez zobowiązań. Prosty wygodny i nieskomplikowany układ. Ale już go nie chciałem. Okej, chciałem, ale do dzisiaj nie wiązało się to z żadnym wyborem.

Pochyliłem się i pocałowałem ją, z nadzieją, że dzięki temu pozbędę się wszystkich innych myśli. Przymknąłem powieki i po raz pierwszy, będąc z Leigh, zobaczyłem w wyobraźni twarz innej osoby. Nie widziałem jasnych włosów, zielonych oczu, żadnych prostych i nieskomplikowanych rzeczy. Widziałem ciemne włosy, ciemne oczy, wszystko ciemne, pełne rozpacz i totalnie pokręcone. W tym momencie otworzyłem oczy, spojrzałem na dziewczynę, która właśnie zdejmowała mi koszulę przez głowę, wiedziałem, co stracę, jeśli postąpię, tak jak zamierzam. Nigdy wcześniej nie musiałem płacić za to żadnej ceny, a teraz tak, rachunek był prosty.

Nie zrobiło jej się przykro. Zero dramatów. Zero pytań, zero łez. Zareagowałbym tak samo, gdyby to ona była na moim miejscu. Zerwanie z Leigh okazało się takie samo jak cała reszta spraw między nami - proste.

Jeszcze kiedy ją odprowadzałem, wciąż myślałem, jak łatwo byłoby zmienić zdanie i wszystko cofnąć. A potem przelecieć ją na tylnym siedzeniu jej samochodu, żebym już nic więcej cofnąć nie mógł.

- To wiele zmienia.

Nie wiem, co to zmienia dla Drew. Wiem tylko, że właśnie straciłem fajny układ z powodu wyrzutów sumienia wobec dziewczyny, z którą nawet nic nie robiłem.

- Cemu mi nie powiedziałeś, że spaliście ze sobą? - pytam. Nadal chciałbym się dowiedzieć, czy poczekał, aż ona się schleje, bo jeśli tak, to marny jego los.

- Bo nie spaliśmy. - Nie takiej odpowiedzi się spodziewałem.

- Mówiłeś coś innego.

- Chyba niezbyt dosłownie potraktowałem grę w „prawdę czy wyzwanie”, w każdym razie część dotyczącą prawdy. - Wzrusza ramionami.

- Nie zaprzeczyła. - Przypominam sobie ich wymianę spojrzeń. Prosił ją o pozwolenie, a ja nie rozumiem, dlaczego je dostał.

- Mamy umowę.

- Złam ją - mówię, chociaż nie mam prawa.

- Dlaczego?

- Bo ciągle ją obmacujesz. Przez ciebie wygląda jak kurwa.

- Po pierwsze, nie sądzę, żeby to akurat przez mnie wyglądała jak kurwa. Po drugie, jeśli poprosi, żebym przestał, to przestanę. W przeciwnym wypadku niby czemu miałbym przestać?

- Bo ja cię proszę.

- Mamy świetny układ, korzystny dla obu stron. Mniej więcej jak ty i Leigh, tyle że my nie uprawiamy seksu. Działa. Czemu miałbym z tego rezygnować?

- Bo to nic dla ciebie nie znaczy.

- A czemu coś znaczy dla ciebie?

- Bo jest moja i nie chcę, żebyś ją dotykał. - Mam pięć lat i biję się o zabawkę. Czuję się jak idiota, ale trudno, powiedziałem to i jest to prawdą. A nie chcę, żeby było.

- Wiem - mówi arogancko.

- Wiesz?

- Nie jestem głupi, Josh. Pożeracie się wzrokiem od samego początku. A ja nie miałem zamiaru nic z nią robić, ona też nie zamierzała robić niczego ze mną.

- To po co to całe gadanie?

- Chciałem usłyszeć, jak to mówisz. - Uśmiecha się, odwraca na pięcie i rusza w stronę wejścia. Czuję zbyt wielką ulgę, żeby się na niego wkurzyć.

- A co z tobą i Tierney? - pytam, kiedy podchodzi do drzwi.



- Próbujemy trzymać łapy z daleka od siebie. Próbujemy się nie pozabijać. Czyli bez zmian.

Następnego dnia o dziewiątej zajeżdżam przed dom Słoneczka. Mieliśmy plany, ale po ostatniej nocy nie wiem, czy są aktualne. Czekam na podjeździe, bo Margot pewnie dopiero się położyła, nie chcę jej budzić.

Drzwi się otwierają i wychodzi Nastya, ubrana w sukienkę na ra-miączka, różową w kwiaty, i białe sandały. Zastanawiam się, kim jest dzisiaj. Wsiada i zatrzaskuje drzwi.

- Zamknij się. To prezent urodzinowy - mówi, zanim zdążyłem otworzyć usta.

- To jeszcze nie znaczy, że musisz ją nosić. - *Chociaż cieszę się, że ją włożyłaś.*

- Stwierdziłam, że muszę coś mieć z tej całej interwencji, skoro nie wzięłam iPhone'a. Poza tym ciągle robię ci pranie, na własne już nie starcza mi czasu. - Zapina pas i odjeżdżamy. Żadne z nas nie wspomina ani słowem o wydarzeniach z poprzedniego wieczoru.

W południe mamy za sobą wizytę w trzech antykwariatach, nadal nie znalazłem niczego choćby podobnego do konsoli, jakiej szukam. Przewiduję, że Słoneczko zacznie marudzić przy numerze pięć. Zauważyłem, że wtedy kończy się jej tolerancja dla sklepów z antykami. Numer cztery jest bardzo ekskluzywny i znajduje się w innej miejscowości. Słoneczko zgadza się wysiąść dopiero, kiedy obiecuję, że potem pojedziemy na lody.

- Nie prościej byłoby poszukać w Internecie?

- A gdzie zabawa? - pytam. Ma rację. Byłoby prościej, ale ja wolę polować.

- A gdzie zabawa w tym, co teraz robimy? - Szarpie drzwiami i wchodzi do środka z ostentacyjną niechęcią.

- Nie zaprzeczaj, podoba ci się.

- Serio?

- Serio.

- A skąd ty o tym wiesz?

- Bo znam cię, nikt nie zmusi cię do zrobienia czegoś, na co nie masz ochoty. Gdybyś nie chciała, nie pojechałabyś ze mną. I nie byłoby cię tu teraz. Stąd wniosek, że nie byłoby cię tu teraz, gdybyś nie chciała. Ale jesteś, więc, zgodnie z zasadami logiki, chcesz.

- Nienawidzę cię.

- To też wiem - rzuca nonszalancko. W odpowiedzi kącik jej ust podjeżdża do góry.

- Warto było pojechać, żeby usłyszeć tyle słów naraz, wychodzących z twoich ust. Może to jedyna okazja.

- Może.

- To przypomnij mi jeszcze raz, z jakiego powodu nie możesz dołączyć do nowoczesnego społeczeństwa i korzystać z Internetu.

Wzruszam ramionami, bo przypuszczam, że głupio to zabrzmiało.

- Lubię znajdować rzeczy, których nie szuka nikt inny. Takie, które zagubiono bądź o nich zapomniano, wepchnięto gdzieś w kąt. Rzeczy, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Nawet nie muszę ich kupować. Lubię znaleźć coś takiego i po prostu wiedzieć, że jest. To najlepsza część całej zabawy.

- A czy te rzeczy w ogóle są warte ceny, której żądają sprzedawcy? - Zerka na karteczkę, przyczepioną do ozdobnego mahoniowego stolika.

- To zależy, jak bardzo chcesz mieć daną rzecz. Jest warta tyle, ile jesteś skłonna za nią zapłacić.

- Stać cię na którąś z tych tutaj? -Tak.
- Sprzedajesz tyle mebli? - Chyba jest pod wrażeniem.
- Nie. - Nieźle zarabiam na meblach, ale nie aż tak. Nie starczyłoby mi czasu.
- O. - Nie draży dalej, ale i tak jej mówię, chociaż nienawidzę o tym wspominać.
- Mam mnóstwo kasy.
- A mnóstwo to ile?
- Miliony. - Obserwuję jej twarz. *Miliony*. Brzmi absurdalnie. Nigdy przedtem o tym nie mówiłem, nikomu. Wiedzą tylko ci, którzy wiedzieli od początku. Dziwne uczucie powiedzieć to na głos. Nie rozmawiam o pieniądzach. Próbuję nawet o nich nie myśleć. Mam prawnika, dwóch księgowych i doradcę finansowego, oni zajmują się wszystkim. Gdyby jutro przekazali mi te pieniądze, nie miałbym pojęcia, co z nimi zrobić. Pewnie schowałbym pod łóżkiem.
- Nic dziwnego, że bez trudu uzyskałeś samodzielność prawną - mówi sucho.
- Nic dziwnego.
- Jej oczy się zwężają.
- Ty mówisz serio. - Przygląda się mojej twarzy, a ja kiwam głową.
- Ale nie wydajesz tej kasy. - To nie jest pytanie.
- Tata nie chciał jej tknąć, ja też próbuję. Opłacam rachunki, bo dopóki chodzę do szkoły, nie jestem w stanie tyle zarabiać. -Nie mogę powiedzieć, że jestem nieszczęśliwy z powodu tych pieniędzy, naprawdę ich potrzebuję. Ale nienawidzę tego, skąd się wzięły, i nigdy się z tym nie pogodzę.

- Kupiłeś coś za nie?
  - Pikapa, w zeszłym roku, bo poprzednia, ojca, padła ostatecznie. I stary stół.
  - Który?
  - Ten ciemny, który stoi w salonie pod ścianą, koło drzwi przesuwanych.
  - Ten ciemny? I już?
  - O co ci chodzi?
  - Zwykle, kiedy mówisz o meblach, opisujesz je kwiecicie i w najdrobniejszych szczegółach, wychwalasz zaokrąglenia, symetrię linii, idealne połączenie funkcjonalności i formy. - Przybiera pretensjonalny ton i macha ręką w powietrzu.
  - Ja tak mówię?
  - Tak, kiedy opowiadasz o meblach i drewnie.
  - Brzmi jak pompatyczny palant.
  - Uderz w stół.
- Przechodzi dalej, w głąb sklepu, gdzie na półkach stoją lampy, wazony i ceramika.
- Mam być w domu o piątej - mówi, odwracając karteczkę z ceną, trzy tysiące, przypiętą do odraźniającej lampy o podstawie w kształcie figurki arlekina. - Muszę ją mieć - dorzuca sarkastycznie.
  - Czemu o piątej?
  - Spotykam się z Drew w sprawie szukania materiałów do debaty. Niedługo następny turniej. Broń atomowa. Fascynujące.
- Od rana nie myślałem o Drew i nie mam ochoty teraz o nim rozmawiać, ale jak go znam, na pewno coś jej powie, muszę zapobiec potencjalnym szkodom.
- W kwestii wczorajszego wieczoru - zaczynam i nagle zdaję sobie sprawę, że brzmi to jak najgorszy truizm. Teraz wiem dla-

czego. Przygląda się uważnie jakiemuś paskudnemu wazonowi, ale wiem, że słucha. Zawsze słucha. - Powiedziałem Drew, żeby trzymał łapy z daleka od ciebie.

- A dlaczego? - Ta sprawa chyba interesuje ją bardziej niż paskudny wazon, bo odwraca się w moją stronę.

- Dlatego, że ludzie gadają o tobie wstrętne rzeczy. - I dlatego, że jestem zazdrosny, co zresztą stanowi prawdziwą przyczynę, bo przecież żadne z nas nie dba o to, co ludzie gadają. - Ale to nie moja sprawa, więc wybacz.

- A Drew się zgodził? - Jest jednocześnie zdumiona i rozbawiona.

- Musiałem zastosować perswazję.

- Jakie metody działają na Drew? - pyta ze śmiechem.

- Kłamstwo - odpowiadam, teraz też kłamię. - Powiedziałem mu, że jesteś moja. - Zero reakcji, więc mówię dalej: - Sorry. Nie chciałem potraktować cię jak plastikowej figurki do kolekcji czy czegoś w tym rodzaju.

Znowu czekam na reakcję, znowu nic. Odwraca kartkę z ceną przy szkatułce na biżuterię, odkłada szkatułkę na miejsce.

- Jeśli to figurka Lary Croft, to nie mam nic przeciwko.

- No jasne. - Uśmiecham się, ale słabo. - Nawet anatomia się zgadza.

- Chodźmy już - mówi, kierując się w stronę wyjścia. - Jeśli nie chcesz kupić mi lampy z clownem za trzy tysiące, to spadamy. Obiecałeś lody.

Potem zaciągam ją do jeszcze jednego antykwariatu, maleńkiego sklepiku w starej części miasta, a potem wracamy. Między nami siedzi kot we wszystkich kolorach tęczy, którego kazała sobie kupić, nie mogę się doczekać, kiedy się go pozbędę, bo auten-

tycznie mnie przeraża. Wydaje mi się, że zobaczyła strach w moich oczach, kiedy pokazała mi go w sklepie i nie było dyskusji. Zaproponowałem, że kupię jej bransoletkę zamiast tamtej, która utonęła w fontannie, bo naprawdę głupio mi z tego powodu, ale odmówiła. Stwierdziła, że to by było nieodpowiednie, cokolwiek to ma znaczyć. Widocznie ceramiczne koty rodem z koszmarnego snu są odpowiednie. Za każdym razem, kiedy na niego spogląda, uśmiecha się i ten widok wart jest dziesięć razy tyle, ile zapłaciłem za tego potwora.

- Dzięki, że ze mną pojechałaś - mówię, tak żeby tylko coś powiedzieć, kiedy wyciąga klucze z torebki.

- Dzięki za kotka. - Znowu się uśmiecha, bierze go na ręce i przytula do twarzy. - Nazwałam go Voldemort. - Trzyma go tak, jakby był prawdziwym kotem, na chwilę ogarnia mnie strach, że ją ugryzie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Naprawdę tak myślę, chociaż brzmi idiotycznie.

Wsadza sobie kota pod pachę, ujmuje klamkę, jeszcze na chwilę odwraca się i patrzy na mnie.

- Tak dla twojej wiadomości - mówi, jej uśmiech znika, patrzy mi prosto w oczy. - Nie kłamałeś.

## Rozdział 36

### *Nastya*

Kiedy wracam od Drew, garaż jest otwarty. Josh siedzi na stołku i szlifuje kawałek drewna. Musi być zdesperowany, bo zwykle zostawia tę przyjemność mnie.

- Skończyliście? - pyta, kiedy wyjmuję papier ścierny z jego ręki. Sprawdzam ziarno, odkładam papier, wyjmuję z szafki świeży arkusz i siadam obok Josha.

- Na dzisiaj. - Biorę kawałek drewna do ręki i pytam: - Wzdłuż słoików czy w poprzek?

- Wzdłuż, wszystkie. - Ruchem głowy wskazuje na fragmenty drewna, leżące na blacie.

- Co to będzie? - pytam, umieszczając papier na szlifierce.

- Półka na książki. Prezent dla Sary na urodziny. Kiwam głową i przystępuję do pracy.

- Przebrałaś się - mówi po chwili milczenia, wypełnionego jedynie kołysanką, wygrywaną przez papier ścierny na drewnie.

Spoglądam na dzinsy i czarną koszulkę, które włożyłam przed spotkaniem z Drew, wzruszam ramionami.

- Bardzo rozsądnie. Drew nie mógłby się skupić, gdyby zobaczył cię w tamtej sukience.

- Chyba nie można go winić. Przecież jestem rozpraszająco ładna - mówię z kamienną twarzą. Mam nadzieję, że zejdzie z tego tematu. Rozmowy o mnie i Drew nigdy dobrze się nie kończą. Poza tym sukienka była dla Josha, nie dla Drew.

- Nie zapomnisz tego, co?

- A czemu miałabym zapomnieć? - Mam całą listę rzeczy, które chciałabym zapomnieć, ale ta do nich nie należy. Odtwarzałam jego słowa w pamięci z tysiąc razy. Może dlatego, że nie powiedział „piękna” ani „niesamowita”, ani „cudowna”, nic w tym stylu. Powiedział „ładna”, a w to mogę ewentualnie uwierzyć.

- Bo chyba nigdy nie powiedziałem czegoś równie głupiego i chciałbym, żebyś zapomniała - warczy w odpowiedzi. Nagle w mojej głowie pokazuje się obraz z poprzedniego wieczoru: Josh znika za drzwiami w towarzystwie jednej z najpiękniejszych dziewczyn, jakie kiedykolwiek widziałam. Blond włosy, opalona, promienna, pod każdym względem dokładnie moje przeciwieństwo.

- Przyjmijmy, że zapomniałam. - Kończę szlifować półkę po jednej stronie i kładę ją na blacie. Wstaję, otrzepuję spodnie. Czuję, że na mnie patrzy. - Późno już. Muszę iść. - Nie zostałam tu wczoraj na noc i na pewno nie zostanę dzisiaj.

- Do zobaczenia jutro? - rzuca, kiedy ruszam w stronę samochodu. Macham mu przez ramię, ale nie odwracam się.

## ***Josh***

Chwilę później zajeżdżam przed jej dom, jeszcze nie zdążyła włożyć klucza do zamka. Wybiegłem z domu, kiedy tylko jej samochód znikł mi z oczu, bo mam, kurwa, dosyć.



- Mogę wejść?

Otwiera drzwi i wchodzi do środka, ja za nią.

- Nigdy nie mów czegoś, jeśli naprawdę tak nie myślisz. Nie jest ze mną aż tak źle, nie potrzebuję fałszywych komplementów. - Zamyka drzwi, rzuca na stół torebkę, gaz pieprzowy i ten podłużny brelok, który zawsze nosi przy sobie.

- Tak myślałem. Tylko że to było głupie.

- Wow. Coraz lepiej. Widzę, że się rozkręcasz. Nie krępuj się.

- Nie zamierzasz mi odpuścić, co?

- To była najmilsza rzecz, jaką usłyszałam od przeprowadzki tutaj, a ty mi ją zabrałeś. Więc: nie.

- Nie chciałem.

- Ale się stało.

Wiem. Widzę to. Nie potrafi ukryć wyrazu zranienia na twarzy, chociaż bardzo się stara.

- Wiesz, że powiedziałem to szczerze. Jestem człowiekiem. Facetem. I nie jestem ślepy. Mam powiedzieć to jeszcze raz? Jesteś rozpraszająco, nawet-jeśli-to-nie-jest-odpowiednie-słowo, ładna. Jesteś tak ładna, że sterroryzowałem Claya Whitakera, by narysował dla mnie twój portret, żebym mógł patrzeć na twoją twarz, kiedy nie ma cię w pobliżu. Jesteś tak ładna, że któregoś dnia utnę sobie palec, kiedy siedzisz w garażu, bo nie mogę się skupić. Jesteś tak ładna, że chciałbym, żebyś nie była, bo mam ochotę przywalić wszystkim gościom w szkole, którzy się na ciebie gapią, w pierwszym rzędzie mojemu najlepszemu kumplowi. - Urywam, bo brakuje mi tchu. - Jeszcze? Mogę dalej. - Mogę, ale wypowiadam te wszystkie słowa, wiedząc, że nie są do końca prawdziwe. Ona nie jest rozpraszająco ładna. Jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem, i w tym momencie tak bardzo chcę

jej dotknąć, z trudem się powstrzymuję się, by nie wyciągnąć ręki i tego nie zrobić.

- Jak to? - Patrzy na mnie bacznie, jakby sprawdzała, czy mówię serio, jej oczy są ogromne, mam wrażenie, że gdyby tylko pozwoliła, mógłbym w nich zniknąć. - Przebierałam się u ciebie chyba ze sto razy. Nigdy nie próbowałeś podglądać. Spałam z tobą w jednym łóżku. Nie próbowałeś mnie dotykać.

- Nie wiedziałem, czy mogę.

- Czekałeś na pozwolenie? - Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym był nienormalny. Zastanawiam się, czy rzeczywiście nie jestem.

- Powiedziałem, że jestem facetem. Nie palantem. - Cisza, która kiedyś była tak wygodna, teraz przypomina tortury, więc przerywam ją: - Nie jestem Drew.

Bierze do ręki brelok i zaczyna nim kręcić, nagle dociera do mnie, że to jest broń. Klucze, przyczepione na końcu, obracają się bardzo prędko, tworzą zamazany kształt. Chcę wyciągnąć rękę i zatrzymać to, ale boję się, że jeśli mnie uderzy, będzie naprawdę bolało.

- Drew nie jest palantem, on tylko udaje - mówi, potrząsając głową. Potem krzywi się i dodaje: - Sorry. To chyba wcale nie było śmieszne.

- Ani trochę. - Uśmiecham się. - Ale masz rację. Drew nie jest palantem. - Nie wiem, dlaczego cieszy mnie, że to zauważyła, ale naprawdę mnie cieszy.

- Dlaczego rozmawiamy o Drew? - *Dobre pytanie, Słoneczko.* Ponieważ tak jest łatwiej. A jeśli przestaniemy, będziemy musieli zmierzyć się z pytaniem, co tutaj robimy, a żadne z nas tego nie potrafi. Jesteśmy beznadziejni.

- Chciałabyś zjeść jutro ze mną obiad? - Wypowiadam te słowa bardzo szybko, zanim zdążę się rozmyślić.

- Jutro niedziela. Zawsze jemy razem obiad w niedzielę.

- Nie. Tylko ty i ja.

- Nie chcesz iść do Drew? - Ma zdezorientowaną minę.

- Nie. - Definitywnie nie.

- Dlaczego? Nadal jesteś na niego wkurzony? Powiedział ci przecież, że to nieprawda.

- Próbuję zaprosić cię na randkę, a ty robisz wszystko, żeby mi się nie udało.

Przestaje kręcić brelokiem.

- Dlaczego chcesz mnie zaprosić?

- To chyba nic niezwykłego? Ludzie chodzą na randki? - Bo chyba jeszcze chodzą? Leigh nigdy nie oczekiwała wstępów w postaci kina i restauracji, więc naprawdę nie za bardzo się na tym znam.

- Nie wiem. Nigdy nie byłam na randce. - Brelok znów idzie w ruch.

- Nigdy?

- Przykro mi, ale nie. Nie miałam okazji. Moje życie potoczyło się trochę inaczej, niż powszechnie uznaje się za normalne. A ty na ilu randkach byłeś? - Znowu przechodzi do defensywy.

- Na żadnej. - Moje życie też nie potoczyło się w normalny sposób. - Chyba oboje jesteśmy pokręcani.

- To ustaliliśmy już jakiś czas temu.

- A więc udawajmy. Jeden wieczór. Wyjdźmy gdzieś razem i udawajmy normalnych. - Nadal stoimy w przedpokoju, ja tuż przy drzwiach, ale jeszcze nie czuję się gotowy, by je otworzyć. Słoneczko ma przestraszoną minę. Jakby uważała, że to bardzo zły pomysł

i zamierzała zaraz to powiedzieć. Ujmuję jej twarz w dłonie, tak by musiała na mnie spojrzeć. - Jeden wieczór - powtarzam, nie dając jej szans na wykręty. - Przyjadę po ciebie. - Przyciskam wargi do jej czoła, chociaż chciałbym zupełnie gdzie indziej.

- Nadal z nią jesteś? - pyta szeptem. Nie pojmuję, jak to możliwe, że zamierzałem jej nie mówić. Może dlatego, że nigdy nie rozmawiałem o niej z Leigh. Ani razu. Ciekawe, czy myślała wcześniej o takiej rozmowie.

- Nie - mówię.

- Nawet nie... - urywa, robi zakłopotaną minę, a ja mam ochotę się roześmiać, bo jej rozmowy z Drew nawet gwiazdę porno mogłyby przyprawić o rumieniec, ale tego nie jest w stanie z siebie wydusić. Teraz widzę całą jej wrażliwość, którą tak skrzętnie ukrywa pod niedwuznacznymi tekstami i obcisłym czarnym strojem.

- Nie. Przysięgam. - Przesuwam palcem pod jej dolną wargą i cofam się, żeby nie przyszło mi do głowy jej pocałować, bo od kilku miesięcy tylko na to czekam, a nie chcę całować jej w przedpokoju, kiedy trzyma w ręku broń i w dodatku przed chwilą rozmawialiśmy o Leigh.

Kiwa głową, wygląda na zażenowaną, zupełnie bez powodu. Na jej miejscu też chciałbym wiedzieć.

- To do jutra. Ty i ja. Normalni. Okej?

- Okej. - Uśmiecha się, to nie jest nawet prawdziwy uśmiech, tylko cień uśmiechu.

Odwracam się w stronę drzwi.

- Co mam włożyć? - pyta.

Wzruszam ramionami, nie wiem nawet, dokąd pojedziemy.

- Coś normalnego.

Zajeżdżam przed dom. Clay Whitaker właśnie podchodzi do swojego samochodu. Robi wrażenie zdenerwowanego.

- Co jest? - pytam. Nie wiedziałem, że zna mój adres.

- Nie powiedziałeś, czy rysunek ci się podoba. - Niezłe posunięcie, Clay, ale nie po to tu przyjechałeś.

- Jest idealny. Sam dobrze wiesz. Gadaj, o co chodzi, bo udawanie średnio ci idzie.

- Dlaczego chciałeś, żebym ją narysował?

Wygląda na to, że wszystkim dokoła zebrało się dzisiaj na wymuszanie zeznań.

- Zaraz wejdę do środka i oddam ci ten zasrany rysunek, żebym nie musiał więcej słuchać twojego pieprzenia. - Idę w stronę drzwi, czujnik ruchu włącza światło.

- Nie widziałeś jej twarzy. - Teraz nie mówi o rysunku. Mówi o tym, co stało się u Drew, kiedy wyszedłem z Leigh. Myli się. Widziałem i to było straszne, i wolałbym, żeby mi nie przypominał.

- Co jest w tej dziewczynie takiego, że wszyscy czują się zobligowani do opieki nad nią? - W tym ja. - Jeśli do tej pory nie zauważyłeś, to raczej ona mogłaby zaopiekować się nami.

- Może Drew i ja tak. Co do ciebie, nie jestem pewien. - Kopie niewidzialny kamyk, w tę i z powrotem, zaczynam szukać wzrokiem jakiegoś dla siebie.

- Dobra, Clay. Powiedz mi, co mam zrobić.

- Ty mnie pytasz? - Jest w szoku. Ja też. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że nastoletni gej i heteronormatywna dziewczyna to nie to samo? Nie da się zastosować tych samych strategii.

- Rozumiem. Nigdy tego nie robiłem. - Próbuję zrozumieć, jak doszło do tego, że oto stoję przed swoim domem razem z Clayem Whitakerem i pytam go o radę. I jak to możliwe, że chociaż

w moim życiu wydarzyło się tyle złych rzeczy, polegnę właśnie przez tę dziewczynę?

- Nigdy tego nie robiłeś? - pyta z niedowierzaniem.

Patrzę na niego jak na idiotę, którym zresztą jest, szczególnie biorąc pod uwagę, o co podejrzewał mnie w związku z Leigh.

- *To* robiłem. Nigdy nie robiłem *tego*. - Kilka razy macham ręką w stronę, gdzie stoi dom Nastyi, chociaż on pewnie nie ma pojęcia, o co mi chodzi.

- Nigdy nie byłeś na randce? - Śmieje się, ale mnie jakoś nie bawi jego poczucie humoru. Robię odpowiednią minę, żeby mu to uświadomić. - Dobra, nieśmieszne. Ale tak poważnie, czemu nie poprosisz o radę Drew? - Po chwili namysłu dodaje: - Skreśl to. Nieważne. - Podchodzi do swojego samochodu, opiera się o drzwi. - No dobra. Co ona lubi?

- Biegać, jeść lody. Bez podtekstów. Przywalać w różne rzeczy. i zbierać imiona.

- Zbierać imiona? - Nie pytaj.

- Hm, pot i adrenalina, towarzyszące uprawianiu biegów, to może być niezła gra wstępna, ale chyba nie nadaje się na pierwszą randkę. Lepiej zaproponuj lody. Bez podtekstów. Słodkie i niewinne. Zupełnie jak ona. - Szczerzy się złośliwie.

- Myślałem, że rozmawiamy poważnie.

- Przecież jestem poważny. - Urywa, widzę, że nad czymś się zastanawia. - Skąd ty w ogóle tyle o niej wiesz? Przecież ona nie mówi.

- To prawie taka sama sytuacja jak z panią Leighton, tyle że Clay ma inne intencje.

- Na lodach już byliśmy. Bez podtekstów. - Ignoruję pytanie.

- No to chyba zostaje tylko przywalanie w różne rzeczy.

## Rozdział 37

### *Nastya*

Czy to bardzo smutne, iść na swoją pierwszą randkę w wieku osiemnastu lat? Co najmniej sześć razy miałam ochotę wysłać Joshowi esemes i odwołać. I raz nawet napisałam, że nie idę, bo nie mam co na siebie włożyć. Odpisał natychmiast: *Brzmi nieźle. Do zob. o 4.*

Nie mam wyjścia. Jedyne, co poprawia mi humor, to świadomość, że Josh jest chyba równie nieprzystosowany społecznie jak ja. Tyle że on mówi. Więc ma przewagę. Ale i tak. Naprawdę go potrzebuję. Nie chcę tego schrzanić. Wystarczy, że mój mózg to szambo, nie wyobrażam sobie, w jak straszne miejsce zmieniłoby się moje serce, gdyby jego w nim nie było.

Ponieważ niewłożenie niczego na siebie nie wchodzi w grę, wracam do punktu wyjścia. Moje wyczucie stylu nie jest wybrakowane. Ono po prostu nie istnieje. Nie mam zielonego pojęcia, co wybrać. Przebyłam etap od grzecznych sukienek recitalowych przez luźne stroje rehabilitacyjne po ohydne szmaty rynsztokowe. Nigdy nie ubierałam się normalnie. Mogłabym złamać się i napisać notkę do Margot, ale wszystko wydarzyło się za szybko, wyszła dokądś i nie ma jej w domu.

Szafa nie chce mi pomóc. Przeciwnie, śmieje się ze mnie. Serio. Słyszę ją. Dział z normalnymi ubraniami kończy się na wczorajszej sukience. Przyglądam się ciuchom. Czarne, czarne, jeszcze trochę czarnych. Nie chcę tego. Dzisiaj nie chcę wyglądać jak Nastya Kashnikov. Nie chcę wyglądać jak ruska kurwa. Nie chcę też wyglądać jak Emilia. Może dzisiaj mogłabym stać się kimś innym. Jakaś trzecią dziewczyną, której jeszcze nie spotkałam.

Z przerażeniem stwierdzam, że muszę pojechać do sklepu. Wrzucam na siebie jedną z ośmiu wersji czarnej obcisłej koszulki i dżinsy, i ruszam.

Tyle że nie jadę do sklepu. Jadę do Drew. Bóg, który ostatnio chyba mnie nienawidził, dzisiaj się uśmiecha, bo Sary nie ma w domu. Zresztą Drew też nie. Otwiera pani Leighton. Zerkam na jej brzuch, który znacznie urósł od naszego ostatniego spotkania.

- Hej, skarbie - mówi. Jest jedyną osobą na świecie, której nie mam ochoty przyłożyć za to, że nazywa mnie skarbem. Wyjaśnia, że Sarah, Drew i pan Leighton wybrali się na wycieczkę łódką z przyjaciółmi. Wpuszcza mnie do środka, nalewa lemoniady. Siedzimy przy blacie w kuchni i gapimy się na siebie.

- O! - mówi nagle po kilku minutach, a ja tak przyzwyczaiłam się do ciszy, że mało nie spadam ze stołka. Chwyta moją rękę, a ja instynktownie próbuję ją wyrwać. Czuję się jak kretynka, ale ona zupełnie nie zwraca na to uwagi. - Chciałam, żebyś poczuła, jak dziecko kopie - mówi i jeszcze raz sięga po moją rękę. Wyciągam ją, a ona kładzie ją na swoim brzuchu. To najdziwaczniejsze uczucie na świecie. Jakby za chwilę ze środka miał wyskoczyć alien.

- Czujesz? - patrzy na mnie wzrokiem pełnym oczekiwania. Zabieram rękę. Widzę, że robi się jej przykro, ale boję się, że za-



raz się poryczę, nie mogę dłużej trzymać tam ręki. - Przepraszam - mówi. - Trochę mnie poniosło. Można by pomyśleć, że za trzecim razem to już nie robi wrażenia, ale tak nie jest. Moja ulubiona część. - Moja pewnie też by była, ale ja nigdy tego nie sprawdzę. Może wcale bym nie chciała, ale byłoby miło mieć wybór. Gnojek, który odebrał mi rękę, odebrał również i to.

Chciałam tylko zapytać, jak mam ubrać się na randkę, na którą pewnie w ogóle nie powinnam iść, nie wiem, jak to się stało, że skończyłam z ręką na brzuchu pani Leighton, czując ruchy dziecka i walcząc ze łzami.

Pani Leighton nie bardzo radzi sobie z ciszą. Musi ją wypełnić.

- To dziewczynka - mówi. - Właśnie się dowiedzieliśmy. Obok telefonu na blacie leżą notes i długopis. Biorę je i piszę: *Imię?*

- Catherine. Po matce Jacka.

Uśmiecham się, to znam. *Czysta, nieskalana*, skrobię na kartce i podaję jej. Też się uśmiecha.

- Drew wspominał, że interesujesz się imionami. Co znaczy moje? Lexie, to znaczy Alexa. Wiesz?

*Obrońcy* piszę, a pod spodem: *Zgadza się*. A potem, uprzedzając dalsze pytania, piszę jeszcze: *Drew - męski, Sarah - księżniczka*. Wywraca oczami, śmieje się.

- Samospetniające się proroctwo, co? - Potem milknie i po chwili pyta: - A Josh? - W tym pytaniu chyba kryje się coś więcej, pani Leighton bada grunt.

*Ocalenie* piszę. Patrzy na kartkę, potem na mnie, kiwa głową. Przez chwilę wygląda równie smutno, jak ja się czuję.

- Chyba też się zgadza.

Nie jestem pewna, co ma na myśli, odkładam długopis. Już i tak napisałam za dużo jak na jeden dzień.

- Przyszłaś w jakiejś sprawie? - pyta.

Zastanawiam się, czy zapytać ją o sukienkę. Mogłaby mi pomóc. Na pewno by pomogła. Ale nie mogę. Potrząsam głową, zsuwam się ze stołka. Mam jeszcze sporo czasu, zdążę do sklepu i coś wymyślę.

Odprowadza mnie do drzwi, ale nie otwiera ich. Odwraca się i spogląda na mnie, a jej oczy są równie miękkie jak ona cała.

- Wiesz, wszyscy uważają, że to dziewczyny rozpaczliwie próbują zmieniać chłopaków, zmieniać ich w lepsze osoby, wedle własnych potrzeb. - Patrzy na mnie, jakby była przekonana, że wiem, o czym mówi, ale widocznie jestem tępa, bo nie mam zielonego pojęcia. - Czasami Josh robi wrażenie bardzo starego człowieka. Ale tak naprawdę nadal jest nastoletnim chłopcem i pragnie tego, co wszyscy chłopcy w jego wieku. - Urywa, kiedy mrużę oczy, wybucha śmiechem. - Nie, nie o to mi chodzi. Ty tylko o jednym. Nie. Marzy o tym, by być bohaterem. Uratować dziewczynę. Uratować ciebie. - Przerywa, pewnie po to, bym zdążyła wczuć się w rolę dziewczęcia w opałach, którą przeznaczyła dla mnie w tym scenariuszu. - Ale Josh nie tylko tego chce, on również tego potrzebuje. Naprostować wszystko, naprawić, uwierzyć, że u ciebie wszystko okej, bo dzięki temu będzie mógł wierzyć, że u niego też. A jeśli nie potrafi tego sprawić - tu pani Leighton unosi brwi, myśl zawisa w powietrzu, niewypowiedziana, niczym wyrzut sumienia, a ja naprawdę nie rozumiem, dokąd zmierza ta cała przemowa. Ten, kto chce mnie uratować, musi załatwić sobie wehikuł czasu. To marzenie zdechło. Ostatnim razem nie było przy mnie żadnego zbawcy. A jeśli będę potrzebowała ocalenia przed czymś jeszcze, załatwię to sama, dziękuję bardzo.

Odwracam się, pani Leighton otwiera drzwi. Już zamierzam jej odpuścić ze względu na hormony ciążowe i tak dalej...

- Chyba obie wiemy, że tak naprawdę to Josh potrzebuje ocalenia. Bawcie się dobrze.

No i co to ma niby znaczyć?

Josh puka do drzwi dokładnie o czwartej. Nie wiem, czemu uparł się, żebyśmy wyszli tak wcześnie. Na pewno nie pojedziemy od razu na obiad, bo Josh, podobnie jak ja, nie cierpi jeść tak wcześnie. Ma na sobie granatową koszulkę polo i spodnie w kolorze khaki, z paskiem. Jest ubrany dokładnie tak jak co niedziela, kiedy idziemy na obiad do Leightonów. Faceci to mają dobrze, jeśli chodzi o dobór garderoby, wkurza mnie to. Jakby nie kosztowało go to ani odrobiny wysiłku, wygląda zupełnie normalnie, a przy tym stanowczo zbyt pięknie.

Próbuję nie zdradzić po sobie, jak niepewnie się czuję, kiedy na mnie patrzy. Stańło na bladoniebieskiej sukience bez rękawów, ozdobionej na dole granatowym szlaczkiem, inspirowanym greckim antykiem. Może nic wystrzałowego, ale przynajmniej jest prosta. Uznałam, że wygląda całkiem w porządku, i normalnie, a w każdym razie tak mi się wydaje. Włosy upięłam w luźny kok na karku. Wiem, że widać bliznę, ale oglądał ją już tyle razy, że mi wszystko jedno.

- Wyglądasz inaczej - oznajmia. To samo powiedział, kiedy po raz pierwszy zjawiłam się u niego w garażu. Uśmiecham się, bo właśnie tak chciałabym wyglądać. - I rozprasza ąco ładnie - dodaje miękko, kąciki jego ust unoszą się delikatnie.

- Powiesz mi, dokąd mnie zabierasz? - pytam. Myślałam o tym przez cały dzień, mało nie oszalałam. Nienawidzę niespodzianek. Muszę wszystko zaplanować, mam obsesję kontroli, co jest trud-

ne dla kogoś, kto zwykle ma bardzo niewielką kontrolę nad rzeczywistością.

- Nie - odpowiada po prostu, a potem bierze za rękę i pomaga mi wsiąść do pikapa.

Odjeżdżamy. I jedziemy. Jedziemy bardzo długo.

- Josh, pytam poważnie. Co jest? - Nic dziwnego, że tak wcześnie po mnie przyjechał. Wygląda na to, że zabiera mnie na jakąś zakichaną wycieczkę krajoznawczą.

- Powiedziałaś to już cztery razy, odkąd wyruszyliśmy.

- Owszem. No bo *bez kitu*, Josh. *Co jest?* Dokąd jedziemy?

- Zamknij oczy. Rozluźnij się. Powiem ci, kiedy będziemy na miejscu.

- Słoneczko? To tutaj.

Otwieram oczy, patrzę na zegar na desce rozdzielczej. Osiemnasta dziesiąć. *Bez kitu*, Josh. *Co jest?*

- Gdzie jesteśmy? - pytam, ciekawa, jaki sens miała ta cała wyprawa.

- Przed restauracją.

Stoimy na parkingu. Patrzę za okno, widzę szyld włoskiej restauracji, którą znam aż za dobrze i wiem, że nie ma takiej opcji. W środku siedzi przy fortepianie facet w garniturze, ale to nie jego tam widzę.

- Na co patrzysz? - pyta Josh.

*Na siebie samą, w alternatywnej rzeczywistości.*

- Jesteśmy w Brighton? - pytam, starając się zapanować nad narastającą histerią.

- Tak - odpowiada ostrożnie. Chyba trochę go przeraziłam i bardzo dobrze, bo on przeraził mnie.

- Dlaczego jesteśmy w Brighton? - Zmuszam się, by powiedzieć to spokojnie, bo panika donikąd mnie nie zaprowadzi, a wolałabym dokądś, czyli gdziekolwiek, byle dalej od zasnętego Brighton.

- Ponieważ mamy rezerwację - mówi niepewnie. Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby obawiał się, że za chwilę postradam rozum.

Nic nie mówię. Nie jestem w stanie.

- Lubisz włoską kuchnię, sprawdziłem jakieś pięćdziesiąt miejsc w promieniu dwóch godzin jazdy samochodem, to miało najlepsze oceny i udało mi się załatwić stolik. O co chodzi? - Jest totalnie zdezorientowany, nie mogę go za to winić.

- Josh, na miejscu mamy jakieś pięćset włoskich knajp. Mogłeś zaprosić mnie do którejkolwiek z nich. Jechaliśmy aż dwie godziny, żeby zjeść obiad?

- Chciałem z tobą rozmawiać.

*Chciałem z tobą rozmawiać.* Mówi to tak, jakby była to najoczywistsza rzecz na świecie. Wiózł mnie dwie godziny, do miejsca, gdzie nikt nas nie zna, żebyśmy mogli sobie pogawędzić. Mam ochotę śmiać się i płakać, i zadusić go na śmierć. Ale zamiast tego całuję go. W momencie, kiedy nasze usta się stykają, kładzie mi rękę na karku i przyciąga mnie do siebie, jakby czekał na to nie wiadomo jak długo i nie zamierzał mnie puścić. A ja wcale tego nie chcę, i gdyby nie kierownica, wślazłabym mu na kolana, żeby być jak najbliżej.

Przesuwa się lekko i już go nie całuję. Teraz on całuje mnie. I jakaś część mnie znika. Ta pokręcona, poharatana i całkiem do niczego, i przez tę chwilę, kiedy jego usta są na moich ustach, a ręce we włosach, mogę udawać, że nigdy nie istniała.

- Myślałem, że jesteś wkurzona - mówi, kiedy się odsuwam. - Nie żebym narzekał.

- Jestem wkurzona, ale nie na ciebie. - Nadal trzymam dłonie na jego ramionach i wcale nie mam ochoty ich zabrać.

- To na co? - pyta, odsuwając kosmyki, wpadające mi do oczu.

- Na resztę.

Zorganizował tę całą wycieczkę po to, byśmy mogli normalnie porozmawiać i przywiózł mnie akurat w miejsce, gdzie jest to całkowicie wykluczone. Patrzy na mnie, nic nie rozumie i nie wie, co robić. Najchętniej wróciłabym do domu, do jego garażu, gdzie jest bezpiecznie, gdzie mogę szlifować drewno i patrzeć, jak rośnie góra trocin u moich stóp, i dopóki tam jestem, jest okej.

Coś w jego oczach mnie przeraża, ale nie mogę odwrócić wzroku. Znowu się pochyla, a ja siedzę całkiem nieruchomo i jego usta dotykają moich. W jego pocałunku jest coś, co napętnia mnie strachem, bo nigdy wcześniej nie czułam czegoś równie cudownego.

- Przepraszam - mówi. - Musiałem to powtórzyć. Strasznie długo czekałem.

- Jak długo?

- Od chwili, kiedy zjawiłaś się w moim garażu.

- Całe szczęście, że nie próbowałaś.

- Dlaczego?

- Bo chwilę wcześniej rzygałam. To chyba zepsułoby magię chwili.

- W przeciwieństwie do chwili obecnej, jakże przepojonej romantyzmem. - Uśmiecha się, wypuszcza mnie z objęć i siada. Przez chwilę zastanawia się, co powiedzieć, w końcu pyta: - Chcesz wejść do środka?

Potrząsam głową.

- Nie możemy tu zostać.

- Dlaczego nie? - Czuję się potwornie, że muszę mu to odebrać. Kolejny punkt, który mogę wpisać na listę rozczarowań, które zafundowałam najbliższemu osobom. Nie chcę rozczarować i jego. Chyba nie dam sobie z tym rady. Ale nie mam wyboru. Nawet wizja największego rozczarowania nie zmusi mnie, bym weszła do tej restauracji. Patrzę na Josha, chciałabym pocałować go, zamiast odpowiadać na jego pytanie, ale wiem, że się nie wywinę.

- Ponieważ jestem stąd.

Nasza próba zabawy w normalność kończy się kiepską pizzą w jakiejś dziupli po drodze i nie ma w tym nic normalnego. Ani nadzwyczajnego. Jest po prostu idealnie i ja też chciałabym pozostać idealna, ale nic nigdy nie jest takie na długo. Ludzie tacy jak Josh Bennett i ja nigdy nie będą idealni. Przez większość czasu jesteśmy wręcz trudni do zniesienia. I to właśnie mnie przeraża. Bo nawet jeśli coś jest z początku idealne, to szybko musi się skończyć.

Tuż przed jedenastą zajeżdżamy pod dom Margot. Patrzę na Josha, nie wiem, dlaczego przywiózł mnie tutaj zamiast do siebie.

- Świetnie się dzisiaj bawiłem.

- To chyba ja powinnam coś takiego powiedzieć?

- Nie wiem. Są jakieś zasady?

- Nie wiem - przyznaję. - Ja też świetnie się bawiłam. Mimo wszystko. - Mam wyrzuty sumienia, że zepsułam mu plany.

- Nie mimo wszystko - mówi miękko, a potem kładzie rękę na moim policzku i pochyla się, i całuje mnie. Tylko raz. To nie jest idealny pocałunek. Jest miękki i ciepły, i prawdziwy, i szczery. - Było fajnie. Reszta jest nieważna.

*Reszta jest nieważna.* Gdybym miała teraz jednocentówkę, życzyłabym sobie, żeby to była prawda, bardzo chcę w to wierzyć, tak jak jeszcze w nic do tej pory.

- To dlaczego mnie tu przywiozłeś? Wzrusza ramionami z zażenowaniem.

- To chyba byłoby bezczelne, oczekiwać, że pójdziemy do łóżka na pierwszej randce.

Ziewam, jeszcze zanim zdążył powiedzieć to zdanie do końca.

- Jeśli oczekujesz jedynie, że pójdziemy do łóżka, to jestem pewnym łupem.

- Hm - uśmiecha się - nie byłbym sobą, gdybym odrzucił taką propozycję.

A potem wycofuje wóz z podjazdu i jedziemy do domu.



## Rozdział 38

### *Nastya*

Moja pierwsza terapeutka nazywała się Maggie Reynolds. Zachowywała się jak przedszkolanka. Przemawiała do mnie miękko i łagodnie. Pieszczotliwie. Miałam ochotę walnąć ją w pysk, a nie byłam wtedy taka skłonna do walenia po pysku. W każdym razie nie tak jak teraz, kiedy prawie każda napotkana osoba budzi we mnie to pragnienie.

Zawsze, kiedy pytałam ją, dlaczego nie pamiętam, co się wydarzyło, odpowiadała, że to normalne. W sumie wszystko jest normalne. Tłumaczyła, że w ten sposób mój mózg broni mnie przed czymś, z czym jeszcze nie jestem gotowa się zmierzyć. Mój mózg nie dopuszcza do świadomości takiego stresu, ale kiedy będę wystarczająco silna, wszystko sobie przypomnę. Muszę uzbroić się w cierpliwość. Ale trudno być cierpliwym, kiedy ludzie wokół się niecierpliwią.

Być może uznali, że to naturalna reakcja, co nie znaczy, że przestali pytać. Zawsze to samo pytanie. Policja, rodzina, terapeuci. *Czy coś pamiętasz?* Odpowiedź również zawsze brzmiała tak samo. Nie. Nic nie pamiętam. Nie pamiętam absolutnie niczego, co wydarzyło się tamtego dnia.

I widocznie któregoś razu mój mózg uznał, że jestem gotowa, bo nagle wszystko sobie przypomniałam. I przestałam odpowiadać na pytania. Może mój mózg się pomylił i wcale nie byłam taka silna, ale nie pozwolił mi cofnąć wspomnień.

Do tamtej chwili ani razu nie miałam koszmarnych snów. Ale kiedy w pamięci pojawił się ten obraz, już nie mogłam go zignorować. Powracał jak zemsta, noc w noc, jakby chciał nadrobić stracony czas. Budziłam się zlnana potem, trzęsąc się ze strachu i nikomu nie mogłam o tym opowiedzieć.

Więc zaczęłam pisać. Wypluwałam z mojej głowy wszystko, w najdrobniejszych szczegółach, żeby pamięć straciła władzę nade mną. Czulałam się jak przestępca. Popelniałam zbrodnię, nie mówiąc o tym nikomu, i co noc czekałam, aż koszmary przybędą i wydadzą mnie. Musiałam więc osłabić ich moc. Zwierzałam się samej sobie. Słowa były ofiarą, którą składałam co dzień w zamian za sen bez koszmarów. Nigdy mnie nie zawiodły.

Już drugi raz w tym tygodniu idziemy z Joshem na obiad do Leightonów. Spędziliśmy u nich również Święto Dziękczynienia. Myślę, że oboje bylibyśmy bardzo szczęśliwi, gdybyśmy mogli zostać u niego, zamówić pizzę i pracować w garażu jak na parę socjopatów przystało, ale pani Leighton się nie odmawia. To nie było zaproszenie, to było żądanie. I wizyta nie przypominała zwykłego niedzielnego obiadu. Przyszli dziadkowie, kuzyni, ciotki i wujkowie, a także przybłedy jak Josh i ja. Przez prawie cały czas chowaliśmy się w pokoju Drew, bo Josh nienawidzi przytulania równie mocno, jak ja, a ci wszyscy ludzie chcieli się przytulać. *Wszyscy.*

Kiedy zasiedliśmy do stołu, na którym stała porcelanowa zastawa, ozdoba pośrodku i serwetki ułożone w kształt łabędzia, zro-

biłam zdjęcie komórką i wysłałam mamie, żeby wiedziała, że nie spędzam świąt sama. Nie wiem, czy poczuła się lepiej. Może zdjęcie stołu, przy którym siedzi obca rodzina, nie przyniosło jej tak wielkiej pociechy, jakbym chciała.

W świątecznym tygodniu nie mieliśmy szkoły, więc, nie licząc samego święta, od dziewięciu dni siedzimy w garażu. Panuje piękna pogoda, wilgotność spada, więc lakieruję na zewnątrz. Wreszcie znaleźliśmy coś, w czym jestem lepsza od Josha, zupełnie go to nie rusza, bo istnieje tylko jedna rzecz, której nienawidzi bardziej niż szlifowania, i jest to lakierowanie.

Nie licząc obiadu u Drew, w ogóle nie wychodzimy, no, tylko do spożywczego i do Home Depot. Pracujemy do trzeciej, potem idziemy oglądać „General Hospital”, gotujemy obiad, wracamy do pracy, biegamy i kładziemy się spać. To był idealny tydzień. Co za żenada, że już niedziela.

- Dzisiaj muzykę puszcza tata. - Pani Leighton w jednej ręce niesie półmisek pieczonych ziemniaków, a w drugiej dzbanek z wodą.

- A to nie kolej Drew? - pyta Sarah, zajęta układaniem sztuców na stole.

- Niezłe posunięcie. Kolej Drew za tydzień. Dzisiaj moja. - Pan Leighton śmieje się jak maniak, drażni się z nią, a ja się uśmiecham, bo przypomina mi mojego tatę. Otwiera szafkę z płytami, przebiega po nich wzrokiem, w końcu wybiera jedną i włącza wieżę.

Po trzech nutach rozpoznaję sonatę Haydna. To ta, którą znam na pamięć. Ta, którą ćwiczyłam tysiące razy, którą miałam zagrać tamtego dnia. Przygrywka do morderstwa. Tego właśnie słuchamy przy niedzielnym obiedzie. Ścieżki dźwiękowej do mojej śmierci.

Nie słyszałam tego utworu od tamtego dnia, zagrałam go po raz ostatni przed wyjściem z domu, a potem nuciłam pod nosem przez całą drogę do szkoły. Teraz go nie słyszę. Nie robię niczego beznadziejnie dramatycznego, nie upuszczam naczyń na podłogę, nie wpadam w panikę, nie wybiegam z pokoju. Po prostu przestaję oddychać.

*Idę przed siebie, nucąc pod nosem, powtarzam w myślach każdą nutę. Nie denerwuję się, bo chodzi tylko o nagranie, jeśli coś skopię, zawsze mogę poprawić, ile razy zechcę, aż wreszcie osiągnę zadowalający rezultat. Nick Kerígan czeka na mnie w szkolnym studio, lubi mnie, zostanie ze mną tak długo, jak będę chciała. Tak powiedział. Ja też go lubię. Oglądam swoje dłonie, bo chcę, żeby dobrze wyglądały, patrzę, czy paznokcie są równe, widzę przed sobą jakiegoś chłopaka. Uśmiecha się, ale coś jest nie tak. Jego oczy. Ale ja też się uśmiecham i mówię cześć, mijam go. Nagle łapie mnie za ramię, mocno, czuję ból, odwracam się, ale nie daje mi nic powiedzieć, wali mnie w twarz, a ja padam na ziemię, a on dokądś mnie ciągnie. Potem już nie leżę na ziemi, bo podnosi mnie za włosy. Mówi, że to moja wina. Mówi, że jestem ruską kurwą i każe mi wstać, nie wiem po co, bo znowu powala mnie na ziemię. Czuję w ustach krew i piach, zapomniałam, jak się krzyczy. Zapomniałam, jak się oddycha. Zastanawiam się, czy rzeczywiście jestem Rosjanką, chyba nie, i nie wiem, dlaczego ten chłopak mnie nienawidzi. Tyle razy i tak mocno ciągnął mnie za włosy, że część wyrwał, krew spływa mi do oczu, już nic nie widzę. Chyba się zmęczył, bo już nie podnosi mnie z ziemi, tylko zaczyna kopać. W brzuch i piersi, nie wiem ile razy. Parę razy między nogi. Chyba słyszę, jak pękają mi żebra. Nie wiem, jak długo to trwa. Wieczność. Już nic nie czuję. Nic nie boli. Jeszcze coś widzę, lewym okiem. Gdzieś bardzo daleko leży na ziemi jeden z perłowych*

*guzików, który odpadł od bluzki. Świeci w słońcu, mieni się kolorami, jest taki piękny, chcę wziąć go do ręki. Jeśli go dosięgnę, wszystko będzie dobrze. Wyciągam rękę, ale jest za daleko. Wszystko się zatrzymuje, słyszę tylko oddech tego chłopaka. Widzę nogi w ciężkich butach obok mojej ręki. A potem już nic nie widzę, wszystko pogrąża się w czerni, nie czuję własnego ciała. Ostatnie, co słyszę, to chrupanie miażdżonych kości mojej ręki. Potem już nic.*

- Nastya?

- Nastya?

*Nie znam tego imienia.*

Otwieram oczy i znowu widzę. Leżę na białej brokatowej sofie w domu Drew Leightona, nie widać krwi i nic mnie nie boli, tylko w środku. Widzę stolik, który zrobił Josh Bennett. Widzę również jego, siedzi na podłodze tuż obok, trzyma mnie za rękę i patrzy na mnie. Widzę w jego oczach wszystkie pytania, których nie zadaje. Wszyscy mają przestraszone miny, nawet Sarah, zastanawiam się, czyja też. Bo nie mam pojęcia, co się stało.

Pani Leighton daje mi wody, chociaż wcale nie chcę, bo jestem spanikowana, a nie odwodniona. Wygląda na to, że przestałam oddychać i zemdlałam. Pani Leighton chce zadzwonić po Margot. Potrząsam głową, patrzę na Josha, błagam go wzrokiem z całych sił. Mówi, że odwiezie mnie do domu, mam nadzieję, że do jego domu, bo właśnie tam chcę się znaleźć, chociaż nie podoba mi się jego mina. Mina, jaką przybierają ludzie, kiedy boją się, że wystarczy jedno nieodpowiednie słowo i się załamiesz. Nie załamalam się do tej pory i nie zamierzam zrobić tego na białej sofie w domu Drew Leightona.

Przypominam sobie codziennie, co wydarzyło się tamtego dnia niemal dwa lata temu. Widzę to w koszmarnych snach. Co wie-

czór to zapisuję. Ale aż do dziś nie musiałam przechodzić przez to jeszcze raz. Wiem, że jestem tu bezpieczna. Ale wiem też, jak smakuje krew zmieszana z piachem.

Znowu nocuję u Josha, w którymś momencie stało się to rutyną. Im więcej czasu tutaj spędzam, tym bardziej nienawidzę siedzieć sama w domu Margot. Zawsze pamiętam, by powiadomić ją, gdzie jestem, i nawet, jeśli nie jest zachwycona, wydaje mi się, że to rozumie, a może tylko chcę w to wierzyć. U Josha czuję się jak w domu najbardziej ze wszystkich miejsc na całym świecie, a bardzo potrzebuję teraz domu.

Chowam się w łazience, żeby zapisać obowiązkowe trzy i pół strony, chociaż czuję się, jakbym już je dzisiaj zapisała. Ale robię to tak czy inaczej, chowam zeszyt do plecaka, za podręcznikiem do matematyki, jak pracę domową.

- Nie - mówię, wsuwając się w ciemnościach do łóżka, bo nawet w tej gęstej czarnej ciszy widzę, słyszę i czuję te wszystkie pytania.

- Kiedyś musisz mi powiedzieć - mówi cicho, mimo że nikt nie może nas usłyszeć.

- Ale nie dzisiaj - szepczę.

Bierze moją lewą rękę, jakby wiedział, że kryją się w niej wszystkie moje sekrety i sądził, że może poznać je w ten sposób.

- Byłaś przytomna, ale jakby cię nie było. - Przyciąga mnie do siebie, całuje bliznę na czole, nie wypuszczając z uścisku, przytula moją głowę do swojej piersi, a całe moje ciało do swojego ciała. - O mało nie umarłem z przerażenia. A ty nic nie chcesz mi powiedzieć.

Coś muszę, więc mówię to, co na pewno jest prawdą.

- Czasami zapominam, jak się oddycha.

## Rozdział 39

### *Josh*

- Twoja dziewczyna naprawdę potrafi piec - wyrokuje Drew, wsuwając kolejne ciastko w usta. Pożera je w równym tempie, w miarę jak Słoneczko wyjmuje z pieca kolejne partie.

- Nie moja dziewczyna - mówię, bo tak twierdzi ona sama, co mi zresztą odpowiada, bo nie cierpię tego słowa. Sprawia, że nasza znajomość robi się oficjalna, a jeśli Słoneczko stanie się oficjalną częścią mojego życia, to pewnie wkrótce oficjalnie zniknie. Tak więc nie mam nic przeciwko temu, że nie chce być nazywana moją dziewczyną.

- No dobra - odparowuje Drew. - Twoja żona. - Podchodzi do niej i porywa ciastko z blachy, przy okazji parząc sobie palce.

- Nic dziwnego, że zawsze pachniesz brązowym cukrem i... - Tu urywa, podnosi buteleczkę, stojącą na blacie, ogląda etykietkę -czystym ekstraktem z wanilii.

To prawda. Ona rzeczywiście pachnie wanilią i brązowym cukrem, ale myślałem, że tylko ja jestem taki spostrzegawczy. Odkręca buteleczkę i wciąga zapach w nozdrza.

- Serio, powinni sprzedawać to jako perfumy. Słoneczko patrzy na niego z lekko zdegustowaną miną.

- *Wąchasz* mnie?

- Nie musisz robić ze mnie zбочeńca. Nie zakradam się do twojego pokoju, nie patrzę na ciebie, jak śpisz. - Podchodzi do mnie, wali mnie w plecy i dodaje: - Tak jak Josh.

Słoneczko rzuca w niego rękawicą, a on udaje, że zwija się z bólu.

- Uważaj, kobieto. Skoro jesteś wolna, zaraz cisnę cię na podłogę i będziemy się kochać, tu i teraz.

Słoneczko wydaje z siebie dźwięk pełen obrzydzenia, Drew robi obrażoną minę.

- Czy wizja seksu ze mną jest aż tak odrażająca?

- Skądże, wizja seksu z tobą to szczyt moich marzeń. Obrzydza mnie wyrażenie „kochać się”. Nie cierpię go. Nawet jak skończę sześćdziesiątkę, będę wołała mówić „pieprzyć się” niż „kochać się”. Faj. - Wzdryga się.

- Dobra - mówi Drew, już w znacznie lepszym humorze. -W takim razie cisnę cię na podłogę i będziemy się pieprzyć.

- Bądźcie tak mili i zróbcie coś dla mnie - mówię. - Bzyknijcie się i miejcie to wreszcie z głowy albo skończcie te podchody. -Wyłączam telewizor, bo i tak nic nie słyszę, rzucam pilota na kanapę. Wiem, że brzmię jak zazdrosny gnojek. Jestem zazdrosnym gnojkiem. Wiem, że nic ich nie łączy, ale i tak mnie to wkurza.

- Istnieją tylko te dwie opcje? Bo jeśli tak, to już wiem, co wybiorę.

Słoneczko wsuwa kolejne ciastko do ust Drew i każe mu przerwać, dopóki ma przewagę.

- Wiesz co, odkąd cię poznałem, wrzuciłem chyba z pięć kilo. Jak ty to robisz, jesz te wszystkie świństwa i w ogóle nie tyjesz? -pyta, otrzepując ręce.

- Biegam - odpowiada Słoneczko. - Dużo.



Drew robi zdegustowaną minę.

- To nie wchodzi w grę.

- Nie martw się - mówi Słoneczko z uśmiechem. - Przy tej ilości testosteronu twój metabolizm działa bardzo sprawnie.

- Najprawdziwsza prawda - mówi Drew chełpliwie.

- Skoro mowa o prawdzie i testosteronie, może ktoś mnie oświeci, o co chodzi z Tierney Lowell? - pyta Słoneczko.

Drew sztywnieje. -Nie.

Słoneczko unosi jedną brew, a on jęczy rozpaczliwie, jak dzieciak, któremu właśnie zabrano kolekcję gier wideo.

- No dobra. Tylko dlatego, że jestem bardzo wrażliwy, a ty mnie przerażasz.

Drew przesuwa się, robiąc dla niej miejsce, ale ona siada mi na kolanach i naprawdę nie przeszkadza mi, że nie jest moją dziewczyną.

- To historia stara jak świat - zaczyna Drew obojętnym tonem. - Chłopak spotyka dziewczynę. Chłopak prosi dziewczynę, żeby dotknęła go w niestosowny sposób. Dziewczyna zachwyca go oszałamiającą wiedzą i odpowiednim użyciem wulgarnego słownictwa. Chłopak i dziewczyna zostają razem za karę po lekcjach. Miłość kwitnie. Sekretnie. Przez cztery miesiące.

Słoneczko spogląda na mnie, szukając potwierdzenia.

- Najprawdziwsza prawda - mówię. Wiedziałem, że byli razem, ale sądziłem, że to był jednorazowy incydent. Dopiero niedawno poznałem całą historię. Powiedział mi tydzień po tamtym nieszczęsnym wieczorku z grą w „prawda czy wyzwanie”. Przypominam sobie jednak, że w tamtym czasie z Drew działo się coś dziwnego, więc wszystko się zgadza.

-1? - pyta Słoneczko.

- I nic. Więcej nie powiem. - Odwraca się twarzą do telewizora.

- Pieprz się - mruczy Słoneczko. -Ty też.

Jakoś nie rozumiem, czemu tak ich to śmieszy.

## Rozdział 40

### *Nastya*

Od trzech godzin siedzimy z Drew w jadalni, tocząc pojedynek na laptopy i zbierając materiały do dyskusji na temat najnudniejszy na świecie - limit kadencji. Chociaż to chyba i tak lepsze, niż gdyby trafiła nam się akcyza na paliwo. Turniej odbędzie się za dwa tygodnie. Ja nie muszę brać udziału, ale muszę mieć jakiś wkład, dostanę zaliczenie za zebranie materiałów.

I tak zostałam asystentką Drew. Nikt prócz niego nie ma osoby do pomocy, ale cóż, chodzę na te zajęcia, a w inny sposób nie mogę się udzielać, więc Drew ma prawo wykorzystywać mnie do woli. Gdyby nie był taki dobry, dyskusja utknęłaby w martwym punkcie. A kiedy Drew dobrze sobie radzi, cała grupa dobrze sobie radzi i pan Trent się cieszy, więc zgodzi się na wszystko, o co poprosi go Drew. Z czego z kolei ja się cieszę, bo dzięki temu unikam towarzystwa Ethana Halla, który nadal uważa, że jest niezwykle romantyczny, udając niewinny flirt, podczas gdy tak naprawdę proponuje, żebym zrobiła mu laskę.

Podaję Drew wydruki i moje notatki, dzielimy się zadaniami na resztę wieczoru. Nie poddałam się i nadal zamęczam go o Tierney.

- Czemu nie możecie przynajmniej zostać przyjaciółmi? To chyba lepsze niż nic? - Nie jestem ekspertką w kwestii związków. Żadnych. Rodzinnych, romantycznych, przyjacielskich. Związki wymagają komunikacji, a ja nie za dobrze radzę sobie z komunikacją, więc z tym tematem też. Tylko nie rozumiem, czemu Drew zachowuje się, jakby nienawidził Tierney, skoro nie jest to prawdą.

- Nie, wcale nie lepsze. To by było znacznie *gorsze* niż nic.

- Zwykły wykręt. Faceci zawsze tak mówią, bo tak jest najłatwiej.

- A dziewczyny zawsze chcą zmieniać zasady w połowie gry. Nie można tak robić i oczekiwać, że wszyscy się dostosują. Wiem, jak pachną jej włosy, ale nie mogę do niej podejść i zanurzyć w nich twarzy. Wiem, jak delikatna jest skóra na całym jej ciele, ale nie mogę jej dotknąć. Wiem, jak smakuje, ale nie mogę jej pocałować. Już nie mam do tego prawa. W jakim celu miałbym narażać się na męki i przebywać blisko niej, tylko po to, by móc powiedzieć, że jesteśmy przyjaciółmi?

- Nadal uważam, że to bez sensu.

- Tylko to ma sens, i gdybyś zastanowiła się nad tym przez minutę, też doszłabyś do takiego wniosku. Gdybyś nagle przestała być z Joshem, myślisz, że chciałabyś przebywać w jego towarzystwie? Przychodzić do niego, ale nie móc go dotykać? Udawać, że się cieszysz, kiedy wychodzi z jakąś dziewczyną, mając świadomość, że teraz ona dowie się o nim tego wszystkiego, co ty wiesz, ale czego nagle już nie powinnaś wiedzieć? Też byś tego nie zniosła.

- Josh nie jest we mnie zakochany ani ja w nim.

- Sprzedaj to komuś, kto to kupi, Słoneczko. Widziałaś, jak on na ciebie patrzy?

Widziałam, ale nie mam pojęcia, co to miałoby znaczyć.

- Jakbyś była siedemnastowiecznym stołem ręcznej roboty, zachowanym w idealnym stanie.

- A więc patrzy na mnie jak na mebel.

- Właśnie. Widzisz? Sama rozumiesz, o czym mówię.

- Nikt nie lubi przemądrzałych dupków.

- Błąd w rozumowaniu. Wszyscy lubią przemądrzałych dupków. A szczególnie ty. - Wbijają we mnie wzrok i wiem, że nie skończy dowodzić swoich teorii, póki się z nim nie zgodzę. - Przyjaźń to bzdura, sama się przekonasz, kiedy ciebie to spotka. Kiedy zerwiecie, będziesz wiedziała dokładnie, co miałem na myśli.

- Nie możemy zerwać, skoro nie jesteśmy razem - mówię z rozdrażnieniem, akcentując każde słowo, ale na Drew nie robi to wrażenia.

- Semantyka. Wkrótce to się stanie i wszyscy - tu zatacza ręką dokoła, jakby zwracał się do publiczności - wszyscy o tym wiedzą, za wyjątkiem was. Któregoś dnia schlejecie się i przeleciecie na wylot, i uświadomicie sobie, jak strasznie i beznadziejnie jesteście w sobie zakochani. Albo, znając was, w odwrotnej kolejności. Też możliwe. Tak czy inaczej, będziecie razem. A potem któregoś dnia już nie. I zapewniam cię, że kiedy ten dzień nadejdzie, nie zostanieie przyjaciółmi. Szybciej znienawidzicie się wzajemnie.

- Nie chcę, żeby mnie kochał. - Nie wiem, czemu to mówię, ale to prawda. Nie chcę zobowiązań i oczekiwań. Nie chcę być źródłem czyichś rozczarowań.

- On też nie chce cię kochać, więc wszystko się zgadza. Dalsza rozmowa o Joshu wydaje mi się stanowczo kiepskim pomysłem.

- Mieliśmy rozmawiać o Tierney.

- Mieliśmy rozmawiać o limitach kadencji.
- Dobra, może przyjmę twoją niemożliwą teorię na temat przyjaźni, jeśli powiesz mi, co się stało. Może jeśli poznam zakończenie, to się z tobą zgodzę. - Tak naprawdę już zaczynam przyznawać mu rację, ale tego nie powiem. Chcę dowiedzieć się prawdy.
- Byłem dupkiem.
- To wiadomo. Nie próbuj się wymigać.
- Byliśmy razem - podejmuje. - Razem, *razem*. Nie w tej wersji, którą zwykle uprawiam. Tierney chciała zachować to w tajemnicy, nie zamierzała zostać kolejnym nic nieznaczącym imieniem na bardzo długiej liście. Powiedziała, że jest na to za dobra. I była. Nigdy nie poszłaby ze mną do łóżka, gdyby to nic nie znaczyło. Ale ten palant Trevor Mason ciągle zawracał mi dupę, więc mu w końcu powiedziałem. Drobnny szczegół: nie powiedziałem, że jesteśmy razem. Powiedziałem tylko, że się bzykamy. Wkurzyła się. Zerwała ze mną. Wszyscy dawali jej do zrozumienia, że była frajerką, jeśli sądziła, że mi zależy.
- A zależało?
- Rzuca mi takie spojrzenie, że odpowiedź nie jest potrzebna. Pewnie od słowa „miłość” doznałby ciężkich poparzeń języka.
- Nic was nie łączy. Gdzie tu przyciąganie? Tylko błagam, nie wymieniaj części ciała ani żadnych argumentów z użyciem słowa „oralny”.
- To jest Tierney. Potrafi wleźć mi na głowę, ale sobie nie daje. Potrafi doprowadzić mnie do śmiechu, ale sama śmieje się jeszcze więcej. Klóci się o wszystko, chociaż wie, że nigdy ze mną nie wygra. Poza tym jest niesamowicie seksowna i mnie nie cierpi. Czy jest coś więcej, co mogłoby uczynić ją jeszcze atrakcyjniejszą?

- To nie konkurs retoryki. Poproszę jakieś sensowne podsumowanie.  
- Jezu, ale jesteś upierdliwa - jęczy, ale zawsze tak robi, a potem odpowiada: - Wiem, jak wyglądam i jaki jestem inteligentny. Nic nie mów. Nie patrz tak na mnie. Wiem i ty też wiesz. Ale wiem również, że jestem strasznym gnojkiem. - Brzmi to nawet szczerze. - Dzięki Tierney nie czułem się jak totalne zero.

- Ale ją traktujesz jak zero. Nieustannie ranisz jej uczucia. Wiem, że jest twarda i tak dalej, ale chyba zdajesz sobie sprawę, że ma jakieś emocje, co?

- Jasne, że wiem. A wiesz, jaka ona jest inteligentna? Nie. Nikt nie wie, bo ona tego nie chce. Nie chce też, by ktokolwiek wiedział, jaka jest zabawna i słodka. Tak, użyłem słowa „słodka” i jeśli kiedykolwiek mi o tym przypomnisz, liczę z poważnymi konsekwencjami. - Rzucił mi spojrzenie pod tytułem „popatrz mi w oczy i poczuj mój gniew”, a potem podejmuje: - Wiesz, kto wie o tym wszystkim? Ja. Tak więc, Nastyo, owszem, wiem, że ona ma uczucia i wiem dokładnie, jak je ranić.

- I to właśnie jest twój plan, tak? Masz wyrzuty sumienia, że ją zraniłeś, więc ranisz ją jeszcze bardziej? Jesteś jak definicja palanta. Dlaczego nie przeprosiłeś jej zaraz potem? Dlaczego nie powiedziałeś wszystkim prawdy? - Zamykam laptop i odsuwam na bok.

- Bo strasznie się wkurzyła. Zerwała ze mną i powiedziała, że jestem dokładnie taki, jak zawsze sądziła, i wszyscy mieli rację, była żalostną frajerką, wierząc, że jest inaczej.

- I już?

Najwyraźniej ani trochę. Drew wyznał, że tego samego wieczoru, kiedy to powiedziała, poszedł na imprezę i przespał się z Karą Matthews.

- Czemu to zrobiłeś? - Nie powinnam się dziwić, już trochę go znam, a jednak.

- Ponieważ miałem doła i byłem wkurwiony i straciłem ją, bo jestem dupkiem, więc stwierdziłem, że równie dobrze mogę zachowywać się jak dupek.

- Wiesz, jak na kogoś, kto twierdzi, że jest taki świetny z retoryki, masz jednak poważne braki w logicznym rozumowaniu. Nie straciłeś jej wtedy. Straciłeś ją dopiero, kiedy przeleciałeś Karę. To był test.

- Po pierwsze, jestem świetny z retoryki. Po drugie, to nie był test. Ona naprawdę ze mną zerwała. Nienawidzi mnie.

- Właśnie dlatego to był test. - Jak to możliwe, że rozumie to jednostka tak niedorozwinięta w kwestiach społecznych jak ja, a Drew Leighton nie? - Dała ci doskonałą okazję, byś udowodnił, że pomyliła się co do ciebie. Ale ty wsadziłeś kutasa w Karę Matthews i udowodniłeś, że Tierney miała rację, i że wszystkie te najgorsze rzeczy, o które cię oskarżała, są prawdziwe.

Nie mogę udawać, że nie wiem, skąd bierze się moje uwielbienie dla Drew Leightona. Jest totalnie popieprzony i skarłowaciały emocjonalnie jak ja, tyle że w inny sposób. Ale w tym momencie chyba nie cierpię go za to, że wykazał się tak astronomiczną głupotą. Podchodzę do niego, obejmuję go i kładę głowę na jego ramieniu, bo wiem, co to znaczy czuć pogardę do samego siebie, i jeśli liczę na to, że istnieje dla mnie jakaś nadzieja, to muszę jemu dać nadzieję.

- Rzeczywiście jesteś dupkiem - mówię. Wzdycha i opiera podbródek na czubku mojej głowy.

- Właśnie to przez cały czas próbuję ci wytłumaczyć.



Zostaję bardzo długo, aż wracają pan i pani Leighton, a także Sarah, i zmuszają mnie, żebym została na obiad, co nie wydaje mi się tak straszną perspektywą, teraz, kiedy Sarah już nie jest moim śmiertelnym wrogiem.

Jakiś czas po tamtej pamiętnej imprezie najwyraźniej stwierdziła, że nie budzę w niej wyłącznie pogardy. Ten cały wieczór to zapewne był bardzo zły pomysł, ale jeśli w ogóle miał jakieś dobre skutki, to z pewnością właśnie zawieszenie broni między nią a mną. Nie żebyśmy zaraz wymieniały się łózkowymi zwierzeniami i chodziły razem kupować staniki, ale jednak. Gdybym wiedziała, że w celu zdobycia łaski Sary wystarczy pokazać jej, jak powalić faceta na ziemię, zrobiłabym to już dawno temu. Tak czy inaczej, jest lepiej. Może nawet prawie sympatycznie.

- Wyglądałbyś lepiej bez tej tapety - mówi i to chyba ma być komplement. Nie wiem, czy lepiej czy może tylko inaczej, ale jeszcze nie jestem gotowa zrezygnować z makijażu. - Gdybyś wyglądała normalnie, miałabyś więcej przyjaciół. No wiesz, mimo że nie mówisz. Ludzie się ciebie boją.

Doskonale. Taki właśnie był plan. Rozmowa przebiega jednostronnie, ale to lepsze niż mordercze spojrzenia, obraźliwe uwagi i generalnie traktowanie godne pariasa, bo to właśnie wcześniej fundowała mi Sarah.

- Nie wszyscy mają takie szczęście, jeśli chodzi o życie towarzyskie, jak ty, Sarah - wtrąca Drew. - To dar, być ze mną spokrewnionym.

- Nie, to przekleństwo - stwierdza. Szczerze.

- Jasne. Gdybym nie był twoim bratem, miałabyś o połowę mniej znajomych i chodziłabyś na połowę mniej randek. - Drew

chyba żartuje, ale Sarah wpada w szal. Kiedy słyszę, co mówi, nie winię jej. Robi mi się jej żal.

- Masz całkowitą rację. I to właśnie jest problem, Drew! Dziewczyny chcą się ze mną przyjaźnić, bo uważają, że to najkrótsza droga do ciebie. Faceci chcą się ze mną umawiać, bo uważają, że jestem taką samą tanią szmatą jak ty. Sądzisz, że moje życie towarzyskie jest twoją zasługą? Proszę bardzo. Tak, jesteś za nie w pełni odpowiedzialny. - Urywa, taka jest zdenerwowana; Drew wyraźnie żałuje, że się odzywał, nie przewidział podobnego rozwoju wydarzeń. Nie mam ochoty dłużej przebywać w tym pokoju. Może ktoś tutaj ma czapkę-niewidkę i mi pożyczycy, naprawdę cudownie byłoby zniknąć.

- *Nienawidzę* być twoją siostrą! - syczy Sarah. - Zrobiłabym wszystko, żeby nią nie być!

Drew nic nie mówi. Nie próbuje aroganckich uwag. Nie drwi. Po prostu wychodzi i zostawia mnie samą z Sarą, która zaczyna płakać. Szczerze liczę na to, że mają jakieś lody w zamrażalniku, bo nie dysponuję żadnymi innymi środkami.

- Nienawidzę go - mówi Sarah przez łzy, a ja wiem, że to nieprawda, ale nie mogę jej tego powiedzieć.

Później odsuwamy meble pod ściany i urządzamy państwu Leighton pokaz technik samoobrony. Zaciągam Drew z powrotem do salonu i każę mu być napastnikiem. Sarah bez trudu przypomina sobie najskuteczniejsze metody na uszkodzenie intruza. Drew poddaje się bez protestów jej poczynaniom, chociaż Sarah bardzo się przykłada i pewnie trochę go boli. W ostatniej scenie zachodzi ją od tyłu, a potem obejmuje i szepcze „przepraszam”. Jakaś część mnie liczy na to, że Sarah wysunie się z jego ramion, po czym

przyłoży mu łokciem i zacznie uciekać, tak jak ją uczyłam, ale jednak cieszę się, że tego nie robi, i kiedy Drew przeprosza ją jeszcze raz, ona odwraca się i też go przytula.

A kiedy Drew wypuszcza ją z ramion, nadeptuje mu na stopę -naprawdę, a kolanem wymierza cios w krocze - na niby. Pani Leighton zaczyna klaskać.

## Rozdział 41

### *Nastya*

- Niszczysz sobie ręce - mówi Josh, po czym ujmuje moje dłonie i odwraca wnętrzem do góry. Cofam je, ale nie mogę powstrzymać się od uśmiechu, ponieważ właśnie powiedział mi komplement. Może nawet lepszy od „rozprasząco ładnej”.

-1 bardzo dobrze - odpowiadam, też patrząc na swoje ręce. -To znaczy, że coś nimi robię.

Nie użyję ich w taki sposób, jakbym chciała - chyba że nagle stanie się modna gra na fortepianie jedną ręką - ale przynajmniej do czegoś służą. Josh nienawidzi szlifować. To dla niego najgorsza część pracy, twierdzi, że strasznie nudna. Próbuje mnie przekonać, żebym tam, gdzie się da, używała szlifierki, ale to nie to samo. Lubię szlifować, bo to bezrefleksyjna powtarzalna czynność i mogę przy niej myśleć. Mogę wyszlifować wszystko, co mi każe. Pod koniec widzę kupkę trocin na podłodze i czuję, że czegoś dokonałam. Kiedy patrzę na swoje ręce, nie widzę zadrapań i pozdieranej skóry, nie widzę skaleczeń, widzę proces zdrowienia.

Gapię się tak na nie z debilnym uśmiechem, a kiedy podnoszę wzrok, widzę, że Josh patrzy na mnie z czymś w rodzaju podziwu, i to spojrzenie zdecydowanie przebija „rozprasząco ładną”.

- Były miękkie, a papier ścierny je załatwił - mówi. - Zaczynają przypominać moje. - Ciekawe, czy to ma być obelga. Jego ręce są cudowne. Mogę patrzeć godzinami, jak zmieniają drewno w coś, czego nawet nie potrafiłabym sobie wyobrazić

- To nie będę cię dotykać, nic nie poczujesz.

- Nie podejmuj pochopnych decyzji - rzuca żartobliwie, po czym znowu ujmuje moje dłonie i przesuwa kciukiem wzdłuż jednej z blizn. Chirurg zdziałał cuda, więcej nie mógł zrobić. Kiedy się przyjrzeć, wyraźnie widać, że nie wyszło idealnie. - Po prostu lubię twoje ręce - mówi, nie odrywając od nich oczu. - Czasami myślę, że to jedyne, co jest w tobie prawdziwe.

Często mówi takie rzeczy. Jakby chciał mi przypomnieć, że choć nie zadaje pytań, to nie znaczy, że zapomina o ich istnieniu.

- Chcesz sprawdzić to w praktyce? - pytam z uśmiechem. Nie wypuszczając moich rąk, popycha mnie pod ścianę.

- Nie przy otwartych drzwiach.

Pół sobotniego poranka spędzam, siedząc po turecku na wózku w Home Depot, Josh wozi mnie po alejkach i opowiada o różnych rodzajach drewna. Dowiaduję się, które są najlepsze na meble, które na podłogi, które na wykończenia i tak dalej. W końcu Josh przegania mnie z wózka, bo potrzebuje miejsca na zakupy. Mogłabym się skarżyć, że straciłam miejscówkę, gdyby nie to, że przez kolejne dwadzieścia minut mam okazję przypatrywać się, jak Josh ładuje deski i naprawdę nie jest to powód do skarg. Warto się pomęczyć.

Po południu zamierzaliśmy lakierować, ale kiedy dojeżdżamy do domu, zaczyna padać, a nie możemy tego robić w zamkniętym garażu, poza tym lakier i tak zmatowiałby od wilgoci. Wiem teraz ta-

kie rzeczy, Josh nie musi mi podpowiadać. Dzięki niemu i zajęciom w szkole zdobywam całkiem porządne wykształcenie techniczne.

Spędzamy popołudnie w kuchni. Skoro on uczy mnie o rodzajach drewna, to ja mogę nauczyć jego, jak upiec przyzwoite ciastka. Objężdżam go za to, jak ubija mąkę w miarce, a on nie przestaje, specjalnie drażni się ze mną, aż w końcu zabieram mu miarkę i sama to robię.

- Po co mam się uczyć, skoro ty tu jesteś?

- Wiesz - odpowiadam, przysuwając mu paczkę brązowego cukru i drugą miarkę, skoro tak to uwielbia - któregoś dnia może mnie zabraknąć i zostaniesz bez ciasteczek, samotny i smutny. - Natychmiast uświadamiam sobie, że nie powinnam była tego mówić. W myślach kopię nieszczęsne zdanie prosto w krocze, a kiedy zwija się z bólu, doprawiam w mordę, żeby zapamiętało raz na zawsze. Niestety, za późno.

- Nic się nie stało - odpowiada cicho, z cieniem uśmiechu na ustach. - Nie jestem aż taki wrażliwy. Chociaż wszystkim się wydaje, że tak. Nie bądź jak wszyscy, okej?

- Czemu się na mnie nie wściekasz?

- A po co?

- Więc nie jest ci przykro?

- Powiedziałem, że się nie gniewam. A nie, że nie jest mi przykro. Ludzie mówią różne beznadziejne rzeczy. To normalne. To nieuniknione. Tak już jest. Tylko jakie znaczenie mają takie słowa, kiedy ktoś znika z twojego życia, jakby nigdy go tam nie było? Ale wściekanie się też nic nie zmieni. Wiem dobrze. Kiedyś byłem wściekły na okrągło. To w końcu robi się nudne.

- Na twoim miejscu byłabym najbardziej wściekłą osobą na całym świecie.

- Chyba już jesteś.

Nie ma co z tym dyskutować, więc podchodzę i pokazuję mu, jak mocno ubijać cukier w miarce. Nadal czuję się fatalnie.

- Kiedy skończymy, może pomożesz mi przenieść ten stolik, który stoi pod ścianą? Mam dosyć tego grata, który stoi obok sofy - mówi Josh, zmieniając temat ku mojej wielkiej uldze.

- Postawisz miłość swego życia pośrodku pokoju, żeby Drew gwałcił ją buciorami? - Jestem naprawdę zaskoczona, wiem, jak Josh kocha ten stolik.

- Od kiedy to jest miłość mego życia? - pyta z rozbawieniem.

- Mówisz o nim, jakby to była dziewczyna.

- A co mam mówić? - Wzrusza ramionami. - Ten stolik sprawia, że pragnę stać się lepszym człowiekiem. Zazdrosna?

- Wiesz, że Drew nie przeżyje, jeśli zabronisz mu kłaść giry na stole. No chyba że pozwolisz.

Uśmiecha się, nieco przerażony. Pewnie widzi to w wyobraźni.

- Może jednak powinien zostać tam, gdzie stoi.

- Tylko żebyś wiedział - informuję. - Któregoś dnia znudzi mi się dzielenie z tym stolikiem i każę ci wybierać.

- Tylko żebyś wiedziała - przedrzeźnia mnie. - Szybciej porąbię go na kawałki i spalę w kominku, niż wybiorę go zamiast ciebie. - To, co mówi, jest naprawdę komiczne, ale jednocześnie przebija mnie wzrokiem na wylot, daje do zrozumienia, że mówi całkowicie poważnie, a ja wolałabym, żeby tego nie robił.

- To byłaby straszna strata. - Wyjmuję mu z rąk paczkę cukru i chowam do szafki, bo potrzebny mi pretekst, żeby się odwrócić, nie jestem w nastroju do poważnych rozmów, a ta rozmowa wyraźnie zmierza w rejony, w które nie mam ochoty się udawać. - Nawet nie masz kominka.

- Nie dajesz powiedzieć sobie niczego miłego.
- Tylko trochę to utrudniam - rzucam lekko, w nadziei, że on też zmieni ton. Postanawiam odwrócić jego uwagę, wspinam się na palcach, żeby go pocałować. Wie, co zamierzam, waha się tylko przez sekundę, a potem kładzie rękę na moim karku i pochyla się, muska wargami moje wargi, miękko, jakby szukał, jakby próbował wydobyć ze mnie tajemnice. Wciąż patrzy na mnie, kiedy odsuwam się i podchodzę do blatu, żeby włączyć mikser, licząc na to, że skutecznie zagłuszy każdą rozmowę.
- Powiedz, skąd masz bliznę. - Słowa dochodzą znikąd i zewsząd.
- Nie - szepczę. Nic nie słyszy przez szum miksera, ale wie, że to powiedziałam. Najgorsze, że jakaś część mnie zaczyna odczuwać chęć, żeby mu powiedzieć, co napełnia mnie śmiertelnym przerażeniem. Przy Joshu czuję się bezpiecznie, a nigdy nie przypuszczałam, że jeszcze kiedyś tak się poczuję.
- Przyciąga mnie do siebie i przytrzymuje. Czuję jego ciepłe palce na swojej talii. Czuję jego wargi tuż przy uchu, przez sekundę wydaje mi się, że zaraz nazwie mnie ruską kurwą.
- Proszę.
- Nawet nie wiem, którą bliznę masz na myśli - mówię i cieszę się, że nie widzę jego twarzy. Mówi to „proszę” w taki sposób, że nie mogę zbyć go śmiechem ani kłamstwem. W jego głosie słychać desperację, a ja nie chcę o niej wiedzieć.
- Którąkolwiek. Tylko jedną. Cokolwiek. Powiedz mi coś, co jest prawdą. - Silnymi ramionami przyciska moje plecy do swojej piersi, właśnie to wydaje się prawdą, bardziej niż wszystko inne od bardzo, bardzo dawna. Nie mogę mu nic dać.
- Już nawet nie wiem, co to znaczy.



- Ty tu w ogóle mieszkasz? - pyta Margot któregoś popołudnia, kiedy wracam ze szkoły. Niestety, nie mogę nazwać tego pytania nieuzasadnionym. Rzeczywiście, spędzam u Josha więcej czasu niż tutaj. Wracam rano, zanim ona wróci z pracy, biorę prysznic, przebieram się. czasem nawet i to nie. Powoli moje ubrania również się do niego przenoszą.

Mogłabym wzruszyć ramionami albo potrząsnąć głową, albo grać głupią i udawać, że nie rozumiem, co mówi, ale nie zasłużyła na to. Mało brakuje, żebym otworzyła usta, ale nie potrafię się do tego zmusić. Jeśli się odezwę, jeśli powiem jedno słowo, będę musiała powiedzieć wszystko, a dzisiaj to niemożliwe. Wyrrywam kartkę z zeszytu i piszę.

*Jeśli powiem nie, każesz mi wrócić?*

- Siadaj, Em. - Przyciąga sobie krzesło i siada przy kuchennym stole, a ja idę w jej ślady. Papier i długopis nadal trzymam w ręku.

- Wiem, że jesteś pełnoletnia - przy ostatnim słowie robi w powietrzu znak cudzysłowu, a ja mam ochotę potrząsnąć głową i poprosić, żeby przestała, zanim stracę do niej szacunek. - Ale nie jesteś całkiem dorosła - podejmuje. Nie mówi nic, o czym sama bym nie wiedziała.

*I?* piszę i odwracam kartkę w jej stronę. Nie chcę być bezczelna. Chcę tylko wiedzieć, czy będę musiała walczyć o tę jedyną rzecz, dzięki której jeszcze nie zwariowałam. Nawet nie tyle chodzi o Josha, co o garaż.

- To pomaga? Przebywanie w tamtym miejscu? Odruchowo mam ochotę odpowiedzieć, że nic nie pomaga, bo

wcześniej tak bym odpowiedziała, ale tym razem to nie jest prawda. Pomaga. Wszystko tam pomaga. Tam jest miejsce, w którym

mogę się schronić, tam jest coś, czym mogę się zająć, i ktoś, kto nie porównuje mnie do Emilii. Nie tylko kiwam głową. Piszę: *Tak*.

- Nie zamierzam udawać, że mi się to podoba. Ale tutaj jesteś sama prawie cały czas i to też mi się nie podoba. - Urywa, nie wiem, czy powinnam coś napisać, czy czekać, aż powie coś jeszcze. I mówi: - Sypiasz z nim?

Hm, owszem, sypiam, ale założę się, że nie o takie sypianie jej chodzi. Potrząsam głową, *nie*, bo to prawda, chociaż nie wiem, jak długo jeszcze.

- Naprawdę? - pyta. Nie potrafię powiedzieć, czy słysząc w tym słowie zaskoczenie, ulgę czy niedowierzanie.

*Naprawdę.*

- Ale chcę, żebyś nadal powiadamiała mnie, gdzie jesteś.

Kiwam głową. Nie winię jej, zresztą to nie ma większego znaczenia, i tak może namierzyć mój telefon. Mówi tak przez grzeczność, nie mam nic przeciwko grzeczności.

- Jest naprawdę niezły. - Uśmiecha się i robi figlarną minę. Jeszcze raz kiwam głową.

## Rozdział 42

### *Josh*

- Ile kilometrów zrobiłaś? - pytam, kiedy tuż po dziesiątej wchodzi do garażu. Odczepia puszkę z gazem i pulsometr.

- Nie liczyłam. Po prostu biegłam - odpowiada, z trudem łapiąc oddech. Pot ścieka po jej twarzy. Chwyta butelkę z wodą, podchodzi bliżej i zagląda mi przez ramię. - Jak idzie?

- Prawie gotowe. Właśnie miałem kończyć. Jutro można lakierować, o ile nie będzie padało.

- Mogę ci pomóc, jak wrócę od Claya. - Przez ostatni miesiąc chodziła do niego co najmniej dwa razy w tygodniu. Clay robi jakiś szalony wielowarstwowy montaż. Nie rozumiem. Podobają mi się rysunki, na których po prostu widać jej twarz.

- Powiedz mu, że jest wstrętnym monopolistą, a ja zaczynam być zazdrosny.

- Przekażę. - Uśmiecha się. - W przyszłym miesiącu jest ten konkurs, a w ten weekend nie mogę pozować, więc powiedziałam, że przyjdę po szkole. - Chodzi do szkoły, zbiera materiały razem z Drew, pozuje Clayowi, biega, pracuje ze mną w garażu i nigdy nie zatrzymuje się choćby na chwilę. Właśnie zapisała się na Krav Magę, cokolwiek to jest. Nie ma mowy o chwili wytchnienia.

- To ten konkurs, na który jedziecie razem? Przytakuje, dopija wodę i mówi:

- To jakaś galeria w Ridgemont. Co roku urządzają tam konkurs na szczeblu krajowym i wystawiają prace wszystkich finalistów.

- Nadal wybierasz się na weekend do domu? - Wolałbym, żeby zmieniła zdanie, bo przywykłem do niej. Uświadomiłem sobie, jak totalnie do dupy jest gotować w samotności, jeść w samotności, oglądać telewizję i ogólnie rzecz biorąc być samotnym.

- Tak jak mówiłam.

Kiedy wspomina o wizycie w domu, w jej głosie nigdy nie słyhać entuzjazmu. Nie mam pojęcia, o co chodzi, tyle że ma to coś wspólnego z bliznami i historią, której nie chce mi opowiedzieć. Za każdym razem, kiedy wraca, przez kilka dni jakby nie mogła odzyskać ostrości, przypomina migający hologram. Zresztą zawsze taka jest, jak muzyka i tekst z dwóch różnych utworów. Ale po powrocie z Brighton ten stan się pogłębia.

- Nie rozmawiasz z nikim z rodziny?

- Wiesz, że nie. - Przybiera ten dobrze mi już znany ton pod tytułem: „do-czego-zmierzasz-i-o-co-chodzi”.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ nie mogę powiedzieć im tego, co chcieliby usłyszeć. Jeśli zacznę mówić, będę musiała kłamać, a nie chcę. - Jeszcze nigdy wcześniej nie powiedziała mi aż tyle, a to wciąż za mało. Niczego się nie dowiedziałem.

- Przestałaś mówić, ponieważ nie chcesz kłamać?

- Nie planowałam tego. Początkowo to miał być tylko jeden dzień, potem kolejny i nagle zrobił się z tego tydzień, potem miesiąc, no i sam wiesz.

-1 pozwolili ci na to? Nie przejęli się?

- Przejęli się, ale nie mogli nic zrobić. Co niby mieli zrobić? Potrząsać mną? Wrzeszczeć, naciskać? Ogłosić szlaban? I tak nie wychodziłam z domu. Nie mieli zbyt wielu opcji. Poza tym, zdaniem moich terapeutów, a zebrałam całkiem imponującą kolekcję, to była bardzo *naturalna* reakcja, cokolwiek to znaczy.

*Naturalna reakcja na co, Słoneczko? Proszę, nie przerywaj.* Ale nic z tego. Kolejny fragment układanki, złożonej z samych niepa-sujących do siebie fragmentów.

- A nie łatwiej byłoby kłamać niż milczeć?

- Nie. Nie potrafię dobrze kłamać. Nie warto robić czegoś, w czym nie można osiągnąć mistrzostwa. - Powrócił sarkastyczny ton. A więc koniec poważnej rozmowy. Wiem, jak to działa, zastanawiam się, kiedy znudzą mi się te wykręty.

Zaczynam sprzątać, a ona pada na krzesło i wreszcie zauważa torbę, którą tam wcześniej położyłam.

- Zabraniasz mi sadzać tyłek na blacie, ale uważasz, że możesz rozrzucić syf na moim krześle - rzuca żartobliwie, bierze torbę do ręki i stawia ją na podłodze.

- Otwórz.

Zagląda do środka i wyciąga pudełko z butami, patrzy na mnie, mrużąc oczy. Przyglądam się bacznie, chcę zobaczyć jej twarz, kiedy będzie otwierała pudło. Wiem, że to głupi prezent, pewnie nie o tym marzą dziewczyny. Nie za bardzo znam się na takich rzeczach.

A może jednak, bo jej twarz nagle się rozjaśnia.

- Kupiłeś mi buty robocze? - mówi takim tonem, jakby dostała diamenty.

- Nie dostałaś ode mnie nic na urodziny. Mam nadzieję, że dobre. Któregoś dnia sprawdziłem numer twoich butów, było napisane „siedem” i taki kupiłem. - Wsadzam ręce do kieszeni.

A ona zdejmuje buty do biegania i mierzy te ode mnie.

- Ze wzmocnionymi czubkami? - pyta. Przytakuję.
- 1 czarne. - Uśmiecha się. Ten uśmiech podoba mi się szczególnie, bo chyba ja go wywołałem.
- Czarne - potwierdzam, sam nie wiem czemu.
- Nie opakowałeś - beszta mnie.
- No, liczyłem, że mi odpuszczisz.
- Żartuję. - Śmieje się. Mógłbym słuchać tego do końca świata.

Wstaje, przygląda się swoim stopom. - Idealne.

- Teraz możesz korzystać z narzędzi w warsztacie. Uśmiech znika.
- Nie mogę ich używać.
- Możesz, niektórych na pewno - odpowiadam, bo chcę, żeby ten uśmiech wrócił. A poza tym to prawda. Może więcej, niż jej się wydaje. Tylko z jakiegoś powodu nie próbuje. - Będę twoją drugą ręką, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Chodzi po garażu, wygina stopy na wszystkie strony, żeby rozchodzić buty i stwierdzam, że nie ma nic równie seksownego, jak dziewczyna w czarnych burtach roboczych.

- Będziesz musiała zabierać je ze sobą do szkoły na zmianę.
- Pieprzyć to - mówi i dostaję uśmiech z powrotem, z nawiązką, dziesięciokrotną. - Będę w nich chodzić.
- Więc prezent trafiony? - pytam, bo chcę to od niej usłyszeć.
- Prawie tak wspaniały jak jednocentówki. - Wspina się na palcach i całuje mnie, jest słona, spocona i niesamowita.
- Nie pocałowałaś mnie za jednocentówki - mówię.
- Nie wiedziałam, czy mi wolno.

W związku z butami stanowczo odmawia pójścia do domu, więc kolejną godzinę spędzamy w garażu. Pomaga mi zrobić pomiary i zaznaczyć punkty na deskach, przeznaczonych na stolik, który zaprojektowała na zajęcia. Naprawdę fajny model z nogami w stylu królowej Anny. Szkoda, że nie może zrobić wszystkiego sama, ale nie może, z powodu ręki, a poza tym jeszcze brakuje jej umiejętności. Ja siedzę w tym od dziesięciu lat i też miewam problemy. Prowadzę ją krok po kroku. Drze się na mnie, jeśli czegoś nie wyjaśniam, bo chociaż nie może tego zrobić sama, to chce przynajmniej wiedzieć.

Robię znacznie mniej niż przedtem, ale sądzę, że warto, bo to niesamowicie seksowne, kiedy tak mną dyryguje, wymachując młotkiem. Od dawna nikt mną nie dyrygował, a ona wygląda naprawdę prześlicznie, kiedy jest wkurzona i zdeterminowana, więc naprawdę nie mam nic przeciwko.

Oddycham pyłem i trocinami, odkąd pamiętam. Ona już chyba też.

## Rozdział 43

### *Josh*

Ona i ja. To już oczywiste i to właśnie mnie przeraża.

Każdego dnia spędzamy długą przerwę na dziedzińcu. Nie dotykamy się, nie śmiejemy, ani, rzecz jasna, nie rozmawiamy, ale jesteśmy razem. Nikt nam nie przeszkadza. Pole siłowe pozostaje nietknięte, za wyjątkiem nielicznych wizyt Claya.

Próbuję dokończyć opowiadanie do pani McAllister, na piątej lekcji ma być quiz, a ja jestem w lesie. Pochyliła się, żeby sprawdzić, co czytam, przekrzywia głowę tak, że lekko muska moje ramię, to wystarczy, żebym poczuł się całkowicie swobodnie. Odruchowo odwracam się i całuję jej włosy, i dopiero wtedy dociera do mnie, że jesteśmy na dziedzińcu pełnym ludzi. To mniej więcej tak, jakbyśmy zdarli z siebie ubrania i zaczęli uprawiać dziki seks na oczach wszystkich.

Czekam na implozję wszechświata lub przynajmniej znaczące spojrzenia i komentarze, ale nic takiego nie następuje. Żadnej zauważalnej zmiany w atmosferze. Czyżby stało się niemożliwe? Czyżby to - ona i ja - stało się po prostu normalne? W chwili, kiedy mój mózg rejestruje to słowo, natychmiast uświadamiam sobie, że nie pasuje. Nie normalne, tylko oczywiste. I nie tylko dla



ludzi w szkole. Dla mnie też. To oczywiste, że ona jest. Że jest tutaj. To oczywiste, że przychodzi do mojego domu. To oczywiste, że jest w moim życiu. Przeróżające.

## Rozdział 44

### *Nastya*

- Chciałbym pogadać, więc wyobrażę sobie naszą rozmowę - mówi Clay, kiedy po szkole siedzimy na jego werandzie. Uśmiecham się, a on wrzeszczy, że mam włożyć twarz z powrotem, co nie jest proste, bo wrzeszczący na mnie Clay jeszcze bardziej mnie bawi.

- Normalnie najpierw odhaczyłabyś wszystkie pytania o orientację, większość ludzi przeważnie tak robi - podejmuje, nie przerywając rysowania. Nie wiem, jak on może skupić się na dwóch czynnościach jednocześnie. Ja jestem typem, który potrafi robić tylko jedną rzecz naraz i dlatego tak trudno mi milczeć. Milczenie wymaga ogromnej dyscypliny. Ponieważ kiedy nie mówisz, ale *możesz* mówić, część twojego mózgu przez cały czas musi pilnować, żebyś nie otworzyła ust. Czasami zastanawiam się, czy nie lepiej byłoby, gdybym fizycznie nie była w stanie mówić, bo wtedy nie musiałabym nieustannie pamiętać, by tego nie robić.

- Pierwsze pytanie to klasyk: *Czy zawsze wiedziałeś, że jesteś gejem?* Naprawdę dobre. - Patrzy na mnie, tak naprawdę nie patrząc. - Odpowiedź? Nie wiem. Nie sądzę, bo w sumie tak mniej więcej do dziesiątego roku życia nie wiedziałem, kto to jest gej. Więc nie jestem pewien. A jak już wiedziałem, to wiedziałem i ni-

gdy nie próbowałem się nad tym zastanawiać, ale ludzie zawsze pytają.

Bierze do ręki szarą miękką gumkę i pociera papier.

- Następne brzmi z reguły *Czy kiedykolwiek byłeś z dziewczyną, a jeśli nie, to skąd pewność, że jesteś gejem?* Odpowiedź? Nie powiem. Nie twoja sprawa. Następne proszę. - Odkłada gumkę i patrzy na rysunek z wyraźnym niezadowoleniem.

- Potem następuje to, na które mogę udzielić odpowiedzi. *Czy twoi rodzice się wkurzyli?* - Gumka wraca do pracy. - W sumie nie. Chyba nie. W każdym razie nie dali znać po sobie. Zawiedzeni? Może. Ale jeśli nawet, tego też nie powiedzieli wprost. Zaserwowali mi przemowę w stylu *Nie jest to droga, o jakiej dla ciebie marzyliśmy, ale najważniejsze, żebyś był szczęśliwy.* Klasyk. Chyba jest na jakiejś specjalnej stronie, żeby rodzice mogli sobie wydrukować i nauczyć się na pamięć, bo oboje powiedzieli dokładnie to samo, jakby się zmówili. Rozstali się, kiedy miałem dwa lata, więc musiałem zrobić podwójny coming out. Janice, żona taty, chyba ciut spanikowała, ale nie zależy mi specjalnie na jej opinii. A teraz zachowuje się bardzo w porządku. - O rany, ten gość naprawdę ma gadane. Chyba ani razu nie przerwał, żeby zaczerpnąć powietrza. Zastanawiam się, czy powinnam czuć zażenowanie, że chciałam zadać mu te wszystkie pytania, gdybym mówiła, pewnie już bym to zrobiła.

Clay wydaje się nieco bardziej zadowolony z rysunku. Odpręża się. Kiedy jest zdenerwowany, napina twarz i wykręca dolny brzeg koszulki. Ja też dużo na niego patrzę. Niewiele więcej mam do roboty.

- Ale starczy już o mnie. Porozmawiajmy o tobie. Co na pierwszy ogień? Założę się, że w twoim przypadku klasyk brzmi *Dla-*

*czego nie mówisz?* Mam rację, prawda? To jednak pominię. Wydaje mi się, że są znacznie bardziej interesujące pytania.

Zadaje je. Bardzo dużo pytań. Ale odpowiedzi nie dostaje, więc wymyśla swoje. Z rozkoszą opowiada, że świat nieuchronnie zmierza ku zagładzie, ponieważ Josh Bennett zaprosił mnie na swoją ławkę, a poza tym przyłapano go, jak z własnej i nieprzymuszonej woli rozmawia z innymi ludźmi, a co więcej, uwaga! uśmiecha się! Na te słowa ja się uśmiecham, co Clay przyjmuje z wyraźnym zadowoleniem.

Clay twierdzi, że wśród teorii, wyjaśniających, jak to możliwe, że udało mi się przeniknąć do *Martwej Strefy Josha Bennetta* dominuje następująca: sama jestem martwa. Chce mi się śmiać, bo ludzie uważają, że to bardzo śmieszne, a ja uważam, że w pewnym stopniu prawdziwe. Inni przypuszczają, że należę do jakiejś sekty i wyprałam Joshowi mózg. To moja ulubiona teoria. Koniecznie muszę mu o niej powiedzieć.

- Ale przynajmniej tego ćwoka Ethana masz z głowy po dzisiejszym dniu - mówi Clay.

Rzucam mu zdeorientowane spojrzenie.

- Nie słyszałaś? - Robi wielkie oczy, nie rozumiem dlaczego, bo przecież wie, że nikt ze mną nie rozmawia. - Dziś po południu Ethan przechwalał się na korytarzu, że obciągnęłaś mu w kiblu.

Wzruszam ramionami. Nic nowego. Ethan non stop opowiada takie historie, szczególnie od kiedy się zorientował, że nie zamierzam ich dementować. Trzy osoby, na których zdaniu mi zależy, wiedzą, że to nieprawda, zresztą odnoszę wrażenie, że każdy, kto trochę zna Ethana, również wie, że to nieprawda. Claya wyraźnie dziwi mój spokój, ale z tym większym zapalem opowiada, co było potem.

- Jasne, nic nowego, co? Ale tym razem tak się złożyło, że akurat szedł za nim Josh. To było niesamowite, mówię ci. Michelle i ja mieliśmy miejsca w pierwszym rzędzie. Josh przypiera Ethana do ściany, Ethan gada coś w stylu „Nie boję się ciebie, Bennett”, a Josh: „Świetnie. To pewnie następnym razem, kiedy mnie zobaczysz, nawet nie będziesz próbował uciekać, doskonale się składa, bo jeśli jeszcze raz wypowiesz jej imię, zrobię tak, że sam sobie obciągniesz”. A najlepsze, że nawet nie podniósł głosu. Całkowity spokój i opanowanie, aż ciary poszły po plecach. A potem puścił Ethana i poszedł sobie jak gdyby nigdy nic. - Clay unosi brwi. - No i co? Niesamowite.

Wcale nie uważam, że to takie znowu niesamowite. Wiem, jak bardzo Josh nienawidzi zwracać na siebie uwagę, wolałabym, żeby nie robił tego ze względu na mnie.

Clay kończy rysować. Kiedy sprząta, idę po swoje rzeczy. Uważam, że co najmniej dziesięciokrotnie spłaciłam dług za trzymanie mi drzwi. Teraz on jest mi coś winien. Wyciągam z plecaka zdjęcie, które leżało tam od wielu dni, podaję mu. Potem biorę kartkę i długopis i piszę swoją prośbę.

## Rozdział 45

### *Nastya*

Dopiero ponad rok później przypomniałam sobie, co się wydarzyło. Przez pierwsze dni, tygodnie, miesiące wiedziałam tylko to, co wszyscy pozostali. Wiedziałam, że szłam do szkoły, by nagrać ostatni utwór na przesłuchanie. Najpierw skoczyłam do domu, przebrałam się i przygotowałam. Tamtego dnia przejmowałam się najdrobniejszymi szczegółami swojego wyglądu, szczególnie zależało mi na tym, żeby dłonie pięknie wyglądały. Starannie pomalowałam paznokcie. Włożyłam jasnoróżową bluzkę z perłowymi guziczkami i białą spódnicę z dziurkowanego materiału, w tym stroju mnie znaleziono, tyle że guziki odpadły.

Wiem dokładnie, w którym miejscu, w gęsto zadrzewionej części rezerwatu, między parkiem a znajdującym się dalej osiedlem. Wiem, że znaleźli mnie dopiero późnym wieczorem. Burza uniemożliwiła poszukiwania. Od wielu godzin trwała akcja w całym stanie. Moje nazwisko, zdjęcie, opis. Nawet kiedy już mnie znaleźli, niezdrowe zaciekawienie bynajmniej nie przycichło. Ludzie nigdy nie mają dosyć tragicznych historii ze ślicznymi małymi dziewczynkami w roli głównej. Stanowiłam sensację, szczególnie na początku, kiedy nie było pewne, czy przeżyję.

Wiedziałam, że zawieziono mnie do szpitala i natychmiast zabrano na operację, moje serce zatrzymało się na dziewięćdziesiąt sześć sekund, ale potem mnie restartowali.

Wiedziałam, co mi się przydarzyło dzięki bardzo długiej liście obrażeń. Przez wiele miesięcy tak właśnie się czułam. Jak lista obrażeń. Suma ran i bólu. Całe moje ciało było zrobione z bólu.

Któregoś dnia usłyszałam, jak jeden z wielu moich lekarzy, nieświadom, że słucham, rozmawia z policjantem. *Złapaliście tego potwora?* zapytał. Policjant odparł, że nie. *Kiedy go złapiecie, powinniście go powiesić. Zniszczył tę biedną dziewczynę.* Chyba miał rację, bo dokładnie tak się czułam, a kiedy twój lekarz twierdzi, że jesteś zniszczona, to wierzysz, że wie, co mówi.

- Zawsze spałeś w T-shircie? To znaczy, przede mną? - pytam Josha, kiedy kładziemy się do łóżka. Asher nienawidzi spać w ubraniu. Twierdzi, że wszyscy faceci tego nie cierpią, ale nie wiem, czy to prawda. Josh zawsze ma na sobie T-shirt i bokserki. Nie pozwala mi wyjmować bielizny z suszarki, ale najwyraźniej nie ma problemu z noszeniem jej w moim towarzystwie.

- Przed tobą bez niczego - odpowiada. Słyszę, że się uśmiecha, chociaż nie mogę tego zobaczyć.

- O. - Czuję, że twarz mnie pali. - Przykro mi.

- Niepotrzebnie - śmieje się. - Korzystna zamiana. - Jego dłoń odnajduje mój policzek. Pochyla się i całuje mnie, jego usta są zaproszeniem, które wcześniej czy później będę musiała przyjąć. -Gdybym tak dobrze cię nie znał, pomyślałbym, że się rumienisz.

Ale prawda jest taka, że on wcale dobrze mnie nie zna. W ogóle mnie nie zna.

Po raz pierwszy od wielu tygodni nie siedzimy w garażu przez pół nocy. Jest jeszcze wcześniej, ale mówię, że jestem śpiąca i chcę się położyć. Wcale nie jestem śpiąca. Mam nadzieję, że pójdzie ze mną. Po jakichś piętnastu minutach słyszę, że wychodzi spod prysznica. Kładzie się obok mnie, całuje mnie we włosy, mówi dobranoc i jak zwykle spleta palce z moimi palcami, jakby chciał przypomnieć mi, że jest tuż obok, a może sobie o tym, że ja jestem tuż obok.

Wkładam rękę pod jego koszulkę, przesuwam do góry, aż docieram do piersi i czuję bicie jego serca. Słyszę, jak na moment traci oddech, zaskoczony. Jest ciepły i mocny, pragnę dotykać go wszędzie. Powinnam przestać, bo wiem, dokąd to zaprowadzi. Ale sama zaczęłam i wcale nie chcę przestać.

- Słoneczko. - To wszystko, co mówi.

Kładzie dłonie na moich dłoniach, przez materiał.

- Możesz ją zdjąć, jeśli chcesz - mówię.

- Wolalbym zdjąć twoją - rzuca żartobliwie.

- To też - mówię, całkowicie poważnie. Czuję, jak spina się lekko pod dotykiem, ale nie wykonuje żadnego ruchu, nic nie mówi, i leżymy tak przez chwilę, oddychamy i próbujemy wzajemnie odczytać swoje myśli.

- Masz moje pozwolenie - szepczę.

Nie jest tak, że nigdy wcześniej się nie dotykaliśmy. Tylko że nigdy wszędzie naraz. Ja jak zwykle mam na sobie jego T-shirt. Zdejmuje mi go przez głowę, pozwalam na to, bo właśnie tego chcę. Chcę, żeby mnie dotykał. Tutaj. Teraz. Wszędzie. Zawsze.

- Chciałbym cię zobaczyć - mówi.

- Cieszę się, że mnie nie widzisz - odpowiadam. Za dużo blizn. Mogę zwalić na nie winę, chociaż tak naprawdę przyczyna jest inna.



Czuję się z nim lepiej niż z kimkolwiek na całym świecie, mam ochotę uciec, zanim to zniszczę. Ale potem jego T-shirt też znika, a nagie ciało przywiera do mojego tak, że nie zostaje ani odrobina przestrzeni. Odgarnia moje włosy do tyłu, mrucząc coś w stylu „zawsze te głupie włosy na twarzy”, ale nie zabiera rąk, a potem mnie całuje, bardzo długo.

Przesuwa się odrobinę, sięga do stolika nocnego po kondom. Zastanawiam się, czy mu powiedzieć, że nie trzeba. Potem pochyla się nade mną, znowu mnie całuje, skupiam się tylko na tym. Bo to jest prawdziwe. Realne, cudowne i autentyczne. Potem delikatnie wsuwa kolano między moje nogi, a chwilę później czuję, jak we mnie wchodzi. Wiem dokładnie, w którym momencie uświadamia sobie prawdę - jedną z bardzo wielu rzeczy, których mu nie powiedziałam. Bo w tym momencie zatrzymuje się. Zamiera. Już mnie nie całuje. Patrzy na mnie, a jego oczy są tak blisko, mam wrażenie, że potrafią odczytać moje myśli.

Wiem, że zaraz coś powie, a nie chcę tego, bo to oznacza, że zacznę mówić. Sprawia, że poczuje się bezpieczna, a ja już nigdy więcej nie powinnam czuć się bezpieczna.

W jego oczach jest tysiąc słów, ale mówi tylko jedno.

- Słoneczko? - To pytanie. A może wiele pytań, ale nie pozwalam mu na zadanie żadnego z nich.

Obejmuję go, chociaż nie wiem, czy to coś da, unoszę biodra i przyciągam go do siebie. Przez sekundę czuję ostry rozrywający ból, a potem koniec. Zaciskam powieki, ból jest mi dobrze znany, oswojony, chętnie mu się poddaję. Jestem przyzwyczajona do bólu, zresztą nie jest aż tak strasznie. Za to wyraz jego twarzy to coś całkiem nowego - lęk, zmieszanie, zdumienie i, proszę, proszę, proszę, tylko nie miłość.

- W porządku? - Jest we mnie, ale nie porusza się. Trzyma dłonie tuż przy mojej twarzy. Wygląda, jakby się mnie bał.

- Tak - odpowiadam szeptem, ale nie wiem, czy słycać. I nie wiem, czy to prawda. To chyba nie powinno być możliwe, dopuszczać drugiego człowieka tak blisko. Pozwalać mu wchodzić do środka.

## Rozdział 46

### *Josh*

Potem oboje drżymy, przez chwilę czułem totalne oszołomienie, ukojenie i miłość, a teraz czuję tylko zagubienie. Nie wiem, co się stało. Tyle, że się stało. Ona jest tu obok, ale jakby jej nie było. Chciałbym czuć szczęście, ale nie mogę, ponieważ ona płacze. Najpierw bardzo cicho i nie wiem, co się dzieje, bo nigdy nie widziałem jej płaczącej. A potem płacz ogarnia całe jej ciało i jest to straszne, potworne. Nadal prawie nic nie słuchać, ale to drzenie jest chyba jeszcze gorsze, odbiera mi całą niezasłużoną radość, którą czułem zaledwie Chwilę wcześniej.

Chcę uciec. Chcę, żeby przestała płakać, bo nie wytrzymam ani sekundy dłużej. Ten płacz wcale nie jest głośny ani melodramatyczny. Nie. Ale jest rozdzierający, lamie mi serce.

Nie wiem, co takiego zrobiłem, więc tylko tulę ją w objęciach i szepczę *Przepraszam*, nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić. *Przepraszam*. Jeszcze raz i jeszcze, z twarzą w jej włosach. Nie wiem, ile razy to mówię i ile czasu mija, ale nie mogę przestać. I wiem, że to nie wystarczy, bo ona nie przestaje płakać.

Kiedy budzę się rano, nie ma jej. Nie wiem, czy znikła tylko z mojego łóżka czy z domu, czy w ogóle.

Nie przyszła do szkoły. Dzwoniłem trzy razy, chociaż nie powinienem, nie odebrała. Nie zdziwiłem się. Chciałem napisać ese-mes, ale nie potrafiłem znaleźć słów, które nie brzmiałyby rozpaczliwie.

Kiedy wracam, siedzi w garażu. Na blacie, jak kiedyś, krzesło stoi puste po drugiej stronie. Naciskam guzik, automatyczne drzwi opuszczają się, zabierając cały koszmar tej chwili. Wchodzę do domu, bo nie chcę, żeby to stało się w garażu.

Dzisiaj jest Nastyą. Włosy, makijaż, ubranie, wszystko czarne jak do szkoły, tyle że dzisiaj - specjalnie dla mnie. Kręcę głową. Nic w niej nie jest prawdziwe. Patrzyłem na nią przez kilka miesięcy, ale jej nie widziałem. Nie słyszałem jej. Nie znałem jej ani odrobinę lepiej niż wszyscy inni. Czuję, że zawiodłem. Zawiodłem siebie, zawiodłem ją, zawiodłem nas.

Nic nie mówię, ona też nie. Zastanawiam się, czy w ogóle jeszcze się odezwie, a potem moje usta się otwierają.

- Straciłem cię? - Nie o to zamierzałem spytać, ale chcę odpowiedzi. Ma totalnie obojętną minę, uświadamiam sobie, że już całkiem zapomniałem, jak kamienna potrafi być jej twarz.

- Ja straciłam ciebie.

- Wykluczone - mówię. Bardzo cicho.

- Nie chcesz mnie - mówi to całkowicie obojętnie. Jest w niej ten dziwny spokój, który sprawia, że mam ochotę krzyczeć.

Chcę jej powiedzieć, że już nie pamiętam, jak to jest nie chcieć jej, że chyba nie istnieje nic więcej, czego mógłbym chcieć. Chcę ją zapytać, za kogo się uważa, żeby mi dyktować, co mam robić i czego chcę. Ale żadne słowa nie wychodzą z moich ust, być może uznaje to za znak, że przyznałem jej rację.

- A więc to koniec? - pytam.

- A co zostało? - Wreszcie patrzy mi prosto w oczy i wiem, że mówi serio.

- Nie powiedziałaś mi - mówię, ponieważ nie jestem gotowy powiedzieć, że nie zostało nic.

- O czym? - Udaje głupią, co obraża nas oboje.

- Wiesz o czym.

- Nie pytałeś.

- Nie pytałem? - Mój głos chyba poszedł o oktawę wyżej, bo naprawdę nie mogę w to uwierzyć, postanowienie, którego tak długo dotrzymywałem, znika bez śladu. - Nie pytałem? Tego właśnie chcesz? Żeby zaczął zadawać pytania? Teraz? Pozwalasz? Bo mnie się wydaje, że wcale tego nie chcesz, ale dobra, niech będzie. Co się, kurwa, stało z twoją ręką?

Wzdryga się. Może z powodu pytania. Może dlatego, że krzyczę.

- Nie? Tego nie? To może: co się, kurwa, stało dziś w nocy?  
-Odpowiedzi na to pytanie pragnę znacznie mocniej niż odpowiedzi na pierwsze.

Ale ona nie odpowiada, co nie dziwi mnie ani odrobinę, i nie szkodzi, i tak nie zamierzam przestać.

- Powiedz mi! To ty tutaj przyszedłaś, wkradłaś się w moje życie, zaczekałaś, aż każda jego część będzie kręcić się wokół ciebie, a potem odeszłaś. Dlaczego? O co chodzi? To był żart? Nudziło ci się? Chciałaś zabawić się moim kosztem?

- Jestem zniszczona.

- Co? - Nie wiem, co to ma znaczyć. - Ponieważ byłaś dziewicą? - Brzmi to idiotycznie, nagle uświadamiam sobie, jak nie cierpię tego słowa. Może jestem głupi. W każdym razie byłem na tyle głupi, by uwierzyć, że wiem cokolwiek o tej dziewczynie. Ale rzuca dokoła tekstami rodem z rysztocka, jakby mówiła o pieczeniu

ciasteczek, a potem okazuje się, że jestem palantem, bo nie zgadłem, że nigdy wcześniej tego nie robiła. To wszystko moja wina, a ja nawet nie wiem, czym zawiniłem.

- No to dlaczego? Dlaczego chciałaś się ze mną przespać?  
-Nienawidzę tego desperackiego tonu.

- Ponieważ wiedziałam, że ty tego chcesz. - Bezpośrednio. Zimno. Rzeczowo. Pusto. Wie, że to kłamstwo.

- Gówno prawda, Słoneczko. - Już nie kontroluję swojego głosu. Jestem bardziej niż wkurwiony. - Straciłaś dziewictwo, bo ja tego chciałem? Nie waż się tak mówić. Nigdy bym tego nie zrobił.

- Ty nic nie zrobiłeś. To ja zrobiłam. Użyłam cię. - Martwy spokój w jej głosie doprowadza mnie do szału.

- Do czego? - Cały trzęsę się z wściekłości.

- Tylko ta jedna rzecz nie była zniszczona. Chciałam dokończyć dzieła. - Czubkiem buta rysuje kółka na podłodze.

- Co to ma znaczyć, do cholery?

Nic. Tyle mi powiedziała. Tyle jestem dla niej wart.

- Twierdzisz, że wykorzystałaś mnie, żebym cię zniszczył? - pytam z wymuszonym spokojem, sam nie wiem, skąd go wzięłem. Może jej lodowaty chłód zaczyna mnie dosięgać. - No kurwa, to teraz wszystko jasne. - Śmieję się, z goryczą. Przechodzę przez pokój i walę pięścią w drzwi do sypialni. Drzazgi wbijają mi się w rękę. Wzdryga się, ale szybko opanowuje. Kamienna twarz powraca, jest tylko Nastya.

- No i co? Udało mi się?

Przytakuje. A ja znowu się śmieję, bo nie potrafię wydać z siebie innego dźwięku.

- To świetnie. - Nie mogę przestać się śmiać, podejrzewam, że oszalałem. Wyrzucam ręce do góry. Skończyłem. - Moje gratu-

lacje. Chciałaś się zniszczyć? Osiągnęłaś znacznie więcej, bo przy okazji zniszczyłaś też mnie, Słoneczko. Teraz oboje jesteśmy głównowarcami.

Nie rusza się. Patrzy w ziemię. Ręce zaciska w pięści, tak jak ja. Siadam, bo kolana mi się trzęsą. Pochylam się, przyciskam ręce do oczu. Nie widzę jej, ale wiem, że ciągle tam jest.

- Wynoś się z mojego domu.

- Mówiłam, że masz mnie nie kochać - szepcze, jakby mówiła to do siebie.

- Uwierz, Nastya. Nie kocham.

Wychodzi, cicho zamyka drzwi. Po raz pierwszy zwróciłem się do niej po imieniu.

### *Nastya*

*Nastya.* Jakby wypluwał tłuczone szkło. To nie noc z Joshem mnie zniszczyła. Dopiero to. Jego głos. Jego twarz. Jego reakcja na tę całą chorą sytuację. Patrzył na mnie, jakby nie mógł uwierzyć, że to robię, nie mogę go winić, bo sama w to nie wierzę. Ale to prawda. Zrobiłam to, bo taka już jestem.

## Rozdział 47

### *Nastya*

Rzeczywistość przypomina piekło, zasłużyłam na nie, ale potrafię radzić sobie z bólem, jeśli sama go wybrałam.

Drew chodzi wokół mnie na paluszkach, a ja go unikam. Nie chcę go w to mieszać. Należy do Josha. Większość czasu spędzam z Clayem. Albo sama. Samotność byłaby łatwiejsza, gdybym lubiła samą siebie. Ale w tym momencie nie lubię. Ani odrobinę.

Najgorsze są czwarta i piąta lekcja, bo wtedy muszę znosić jego obecność, a nie mogę udawać, że nie istnieje, tak jak to robię przez resztę dnia. Tak jakby to coś pomagało. Jakby cokolwiek mogło pomóc. Mogę udawać, że na niego nie patrzę, że mam na tyle determinacji i poczucia własnej godności i nie pozwolę mu przyłapać się na tym, że na niego patrzę, ale tak naprawdę nie potrafię. Każdego dnia obiecuję sobie, że nie będę patrzeć, a patrzę. Jedyna dobra rzecz jest taka, że nigdy nie zdarza się, by mnie na tym przyłapał. Bo nigdy nie patrzy w moją stronę. I nie powinien. Nie zasłużyłam na niego.

Świat powinien być pełen Joshów Bennettów. Ale nie jest. Ja miałam tylko tego jednego.

I pozbyłam się go.



Któregoś dnia siedzimy z Margot przy stole w kuchni, próbuję skupić się na wierszu, z którego nie rozumiem ani słowa. Ostatnio pilnie przykładam się do lekcji. I biję rekordy w liczbie przebiegniętych kilometrów.

- Zauważyłam, że znowu tu mieszkasz - mówi.

Wlepiam wzrok w linijki wiersza, jakbym liczyła, że słowa nagle oderwą się od kartki i przefruną prosto do mojej głowy.

- Zapytałabym, gdybyś chciała o tym rozmawiać. - Uśmiecha się, bardzo słabo, próbuje, ale to nie ma sensu. Teraz wszystko jest bez sensu. Ja jestem bez sensu.

Zaczęłam nawet jeździć na weekendy do domu, żeby nikt nie oczekiwał mnie na niedzielnym obiedzie. Może to jedyna rzecz, która ma jakiś sens.

Nikt nie pyta, skąd ta zmiana. Przyjmują moje wizyty bez komentarza.

Któregoś razu dostaję jeszcze jeden prezent urodzinowy. Zamiast telefonu, którego nie wzięłam, mama daje mi aparat fotograficzny. Prostszy, nie aż tak zwariowany jak ten jej, ale chyba w ogóle nie chodzi o sam aparat. Tak naprawdę daje mi część siebie. Próbuje zastąpić moją utraconą część. Nie wiem, czy to dobry pomysł czy zły, ale męczy mnie ciągle osądzanie i analizowanie cudzych motywów, zaczynam rozumieć, na czym polega problem i wiem, że chodzi o mnie. Straciłam Josha. Drew w pewien sposób też. Potrzebuję mamy. Potrzebuję ciepła bezwarunkowej miłości, tak mocno, że jestem skłonna zignorować cenę i po raz pierwszy od niemal trzech lat potrafię się do tego przyznać, nawet jeśli tylko we własnej głowie.

Na razie nie rozmawiamy, ale kto wie.

Mama pokazuje mi, jak posługiwać się aparatem, łazimy dokoła i robimy zdjęcia wszystkiego i niczego. Nawet nie dręczy mnie za bardzo o formę i kompozycję. Czasami ręka mi drży i wszystko psuję, ale nie zwracamy uwagi.

W każdą niedzielę uczę tatę robić naleśniki od zera, nie z gotowej mieszanki, to właściwie jak pieczenie, tyle że na patelni, więc mi pasuje.

Nic nie jest doskonałe. Nawet nie jest okej, ale kto wie.

Dzisiaj za nim tęsknię. Tęsknię za nim co dzień. Pojechałam nawet do Home Depot, tak tylko, pospacerować między półkami z drewnem, próbować normalnie oddychać.

W czasie długiej przerwy znowu chowam się w łazience. Clay blokuje dla mnie drzwi, udajemy, że nic się nie stało.

Moje ręce znów są miękkie.

W przyszłym tygodniu Josh kończy osiemnaście lat.

### *Josh*

- Od kogo? - pytam, kiedy pani Leighton wręcza mi ostatni prezent. Zjedliśmy obiad i zaliczyliśmy tort. Część z życzeniem pominąłem. Nie chcę tu być.

- Leżał przed drzwiami. Na kartce widniało tylko twoje imię. Żadnej wizytówki.

Rozdzieram papier. Chciałbym zniknąć, przenieść się w jakieś miejsce, gdzie mógłbym zostać sam. Chciałbym, żeby inni nie patrzyli na mnie, kiedy ja patrzę na ten rysunek.

Ramka jest prosta, czarna. Nic specjalnego. Ale sam rysunek wali mnie po ryju, rzuca na ziemię i kopie raz po raz.

Kiedy ściągam papier do końca, na podłogę spada zdjęcie. Drew podnosi je, ogląda, oddaje mi, chociaż widać, że wcale nie ma na to ochoty.

Znam to zdjęcie. Leżało w albumie na półce w salonie. Przedstawia mamę z Amandą na kolanach. Nie patrzą w obiektyw, tylko na siebie, uśmiechają się, ale wyraźnie widać ich twarze. Obie są piękne i nagle uświadamiam sobie, że o tym zapomniałem, podobnie jak o tylu innych rzeczach, które utraciłem z powodu zapomnienia, bo nie było nikogo, kto mógłby mi przypomnieć.

Zdjęcia są wszędzie, w całym domu. Wszędzie. Nie ukryłem tych, których kochałem. Nadal wiszą na ścianach, głównie dlatego, że zawsze tam byli. Nie umieściłem ich tam, ale też ich stamtąd nie zabrałem. Zostawiłem tam, gdzie są, jak gdyby nic się nie zdarzyło. Ale z tym zdjęciem było inaczej. Już od wielu lat leżało w albumie. Uwielbiam je. I całkiem o tym zapomniałem. I widzę je. Nie tak jak te na ścianach, które mijam codziennie, tyle razy, że od dawna nie zwracam na nie uwagi.

Rysunek, oprawiony w ramki, to idealna kopia węglem tego zdjęcia, tyle że w powiększeniu. Chociaż jest czarno-biały, widzę wyraźnie, jak kąciki oczu mamy marszczą się od uśmiechu, jak moja siostra oddycha i przez moment wydaje mi się, że żyją. To robota Claya, bez wątpienia. I tylko jedna osoba mogła dać mu to zdjęcie. Ale jej też tu nie ma, ona też mnie opuściła.

Nie ma prawa tego robić. Nie ma prawa utrudniać mi nienawiści, bo muszę jej nienawidzić, potrzebuję tego najbardziej ze wszystkich rzeczy na całym świecie.

- Zapomniałem, jaką fajną laską była twoja mama - mówi Drew, który nie cierpi niezręcznych sytuacji, a potrafi rozluźnić

napięcie tylko w jeden sposób - przypominając nam, że jest dupkiem. Uwielbiam go za to.

Pani Leighton wali Drew po ramieniu. Pan Leighton podchodzi i wali go po głowie, a potem przyciąga panią Leighton do siebie i całuje jej włosy.

A ja wracam do domu sam.

Minęło pięć tygodni, odkąd wyszła. Zacząłem liczyć w sekundzie, kiedy zamknęły się za nią drzwi. Ciekawe, kiedy przestanę.

- Co tam u rodziny Corintho? - Drew wchodzi do salonu i wali się na kanapę. Wyłączam telewizor, bo i tak nie oglądam, i wszystko mi jedno.

- No - mówi po przepisowych piętnastu sekundach ciszy, co stanowi maksimum jego możliwości. - Powiesz mi kiedyś, co się stało?

- Nie - odpowiadam, zgodnie z prawdą. Ponieważ to ostatnia rzecz, o której mam ochotę rozmawiać. Ponieważ mógłbym zacząć ryczeć i, szczerze, ponieważ nie mam pojęcia, co tak naprawdę się stało. - Nie sędzę.

Drew kiwa głową, nie dyskutuje. Wiem, że jego też unika, nawet na zajęciach z retoryki.

- Brakuje mi jej.

- Przyzwyczaj się - mówię i włączam telewizor.

## Rozdział 48

### *Nastya*

Odwracam się od lustra w damskiej łazience na końcu korytarza obok sal, w których odbywają się zajęcia z teatru - mojej ulubionej, bo w tym semestrze nie ma zajęć i łazienka jest niemal zawsze pusta. Do środka wchodzi Drew.

- Zakładam, że jesteśmy sami - mówi, zamykając drzwi.  
- Sprawdziłem chyba ze cztery łazienki. Zaczynałem obawiać się o swoje bezpieczeństwo.

- Serio, Drew? - mówię szeptem. Ledwo mnie słysząc, nieważne, że drzwi są zamknięte i nikogo nie ma w pobliżu.

- Brakuje mi ciebie - mówi, tak jakby go to usprawiedliwiało.

- Przeżyjesz.

- Ty też za mną tęsknisz. Przyznaj, Nastyo-bestio. Ma rację. Strasznie mi go brak.

- Co to ma być, tak w ogóle? Bestio? Jakbym była jakimś wściekłym zwierzątkiem?

Robi mię, jakby musiał rozważyć tę kwestię.

- Przybyłem, by wyciągnąć cię z otchłani.

- Przybyłeś, by o coś mnie poprosić, więc dawaj, nie mam ochoty rozmawiać w tym miejscu.

- Chcę, żebyś w piątek znowu robiła za moją obstawę.
  - Nie, nie i jeszcze raz nie. Zaraz, czekaj. Nie.
  - A jeśli ładnie poproszę?
  - A jeśli odmówię? - Próbuje rzucić mi to swoje spojrzenie, ale ten etap jest już od dawna nieaktualny, chce mi się śmiać. -Nie musisz ciągać mnie ze sobą. Powiedz, że spotykasz się ze mną po imprezie. Kupią.
  - Nikt tego nie kupi po historii z Joshem. Nikt by nie uwierzył, że jestem do tego zdolny.
  - Jesteś zdolny do wszystkiego.
  - Za wyjątkiem tej jednej rzeczy i wszyscy o tym wiedzą. Josh to jedyna osoba na świecie, której nie zrobiłbym czegoś takiego.
  - O tym nie będziemy mówić, więc nie wspominaj więcej jego imienia i nie próbuj naprowadzać rozmowy na jego temat.
  - Ta rozmowa jest o nim, niezależnie od tego, czy o nim wspomnę czy nie.
- Pod moim spojrzeniem unosi ręce obronnym gestem. Nie zamierzam rozmawiać o Joshu.
- Dobra. Chciałem tylko wspomnieć, że uważałem się za człowieka o skłonnościach autodestrukcyjnych, ale dzięki wam poczułem się całkiem normalny.
  - U niego wszystko w porządku?
  - Jestem prawie pewien, że raczej wręcz przeciwnie, ale jestem też prawie pewien, że o tym wiedziałaś, zadając to pytanie.
  - Co on ci powiedział?
  - E-e. Nie gram w tę grę. Sama ustaliłaś zasady. Nie rozmawiamy o Joshu. - Siada wygodnie na blacie, jakby znajdował się we własnej kuchni. - Na razie załatwmy moje sprawy. Nie chodzi o to, by myśleli, że jestem z tobą. Chcę, żebyś poszła tam ze mną

i mnie pilnowała. Inaczej skończy się tak, że spędzę tę imprezę, łażąc po całym domu i pytając wszystkich po kolei, czy ją widzieli. A potem pewnie nagadam jakichś beznadziejnych rzeczy na jej temat, żeby tylko wypowiedzieć jej imię albo przyciągnąć jej uwagę. - Teraz nie wypowiada jej imienia, oboje wiemy jednak, o kim mowa. - Musisz uratować mnie przede mną samym. A przy okazji uratujesz siebie od skrajnej nudy i samotności. Obustronne korzyści.

Na pewno nie dla mnie. Wolałabym przyszyć sobie wargi do języka niż iść na tę imprezę. Siadam na blacie obok Drew, wypuszczam powietrze z płuc, Drew robi to samo.

- Powinienem znowu stać się taki jak przedtem - mówi. - Byłem fantastyczny, przez nią stoczyłem się na samo dno.

- Jeśli tego właśnie chcesz, do dzieła. Zaczynij dzisiaj wieczorem. Na pewno bez problemu znajdziesz jakąś dziewczynę, chętną potowarzyszyć ci w drodze powrotnej do świata bezmyślnej rozpusty.

Nie odpowiada, oboje wiemy, że już raz przegrał, wybierając tę drogę i nadal nie może sobie tego wybaczyć. Nie wiem, czy istnieje inne rozwiązanie, ale próbuję.

- Nie możesz umówić się z jakąś inną dziewczyną? Tak na serio? Spróbować stworzyć normalny związek? Schrzanileś sprawę z Tierney, ale mógłbyś wyciągnąć z tego jakieś wnioski i następnym razem nie schrzanić. - Kretyńska rada. Gdyby on powiedział mi, że mam wyciągnąć wnioski z historii z Joshem i wykorzystać tę wiedzę na kimś innym, przestawiłabym mu szczękę. Ale nic innego nie mogę zaproponować. - Na przykład Tessa Walter? -rzucam.

Potrząsa głową.

- Obląkane spojrzenie.

- Macy Singleton?

- Za głośno się śmieje.

- Audrey Lake?

Tym razem patrzy na mnie tak, jakbym zasugerowała randkę z Antychrystem.

- Ona mówi „ubrać buty”. - Gdyby Drew Leighton był kobietą, to byłaby ta jedna niewybaczalna rzecz.

- To czemu nie spróbujesz jeszcze raz z Tierney? - Chce tylko jej. Mogłabym wymienić wszystkie dziewczyny w szkole, a u każdej znalazłby jakąś wadę.

- Nie mogę poprosić, żeby mi wybaczyła. Straciłbym dla niej szacunek. Nie zasłużyłem na to.

Ja też nie zasłużyłam. Nie jestem aż taką hipokrytką, żeby z nim dyskutować.

- Nie możemy sobie po prostu darować? Nie musisz iść. Nigdy nawet nie pijesz na tych imprezach. Po co masz spędzać czas w towarzystwie bandy schlanych palantów? - To prawda. Zauważyłam to dopiero po jakimś czasie, ale potwierdzało się za każdym razem. Drew zaraz na wejściu dostaje drinka, a potem nosi go ze sobą przez cały wieczór i wszystkim się wydaje, że ciągle coś pije, a on nigdy nie pije.

- Zauważyłaś? - Chyba mu zaimponowałam. - Jesteś pierwsza.

- Przypuszczam, że istnieje jakiś powód. - Spodziewam się, że powie coś o jeździe samochodem, ale nie.

- Kara Matthews - odpowiada, jakby to wszystko tłumaczyło, ale Drew wie, że nie tłumaczy i czekam, aż powie resztę. - Nawet tego nie pamiętam. Tierney nie zostawiła na mnie suchej nitki i miała rację. Wszystko, co powiedziała na mój temat, było praw-



dą, za wyjątkiem tego, że mi na niej nie zależało. Ale co do całej reszty trafiła w sedno. Na tamtej imprezie tak się schlałem, że przeleciałbym pewnie każdą chętną laskę. Spieprzyłem sprawę z Tierney i nawet nie pamiętam, jak to robiłem.

- I myślisz, że gdybyś tak się nie schlał, to byś tego nie zrobił?

- Nie - mówi szczerze. - Pewnie bym zrobił. Ale przynajmniej bym wiedział. Przynajmniej dokonałbym świadomego wyboru.

Rozumiem go doskonale. Nie mógłby pograć się w bólu, który sam sobie zaserwował, ale przynajmniej mógłby powiedzieć, że to był jego wybór. Ale nie tylko to go dręczy. Jest coś jeszcze. Nikła niewielka możliwość, że może jednak by do tego nie doszło. Może gdyby tak się nie upił, wszystko ułożyłoby się zupełnie inaczej i teraz byłby z Tierney, a nie w damskiej łazience, dręczony wizją straconych możliwości.

Wzrusza ramionami z rezygnacją.

- Mam nadzieję, że następnym razem, kiedy zniszczę swoją szansę na szczęście, przynajmniej będę pamiętał, co robiłem.

Co znacznie ułatwiłoby mu pograżanie się w pogardzie do samego siebie.

Mogłabym powiedzieć, że nie wiem, czemu się zgodziłam, ale byłoby to kłamstwo. Mnie też brakuje Drew. I mam dosyć samej siebie. Już wolę spędzić ten wieczór, pijąc zwietrzałe piwo w towarzystwie ludzi, którzy mnie nie lubią. I tak nikt nie pała do mnie taką nienawiścią jak ja sama, więc zawsze to jakiś progres.

Kiedy docieramy do domu Kevina Leonarda, już jest tłum. Muzyka ryczy na cały regulator, zastanawiam się, kiedy sąsiedzi wezwą policję. Liczę na nich, bo wtedy mogłabym stąd pójść, bo już żałuję. Nie przeszkadzają mi ludzie. Nawet lepiej czuję się

w tłoku, ale ta muzyka doprowadza mnie do szału. Potrzebuję ciszy, muszę słyszeć, co się dzieje.

Idę za Drew, palce zaczepiłam o szlufki przy jego pasku, żeby się nie zgubić. Mam nie odstępować go na krok, jestem do usług.

Damien Brooks podchodzi do nas pierwszy. Nie mogę go ścierpieć, ale przynajmniej go znam.

- Drew! - Już jest pijany. Wystarczy jedno słowo. - Wiem, że miałeś ją pierwszy, ale nie spodziewałem się, że będziesz kończył robotę po Bennecie. Stary, masz jaja. - Śmieje się z uznaniem. Drew też się śmieje. Mnie nie ma. A nie, zaraz. Jestem, oni tylko tak rozmawiają. Na szczęście mam to gdzieś.

A potem Damien robi wielkie oczy, jakby właśnie odkrył budowę atomu albo masturbację.

- Dzieliliście się nią przez cały czas?

Może jednak nie mam gdzieś. Nie do końca. Bo nie chcę dłużej tego słuchać. Chwytam rękę Drew i ciągnę go za sobą. On też chyba ma dosyć, bo nie próbuje się opierać.

A oto Tierney. Snajperka, a ja jestem żywą tarczą. W gruncie rzeczy bardzo ją lubię i wolałabym nie grać roli osoby, która ma za zadanie trzymać Drew z dala od niej. Nagle ogarnia mnie wielka chęć, żeby ich pogodzić, ale hipokryzja wali mnie po twarzy, zanim zdążę rozważyć ten pomysł.

Idziemy do kuchni na tyłach domu. Kevin Leonard obsługuje beczkę z piwem, dokoła kłębi się tłum. Zaczynają skandować imię Drew, jakby był ich bogiem, przypuszczam, że gdybym była nastolatkiem pozbawionym wdzięku i powodzenia u płci przeciwnej, też bym się do niego modliła. Po chwili dostajemy po szklance ciepłego piwa i wychodzimy z kuchni, z trudem torując sobie drogę.

Godzinę i cztery paskudne piwa później opieram się o ścianę i przyglądam się Drew i dziewczynie w bardzo skąnym i bardzo błyszczącym topie, która bez żenady flirtuje z nim na moich oczach. Zgodnie z przewidywaniami Drew nadal trzyma w ręku to samo piwo, które dostał na wejściu i z którego została połowa. Nie jestem kompletnie zalana, ale zmęczona i chcę do domu. W każdym razie wypiałam tyle, że mózg nie bombarduje mnie kazaniami na temat mojej niepomiernej głupoty. Zamiast tego szepcze kusząco, że może to całkiem niezły pomysł zadzwonić do Josha. Zadzwonić po pijaku do idealnego, niewiarygodnego, cudownego faceta po tym, jak go potraktowałam - za coś takiego należałby mi się złoty medal za egoizm. Nie mogę w pełni rozważyć tej myśli, bo muszę wracać na stanowisko.

Tierney zmierza w naszą stronę, błyszczący top się zmywa. Tierney już tak ma. Nikt nie śmie z nią zadzierać. Chciałabym ją uściskać i powiedzieć, że jest nieeeesamowita, może upiłam się bardziej, niż mi się wydawało. Nic dzisiaj nie jadłam, pewnie dlatego. Błąd nowicjuszeki.

Podchodzę do bardzo brzydkiego (od pewnego czasu zwracam uwagę na takie rzeczy) stolika, żeby odstawić szklankę. Nie chcę więcej pić. Muszę tylko ocalić Drew przed Tierney, spełnię swój obowiązek, a potem Drew odwiezie mnie do domu.

Kiedy się odwracam, Drew już nie ma. Tierney też nie.

Przepychem się przez tłum, szukam wzrokiem któregoś z nich, zakładam, że jedno doprowadzi mnie do drugiego, ale nie mogę wołać ich głośno po imieniu ani pytać, czy ktoś ich widział. Staję pod ścianą, z dala od chaosu. Wtedy podchodzi do mnie Kevin Leonard.

- Dobrze się bawisz?

He? Sądzi, że mu odpowiem? Wyciągam kciuki w górę idiotycznym gestem i szykuję się do odejścia. Dług Drew Leightona gwałtownie rośnie. Robię w myślach listę życzeń. Na razie jest na niej tylko jeden punkt i zdaje się, że Drew nic tu nie pomoże.

- Chcesz iść ze mną do łóżka? - pyta Kevin. Tego nie było na liście. Próbuję wyminąć Kevina i jego monstrualne ego. Jest wstawiony, a ja z każdą minutą coraz bardziej trzeźwieję. Naprawdę chcę wrócić do domu. I chcę skopać Drew dupę. Nie wiem, której z tych rzeczy pragnę bardziej. Kevin Leonard nadal gada.

- Możemy iść do mojego pokoju. Zablokowałem górę. Nikt się nie dowie.

*Ja się dowiem, palancie.* I do końca życia będę usiłowała wyrzucić to wspomnienie z pamięci.

- No chodź, kotku. - Oto odpowiedź na moje pytanie. Prawdziwi faceci rzeczywiście tak mówią do lasek. Szkoda, że straciłam poczucie humoru. Albo że nie mam wolnej chwili, by go zadusić. - Proszę.

Myśli, że chodzi o maniery? Skoro powiedziałaś „proszę”, to jeszcze się zastanowię i jednak dam się przelecieć? Po prostu czekałam na dowód dobrego wychowania. Potrząsam głową tak stanowczo, jak tylko potrafię, i ruszam dalej. Na szczęście Kevin daje za wygraną i nie próbuje mnie ścigać.

Ale podsunął mi pewien pomysł, jeśli nie znajdę Drew w ciągu dziesięciu minut, nie zamierzam czekać na kolejne propozycje. Poradzę sobie inaczej.

Kolejnych dziesięć minut okazuje się równie bezowocnych. Daję sobie jeszcze dziesięć, tak dla sportu, ale w końcu muszę pogodzić się z porażką. Krążę dokoła, trochę się przerzedziło, ale muzyka nadal robi mi tatuaż w uszach i łupie po mózgu. Wysy-

łam do Drew esemesa z pytaniem, gdzie jest, ale nie dostaję odpowiedzi. Wysyłam jeszcze jednego, że idę na górę i próbuję załatwić transport do domu. Nadal bez odpowiedzi.

Przez kilka minut kręcę się w pobliżu schodów, a kiedy Kara Matthews przy aplauzie publiczności zaczyna robić w kuchni bong do piwa, wykorzystuję okazję i niepostrzeżenie przemykam pod taśmą, którą Kevin zablokował wejście na górę, by w ciszy i spokoju skorzystać z telefonu.

Trochę kręci mi się w głowie, ale nawet teraz pamiętam, żeby oglądać się za siebie. Nikt za mną nie idzie. Skręcam w lewo i otwieram któreś drzwi. Opieram się o ścianę, wyczuwam ręką włącznik światła. W pokoju nie ma nikogo. Muzyka nadal huczy, słyszę też zduszone głosy, skandujące imię Kary. Wyjmuję telefon. Są tylko dwie osoby, które mogę poprosić o pomoc. Do Jo-sha chciałabym zadzwonić, ale nie wiem, czy mi wolno. Do Claya musiałabym wysłać esemes, ale równie dobrze mogłam zrobić to na dole, a przyszedłam tu z określonego powodu - ponieważ chciałam zadzwonić do Josha.

Wybieram numer i czekam, ale nie odbiera. Nie włącza się poczta głosowa. Po prostu dzwoni. Kiedy poczta wreszcie się włącza, ja się rozłączam. Nie chcę zostawiać wiadomości, to byłoby zbyt żalosne. Wyciągam klawiaturę i już mam napisać esemes do Claya, z prośbą, by po mnie przyjechał, ale w tym momencie drzwi się otwierają.

I staje w nich Kevin Leonard.

- Tak myślałem, że zmienisz zdanie - bełkocze. Zastanawiam się, ile wysiłku kosztowało go wypowiedzenie tych słów. Chcę ponownie potrząsnąć głową, ale on już jest przy mnie. A ja nie uciekam ani nie próbuję go odepchnąć. Bo jest mi wszystko jedno.

Skoro chcę zniszczyć samą siebie, nadarza się doskonała okazja. Josh odszedł, straciłam go jak wszystko to, co mi odebrano, i co sama odrzuciłam. Nie ma Josha Bennetta. Nie ma już nic.

A potem już nie mogę myśleć, bo Kevin wpycha mi język do ust, smakuje kiepskim piwem, ja pewnie też, to wszystko jest ohydne, ale zasłużyłam. Jedną ręką chwyta mnie za pierś przez ubranie, a drugą wsadza pod spódnicę. Moje ramiona zwisają bezwładnie wzdłuż boków, zamykam oczy i pozwalam na wszystko. Zaczyna ściągać mi majtki, przerywa, żeby pozbyć się sukienki. Podciąga ją, a ja czuję dotyk zimnego powietrza na udach i brzuchu, przypomina mi, że mnie też należy użyć i wyrzucić na śmietnik.

Wsadza rękę między moje nogi, czuję jego palce i robi mi się niedobrze. Może jednak mam dosyć, może jednak nie wybiorę tego bólu.

Odsuwam się od jego ust i ręki, obciążam sukienkę. Jeśli istnieje coś takiego jak ostateczne dno, to właśnie tam się znalazłam. Mogę oszukiwać samą siebie. Mogę oszukiwać Josha. Ale to tylko kłamstwa, nic więcej. Noc z nim niczego we mnie nie zniszczyła, to ja wszystko zniszczyłam, później. Wiedziałam, że to nieprawda, już kiedy to mówiłam, i wiem również teraz. Nie żałuję ani jednej minuty, spędzonej z Joshem. Żałuję tylko tych wszystkich sekund, które nastąpiły później. Żałuję, że rozdarłam jego serce na strzępy. Żałuję, że posłałam nas oboje do piekła.

Jeśli pozwolę na to Kevinowi, jeśli pozwolę samej sobie, zniszczę to, co jeszcze zostało we mnie dobrego. To będzie moja niewybaczalna rzecz. Nieodwołalna, bez powrotu, bo nie zostanie we mnie już nic godnego miłości. A po raz pierwszy w moim beznadziejnym posranym życiu nie mogę tego zrobić. Lub, co ważniejsze, nie chcę.

Odpycham go ręką. Nie mocno czy gwałtownie. Po prostu stanowczo. Potrząsam głową. *Nie*. Próbuję zrobić przeproszającą minę. Czuję się winna. Czy powinnam czuć się winna w tej sytuacji? Nie znam zasad. Obciążam sukienkę najdalej jak się da, ale to jeszcze za mało.

- Co jest, Nastya?

Jeszcze raz potrząsam głową. Samym ruchem warg mówię *Nie mogę*, chcę mieć pewność, że on zrozumie. Rozumie, ale ma to gdzieś.

- Myślisz, że możesz bezkarnie fundować mi sine jaja na mojej własnej imprezie? - Chcę podciągnąć majtki, ale w tym momencie chwytą mnie i znowu zaczyna całować. Nie potrzebuję zachęty. Przydeptuję mu stopę i rzucam się do drzwi, ale ręce mi się trzęsą, a drzwi są zamknięte na klucz, palce nie chcą mnie słuchać. Przekręcam klucz, ale nie udaje mi się nacisnąć klamki. Trzeba było potraktować go bardziej zdecydowanie, ale nie sądziłam, że to konieczne. Chciałam tylko dać mu do zrozumienia, że nic z tego nie będzie, i zyskać chwilę czasu, tak by dopaść do drzwi i uciec. Ale czasu jest za mało. Chwyta mnie za ramię i odwraca w swoją stronę, a ja łapię jego różowy paluszek i odginam do tyłu. Nie zamierzam z nim walczyć, chcę tylko uciec. To wszystko. Słyszę, jak jego palec trzaska. W tym momencie unosi drugą rękę i wymierza mi cios. Automatyczna reakcja, nawet nie wiem, czy zrobił to świadomie. Dostaję z całej siły w twarz, tracę równowagę, a siła ciosu rzuca mnie na róg stolika nocnego. Czuję krew płynącą z kącika oka, wycieram ją. Odwracam się, wymierzam kopniaka, ale on łapie mnie za kostkę i odciąga od drzwi. Majtki opadły mi do kolan, panika zaczyna ścisnąć gardło, zaraz przestanę oddychać.

Czuję się jak w koszmarnym śnie. A on śmieje się, jakby to była zabawa.

- Daj spokój. Sama tu przyszłaś, wyraźnie dałaś do zrozumienia, że chcesz się bzykać. Mogłabyś mi przynajmniej obciągnąć. -Jego głos nie brzmi gniewnie. Raczej jakby próbował mnie przekonać.

Jeśli miałam jakiegokolwiek opory przed regularną walką, to teraz znikły. Problem polega na tym, że nigdy nie byłam za dobra w obronie z pozycji leżącej, poza tym na sali gimnastycznej wszystko wydaje się znacznie łatwiejsze niż w prawdziwym życiu. Znacznie. Piwo też nie pomaga, chociaż czuję się całkowicie trzeźwa.

Nie mam przy sobie kubotanu. Został w mojej torebce, pod siedzeniem w samochodzie Drew, wraz z gazem pieprzowym, nie miałam jak przyczepić go do sukienki. Zresztą sądziłam, że przez cały czas będę z Drew, więc nie pomyślałam, że mogą mi się przydać. Może *nie pomyślałam* to kluczowe słowa.

Prawda jest taka, że wcale nie chciałabym użyć którejs z tych rzeczy przeciwko Kevinowi. Chcę tylko stąd się wydostać. Czuję się tak, jakbym wywołała serię wybuchów, a teraz próbuję uciekać.

Nie dziwi mnie, że musiałam znaleźć się w aż tak beznadziejnej sytuacji, by wreszcie stwierdzić, że nie chcę zniszczyć tych resztek, które zostały z mojego życia. Jestem tragiczną kretynką. Może karma próbuje dać mi to, o co prosiłam, chociaż tak naprawdę nigdy tego nie chciałam. Unicestwić mnie na dobre.

Policzek płonie w miejscu uderzenia, krew zalewa oko, próbuję się skupić, ponieważ boję się, że za chwilę opuszczę ten pokój i znajdę się z powrotem pośród drzew, a w ustach będę czuła smak piachu i krwi. I stracę kontrolę. Zaprzeszanę walki. Kevin Leonard zrobi ze mną, co tylko zechce, mnie już tutaj nie będzie.



Trudno się skupić, bo mój mózg jednocześnie próbuje utrzymać się w stanie przytomności oraz kombinuje, jak załatwić przeciwnika. Kevin leży na mnie, przyciska moje ręce i nogi, znowu próbuje wepchnąć mi język do ust. Jestem całkowicie unieruchomiona. Nie mogę przesunąć się nawet o milimetr. Pochyliłam się w jego stronę, żeby wziąć zamach i walnąć go głową w twarz, to jedyne, co mogę zrobić. Celuję w grzbiet nosa, ale nie udaje mi się, trafiam czołem w jego czoło. To błąd, ale on jest tak pijany, że wystarcza. Głowa pęka mi z bólu, jego spocone cielsko spada na mnie, przygniata ciężarem wszystkich błędnych decyzji, które podjęłam przez ostatnie trzy lata.

- Zapomnij! - Ślina cieknie mu z ust.

Chyba do jego zamroczonego łba wreszcie dociera, co się dzieje, bo patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby dopiero teraz zobaczył, że leżę na podłodze, a z rany na czole leci mi krew. Odchyła się do tyłu. W tym momencie drzwi się otwierają i widzę twarz Drew Leightona.

- Co jest, kurwa? - wyrzuca z siebie Kevin. W jego głosie jest więcej zażenowania niż złości, ale nie zamierzam szukać dla niego usprawiedliwienia, tak jak nie zamierzam szukać usprawiedliwienia dla samej siebie. Kevin próbuje ze mnie zleźć, a ja wykorzystuję okazję, odwracam się i wytaczam spod niego.

Drew przez chwilę, minutę, a może sekundę, wygląda jak zamrożony. Na jego twarzy maluje się tyle uczuć, że nie potrafię ich nawet odróżnić. Zdumienie, odraza, gniew, poczucie winy, strach. Zastanawiam się, jak w takim razie ja muszę wyglądać.

Kevin wstaje chwiejnie, ja też się podnoszę, w głowie nadal kręci mi się od uderzenia. Potem wszystko dzieje się bardzo szybko. Pięść Drew zderza się z twarzą Kevina, który znów pada na pod-

łogę. Patrzę na Drew. Cały się trzęsie. Drew walący kogoś po twarzy to straszny widok. Drew Leighton jest promienny i beztroski, wolny od wszelkich zmartwień. Nie ma w nim ani odrobiny agresji. Wolałabym, żeby do tego nie doszło. Wolałabym, żeby tego nie widział, wiem, że brzmi to idiotycznie, ale czuję, że właśnie stracił niewinność.

Stoi naprzeciwko mnie, jego knykcie krwawią, a na twarzy maluje się wyraz czystej rozpacz i czuję, że powinnam go pocieszyć. Ale nie mogę. Teraz, kiedy wszystko się skończyło, poziom adrenaliny spada gwałtownie i chcę tylko wydostać się stąd jak najszybciej, bo śmierdzą Kevinem Leonardem i cała się trzęsę.

Opieram się o ścianę, a Drew podnosi z podłogi mój telefon, wsuwa go sobie do kieszeni. Spogląda na mnie i klnie pod nosem, naciąga rękaw i próbuje wytrzeć krew z mojej twarzy.

- Możesz iść? - pyta szeptem.

Spojrzeniem daję mu do zrozumienia, że tak i że nie podoba mi się to pytanie. Nic nie mówię. Odwracamy się w stronę drzwi. Nagle uświadamiam sobie, że moje majtki nadal wiszą wokół kostek. Zatrzymuję się i tak stoję, wlepiając w nie wzrok. Drew odwraca się i jego wzrok biegnie śladem mojego, cały się spina. Z jego ust wydobywa się kolejne przekleństwo, a ja schylam się i podciągam majtki, bo nie mogę patrzeć na jego twarz.

- Trzymaj się za moimi plecami, okej? - mówi z wysiłkiem, jakby coś go bolało. Ściska moją rękę, bardzo mocno, aż się boję, że ją zmiażdży i popycha mnie lekko, zasłania własnym ciałem. Kątem oka dostrzegam Tierney Lowell, stojącą w przedpokoju, odwracam się. Zasłaniam twarz włosami, wspieram się na Drew, udaję że jestem totalnie schłana i do niczego, i tak przechodzimy przez tłum, docieramy do wyjścia. Może taka właśnie jestem - do niczego.

Twarz mam spuchniętą i zakrwawioną, ale to nic. Po raz pierwszy dokonałam wyboru, zdecydowałam, że nie spierdolę sobie życia do reszty, ale nie mogę nawet się za to polubić, bo zrobiłam to pięć minut za późno.

Przynajmniej nikt mi nie powie, że to był przypadek.

- Wszystko okej? - pyta Drew po chwili. Od lat nienawidzę tego pytania.

- W porządku - odpowiadam. - Twoja ręka. - Spoglądam na rozbite knykcie, zaciśnięte z całej siły na kierownicy.

- Pieprzyć rękę - warczy, a ja cofam się mimowolnie, bo nigdy nie słyszałam, żeby podnosił głos. - Tak mi przykro. Tak strasznie przykro.

- Wjeżdża na parking przed sklepem i zatrzymuje samochód. Ta cała historia to jakiś koszmar, powtarza to chyba ze trzy czy cztery razy.

- Co się stało? - Brzmi tak, jakby wcale nie chciał poznać odpowiedzi.

- Beznadziejna sytuacja, która wymknęła się spod kontroli.

- Naprawdę? - pyta ostro.

- Jesteś na mnie zły?

- Nie, jestem zły na siebie.

- Dlaczego?

- Bo to głównie z mojej winy znalazłaś się w tym pokoju. W którymś momencie wreszcie sprawdziłem telefon i znalazłem wiadomość od ciebie. Myślałem, że gdzieś na mnie czekasz, nie przypuszczałem, że znajdę cię na podłodze pod Kevinem Leonardem. - Nabiera powietrza, potem wypuszcza je, nie odrywając wzroku od migającego R nad wejściem do sklepu. - Josh mnie zabije.

- Josh ma to gdzieś.

- Wiesz, że to nieprawda, więc tak nie mów. Nie zamierzam teraz dyskutować na ten temat. - W jego głosie słychać wielki ciężar, czuję niemal, jak mnie przygniata.

- Gdybyś wiedział, jak postąpiłam z Joshem, też byś mnie znienawidził. Ma to gdzieś, a ja nie mogę go za to winić.

- Rzeczywiście. Nie wiem, co zrobiłaś Joshowi. Nie mam pojęcia, co się stało, bo żadne z was nie chce mi powiedzieć. Ale wiem, że niezależnie od tego, co to było, to na pewno nie wystarczy, żeby miał gdzieś.

Opuszczam lusterko i oglądam siniec na twarzy i rozcięcie nad okiem. Nie wygląda tak źle, ale policzek i czoło już zaczynają puchnąć, wiem, że jutro będzie znacznie gorzej.

- Miał spodnie na sobie. - Teraz Drew wpatruje się w logo na kierownicy.

Kiwam głową, chociaż na mnie nie patrzy. -Więc nie...

- Nie - przerywam mu. Nie chcę więcej rozmawiać o Kevinie Leonardzie. - Ktoś jeszcze widział?

- Chyba nie. Tierney, ale nas szukała, więc... - Przerywa. - Chyba nikt niczego nie zauważył.

Siedzimy, udając, że zaczarował nas migający znak loterii.

- Nie powinienem był cię zostawiać.

- Ty i Tierney? - pytam, ignorując zawarte w tych słowach przeprosiny.

- Sam nie wiem. - Potrząsa głową, przekręca kluczyk w stacyjce. - Potrzebny ci kompres z lodu.

Nie mówi, dokąd jedziemy. Nie pyta, dokąd chcę pojechać. Wiezie mnie tam, dokąd powinnam pojechać, tam, gdzie on też być może powinien pojechać. Do domu Josha.

Garaż jest zamknięty, ale oboje mamy klucze do domu. Drew otwiera drzwi, popycha je, wchodzi do środka, Drew za mną. Wkraczamy w ciemność w korytarzu i jakąś minutę trwa, nim dociera do nas, co słyszemy. Bardzo żałuję, że mieliśmy klucze. Oddałabym całe wiadro jednocentówek, żeby ich nie mieć.

## Rozdział 49

### *Josh*

- Co, do kurwy nędzy? Jest druga w nocy. - Patrzę na samochód Drew, stojący na podjeździe. Najpierw myślałem, że przywiózł Słoneczko, znowu pijaną, ale w samochodzie nikt nie siedzi. - Zawiozłeś Nastę do domu? - pytam, kiedy idziemy do salonu. „Nastya” brzmi beznadziejnie, ale czuję, że nie mogę już mówić „Słoneczko”.

- Jest w domu.

- No to o co chodzi? Chyba miałeś być u siebie godzinę temu?

- Nadal nie rozumiem, co on tu robi.

- Sarah mnie kryje. - Drew odwraca wzrok, jakby czegoś nie chciał mi powiedzieć, wkurwia mnie, bo jestem pewien, że chodzi o Nastę, pewnie znowu schlała się na jakiejś gównianej imprezie, na które zawsze ją ze sobą ciąga, mam tego dosyć. Ale kiedy spogląda na mnie, jestem prawie pewien, że się pomyliłem.

- Ale co? Co się stało? - Nie odpowiada, więc muszę spytać jeszcze raz. - Co się stało, Drew?

- Sam nie wiem. - Oczy ma czerwone, wygląda koszmarnie.

- Jeśli nie zaczniesz gadać jak człowiek i nie udzielisz mi jakiejś sensownej odpowiedzi, za sekundę wsiadam do samochodu i jadę tam.

- Żadna odpowiedź nie ma sensu, Josh. - Jego mina z przygnębionej zmienia się we wkurzoną. Jego spojrzenie świadczy o tym, że ma na myśli nie tylko Słoneczko.

- Brzmisz zupełnie jak ona. Jakieś tajemnicze brednie. Coś jej się stało?

- Twierdzi, że nie. Jej twarz nie wygląda najlepiej, ale poza tym chyba wszystko w porządku.

- A co się stało z jej twarzą? - Pytam bardzo powoli i zaskakująco cicho.

- Kevin Leonard.

-*Kevin Leonard?* - Mam ochotę rozmazać Drew po ścianie, tak na rozgrzewkę przed Kevinem, chociaż jeszcze nawet nie wiem, co się wydarzyło. - Co on jej zrobił? - Mówię to z największym wysiłkiem. Próbuję panować nad narastającą wściekłością, chcę się dowiedzieć, o co chodzi, ale nie wiem, jak długo wytrzymam.

- Nie wiem. Uderzył ją. Próbował rozebrać. Tak naprawdę nic mi nie powiedziała. - Drew przeciąga ręką po włosach, widzę, że knykcie ma starte do krwi, na koszulce też widać krew.

- Jak to się w ogóle stało, że ją dorwał? Chyba miałeś być z nią przez cały czas? Po to właśnie namówiłeś ją, żeby z tobą poszła?

Drew przygląda się zdartym knykciom, nie odpowiada.

- Gdzie byłeś, do cholery? Ciągasz ją na te imprezy, upijasz, a potem *zostawiasz ją samą?* - Przykładam się, by zabrzmiało to jak oskarżenie.

Unosi głowę, przybiera postawę obronną.

- Ona nie jest bezradną panienką. W razie gdybyś nie zauważył: robi, co jej się podoba. Nigdzie jej nie zaciągałem i nie upiłem jej. To zdarzyło się tylko na tej pierwszej imprezie. Pije całkiem samodzielnie.

- Próbuje się usprawiedliwić, ale bezskutecznie.

- Nienawidzi być sama w tłumie. Sama by cię nie zostawiła.

- I nie zostawiła. - Poczucie winy. To on jej się pozbył. - Wysłała mi eemes, ale nie usłyszałem. Poszła na górę, chciała zadzwonić do ciebie, żebyś po nią przyjechał. Kiedy wszedłem do pokoju, leżała na podłodze, a on na niej. - Opowiada, że miała na twarzy siniec i krwawiła z rany nad okiem, a kiedy dociera do części o majtkach zsuniętych do kostek, nie może dalej mówić, bo próbuje powstrzymać płacz, a gdybym nie czuł w tym momencie takiego wstrętu, chyba też zacząłbym płakać.

- Zostawiłeś ją samą. - Mam ochotę go zamordować. Chcę zrzucić winę na niego, żeby sam nie musiał czuć się winny. O telefonie wolę nawet nie myśleć.

- Tak, Josh! Dokładnie tak było! Zmanipulowałem ją, żeby poszła ze mną na imprezę, a potem zostawiłem ją samą, bo jestem wstrętnym egoistą. Myślisz, że nie wiem? Uwierz, wiem doskonale. Nie musisz mi przypominać, że jestem palantem. Przez całą noc przypominała mi o tym jej twarz, krew i... - Głos znowu mu się załamuje. Przeciąga ręką po włosach. Mam nadzieję, że się nie załamie, bo tego to już na pewno nie zniosę. Bo w tym momencie też widzę jej twarz i krew i boję się, że ja też się załamie. - Uwierz mi - powtarza. - Wiem. Okej?

Stoi oparty plecami o blat kuchenny, a ja naprzeciwko niego, oparty o ścianę. Żaden z nas nic nie mówi, cisza trwa chyba z godzinę, chociaż tak naprawdę pewnie krócej niż minutę.

- Nic ci nie powiedziała?

- Tak naprawdę to nie. - Ze znużeniem potrząsa głową. - Najgorsze, że w ogóle nie wyglądała na zaskoczoną. Tak jakby się tego spodziewała.

- Dlaczego nie przywiozłeś jej tutaj? - pytam.



- Przywiozłem. - Podnosi wzrok, patrzy na mnie, czeka, aż przyswoję te słowa, bo, zszokowany tą całą historią, kompletnie zapomniałem, co robiłem w czasie, kiedy Kevin Leonard próbował dotrzymać jej towarzystwa w sypialni. - Zastanów się, Josh. Pojechaliśmy z imprezy prosto do ciebie, jakieś dwie godziny temu. Garaż był zamknięty, w oknach ciemno, więc pomyślałem, że śpisz, i otworzyłem swoim kluczem. Weszliśmy do środka i jak myślisz, co usłyszeliśmy?

- Weszła razem z tobą. - To nie jest pytanie. To granat ręczny.

- Pomyślałem, że powinna się z tobą spotkać. Że tylko to może jej pomóc. - Jego słowa ociekają cierpkim sarkazmem, nie wiem, którym z nas Drew gardzi w tym momencie bardziej.

- Co powiedziała? - pytam, bardzo cicho, bo tak naprawdę nie chcę wiedzieć. Od chwili, kiedy odeszła, myślałem tylko o chwili, kiedy wróci. Ta chwila nastąpiła dzisiaj wieczorem.

- Nic. Nie odezwała się ani słowem.

- Muszę się z nią zobaczyć. - Wcale nie chcę się z nią zobaczyć. Nie chcę mierzyć się z tym, że ona wie, co zrobiłem. Nie chcę mierzyć się z tym, że ja wiem, co zrobiłem. Ale muszę się z nią spotkać. Muszę się przekonać, że jest i że nic jej nie grozi, nawet jeśli mnie nienawidzi. Jej ból by mnie zabił, ale nienawiść przeżyję.

-Nie. -Nie?

- Nie. - Kategorycznie.

- Kim ty, kurwa, jesteś, żeby mi mówić, co mogę, a czego nie?

- Kim ty, kurwa, jesteś, żeby twierdzić, że możesz?

- A co to ma znaczyć?

- To, że kiedy tu weszliśmy, wyglądała koszmarnie, a kiedy wychodziliśmy, wyglądała jeszcze gorzej.

Niedobrze mi. Nie tak dosłownie, ale czuję, jakbym miał zwymiotować. Moja twarz chyba coś zdradza, bo głos mu łagodnieje. A może po prostu się zmęczył.

- Josh, nawet gdybym uważał, że masz prawo się z nią spotkać, a nie uważam, bo uważam, że w tym momencie zachowujesz się jak ja i bardzo mi się to nie podoba. Ale nawet gdybym tak uważał, to nie zależy ode mnie.

- Ona nie chce mnie widzieć.

- Ona nie chce cię widzieć - potwierdza. Nie daje mi cienia nadziei i po raz pierwszy tej nocy czuję wdzięczność. - Czy powiesz mi kiedyś, co się między wami wydarzyło?

-Nie.

- Dobra. A powiesz, co sobie myślałeś, kiedy bzykałeś się z Leigh?

- Bzykam się z Leigh od wielu lat. - To prawda. To już przyzwyczajenie. Technicznie rzecz biorąc, nie zrobiłem niczego złego. Nikogo nie wykorzystałem. Nie zdradziłem. Nie zostawiłem Nastyi samej w towarzystwie pijanego debila. Mógłbym powiedzieć to wszystko Drew, jej, samemu sobie, ale „nic złego” to trochę za mało, nie potrafi sprawić, że poczuję się mniejszym palantem, niż jestem.

Mogę nawet powiedzieć, dlaczego to zrobiłem. Z tego samego powodu jak za pierwszym razem i każdym kolejnym. Dzięki temu czułem się lepiej, normalnie. Leigh przyszła, powiedziała „cześć” i jak zwykle - to była najprostszą, najnormalniejszą rzeczą na świecie. Usiadła na kanapie, a potem pochyliła się i pocałowała mnie, a ja jej pozwoliłem, bo już nie groziło mi, że zapłacę za to jakąś cenę, już nie musiałem wybierać. Słoneczko dokonała wyboru.

Leigh wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do sypialni, a ja za nią poszedłem. Przynajmniej tej jednej nocy chciałem poczuć, że nie mam już nic do stracenia.

- Nie kochasz jej. - To oskarżenie. Gdyby było coś śmiesznego w całej tej sytuacji, zacząłbym się śmiać, bo naprawdę nie wiem, jak Drew Leigh ton zdołał wypowiedzieć te słowa bez mrugnięcia okiem. Mam ochotę mu przyłożyć, za to i za wiele innych rzeczy, ale coś podpowiada mi, że nie potrzebuję kolejnego powodu, by wkurwić się na siebie tej nocy. Może powinienem go walnąć, żeby mi oddał, bo zasłużyłem. Chcę, żeby mi przyłożył. Chcę, żeby oklepał mi ryj, żebym nie czuł już nic prócz tego bólu. Bo ten drugi jest znacznie gorszy.

Przechodzę na drugą stronę pokoju, chcę zwiększyć odległość między nami, ale on idzie za mną, siada na sofie i wzdycha, jakby przeżywał najdłuższą noc w swoim życiu. I pewnie tak jest, ale nie mogę ofiarować mu współczucia.

- To żadne odkrycie. Może powiesz, co tam masz do powiedzenia i wreszcie sobie pójdziesz?

- Kochasz ją.

- Właśnie stwierdziłeś, że nie.

- Nie Leigh. Nastyę. Kochasz Nastyę. - Nienawidzę tego słowa, brzmi okropnie w ustach Drew. Drew, który zbudował karierę na ośmieszaniu tego słowa, który niszczy wierzące w nie dziewczyny. Drew, który nie ma prawa mnie osądzać, ale proszę, siedzi na mojej kanapie, giry położył na stoliku i właśnie to robi. Nie zaprzeczam. Powinienem zaprzeczyć, powinienem zaprzeczać przez całą noc, aż przekonam nawet siebie samego, że to nie może być prawda. Że nie postąpiłem aż tak autodestrukcyjnie i nie zakochałem się, a już na pewno nie zakochałem się w dziewczynie, któ-

ra jest rozwalona na tysiąc kawałków i zostawi mnie, kiedy tylko pozbiera się do kupy. Ale zdolność racjonalnego myślenia chyba mnie opuściła, bo nie zaprzeczam. Jest późno, a ja jestem zmęczony i przerażony, i zraniony, i jest mi tak strasznie przykro, że już nie mogę jasno myśleć.

- Ona o tym nie wie - mówię w końcu, spoglądając na Drew. Tak jakby to mogło usprawiedliwić moje zachowanie. Jakby mogło uczynić to wszystko mniej strasznym. Słowa smakują żalem, który wypełnia mnie całego i wylewa się przez usta.

- Josh - mówi, a w jego głosie nie został ani ślad lekceważenia czy sarkazmu, potępienia czy wyższości. Już nienawidzę go za to, co zaraz powie. - Wszyscy o tym wiedzą.

## Rozdział 50

### *Nastya*

Przed chwilą minęła druga w nocy. Jest późno, a wydaje się, że jeszcze później, jakby cała ta noc trwała tak długo, że wszystko, cały świat zdążył zmienić się nie do poznania. Drew odjechał piętnaście minut temu, powiedział, że wróci za pół godziny. Nie powiedział, dokąd się wybiera, ale nie musiał. Oboje wiemy.

Wzięłam prysznic, a teraz trzymam okład z lodu na twarzy, ale marzę tylko o tym, żeby wleźć do łóżka, nawet jeżeli nie zasnę. Zastanawiam się, czy istnieją słowa, które mogłabym zapisać, którymi mogłabym wymazać obrazy, wypalone tej nocy w moim mózgu, żeby więcej nie powróciły. Nie chodzi mi o Kevina Leonarda. Chodzi o Josha i tamtą dziewczynę. Obrazy, których nawet nie widziałam. A które teraz działają jak kwas, przeżerają się przez wszystkie dobre wspomnienia, zostawiając tylko to jedno. Już raz wymiotowałam, ale w chwili, kiedy obraz atakuje mój umysł, żołądek znowu się buntuje i muszę biec do łazienki, zawisam nad kibelem i rzygam. Ale nic ze mnie nie wychodzi. Nic nie zostało.

Włączam telewizor, nagle rozlega się pukanie do drzwi, bardzo ciche, o mało bym go nie przegapiła. Dałam Drew klucze,

więc to na pewno nie on, nie mam pojęcia, kto to może być. Podchodzę na palcach do drzwi, wyglądam przez judasz i widzę Tierney Lowell.

Przez minutę zastanawiam się, czy otworzyć. W końcu odsuwam zasuwkę. Ma na sobie to samo ubranie co na imprezie i wygląda, jakby płakała. Zastanawiam się, czy jest ktoś, kto po dzisiejszej nocy wyszedł bez szwanku.

- O rany, twoja twarz - wyrywa się jej. - Sorry. - Krzywi się, wyraźnie czuje się niezręcznie w tej sytuacji. - Nie chciałabym nikogo obudzić.

Potrząsam głową i otwieram szerzej drzwi, jednocześnie wykonując zapraszający ruch ręką. Patrzymy na siebie przez chwilę. Wiem, po co przyszła, czekam jednak, aż sama zapyta. Ciekawe, skąd zna mój adres. Może Clay. Rozmawia z nim, odkąd połączyło ich wspólne zamiłowanie do sztuki konstruowania bonga.

- Jest tu Drew? Kręcę głową.

- O. - Nawet nie próbuje ukryć rozczarowania. Bierze oddech i pyta, całkowicie szczerze: - Wszystko okej?

Chyba zacznę pobierać opłatę w postaci ćwierćdolarówki za każdym razem, kiedy ktoś zadaje to pytanie. Nawet nie wiem, co znaczy „okej”.

Kiwam głową.

- Chciałam tylko sprawdzić, co z nim - wyjaśnia. - Chyba nigdy wcześniej nikogo nie uderzył.

Chyba nie.

- Jak on się czuje? - W jej głosie słychać nieskrywaną troskę i świadomość, że to nie są puste słowa, zna Drew na tyle, by o tym wiedzieć.

Nie kręcę głową ani nie kiwam, ani nie wzruszam ramionami. Jego musi poprosić o odpowiedź na to pytanie. Ode mnie jej nie dostanie.

- On cię kocha - mówi takim tonem, jakby się z tym pogodziła.

Teraz kiwam, bo wierzę, że tak jest, chociaż nie w tym sensie, jak jej się wydaje. Powinnam napisać to na kartce, bo Tierney zasługuje na wyjaśnienie, ale w tym momencie przekręca się klucz w zamku i do środka wchodzi Drew. Na widok Tierney zamiera. Szkoda, że nie mogę zrobić zdjęcia, potem mogłabym im je pokazać, żeby już nigdy więcej nie mogli temu zaprzeczyć.

- Muszę iść. - Tierney ze zrezygnowaną miną przesuwa wzrokiem od Drew do mnie, a potem odwraca się do wyjścia.

Podchodzę do Drew, ściskam jego rękę i wskazuję głową na drzwi, Drew idzie za nią.

## *Josh*

Niecałą godzinę po wyjściu Drew zajeżdżam przed jej dom. Jest trzecia trzydzieści. Margot wróci za kilka godzin, ciekawe, jak Słoneczko wytłumaczy się ze swojej twarzy. Chwytam telefon, tkwiący w uchwycie na napoje, wsuwam do kieszeni. Jeszcze go nie sprawdziłem. Nie chcę zobaczyć jej imienia na wyświetlaczu i wszystkich kryjących się za nim „co by było gdyby”. Nie mam siły mierzyć się z faktem, że gdybym usłyszał sygnał, gdybym odebrał, to wszystko by się nie wydarzyło.

Widzę odjeżdżający samochód Tierney Lowell. Drew stoi na werandzie. Mijam go, otwieram drzwi, nie ma szans, by przypomniała mi, że nie mam prawa wchodzić do tego domu.

Nie mam kiedy się przygotować, bo od razu ją widzę, stoi w kuchni. Przez cały ten czas próbowałem na nią nie patrzeć. A teraz czuję się, jakby wypruto mi flaki, rozdarło na strzępy i zszyto z powrotem, tylko że zupełnie nie tak jak trzeba. Nie wiem, czy sprawia to rana nad okiem czy siniak na policzku, czy wyraz jej twarzy, wiem tylko, że to fakt, bo wszystko w środku mnie boli.

- Wracaj do domu - odzywa się Drew za moimi plecami, ale nie odwracam się, bo nie mogę przestać na nią patrzeć.

- Daj nam minutę. - Nie wiem, czy to prośba czy rozkaz.

- Nie dzisiaj, Josh - mówi. W jego głosie nie słychać siły, tylko klęskę.

Ma rację. Powinienem wyjść. Ona ma już dosyć atrakcji na dzisiaj, nie potrzebuje kolejnej. Ale jestem egoistą. Chcę usłyszeć od niej, że wszystko okej, chociaż wiem, że to nieprawda. Ale kupię wszystkie kłamstwa, które zechce mi sprzedać.

- Jedną minutę. - Mówię do Drew, ale patrzę na nią. Łagodnie, ale stanowczo. Nigdzie nie idę.

Kiwa głową w stronę Drew, on jednak nie wygląda na przekonanego. Pewnie myśli, że choć nie potrafił ochronić jej przed Ke-vinem Leonardem, może uratować ją przede mną.

- Jedź do domu, Drew - mówi miękko. - Twoja mama się obudzi i będzie wkurzona. Nic mi nie jest. Przysięgam. - To jawne kłamstwo, ale wypowiada te słowa tak naturalnie, jakby powtarzała je od wielu, wielu lat.

Drew poddaje się, z niezadowoloną miną. Podchodzi, przytula ją i szepcze *przepraszam* do ucha, potem wychodzi.

- Boli? - Bardzo logiczne zadać takie pytanie dziewczynie z twarzą spuchniętą jak bania, ale na początek tylko to przychodzi mi do głowy. Przykłada łód do policzka, kręci głową.



- Nie tak bardzo.

Patrzymy na siebie, a ścieżkę między nami zaśmiecają te wszystkie rzeczy, którymi raniliśmy się nawzajem.

Odkłada lód, bierze stojący na lodówce talerz, przykryty folią. Zdejmuje folię, stawia talerz z ciasteczkami na stole i każe mi usiąść.

- Wiem, mówiłeś, że masz ich dosyć, ale...

Rzeczywiście tak powiedziałem. To było ponad miesiąc temu. Zrobiła chyba ze dwanaście partii w ciągu jednego tygodnia, twierdziła, że wciąż nie może uzyskać idealnej równowagi między chrupkim a ciągliwym, a ja stwierdziłem, że jest walnięta, bo wszystkie smakują dokładnie tak samo. W końcu ostrzegłem, że nie spróbuję ani jednego więcej, chyba że zrobi coś z czekoladą.

- I co, udało ci się uzyskać idealne proporcje? - Nie mam pojęcia, dokąd zmierza ta rozmowa, ale ona jest moją linią styczną i pobiegnę za nią, dokąd tylko mnie zaprowadzi.

- Chyba tak. - Wzrusza ramionami niby od niechcienia, chociaż wiemy oboje, że te cholerne ciasteczka doprowadzały ją do szału. - Ty mi powiedz.

Popycha talerz w moją stronę. Dostała po twarzy. A ja przed chwilą uprawiałem seks z Leigh. Siedzimy przy stole, jest środek nocy, a ona prosi mnie, żebym zrecenzował ciasteczka.

- Smakują - mówię, chociaż staram się nie mówić z pełnymi ustami - dokładnie tak jak te poprzednie osiemset, które kazałaś mi próbować.

- Wiem, że smakują tak samo - odpowiada, niezrażona. - Chodzi mi o to, czy nie są zbyt chrupkie.

Powoli wypuszczam powietrze i kładę ciastko na stole.

- A więc będziemy rozmawiać o wypiekach. - Sztywno kiwam głową, biorę serwetkę i okręcam ją dokoła ręki.

- Przykro mi, że cię zraniłam.

- Co? - Te słowa ja powinienem powiedzieć, ale nie powiedziałem. Ona to zrobiła. Wiem, że wie, co zrobiłem tej nocy. W głowie mam tylko jedną myśl *Nie przepraszaj mnie. Proszę, nie rób tego.* Wczoraj to byłoby prawdziwe błogosławieństwo. Dzisiaj jest przekleństwem.

Chcę powiedzieć, że ja też ją przepraszam, ale to beznadziejne słowa, cały jestem beznadziejny.

- Tak mi przykro, że cię zraniłam - powtarza, jakby uznała, że muszę usłyszeć to jeszcze raz, tyle że teraz dokładnie „tak”. Żeby mocniej bolało.

- To ja powinienem przeprosić ciebie.

- Ty nie zrobiłeś nic złego.

Nie mogę uwierzyć, że te słowa wyszły z jej ust. To jeszcze gorsze niż przeprosiny.

- Jak możesz tak mówić? Wszystko, co wydarzyło się tej nocy, było złe. Wszystko! Absolutnie wszystko! - Nie zamierzałem podnosić głosu, lecz podnoszę, może to nawet dobrze, bo wreszcie wywołuję jakąś reakcję.

- Wiem, Josh! Co mam powiedzieć? Że moje serce złamało się tysiąc razy, kiedy weszłam dzisiaj do twojego domu? Że po powrocie wymiotowałam, nie z powodu tego, co zdarzyło się na tej kretyńskiej imprezie, ale dlatego, że nie mogłam przestać myśleć o tym, co robiłeś z tamtą dziewczyną? To właśnie chcesz usłyszeć? Bo to wszystko prawda!

Wiem, że to prawda. Wiem, ponieważ ból widać na jej twarzy, w jej oczach, słyhać w głosie. Wiem, ponieważ czuję się z tego po-

wodu równie okropnie, jak ona i nie mogę nic z tym zrobić. Stało się, tak jak cała reszta.

Wstaje i przechodzi przez kuchnię, a ja wyraźnie czuję każdy centymetr dzielącej nas przestrzeni.

- A wiesz, co jest najgorsze? - podejmuje. - Najgorsze jest to, że nie mam prawa czuć gniewu, ponieważ sama zawiniłam. To właśnie chcesz usłyszeć? Że wiem o tym? Że to wszystko w ogóle by się nie stało, gdybym z taką determinacją nie próbowała niszczyć samej siebie i wszystkich dokoła? Dobra. Tak, to wszystko moja wina! *Wszystko* i nikt nie wie o tym lepiej ode mnie. Jesteśmy w piekle i to ja nas do niego wtrąciłam. *Wiem* i jest mi *bardzo przykro*

Patrzę na nią przez chwilę, bo to pierwsza autentyczna reakcja od nie wiem jak dawna. Przez kilka ostatnich tygodni przypominała czarną dziurę i nagle ten martwy zimny spokój znika i jest wściekła i zrozpaczona, i zraniona tak jak ja.

Wstaję i robię krok w jej stronę. Patrzy na mnie, jakby zastanawiała się, co też najlepszego wyprawiam. Na jej twarzy maluje się mieszanina strachu i dezorientacji, jej oczy uciekają gdzieś w bok jak oczy dzikiego zwierzęcia, które szuka drogi ucieczki. Przez chwilę nie ukrywa swojej kruchości, kruchości, którą zawsze próbuję ignorować. Powinienem odejść, zostawić to, ale jestem tak blisko niej i nie wyjdę stąd, póki jej nie dotknę, jeden jedyny raz, nim wszystko znów się spieszy.

- Teraz podejść do ciebie - mówię niczym negocjator do samobójcy na dachu. - I obejmę cię, i przytulę - urywam, a potem robię jeszcze jeden krok - a ty mi na to pozwolisz.

- Dlaczego? - pyta takim tonem, jakby właśnie usłyszała najbardziej obłąkaną rzecz na świecie. Może zresztą tak jest.

- Ponieważ tego potrzebuję.

Jestem teraz tuż przy niej, a ona się nie cofa, więc robię to, co zapowiedziałem, obejmuję ją. Czuję, jak jej ciało mięknie, lekko, nieznacznie, ale nie odwzajemnia uścisku ani nie przysuwa się bliżej. Nie wybaczyła mi. Okej. Ja też nie wiem, czy jej wybaczyłem.

W końcu podnosi rękę, ale kładzie ją na mojej piersi i odpycha mnie delikatnym ruchem. Ja też unoszę ręce, zbliżam je do jej twarzy, chciałbym zmasać sińce i ból, ale zatrzymuję się na chwilę przedtem, nim moje palce dotkną jej skóry, opuszczam ramiona. Chciałbym, żeby zostawiła to tak jak teraz, pozwoliła mi odejść bez słowa, lecz to niemożliwe.

- Gdybym tylko mogła, cofnęłabym czas. Żałuję, że tak cię potraktowałam. - Wraca jednak do tego, zupełnie bez sensu, bo w tym momencie nie możemy nic zrobić.

- Żałuję że ci na to pozwoliłem. - To prawda i wiedziałem o tym od samego początku. Nie powinienem był jej pozwolić, by mnie zraniła. Za bardzo mi zależało i dlatego do tego dopuściłem. Postąpiłem tak, jak chciała. Nigdy nie powiedziałem, że ją kocham, ale to niczego nie zmienia. Kochałem ją każdego dnia i zapłaciłem za to.

- Musiałam odejść. - W jej głosie słyszę błagalny ton, jakby prosiła mnie, bym zrozumiał coś, czego nie rozumiem. - Nie mogę powiedzieć ci prawdy, ale wiem, że tego chcesz. Rozczarowałabym cię tylko, nie spełniłabym twoich oczekiwań, tak jak w przypadku wszystkich innych ludzi.

- Odejście to jedyna rzecz, która mogła mnie rozczarować. -Mógłbym żyć, nie znając prawdy, byle tylko zatrzymać ją przy sobie, nawet jeśli to byłby zły wybór.

- To już nie ma znaczenia - mówi. Na jej twarzy maluje się żal, żal za czymś więcej niż tych kilka ostatnich tygodni. Pogodziła się z tym. Możemy oboje przeproszać, ale zbyt wiele się wydarzyło, nie da się tego cofnąć. Pewne rzeczy trzeba po prostu zaakceptować. Oboje nauczyliśmy się tego już bardzo dawno temu.

- Spuszczę łomot Kevinowi - mówię w końcu. To mogę zrobić, chociaż tyle.

- Nie - odpowiada stanowczo.

- Dlaczego nie?

- Nie ma wystarczającego powodu.

- Ty jesteś jedynym wystarczającym powodem. - Może nie pozwalać mi, żebym ją kochał, ale to nie znaczy, że ja pozwolę innym ją ranić. Chyba jest w tym jakaś ironia, bo to ja zraniłem ją najmocniej tej nocy.

- Nie chcę być powodem. Sprawa skończona, chcę zapomnieć.

- Czemu traktujesz to tak lekko? Mógł cię zgwałcić, a ty zachowujesz się jak gdyby nigdy nic.

- Bo nic się nie stało. Uwierz mi, znam gorsze rzeczy. - Wzrusza ramionami. Doprowadza mnie do szału.

- Gorsze niż gwałt? - Patrzę na nią z niedowierzaniem.

- Gorsze niż próba gwałtu. Przeciągam ręką po twarzy.

- Starczy tych zagadek, Słoneczko! Mam dosyć. Dosyć! - Znowu tracę panowanie nad sobą. Od kiedy znam tę dziewczynę, na-wrzeszczałem się więcej niż przez ostatnie dziesięć lat i wszystko wskazuje na to, że na razie nie przestanę. - Ciągłe mówisz takie rzeczy, rzeczy totalnie bez sensu! Jakbyś chciała coś mi powiedzieć, ale nie powiesz, a ja mam pewnie sam trafnie odczytać alu-

zje i rozgryźć, o co chodzi. Wiesz co? Nie mogę. Nie potrafię. Nie potrafię cię rozgryźć i jestem już zmęczony.

Wygląda na to, że nie musimy czekać do jutra, aż wszystko znów się spieszy. To dzieje się właśnie teraz.

Trzymam ręce we włosach, chodzę po pokoju w tę i z powrotem, bo mam w sobie mnóstwo tłumionej agresji i nie potrafię sobie z nią poradzić. Teraz rozumiem bieganie. Mógłbym w tej chwili wybiec z tego pokoju i biec bez końca. Biorę wdech i zaczynam od nowa, bo mówić też nie mogę przestać.

- Wiem tylko, że coś się wydarzyło, czy, bardziej prawdopodobne, wydarzył się ktoś, ktoś, kto zniszczył ci rękę i całą resztę przy okazji, a ja nie potrafię tego naprawić.

- Nikt cię nie prosił. - Słowa brzmią gniewnie i gorzko. Jej oczy robią się niemal dzikie. - Wszyscy chcą mnie naprawić. Rodzice chcą mnie naprawiać. Brat chce mnie naprawić. Terapeuci chcą mnie naprawić. Miałaś być tą osobą, która nie chce mnie naprawić.

Oboje jesteśmy na granicy wytrzymałości. Oboje jesteśmy wściekli. Z jakiegoś powodu przynosi mi to ulgę. Teraz czuję, że może nie jestem sam.

- Nie chcę naprawiać ciebie. Chcę naprawić to. - Wyrzucam ramiona do góry, sam nie wiem, o czym właściwie mówię. O niej? O sobie? O całym posranym świecie?

- Co za różnica?

Co za różnica? Nie wiem. Może żadna. Może jednak chcę naprawić właśnie ją. A jeśli, czy to źle? Czy to znaczy, że przypadła mi rola palanta w tym scenariuszu?

- Nie wiem - odpowiadam, bo to jedyne, co wiem. Siadam z powrotem przy stole i opieram głowę na dłoniach.

Powietrze aż kłębi się od emocji. Nie daję rady. Jest po czwartej, czuję się, jakby przepuszczono mnie przez wyżymaczkę. Mam dosyć.

- Myślałam, że z tobą też coś jest nie tak. - Jej głos brzmi spokojniej, trochę przepraszająco, jakby czuła, że mnie obraża. Ale tak nie jest. - Myślałam, że nie będzie ci przeszkadzało, jaka jestem, bo rozumiesz. Pomyślałam, że jeśli nie będę cię pytać, ty nie będziesz pytać mnie i będziemy udawać, że nie obchodzi nas to, co stało się kiedyś. Ale to chyba tak nie działa. - Wzrusza lekko ramionami, jakby wiedziała o tym już od dawna, a teraz wreszcie się z tym pogodziła. - Chciałam, by istniała jedna osoba, która patrząc na mnie, nie będzie chciała zobaczyć kogoś innego

- A kto patrzy na ciebie tak, jakby chciał zobaczyć kogoś innego? - Unoszę głowę i opuszczam ręce, chcę widzieć jej twarz i nie potrafię sobie wyobrazić, by ktoś pragnął zobaczyć na jej miejscu inną osobę.

- Wszyscy, którzy mnie kochają.

- A kogo chcą zobaczyć?

- Kogoś, kto nie żyje.

## Rozdział 51

### *Nastya*

We wtorek na piątej lekcji pani Allister omawia poezję. Przerabialiśmy to już wcześniej w mojej klasie. Próbuję słuchać i nie gapić się za bardzo na pięknego i niesamowitego faceta w ostatnim rzędzie, którego serce wdeptałam w ziemię. Nie wiem, o której skończyliśmy gadać w sobotni poranek. Wiem tylko, że nie doszliśmy do żadnego rozwiązania. Zresztą nie było niczego, co moglibyśmy rozwiązywać. Wcześniej wszystko przepuściliśmy przez niszczarkę i tyle.

Chodzę między rzędami i rozdaję listy pytań do dyskusji na temat wiersza Edny St. Vincent Millay pod tytułem „Ponowne narodziny”. Kiedy mijam Ethana Halla, ten znowu zerka na moją twarz. Zamalowałam starannie siniec, ale i tak trochę widać.

- Bijesz swoją dziewczynę? - zwraca się do Drew. Po jego twarzy przemyka cień satysfakcji, jakby chciał dać do zrozumienia, że spotkała mnie zasłużona kara za to, że go nie chciałam.

- Nie, to twoja specjalność - odpowiada Drew niezrażony.

- Dostała na zajęciach z kickboxingu.

Odwracam się. Tierney Lowell. Tylko ona prócz Drew, Josha i mnie wie, co wydarzyło się u Kevina. Nie jestem specjalnie zaskoczona. Tak naprawdę broni Drew, chociaż sama pewnie by się



do tego nie przyznała. Dziękuję jej lekkim ruchem głowy, bo nawet jeśli on tego nie doceni, to ja tak.

Kiedy mijam Kevina Leonarda, próbuje złapać mnie za rękę, chce coś powiedzieć. Ma strasznie zmieszana minę. Josh kopie oparcie jego krzesła. Mocno. Kevin opuszcza rękę i wbija oczy w kartkę na stole, mroczy pod nosem *przepraszam*, skierowane, mam wrażenie, do Josha, nie do mnie.

Josh bierze kartkę, którą przed nim położyłam, ale w żaden sposób nie daje poznać po sobie, że mnie zauważył. Nie istnieję. Oddałabym jeszcze raz rękę za to, by wszystko cofnąć i usłyszeć, jak mówi do mnie „Słoneczko”.

- Kto wyjaśni, o czym mówi ten wiersz? - zaczyna pani McAllister. Kładzie resztę kartek na pięknym dębowym pulpicie, który za sprawą jakiejś magicznej mocy pojawił się w jej pokoju tydzień temu. Nikt nie wie, skąd się wziął.

- O drzewach! - krzyczy ktoś.

- W wierszu pojawiają się drzewa. Ale to nie drzewa są tematem wiersza - mówi pani McAllister.

- Wiersze chyba powinny być krótkie? - stwierdza Trevor Mason. - A ten ma chyba ze sto stron.

- Hiperbola, panie Mason - odpowiada pani McAllister.

- Hipo-co?

- Hiperbola.

- Wyolbrzymienie, tępa fujaro - strzela Tierney, po czym wywraca oczami, patrzy w sufit i wzdycha głęboko. - Dobra, zostanę po lekcjach.

Pani McAllister podchodzi do biurka i wypisuje kartkę z uwagą. -1 kto jest teraz fujarą? - cieszy się Drew i posyła Tierney złośliwy uśmiech. Unosi głowę i napotyka spojrzenie pani McAl-

lister, która nadal stoi przy biurku, z plikiem kartek w ręku. Potem Drew jeszcze raz spogląda na Tierney. - No wiem. Też poproszę.

- Nadal nikt nie odpowiedział na moje pytanie. - Pani McAllister wręcza kartki obojgu winowajcom i wraca na swoje miejsce.

Nawet gdybym nie miała widoku na całą salę, chyba usłyszałabym, jak wszystkie głowy odwracają się w stronę Josha, który podniósł rękę. Nawet pani McAllister wygląda, jakby nie bardzo wiedziała, co z tym fantem zrobić.

- Josh? - mówi niepewnie.

Przez sekundę milczy, ma udręczoną minę, chyba już żałuje, że zwrócił na siebie uwagę.

- Tematem jest marzenie o drugiej szansie - mówi w końcu. Nie podniósł wzroku, ale mam wrażenie, że wypowiadając słowa swojego dziadka, patrzy prosto na mnie. - Podmiot liryczny nie docenia piękna świata i życia, to ją niszczy, a kiedy umiera, zdaje sobie sprawę, że przyjmowała wszystko tak, jakby jej się należało i nie dostrzegała, co tak naprawdę ma. Teraz prosi o drugą szansę, drugie życie, by naprawić swój błąd.

Odrywam wzrok od Josha i patrzę na panią McAllister. Wpatruje się w niego z dumą i sympatią zarazem, ma taką samą minę jak pani Leighton, kiedy na niego patrzy. Ale zachwyty pani McAllister wynika chyba głównie z tego, że w ogóle się odezwał, a nie z tego, co powiedział.

- Dostaje tę szansę? - pyta, a ja desperacko wbijam wzrok w tablicę z terminami literackimi, wiszącą na ścianie i czekam na odpuszczenie grzechów. Wreszcie nadchodzi. Bardzo cicho.

- Dostaje.

## *Josh*

Dopiero w środę widzę się z nią poza szkołą, ale ledwo raczy na mnie spojrzeć. Nic się nie zmieniło, tyle że przed weekendem czułem się bardziej jak ofiara, a teraz mniej.

Jest już jedenasta. Siedzę w garażu od kilku godzin, ale niewiele zrobiłem. Dwa razy uporządkowałem skrzynkę z narzędziami, teraz zamiatam podłogę. Nie mam siły nic robić, ale moja lista coraz bardziej się wydłuża i w końcu będę musiał zabrać się do pracy. Przez ostatnie sześć tygodni miałem mnóstwo wolnego czasu, a nie zrobiłem nic.

Wchodzę do domu, parzę kolejną kawę i zabieram ją do garażu, z mocnym postanowieniem, że zaraz wytnę części na stolik, który obiecałem pani Leighton. Chyba jestem bardziej zmęczony, niż sądziłem, bo pierwsze, co widzę, to para bladych nóg w czarnych roboczych butach, zwisająca z blatu.

- Jesteś uzależniony. Trudno wyzwolić się ze szponów kofeiny.
- No to chyba nawet nie będę próbował.

Kiwa głową, mam ochotę spytać, po co przyszła, ale cieszę się, że przyszła i przez chwilę chcę udawać, że wszystko jest tak jak przedtem. Może ona też tego chce.

- Nie urośniesz.
- Nie przypuszczałem, że cię to interesuje.
- Tylko niektóre części - uśmiecha się krzywo. Uśmiecham się, ale słabo i nagle zdaję sobie sprawę, że nie mam ochoty na żarty. Szczególnie takie. To przypomina mi o wszystkim, co wydarzyło się tamtej nocy, i o tym, co później poszło źle i choćbym nie wiem jak mocno starał się udawać, że wszystko jest jak przedtem, to chyba słaby ze mnie kłamca.

- Pomaga nie zasnąć - mówię, nie chwytam przynęty.
- A czemu po prostu nie pójdziesz spać?
- Ostatnio kiepsko sypiam - odpowiadam zgodnie z prawdą.
- Może to przez kofeinę. Błędne koło.
- Ty nie pijesz kawy. Dobrze sypiasz?
- Punkt dla ciebie - mówi cicho.
- Dzięki. - Ta rozmowa jest taka kulturalna. Taka wykręcona. Zeskakuje z blatu i podchodzi do mnie. Siniak zbladł, ale nie zamalowała go, tak jak do szkoły, nadal jest widoczny. Mam straszną ochotę przejechać po nim palcami, a potem pobiec do domu Kevina Leonarda i zrobić mu kilka podobnych.
- Daj, spróbuję jeszcze raz. - Wyciąga rękę po kubek w moim ręku.
- Powinnaś najpierw dosypać jakiegoś świństwa.
- Brzmi zachęcająco.
- Ja piję czarną. Ty nie. Twoje kubki smakowe buntują się przeciwko wszystkiemu, co nie jest słodkie.
- Dawaj, frajerze. - Podaję jej kubek, patrzę, jak bierze łyk i krzywi się. - Nadal ohydna.
- Przywykniesz. - Wzruszam ramionami i zabieram kubek. Oddaje go bez protestów, wzdryga się, jakby próbowała pozbyć się gorzkiego smaku. Próbuję opanować uśmiech.
- Chyba wolę nie. - Marszczy nos i wraca na swoje miejsce. Jej nogi znów zaczynają się kołysać. To byłoby takie proste, zostać tutaj i zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło. Ale zawsze wrócimy do punktu wyjścia, bo nie doszliśmy do żadnych wniosków, a ja nie znam odpowiedzi. Może powinienem raz zabronić jej decydować o wszystkim tylko dlatego, że boję się ją stracić. Nie mogę zapomnieć, co zrobiła, nie mogę oczekiwać od niej,

że wybaczy mi to, co ja zrobiłem, i nie wiem, dokąd to wszystko nas zaprowadzi.

- Już nie jest jak przedtem - mówię, patrząc, jak pisze swoje imię w pyle, pokrywającym blat. - Nie możemy udawać, że nic się nie stało... że wszystko jest w porządku.

- Wiem - odpowiada i patrzy mi prosto w oczy, a ja widzę w jej oczach coś jakby nadzieję. - Ale kto wie.

Wychodzi dopiero po dwóch godzinach. Odmierza i zaznacza punkty, a ja tnę. Nie rozmawiamy o Kevinie Leonardzie ani Leigh, ani o straconych rękach, straconych ludziach i przeszłości. Rozmawiamy o meblach i narzędziach, o przepisach, konkursach sztuki i turniejach retoryki. Jest miło i bezpiecznie. Między nami nadal jednak coś wisi i nie możemy udawać, że tego nie ma, nawet jeśli dzisiaj nam się to udaje. Ale kto wie.

Po pierwszej odwożę ją do domu. Siedzimy na swoich miejscach, patrzymy na drzwi jej domu, ponieważ wszystko zmieniło się odrobinę tej nocy i żadne z nas jeszcze nie chce tego kończyć. Wyciągam rękę i kładę ją wnętrzem do góry na siedzeniu między nami. Nie waha się ani chwili. Kładzie na niej swoją dłoń, a ja zamykam palce.

## **Rozdział 52**

### *Nastya*

Nie wiem, jak długo siedzimy w pikapie Josha, trzymając się za ręce, otoczeni ciemnością i niewypowiedzianym żalem. Ale wystarczająco długo, by uświadomić sobie, że żadne historie i tajemnice nie są warte tego, by trzymać się ich zamiast tej ręki.

## Rozdział 53

### *Nastya*

Często myślę o tym, ile różnych drobnych rzeczy wydarzyło się tamtego dnia, kiedy zostałam napadnięta. I czy któryś z tych drobiazgów potrafiłby odwrócić kolej rzeczy. Zastanawiam się, ile czynników musiało zaistnieć, żeby mnie znalazł, i czy potrzeba równie dużo, bym ja odnalazła jego.

Clay przyjeżdża po mnie o ósmej rano, jest ubrany w koszulę z długimi rękawami i eleganckie spodnie, jego strój ani trochę nie przypomina umiejętnie skomponowanego artystycznego nieładu, do którego przywykłam. Ja chyba też nie wyglądam tak jak zwykle. Dzisiaj bardziej przypominam Emilię. Nie wiem, czy to dobre uczucie, ale na pewno nie aż tak złe jak kiedyś.

Mierzę Claya wzrokiem i ruchem głowy daję wyraz swemu uznaniu.

- Ty też - mówi, otwierając przede mną drzwi. Właściwie nie bardzo wiem, czemu mnie ze sobą zabiera. Powiedział, że chce pokazać mi, że nie na darmo spędziłam tyle godzin, siedząc na tyłku, ale przecież już to widziałam. Nie sądzę, żeby rysunki wyglądały inaczej, powieszona na ścianie.

Galerię otwierają o dziewiątej, do dziesiątej, kiedy zaczynają się rozmowy kwalifikacyjne, wszyscy finaliści mają się zarejestrować. Czeka nas tylko godzina jazdy, mamy dużo czasu. Clay wchodzi o jedenastej, przez ten czas obejrzę wystawę i poznam dzieła jego konkurentów, chociaż trudno sobie wyobrazić, by ktoś mógł z nim konkurować.

- Proszę. - Clay podłącza empetrójkę do zestawu stereo i podaje mi. - Pomyślałem, że skoro wyczerpaliśmy wszystkie ciekawe tematy do rozmowy, przyda się trochę muzyki. Możesz być didżejem.

Wcale nie mam ochoty. Mam ochotę oprzeć głowę o szybę, zamknąć oczy i udawać, że jadę do włoskiej restauracji w Brighton. Włączam, wybieram pierwszą listę i klikam. Wszystko mi jedno, byle nie była to muzyka poważna ani dołujące piosenki miłosne.

Po ostatniej środzie nie poszłam więcej do Josha. Wysiadając z pikapa, obiecałam sobie, że kiedy następnym razem tam się zjawię, odpowiem na wszystkie pytania, które mi zada, i chcę tej obietnicy dotrzymać.

Przez prawie całą drogę szukam w głowie odpowiednich słów, układam je setki razy w różnych konfiguracjach, potem znajduję nowe i zaczynam od początku. Kiedy zajeżdżamy przed galerię, moje policzki są mokre, nawet nie pamiętam, kiedy zaczęłam płakać.

Idziemy do punktu rejestracji, a potem do sali, w której wiszą prace Claya. To jedna z większych sal, dzieli ją trzech artystów. Jego rysunki zajmują największą ścianę. Znam większość z nich. Niektóre pochodzą z teczki do college'u. Niektóre przedstawiają mnie. Ale nie mogę skupić uwagi na żadnym z nich, ponieważ na samym środku znajduje się coś zupełnie innego.



Coś niesamowitego.

Wiszące pośrodku dzieło to mozaika, złożona z szesnastu rysunków. Każdy z nich przedstawia fragment mojej twarzy, razem tworzą coś w rodzaju układanki. To dlatego chciał, żebym z nim przyjechała. Wcześniej mi tego nie pokazał. Nawet nie wiedziałam, że nad czymś takim pracuje. Mam ochotę uciec.

Do środka wchodzi parę osób, komentują rysunki i zadają pytania Clayowi i dwóm dziewczynom, Sophie i Mirandzie, których prace również tu wiszą. Ja ustawiam się twarzą do ściany i udaję, że przyglądam się jednemu z obrazów Sophie. W końcu wołają Claya na rozmowę.

Kiedy zostaję sama, postanawiam obejrzeć resztę wystawy. Zamierzam zacząć od sal, leżących z tyłu, ponieważ na razie nie zdążyło dotrzeć tam zbyt wiele osób, jest spokojnie. Wchodzę do jednego z mniejszych pomieszczeń.

Na chwilę tracę kontakt z rzeczywistością. Po raz trzeci w życiu świat zmienia kierunek pod moimi stopami, a ja próbuję utrzymać równowagę.

On tu jest.

Widzę jego twarz. I to nie jest koszmarny sen. Ani wspomnienie. On tu jest, prawdziwy, i patrzy na mnie. A ja na niego. Nadeszła chwila, której bałam się i o której marzyłam od tamtego dnia, kiedy przypomniałam sobie, co mi zrobił.

Na ścianie widnieje nazwisko Aidan Richter, uczęszcza do szkoły w mieście niedaleko Brighton. Twarz, na którą patrzę, należy do mojego mordercy.

Wszystko w moim wnętrzu włącza się i wyłącza jednocześnie. Jestem słaba i silna. Jestem przerażona i odważna. Jestem zgubiona i odnaleziona. Jestem tutaj i nie ma mnie.

Boję się, że znowu przestanę oddychać.

Jest starszy, tak jak ja, lecz nie mam najmniejszych wątpliwości. Znam jego twarz równie dobrze, jak każdą bliznę, którą mi dał.

Chcę biec. Chcę płakać. Chcę krzyczeć. Chcę zemdleć. Chcę go zranić, zniszczyć, zabić go. Chcę spytać *dłaczego*, tak jakby istniał powód.

- Dlaczego?! - Szept i krzyk zarazem.

Zadaję to pytanie, i to nie tylko w swojej głowie. Wybrałam to słowo spośród tysiąca innych, które mogłabym mu powiedzieć. Zadaję pytanie, na które nie ma odpowiedzi. A może jednak jest? Może właśnie on, jedyny na całym świecie, może mi jej udzielić.

Nawet nie wiem, które to *dłaczego*. Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego ja? Dlaczego tutaj jesteś? Dlaczego ja tu jestem? Dlaczego?

Patrzy na mnie, wydaje się przerażony, to jedyna rzecz, która może w tej chwili mnie uszczęśliwić. Świetnie. Wielu ludzie się mnie boi. Dziewczyny w szkole. Moi rodzice. Czasami nawet Josh Bennett. Ale chcę tylko strachu właśnie tego chłopaka.

- Miałaś nic nie pamiętać. - Jego głos zupełnie nie przypomina tamtego. To on, a jednocześnie nie on. Nie kieruje nim wściekłość ani mrok. To ten sam chłopak, ale nie ten sam głos, nie te same oczy. Ani śladu tamtego obłądu.

- Miałeś mnie nie zabijać.

- Nie chciałem.

- Nie chciałeś? - Mój mózg obraca te słowa na wszystkie strony, próbuje odnaleźć ich sens. Ale bez skutku. - Jak to, nie chciałeś? Wiele razy uderzyłeś mnie w twarz. Ciągnąłeś mnie za włosy, część wyrwałeś. Kopąłeś mnie tak mocno i tyle razy, że nie dało naprawić się wszystkiego, co zniszczyłeś. Zamordowałeś moją rękę-

kę. Kości sterczały na wylot. Wszędzie. Pamiętasz to? - Ostatnie pytanie to tylko żalony zduszony szept.

- Nie. - Brzmi niemal jak przeprosiny.

- Nie? - Ja też nie pamiętam, jak wyglądała moja ręka. Potem widziałam zdjęcia, których nie chcieli mi pokazać. Ale on to zrobił. Powinien pamiętać.

- Nie wszystko. Tylko fragmenty.

- Fragmenty? Jesteś winien tego wszystkiego i nie masz nawet na tyle przyzwoitości, żeby pamiętać? - Nie wiem, skąd biorę te słowa. Nie mogę uwierzyć, że rozmawiam o przyzwoitości z chłopakiem, który jest moim oprawcą. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle z nim rozmawiam. Powinnam go zabić.

- Mój brat popełnił samobójstwo.

- Przykro mi. -*Przykro mi?* Powiedziałam, że mi przykro. Znowu idę do szkoły, uśmiecham się i mówię „cześć”. Nie. Nieprawda. Nieprawda. Wybaczam sobie, zrobiłam to całkowicie odruchowo. Wcale tak nie myślę. Daję mu słowa, lecz nie współczucie. Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby też nie mógł uwierzyć, że to powiedziałam. Chyba jestem nienormalna. Nie wiem, czy ta rozmowa jest prawdziwa, ale chyba tak, chyba nie potrafiłabym czegoś takiego wymyślić.

- Tamtego dnia wróciłem do domu i go znalazłem. Znalazłem jego ciało. - Mówi tak, jakby słyszał te słowa tysiące razy we własnej głowie, a tylko czekał na odpowiedni moment, by je wypowiedzieć.

I robi to.

Dał mi mityczne „dlaczego”. Opowiada całą historię. A przynajmniej to, co pamięta. Myślę sobie, że to bardzo ironiczne, ja, która miałam nie pamiętać, pamiętam, a on, który powinien znać

wszystkie odpowiedzi, ma w głowie czarną dziurę. Ale opowiada gorączkowo, jakby dusił w sobie tę historię przez wiele lat i chciał pozbyć się jej, zanim mu przerwę.

Opowiada o swoim bracie. O dziewczynie, w której brat się zakochał i która chodziła do tej samej szkoły, co ja. Która zerwała z bratem Aidana i którą Aidan obwiniął o jego śmierć, chociaż teraz wie, że to nie był prawdziwy powód. Rosjanka. Ruska kurwa. To jej szukał tamtego dnia. To ją zobaczył, kiedy zobaczył mnie. Ponieważ akurat tam byłam.

A potem mówi coś jeszcze. I niemożliwe, żebym nadal go nienawidziła, ale nienawidzę.

- Przepraszam. Przepraszam, tak bardzo przepraszam.

Moja głowa chce eksplodować. To nie tak miało być. On nie powinien mnie przepraszać. Powinien być zły, a ja powinnam go uderzyć.

Moje pięści zaciskają się bezcelowo. Nie wiem, jak to możliwe, że nadal oddycham. Nie mogę tego dłużej słuchać. On kradnie mój gniew, a to jedyne, co mam. Nie może zabrać jeszcze tego. Nie może sprawić, że przestanę go nienawidzić. Nic by mi nie zostało.

Zaczyna opowiadać o tym, jak po śmierci brata rodzice zapisali go na terapię, o tym, że żyje w poczuciu winy, bo nigdy nie powiedział nikomu, co mi zrobił. O tym, jak czekał, kiedy go aresztują, czekał i czekał, ale nikt po niego nie przychodził. I pomyślał, że dostał drugą szansę, że nie umarłam, i że ze mną wszystko okej, i że to nowy początek. Zgadza się. Początek bardzo gównianej historii.

Słowa. Bardzo dużo słów. Nie muszę wiedzieć, z jakiego powodu stał się zły, wystarczy, że tak było. Nie mam najmniejszej

ochoty słuchać o jego winie, terapii, sztuce i uzdrowieniu. Nie poczuje się lepiej. Nie wybaczy sobie. Ponieważ ja mu na to nie pozwolę.

I wydaje mi się, że on wcale sobie nie wybaczył. Jest pełen żalu i bólu, i odrazy do samego siebie, cierpię razem z nim, bo wiem, jak się czuje, i nienawidzę za to samej siebie.

W końcu przestaje mówić. Wysłuchałam go uważnie, teraz moja kolej. Moja kolej, by powiedzieć mu to wszystko, co chciałam, od dnia, kiedy wróciła mi pamięć. Teraz on ma słuchać. Ale nie dostaję takiej szansy. Nie mam szansy zastanowić się, które z tysiąca słów, kłębiących się w mojej głowie wypowiedzieć najpierw, bo w tym momencie do sali wchodzi Clay.

- Tutaj jesteś. Obejrzałaś już wszystko?

Patrzy na Aidana Richtera, który nie odrywa ode mnie wzroku, przerażony, jakby zobaczył ducha. Zjawę z przeszłości, która przybyła wyrównać rachunki.

- Cześć - mówi Clay, podchodzi do niego i wyciąga rękę. Mam ochotę ją chwycić i wrzasnąć, żeby go nie dotykał. Wiem, co zrobiły te ręce, nie chcę, by zbliżały się do Claya. - Clay Whitaker. To twoje prace?

Clay ogląda prace, które ja właściwie dopiero zauważyłam. Bardzo różnią się od prac Claya. Właściwie nie ma między nimi najmniejszego podobieństwa. Ale są świetne, mam ochotę przyłożyć sobie za to, że tak myślę. Nie mogę znieść, że on potrafi stworzyć coś takiego.

A potem mój wzrok pada na ten jeden obraz. I żadne słowa nie są w stanie wyrazić mojej nienawiści. Obraz wisi w rogu, jak kropka na końcu zdania czy raczej trzy kropki. To nie obraz. To wspomnienie czegoś, co nigdy się nie zdarzyło.

Nie znam się na sztuce, więc nie potrafię powiedzieć, czy to akwarela, akryl czy olej. Wiem tylko, że widnieje na nim moja ręka, odwrócona dłonią do góry, do świata, ten obraz wdziera się prosto do mojego wnętrza i rozrywa na strzępy wszystko, co jeszcze zostało. Ponieważ na dłoni leży perłowy guzik, guzik, którego nie udało mi się dosięgnąć.

Aidan Richter znikł, a ja czekam.

Muszę go znaleźć. On powiedział wszystko, a ja nic. Nie pozwolę mu oczyścić się z poczucia winy moim kosztem. Nie pozwolę, by wykorzystał mnie jeszcze raz. Nie pozwolę, by zakwestionował wszystko, w co wierzyłam przez niemal trzy lata i odszedł, zanim wysłucha tego, co ja mam do powiedzenia.

Teraz moja kolej. Chcę wykrzyczeć mu wszystko w twarz. Chcę spytać go, czy wie, że jest mordercą. Czy wie, że chociaż żyję, to tak naprawdę mnie zabił. Przywrócili mnie do życia, ale to nie zmienia faktu, że umarłam. Restartowali moje serce, ale to nie zmienia faktu, że ono naprawdę się zatrzymało. Nie można zmienić tego, co zrobił. Zabił małą pianistkę z Brighton, nawet jeśli nie zabił Emilii Ward. Chcę mu to powiedzieć. Chcę powiedzieć mu to wszystko, co wiem. Chcę, żeby cierpiał. Niewypowiedziane słowa doprowadzają mnie do szału.

Nikt go do tej pory nie znalazł, ale teraz wiem, kim jest. Znam jego nazwisko. Mogę znaleźć go, tak jak on znalazł mnie.

I to nie będzie przypadek.

## Rozdział 54

### *Josh*

Zjawiam się w niedzielę na obiedzie, licząc, że ona tam będzie. Nie przyszła, nie winię jej, biorąc pod uwagę to wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatniego tygodnia. Ja też bym nie przyszedł, gdybym tak desperacko nie czepiał się nikłej nadziei, że jednak ją zobaczę.

Dom jest zbyt cichy, a garaż zbyt pusty, więc przyszedłem trochę wcześniej. Obiad jeszcze nie jest gotowy, idziemy z Drew do jego pokoju, nie czuję się na siłach, żeby prowadzić uprzejme pogawędki. Ale z Drew też nie mam o czym gadać, siedzimy w milczeniu.

Może byłoby lepiej, gdybym został w domu. Po naszej rozmowie w środę więcej nie przyszła. Myślałem, że to punkt zwrotny, ale chyba znowu się łudziłem.

- Powiedz wreszcie, co się między wami wydarzyło - odzywa się w końcu Drew. - Tylko nie mów, że nic. I nie mów, że nie wiesz. Dostałem dosyć wymijających odpowiedzi od was obojga, nie chcę więcej tych bzdur.

- Ale ja naprawdę nie wiem. - Unoszę głowę i dodaję, zanim zdąży mi przerwać: - To najprawdziwsza prawda, czy ci się to po-

doba czy nie. Nie mam, kurwa, pojęcia. Wszystko było dobrze. Świetnie. A potem przestało. Wiem tylko, że przez jakieś pięć minut chyba byłem szczęśliwy.

- Coś musiało się wydarzyć, Josh.

I coś się wydarzyło. Staczam bitwę w mojej głowie, czy zadać mu to pytanie. Zawsze zastanawiałem się, ile ona mówi Drew, ile łączy ich rzeczy, o których ja nic nie wiem.

- Mówiła ci, że jest dziewicą?

- Co? Nie gadaj. - Patrzy na mnie z niedowierzaniem. - Serio? Przytakuję. Najwyraźniej nic nie wiedział, tak jak ja. Czuję się, jakbym ją zdradził. Ale musiałem komuś powiedzieć. Próbuję zrozumieć. Czuję, że tonę.

- Jak to możliwe? Jest dziewicą?

- Już nie - odpowiadam.

- Czyli to się wydarzyło - stwierdza. To nie jest pytanie.

- To się wydarzyło.

- I niby z tego powodu się rozstaliście? - pyta ze zdziwieniem.

- Nie wiem. Nic nie rozumiem. Powiedziała, że jest zniszczona, że wykorzystała mnie, żebym zniszczył ją do reszty.

- Co to miało znaczyć?

Potrząsam głową. Nie znam odpowiedzi. Pytałem ją o to, a ona żadnej mi nie udzieliła.

- Zupełnie bez sensu.

- Od samego początku nic w niej nie miało sensu. Chciała udawać, że to nie miało znaczenia. Ja też. - Nigdy nikomu nie powiedziałem tyle na jej temat, kiedy słyszę te słowa, dokładnie uświadamiam sobie, jak brzmią.

- Wiesz, że ona cię kocha?

- Tak ci powiedziała? - Nienawidzę nadziei w swoim głosie.



- Nie, ale...

- Tak przypuszczałem. - Nie chcę budzić w nim litości swoją fałszywą nadzieją. Powiedziała albo nie, proste. Nie powiedziała. Ale ja też nie.

- Josh...

Drew nie kończy, bo jego mama woła nas na obiad, nie daję mu szansy, wychodzę, zanim zdąży powiedzieć coś więcej.

Kiedy wchodzimy do kuchni, pani Leighton przytula mnie, a Drew idzie przygotować muzykę, dzisiaj jego kolej. Wszystko przebiega całkowicie normalnie.

Ale Słoneczka tu nie ma.

Właśnie stawiamy jedzenie na stole, kiedy pan Leighton, który zawsze ogląda wiadomości przed obiadem, woła nas z salonu. Pani Leighton krzyczy w odpowiedzi, że ma wyłączyć telewizor, bo obiad gotowy, ale on każe jej przyjść i widocznie usłyszała coś w jego głosie, bo tym razem nie dyskutuje. Idzie do salonu, a my za nią.

To jest ta ostatnia chwila, kiedy jeszcze wszystko jest zwyczajne i zrozumiałe. Zanim wszystko się zmieni. Miałem już kilka takich momentów w swoim życiu. Moment, kiedy idę z kuchni do salonu jest jednym z nich. Zanim zobaczę tę twarz w telewizorze, w salonie Leightonów tuż przed niedzielnym obiadem.

Nie wiem, po co pan Leighton nas zawołał, ale potem kieruję wzrok na ekran. I już wiem wszystko. Nie słyszę, co mówią, bo obraz krzyczy głośno i zagłusza całą resztę. Pan Leighton cofa nagranie na DVR, włącza je, ale słowa nadal z trudem do mnie docierają.

*Dziś po południu aresztowano ucznia szkoły średniej Aidana Richtera, który przyznał się do ciężkiego pobicia i próby morderstwa*

*na Emilii Ward, nazywanej przez miejscowych mieszkańców małą pianistką z Brighton. Zdarzenie miało miejsce w 2009 roku, ofiara miała wówczas piętnaście lat. Przez niemal trzy lata policja bezskutecznie szukała sprawcy. Richter, który w momencie popełnienia zbrodni miał lat szesnaście, sam zjawił się na posterunku policji w towarzystwie rodziców i adwokata i oddał się w ręce sprawiedliwości. Nie ujawniono żadnych szczegółów, bliscy sprawcy ani bliscy ofiary nie skomentowali dzisiejszych wydarzeń. Konferencja prasowa odbędzie się jutro o dziewiątej trzydzieści.*

- Niewiarygodne - mówi pan Leighton. Ale to nieprawda i sam dobrze o tym wie. Nie ma w tym nic niewiarygodnego. To jak zapadki w zamku. Nagle wszystko wskakuje na miejsce.

*ciężkie pobicie... próba morderstwa... Emilia... pianistka.*

Zatrzymuje obraz. Na ekranie widnieje zdjęcie dziewczyny, którą przez kilka miesięcy oglądałem we własnym garażu. Jest młodsza. Zero makijażu. Zero czarnych ciuchów. Uśmiecha się. Mimo ciemnych włosów i oczu nie ma w sobie nic mrocznego. Jest cała światłem. Słoneczko.

- Pamiętam, jak mówili o tym w wiadomościach. Straszna historia. Wygląda jak ona - mówi pani Leighton. Nie wiem, czy nie potrafi w to uwierzyć, czy po prostu nie wierzy.

- To jest ona.

Odwracamy się. W drzwiach stoi jej brat.

- Pukałem, ale nikt nie otwierał - mówi, chociaż tak naprawdę nie mówi do nas. Patrzy w ekran telewizora. - Gdzie ona jest?

Leightonowie patrzą na niego jak na obłąkanego włamywacza. Na ich twarzach maluje się niedowierzanie, ale nie wiadomo, co tak naprawdę jest jego źródłem, bo powietrze aż zgęstniało od napięcia.

- Asher, brat Nastyi - mówię, odpowiadając na pytanie, którego nikt nie zadał. Imię brzmi totalnie bezsensownie.

- Emilii - poprawia mnie. - Gdzie ona jest? Muszę zabrać ją do domu.  
- Wiem, że nie ma na myśli domu Margot. Zabiera ją do Brighton. W jego głosie nie słyhać gniewu. Tylko zmęczenie. Tak jakby przerabiał to od bardzo, bardzo dawna i czekał, kiedy wreszcie się skończy.

- Tutaj jej nie ma.

- Margot powiedziała, że ją tu znajdę. Najpierw kazała mi jechać do ciebie - patrzy na mnie - a jeśli jej tam nie znajdę, to znaczy, że jest tutaj na obiedzie. - Teraz w jego głosie słyhać niepokój. Niepokój maluje się też na jego twarzy.

- Dzisiaj nie przyszła - mówi łagodnie pani Leighton, a potem zwraca na mnie swoje oczy, pełne pytań i współczucia.

- Czemu nie namierzycie jej telefonu? - pytam gniewnie. Głównie dlatego, że widzę, jaki jest zdenerwowany i zmartwiony, i zaraża mnie swoim strachem.

- Zostawiła telefon na łóżku - odpowiada, jakby właśnie zdał sobie sprawę, że wcale go nie zapomniała. Nie chce, by ją znaleźli.

Asher opowiada, co wydarzyło się tego popołudnia w Brighton. Zaraz po telefonie z policji wskoczył do samochodu i po nią pojechał. Nie chciał, żeby sama prowadziła. Jednocześnie próbowali się do niej dodzwonić, mieli nadzieję, że zdążą z nią porozmawiać, zanim zobaczy to w wiadomościach. Ale nie odbierała.

Wszyscy chwytny za telefony, tak jakbyśmy wierzyli, że to coś da. Nie mamy do kogo zadzwonić, ale wydaje nam się, że coś robimy, nawet jeśli jest to całkowicie pozbawione sensu. Skoro znikła i nie zabrała ze sobą telefonu, postąpiła tak z jakiegoś powodu - a mianowicie takiego, że nie chce, byśmy wiedzieli, gdzie jest.

W wiadomościach nadają już coś nowego, ale my nadal gapimy się w ekran, jakby coś jeszcze mieli powiedzieć. Jakby zaraz mieli udzielić odpowiedzi. Może nie chcemy patrzeć na siebie nawzajem, nie chcemy widzieć wyrazu dezorientacji na cudzych twarzach, odbicia naszej własnej dezorientacji. Ja nie jestem zdezorientowany. Czuję, że wreszcie coś zrozumiałem, po raz pierwszy od wielu miesięcy. Może nawet wszystko.

Asher wychodzi, żeby zadzwonić. Drew spogląda na mnie. Widzę, że nie może się doczekać, kiedy wreszcie zada to pytanie.

- Powiedziała ci?

Powinienem odpowiedzieć twierdząco. Powinienem był o to zadbać. Powinienem był sprawić, żeby mi powiedziała. Uznałem istnienie jej tajemnic za coś oczywistego. Zgadzałem się na to, by nie mówiła mi o różnych rzeczach. *Rzeczach?* Ależ to posra-ne. O wszystkich rzeczach. O wszystkim. Ale wiedziałem, że kiedy mi powie, nie będę mógł tego cofnąć, a czułem się szczęśliwszy, nie wiedząc.

Potrząsam głową, wszyscy na mnie patrzą.

- Jak niby miała mu powiedzieć? Ona nie mówi - wtrąca Sarah.

Drew i ja spoglądamy na siebie, już nie wiem, co jest tajemnicą, a co nie.

Mój telefon dzwoni, wydaję go i odbieram, nie patrząc na ekran. Mam nadzieję, że to ona.

- Wiedziałeś? - pyta Clay, nie tracąc czasu na powitania.

- Nie wiedziałem - odpowiadam. Nie mam siły zareagować bardziej gwałtownie. Wszyscy zakładają, że powinienem wiedzieć. Powinienem. Ale nie wiedziałem.

- To ona, prawda? - Clay czeka na potwierdzenie, którego przecież nie potrzebuje.

-Ona.

- Widziałem ją z nim wczoraj.

- Z kim?

- Z Aidanem Richterem. Tym gościem, którego pokazywali w wiadomościach. Który się przyznał.

- Widziałeś ich? Co ty gadasz?

- W galerii. Jest jednym z finalistów konkursu. Kiedy wyszedłem z rozmowy kwalifikacyjnej, stali razem w jednej z sal.

- Co robili?

- Nie wiem. Stali, patrzyli na siebie. Dziwnie to wyglądało, ale pomyślałem, że pewnie ją o coś spytał, nie odpowiedziała i się przestraszył czy coś. Czy z nią wszystko okej? - pyta z autentyczną troską.

- Nie wiem. Nikt nie wie, gdzie ona jest. - Nie mam pojęcia, dlaczego mój głos się nie łamie, kiedy wypowiadam te słowa.

Asher wraca, słyszę, jak mówi:

- Rodzice zadzwonili do banku.

Mówię Clayowi, żeby przyjechał i rozłączam się.

Asher mówi, że płaciła dzisiaj kartą na stacji benzynowej na północnych obrzeżach Brighton. Dodaje, że zaraz jedzie jej szukać, tylko skoczy po parę rzeczy do Margot. Nie rozumiem, co może być takie ważne, że koniecznie musi to zabrać od Margot, zanim pojedzie szukać zaginionej siostry, ale nie jestem odpowiednią osobą, by krytykować zachowanie ludzi, którzy ja kochają. Twierdziłem, że ją kocham i proszę bardzo.

Słucham, nie przerywając mu, bo muszę ułożyć w głowie odpowiednie słowa, zanim zmiażdżę nimi tego chłopaka.

- Wczoraj się z nim spotkała. - Żołądek wywraca mi się na drugą stronę, kiedy to mówię. Boję się, że istnieją odpowiedzi, o których na razie wolę nie myśleć.

- Co? - Nie wiem, kto to powiedział. Może wszyscy naraz.

- Z Aidanem Richterem. Tym gościem, który się przyznał. Clay powiedział, że widział ich razem w galerii sztuki. On tam był - wyduszam z siebie z wysiłkiem.

- A kto to jest ten cały Clay? - Na miejscu Ashera chyba nie zadałbym takiego pytania, odpowiadam jednak, nagle dociera do mnie, jak niewiele jej rodzina wie na temat jej życia tutaj.

- Pozowała mu. Pojechała z nim wczoraj na konkurs plastyczny. Powiedział, że widział ich razem w jednej z sal wystawowych.

- Wie coś więcej? - pyta Asher z niepokojem.

- Nie wiem. Powiedziałem mu, żeby przyjechał.

W tym momencie Clay wchodzi do środka i spada na niego grad pytań. Opowiada, ale jest tego niewiele. Rozmawiał z komisją, a w tym czasie ona oglądała wystawę. Po skończonej rozmowie poszedł jej szukać. Była w jednej z sal z tym całym Richterem, stali naprzeciwko siebie i tylko patrzyli. Nie ma pojęcia, czy wcześniej rozmawiali, w każdym razie przy nim nie. Potem Richter musiał iść na rozmowę, więcej go nie widzieli. Clay odwiózł ją do domu i to wszystko.

- Zachowywała się zupełnie normalnie. No, tyle że nie mówiła. Rano, kiedy jechaliśmy w tamtą stronę, była przygnębiona, ale w powrotnej drodze nie.

- Czemu była przygnębiona? - pytam. Wcześniej o tym nie wspominał.

- Nie wiem. Przez cały czas patrzyła za okno, a kiedy dojeżdżaliśmy, płakała. Jest w beznadziejnym stanie od czasu, kiedy coś

wydarzyło się między wami, cokolwiek to było. - Patrzy na mnie, ale niemal przeproszająco, jakby wcale nie miał ochoty oskarżać nikogo z nas. - Gdyby to się nie stało, nic bym nie powiedział.

- Płakała? - Asher ma zdeorientowaną minę. Przy nim pewnie nie płacze.

-Ale bezgłośnie - wyjaśnia Clay. - Ciekły jej łzy. Zauważyłem dopiero, kiedy na nią spojrzałem. O nic nie pytałem. Kto wie, co dzieje się w jej głowie?

- Nikt - mówi Asher. Jeśli to możliwe, wygląda na jeszcze bardziej zdruzgotanego niż przed chwilą.

- Myślałem, że znasz swoją siostrę. - Rzucam mu jego własne słowa w twarz, bo zaczynam się bać i zachowuję się jak palant.

- Nikt nie zna mojej siostry. - Trudno z tym argumentować. Robimy podsumowanie, co wiemy, a czego nie. Wiemy dużo, tyle że nie to, co chcielibyśmy wiedzieć. Gdzie ona jest.

Ustalamy, że ostatnio widziano ją o dziewiątej dzisiejszego ranka. O jedenastej zapłaciła kartą kredytową na stacji benzynowej tuż za Brighton. Od tego czasu nie zostawiła po sobie żadnych śladów. Ale ma osiemnaście lat, a od jej zniknięcia nie minęło nawet dwanaście godzin, więc nikt prócz nas nie będzie jej szukał.

Asher po raz drugi, od chwili, gdy Clay opowiedział nam swoją historię, dzwoni do rodziców. Rozmawia z matką, a ojciec w tym czasie dzwoni na policję. Wszyscy myślimy o tym samym. Nikt nie mówi tego głośno. Skoro pojechała do Brighton, to znaczy, że szukała go, zanim przyznał się do winy. A skoro była w Brighton o jedenastej, a on zgłosił się na policję o trzeciej trzydzieści, to co wydarzyło się w międzyczasie?

Asher wychodzi, najpierw ma skoczyć do Margot i zabrać z jej pokoju to, co obiecał rodzicom. Potem jedzie do Brighton. Mar-

got nie rusza się z domu, w razie gdyby Słoneczko wróciła, co zapewne jest zupełnie bez sensu.

To oczywiste, że jadę. Drew oznajmia, że on też. Asher daje nam adres i telefon do domu rodziców, ma ich uprzedzić, że przyjedziemy. Decydujemy, że każdy z nas pojedzie swoim samochodem, w razie gdybyśmy musieli się rozdzielić.

Kilka minut później wsiałam do pikapa i ruszam w kierunku Brighton. Przez całą drogę prowadzę negocjacje, próbuję prze-handlować wszystko. Nie wiem, ile razy mówię *proszę*. Proszę, oddaj mi ją. Proszę, już wystarczy. Proszę. Telefon nie dzwoni. To najdłuższe dwie godziny w moim życiu.

W pokoju panuje kontrolowany chaos. To przypomina mi dzień, kiedy zginęły mama i siostra. Dzwoniące telefony. Podszyty obłędem spokój. Źle skrywany strach. Są jak zombie. Pustka w środku. Znękani i czekający na coś daremnie. Wiem, jak to wygląda. Ci ludzie pewnie byli kiedyś normalni. Przychodzi mi do głowy, że to równie dobrze mogliby być Leightonowie, gdyby chodziło o Sarę. Wystarczy jedna tragedia, żeby normalna rodzina uległa całkowitej implozji.

Wszędzie są zdjęcia dziewczyny, którą powinienem znać, ale nie znam. Dziewczyny w pastelowych sukienkach, ze wstążkami we włosach, uśmiechniętej, grającej na pianinie, na tylu zdjęciach, że nie potrafię zliczyć. Znowu odczuwam żal i tęsknotę, tym razem za dziewczyną, której nigdy nie miałem okazji poznać.

Matka i ojciec rozmawiają każde przez swój telefon. Dzwoni też stacjonarny, ale nikt nie podnosi słuchawki, mają dosyć dziennikarzy. W końcu ojciec wyciąga wtyczkę, robi się cicho i spokojnie. Chociaż nie tak naprawdę.



Siedzimy z Drew w drugim końcu pokoju, fizycznie i emocjonalnie oddzieleni od reszty rodziny. Reszty rodziny. Bo należę do tej kategorii, czy zdają sobie z tego sprawę, czy nie. Ona o to zadbała, choćbym nie wiem jak bardzo chciał zaprzeczyć. Teraz i ona odeszła. Wszystko się zgadza.

Krotko po nas przyjeżdża Asher. Trzyma w rękach stos czarno-białych zeszytów, takich, w jakich pani McAllister każe nam ćwiczyć twórcze pisanie. Kładzie je na stoliku pośrodku pokoju. Stolik jest paskudny. Mógłbym zrobić lepszy. Może dam im w prezencie.

Widzę tylko okładkę zeszytu, leżącego na samej górze. *Chemia*, głosi napis czerwonym flamastrem. To pismo Słoneczka. Trochę podłamuję się na ten widok.

Jej matka podchodzi bliżej z taką miną, jakby zeszyty miały zaraz wybuchnąć.

-To te?

Asher kiwa głową. Jest blady i wygląda doroślej niż za pierwszym razem, kiedy go spotkałem. Wszyscy w tym pokoju wyglądają, jakby przybyło im lat. Jakby widzieli zbyt wiele strasznych rzeczy i chcieli już tylko odpocząć. Ciekawe, czyja też tak wyglądam.

Nastya/Emilia/Słoneczko. Nie wiem, jak ją nazywać. Jej matka bierze pierwszy zeszyt z wierzchu, otwiera go i zaczyna przerzucać kartki.

- To tylko notatki z chemii - mówi, z ulgą i zdziwieniem.

- Popatrz dalej - mówi Asher, takim tonem, jakby zadawał śmiertelny cios.

Chwilę później jej twarz wykrzywia się okropnie, dłoń wędruje do ust, a ja odwracam wzrok, bo czuję się jak intruz. Tak bardzo

przypomina Słoneczko. Drew nie odwraca wzroku. Patrzy na nią. On też wygląda starzej. Może to stało się właśnie teraz, kiedy spojrzał na jej twarz.

- Zapisała aż tyle zeszytów? - rzuca jej matka, nie zwracając się konkretnie do nikogo z nas. Jej mąż, który przez cały czas stał z tyłu, wyjmując zeszyt z jej rąk, ona potrząsa głową. Ale nie w sensie, że nic nie rozumie, ale jakby mówiła *nie*. Nie chce, żeby to czytał. To tak jak wtedy, kiedy ktoś mówi ci, żebyś nie patrzył na zmarłego, bo jeśli spojrzysz, nigdy nie pozbędziesz się tego widoku. Na zawsze zostanie w twojej głowie i będziesz widzieć go za każdym razem, kiedy zamkniesz oczy. Tak właśnie patrzy jej matka, kręcąc głową. Jakby właśnie zobaczyła ciało i próbowała ustrzec go przed tym samym.

- Nie - mówi Asher. - We wszystkich jest to samo. Te same słowa, powtarzają się jak zapętłone. Te same słowa, nie wiadomo ile razy. - Głos mu się łamie. Zaczyna płakać, ale nikt nie próbuje go pocieszać. Nie mają w sobie pocieszenia i nie mogą go ofiarować.

Ktoś puka do drzwi, wchodzi jakaś dziewczyna. Bez słowa podchodzi do Ashera, który stoi całkowicie nieruchomo, a potem przytula ją, mocno, aż dziewczyna ginie w jego objęciach, a ja tęsknię za Słoneczkiem.

Wszystko jest takie zwyczajne. Nikt nic nie czuje, wszyscy robią swoje, bo jest tyle do zrobienia. Ale w tym momencie nikt już nie wie, kim jest.

Według policji Aidan Richter potwierdził, że widział się z nią wczoraj, ale zaprzecza, jakoby dzisiaj miał z nią jakikolwiek kontakt. Nikt nie potrafi potwierdzić, czy to prawda. Nie ma żadnego punktu zaczepienia. Żadnego punktu wyjścia.

W końcu decydują, że Asher, Addison i pan Ward pojedą jej szukać, każde swoim samochodem, chociaż nie mają pojęcia, gdzie i jak. Asher miał rację. Nikt nie zna jego siostry, w każdym razie nie tej obecnej.

Pani Ward zostaje, ma pełnić dyżur przy telefonie. Nikt nie wie, co zrobić z Drew i ze mną. Nie znamy okolicy, nie wiemy, dokąd ona mogła się udać. Jesteśmy całkowicie nieprzydatni.

- Możecie posiedzieć w pokoju Emilii, jeśli chcecie - proponuje pani Ward. Wszyscy w tym domu używają imienia Emilia, brzmi tysiąc razy lepiej niż Nastya.

Pokój jej jest totalnie powalony, czuję się, jakbym wszedł do środka jej umysłu. Nie ma ścian. W każdym razie ich nie widać. Całą ich powierzchnię, co do centymetra, pokrywają wycinki z gazet, wydruki komputerowe, ręcznie pisane notatki na skrawkach papieru. Zdają się niemal poruszać, migotać, tańczyć, niczym złudzenie optyczne. Zupełnie tak jak ona. Chcę zamknąć oczy, ale nie mogę. Czekam, aż to ustanie, ale nie ustaje. Może mógłbym uciec z pokoju, ale teraz są również w mojej głowie. Jak ten tajemniczy trup, kryjący się w notatkach, które zostały na dole.

Podchodzimy bliżej, bo dopiero z bardzo bliska da się coś przeczytać. Imiona. Wszędzie imiona, ich znaczenie i pochodzenie. Część z gazet, tak jak te, które wycinała u mnie w domu. Niektóre wydrukowane z Internetu. Inne zapisane jej ręką.

Nie wiem, jak długo tak się gapimy, aż wreszcie Drew mówi:

- Gdzie jest Nastya?

Patrzę na niego. Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Ale Drew nadal patrzy na ściany, nie na mnie. Szuka jej imienia. Ja też próbuję, ale to niemożliwe zadanie.

- Twoje oznacza ocalenie - mówi w pewnym momencie, przypatrując się karteczce, wiszącej przy oknie i pokrytej ręcznym pismem.

*Ocalenie.* Co za bzdury.

- Powiedziała ci? - pyta.

- Nie. - Nigdy nie pytałem. Nigdy o nic jej nie pytałem. - To bez sensu. Szybciej sprawdzimy w Internecie - mówię, odwracając wzrok.

Drew wyciąga telefon i wchodzi na stronę z propozycjami imion dla dzieci. Wpisuje „Nastya”, sekundę później dostajemy odpowiedź.

- Odrodzenie - mówi. - Zmartwychwstanie. Pochodzenie rosyjskie.

- Pewnie dlatego je wybrała. Zmartwychwstanie. I ze względu pochodzenie też - mówi jej matka, stając w drzwiach. Upięła włosy z tyłu, cienie pod oczami są teraz bardziej widoczne.

- Dlaczego zmartwychwstanie? - pyta Drew.

- Ponieważ umarła - odpowiada jej matka i w tym momencie tak przypomina Słoneczko, że totalnie wytrąca mnie to z równowagi. - A potem wróciła.

Jej matka opowiada nam, co stało się tamtego dnia. Nie wiem, czy chcemy o tym słuchać, ale ona chce mówić, więc słuchamy. Mówi to, czego nie powiedzieli w wiadomościach, i to, co wiedzą o Aidanie Richterze. Opowiada też, co było potem. Niepamięć. Milczenie. Operacje i rehabilitacja. Plan pójścia do nowej szkoły, gdzie nikt jej nie zna. Rosyjskie imię, wybór, którego jej matka nie rozumiała aż do teraz.

A potem opowiada, co było wcześniej. Historię o dziewczynce, grającej na fortepianie, ulubienicy wszystkich okolicznych miesz-

kańców. Jej oczy błyszczą na wspomnienie o tym. Ale zostało właśnie tyle - wspomnienie. Tak jak powiedziała Słoneczko. Wiem, co ona teraz widzi. Dziewczynę, która nie żyje.

I kiedy słucham tych opowieści, w tym domu, który zmienił się w sanktuarium, zaczynam rozumieć, dlaczego odeszła.

Mam wrażenie, że w ciągu jednego popołudnia więcej dowiedziałem się o osobie, która praktycznie mieszkała u mnie od kilku miesięcy niż przez cały ten czas, odkąd ją spotkałem. I wcale nie chcę wiedzieć tego wszystkiego.

Jej matka nam dziękuje, ale nie wiem za co, potem wychodzi, znowu musi dokądś zadzwonić. Przypuszczam, że po prostu szuka sobie jakiegoś zajęcia.

Drew kładzie się na łóżku i wbija wzrok w sufit. Ja siadam na podłodze, opieram się plecami o ścianę.

- Nie rozumiem - mówi w końcu Drew.

- Czego nie rozumiesz? - Istnieje wiele możliwych odpowiedzi na to pytanie.

- Nie rozumiem, dlaczego jej nie zgwałcił. - *A co to ma, kurwa, do rzeczy?* - ryczę.

- Nie jestem ćwokiem. Pytam poważnie - mówi i widzę, że to prawda, i że nieswojo się z tym czuje. Jak zresztą ze wszystkim. Przez kilka ostatnich tygodni Drew musiał poradzić sobie z tyloma trudnymi, pełnymi emocji sytuacjami co chyba jeszcze nigdy wcześniej i nie jest na to przygotowany.

- Sorry - mówię, bo rzeczywiście jest mi głupio, nie tylko dlatego, że na niego nakrzyczałem. W którymś momencie musiał dorosnąć, ale wolałbym, żeby nie odbyło się to w ten sposób.

- Po prostu nie rozumiem. Świetna laska, sama. Czemu nie? Czemu tylko zbił ją i zostawił? To nie ma sensu.

- A miałoby sens, gdyby ją zgwałcił? - pytam. Nic w tej historii nie ma sensu.

- Nie. Chcę zrozumieć, dlaczego to zrobił. Musiał mieć jakiś powód.

- Ból, gniew, smutek. Rzeczywistość. - Tyle jest rzeczy, które mogą cię złamać, jeśli nic nie trzyma cię do kupy.

- To nie jest usprawiedliwienie - mówi Drew.

- Usprawiedliwienie nie - odpowiadam. - Pytałeś o powód. To jest powód. Tyle że kiepski.

Próbuje zrozumieć, próbuje dopasować te słowa do swojej wizji świata, lecz to mu się nie uda. I nie powinno. Coś takiego nie powinno nigdzie pasować, nawet jeśli się zdarza.

Zegar przeklina mnie każdą mijającą minutą, zmuszam się, żeby na niego nie patrzeć, bo nie chcę ich liczyć. Nie wiem, jak długo trwa cisza, kiedy wypowiadam głośno to, co kryje się w mojej głowie, bo chcę się tego pozbyć.

- Miałem nie przeżywać tego kolejny raz. Nie dam rady. Skończyłem z tym. Wszyscy... odeszli. Koniec. I nagle ona. Dlaczego? Czym zawiniłem? Dlaczego mi ją dali, tylko po to, żeby zaraz odebrać? - Drew chce powiedzieć, żebym nie zapuszczał się w te rejony, ale nie potrafi się na to zdobyć. To jedyne miejsce, w które może zapuścić się mój umysł. - To moja wina. Niepotrzebnie myślałem, że mam prawo ją kochać. Ze to jest okej.

Wzdycha, patrząc w sufit.

- To jest okej, Josh. I z nią wszystko jest okej. - Chce w to wierzyć, ale nie wierzy, już lepiej, gdyby nic nie mówił.

- Nie jest. Z nikim. Nigdy.

Jest już po północy, ale nikt nie śpi. To już trzeci dzbanek kawy. Dwa ostatnie przygotowałem ja, co jest sprawiedliwe, bo wypilem najwięcej.

Asher, Addison i pan Ward wrócili godzinę temu. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Nie muszą. Gdyby poszukiwania zakończyły się pomyślnie, nie musieliby nic mówić. Cisza panująca w tym pokoju jest jak imadło, zaciskające się wokół nas z coraz większą siłą, powoli, po trochu, aż w końcu wszystkich nas zadusi. Fortepian majaczy w kącie jak duch, nie mogę na niego patrzeć, bo już wiem, co znaczy, i jego widok dręczy teraz też mnie.

Drew i ja zjedliśmy przy stole w jadalni. Pan i pani Ward siedzą na kanapie, w bezpiecznej odległości od siebie, żeby na pewno się nie dotknąć. Na drugiej kanapie leży Addison, głowę trzyma na kolanach Asher a, jego ręka bezwiednie gładzi jej włosy.

Nagle otwierają się drzwi. Wybucha bomba. Wszystko dzieje się jednocześnie. Ona tu jest.

Nikt się nie rusza. Nikt nie zrywa się z miejsca, nie biegnie do niej, nie krzyczy z radości. Patrzy na nas, przesuwa wzrokiem po naszych udreńczonych twarzach, aż dociera do mojej. I nie ma nic więcej. Nie mogę zrobić kroku. Ale ona podchodzi do mnie, jej matka mówi *Emilia*, Asher mówi *Em*, jej ojciec mówi *Mil-ly*, Drew mówi *Nastyja*, a ja mówię *Słoneczko*, a ona rozpada się na kawałki.

Wszystkie cząstki fruwią w powietrzu, a ja mocno trzymam tę, która została.

Trzymam ją w ramionach, ale nic nie mówię. Nie myślę. Nawet nie wiem, czy oddycham. Tak się boję, że nie zdołam jej utrzymać. Raz widziałem, jak płacze, ale to było nic w porównaniu z tym co teraz. Znikła, rozplynęła się w jakimś pozaziemskim bolesnym

niebycie. Ten dźwięk. Dziki, pierwotny i przerażający, nie chcę go słyszeć. Ręką, wciśniętą między usta i moje ciało, próbuje zdusić ten dźwięk, ale bez skutku. Trzęsie się, znowu się trzęsie, a ja błagam ją w myślach, żeby przestała. Czuję, że wszyscy się na nas gapią, ale nie mogę teraz o nich myśleć.

Cały jej ciężar spoczywa na mnie. Cały. Ciężar jej ciała, jej tajemnic, łez, bólu i żalu, i straty, i czuję, że ja też zaraz się załamie, bo jest tego za dużo. Nie chcę wiedzieć. Teraz rozumiem, czemu tyle czasu poświęca na bieganie. Ja też chciałbym pobiec przed siebie. Chciałbym zostawić ją, pchnąć drzwi, nie oglądać się za siebie, bo nie zniosę tego. Nie mam w sobie dość siły ani odwagi, ani pocieszenia. Jestem niewystarczający. Nie jestem żadnym ocaleniem. Nawet siebie samego nie umiem ocalić.

Ale jestem tutaj i ona tu jest, i nie mogę jej zostawić. Może nie muszę uratować jej na zawsze. Może mógłbym uratować ją teraz, w tym momencie, a jeśli zdołam tego dokonać, może to uratuje również mnie, może to wystarczy. Obejmuję ją mocniej, jakbym w ten sposób potrafił powstrzymać to drżenie. Płacz ucichł. Przyciska twarz do mojej piersi. Widzę refleksy światła na jej włosach, skupiam się na nich, bo nie mogę patrzeć nigdzie indziej, nie mogę patrzeć na twarze, czekające na odpowiedzi, których nie znam.

W końcu się uspokaja. Oddech zwalnia, ciało opiera się o moje ciało, przestaje drżeć. Czuję, jak z powrotem bierze jego ciężar na siebie, przez krótką chwilę, a potem odsuwa się ode mnie.

Otwieram ramiona i pozwalam jej odejść, ale nie odrywam od niej wzroku. Jej twarz jest całkowicie pozbawiona wyrazu, tak jak wtedy, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, widzę, jak znikają wszystkie emocje. To tak jakby puścić od tyłu nagranie przedsta-



wiające wybuch, wszystkie fragmenty nagle sklejają się w całość, jakby nic się nie wydarzyło.

Boję się odwrócić wzrok. Boję się, że ona znowu się rozpadnie. Że zniknie. Boję się. Nie powinienem był wychodzić z garażu. Nie powinienem był jej tam wpuszczać.

Nagle jej wzrok pada na stos zeszytów na stole i wszystko w niej zamiera. Nie odrywa od nich oczu. Są pytaniem i odpowiedzią jednocześnie.

- Jak? - pyta w końcu jej matka. W jej głosie brzmi konsternacja, poczucie zdrady i ulga. - Przecież nie pamiętasz.

Patrzę na twarze dwóch osób, które ją kochają, i które nie słyszały jej głosu od niemal dwóch lat. Nie spodziewają się odpowiedzi. A jednak.

- Pamiętam wszystko - szepcze. Wyznanie i przekleństwo. Zapada cisza, przerywa ją tylko dźwięk gwałtownie wciągniętego powietrza. To jej matka.

- Od kiedy? - pyta ojciec.

Odrywa wzrok od zeszytów i patrzy na niego.

- Od dnia, kiedy przestałam mówić.

Mimo wszystko w końcu zasypiamy, rozsiani po domu, na łóżkach, kanapach, na podłodze. Ja ląduję na łóżku w pokoju Słoneczka, wtula się we mnie, i nieważne, jak wąskie jest łóżko, ona nigdy nie będzie wystarczająco blisko mnie.

Nikt nie próbował mnie powstrzymać. Chyba wiedzieli, że i tak nie mogą nam zabronić. Nikt i nic na całym świecie nie potrafiłoby mnie powstrzymać.

Drew zrobił sobie posłanie na podłodze, on chyba też chciał być jak najbliżej.

Słucham, jak oddycha, przypomina mi, że jest tuż obok, że jej ciało leży wtulone w moje ciało, tak jak podczas tych wszystkich nocy, tylu, że straciłem rachubę.

W którymś momencie jej matka wchodzi do pokoju i patrzy na nas. Z akceptacją, jeśli nie zrozumieniem.

- Jak ją nazwałeś? - pyta, ale to chyba nie jest pytanie.

- Słoneczko - mówię, a ona uśmiecha się, jakby uważała, że brzmi idealnie, pewnie jest jedyną osobą prócz mnie, która tak sądzi.

- Kim ona jest dla ciebie?

Tym razem prawdziwe pytanie, znam odpowiedź, chociaż nie wiem, jak to powiedzieć.

Odpowiada jej zduszony głos Drew z podłogi.

- Rodziną. To prawda.

## Rozdział 55

### *Emilia*

Rano rodzice jadą na konferencję prasową, Asher idzie do szkoły, chociaż powiedzieli, że dzisiaj nie musi.

Odprawiam Drew do samochodu, nie mam ochoty wypuścić go z uścisku.

- Będę tęsknił za moją Nastya-bestią - mówi.

- Zawsze będę twoją Nastya-bestią - uśmiecham się. - Powiedz Tierney, żeby dała ci jeszcze jedną szansę. A jak tym razem spieprzysz, własnoręcznie cię załatwię.

Potem Drew odjeżdża, zostaję sama z Joshem Bennettem i wszystkimi znakami zapytania.

Podaję mu jeden z zeszytów, tylko tak może się dowiedzieć. Patrzy nań jak na jadowitą żmiję.

- Nie chcę wiedzieć, co w nich jest - mówi i nie bierze go ode mnie.

Odpowiadam, że ja też nie chcę. Ale wiem i chcę, by on też wiedział. Więc czyta, jego twarz tężeje, podobnie jak całe jego ciało, widzę, że próbuje powstrzymać się od płaczu. A kiedy pokazuję mu zdjęcia, przyciska pięść do ust, chyba chętnie w coś by walnął, ale nie ma w co. Kiedy dociera do tego, na którym widnieje moja

ręka, tego, na którym widać kości, przebijające skórę w tylu miejscach, że trudno uwierzyć, jak zdołali to wszystko poskładać z powrotem, zaczyna wymiotować. W sumie nic dziwnego.

Pokazuję mu nagrania, na których gram na fortepianie i albumy, pełne fotografii, przedstawiam mu siebie, tę, której nigdy nie spotkał. Niewiele mówimy.

- Byłaś naprawdę dobra. - W końcu przerywa ciszę, jego głos brzmi bardzo słabo.

- Byłam, kurwa, niesamowita - próbuję powiedzieć to żartobliwie, ale wychodzi strasznie smutno.

- Nadal jesteś - mówi z przekonaniem i przeszywa mnie wzrokiem, tak jak zawsze, kiedy chce się upewnić, że słucham. - Pod każdym względem.

Powraca milczenie, siedzimy razem na kanapie, z albumami na kolanach, patrzymy na fortepian, porzucony w kącie.

- Żałuję, że nie mogłem cię uratować.

Zawsze wracamy do tego samego. Ocalenie. On ratuje mnie. Ja ratuję jego. Niemożliwe, bo nie ma ratunku, zresztą nie tego pragnęliśmy od siebie nawzajem.

- To bez sensu - powtarzam słowa, które wypowiedział w wieczór moich urodzin. - Ponieważ to niemożliwe życzenie. - Biorę jego rękę, a on splata palce z moimi, ściska mocniej, niż to konieczne. - Nie mogłeś mnie uratować. Nawet mnie nie znałeś.

- A szkoda.

- Pani Leighton powiedziała, że ty też potrzebujesz ocalenia. Ale ja nie mogę ci go dać - mówię. Rzuca mi sceptyczne spojrzenie, nigdy nie wspominałam mu o tamtej rozmowie. - Nie chcę, żebyś mnie ratował i nie mogę uratować ciebie - dodaję, ponieważ chcę, by to ode mnie usłyszał, i chcę sama to usłyszeć.

Zamyka album ze zdjęciami, odkłada na stolik i wzdryga się, zauważyłam, że wzdryga się za każdym razem, kiedy patrzy na ten mebel. Potem odwraca się i ujmuje moją twarz w dłonie, i całuje z zupełnie niezrozumiałym dla mnie oddaniem. I może jestem kłamczuchą, i jednak chcę ocalenia, bo pocałunek Josha Bennetta jest jak ocalenie. To obietnica, wspomnienie z przyszłości, książka pełna lepszych opowieści.

Kiedy przerywa, nadal tu jestem, a on nadal na mnie patrzy, jakby w to nie wierzył, i chciałabym zatrzymać to spojrzenie na zawsze.

- Emilio - mówi i robi mi się ciepło w środku. - Ratujesz mnie każdego dnia.

## Rozdział 56

### *Josh*

Żegnamy się przed jej domem. Od mojego przyjazdu tutaj minęły dwa dni. Dwa dni temu poznałem prawdę. Dwa dni temu ją odzyskałem. Od dwóch dni myślę tylko o tym, że znowu mogę ją stracić.

Miałem wyjechać jutro, ale wiem, że muszę zrobić to dzisiaj.

Stoimy oparci o bok pikapa, wpatrujemy się w ziemię, jakbyśmy próbowali odczytać z niej wszystkie tajemnice wszechświata. Rękę zacisnęła w pięść, stopą rysuje kółka, nienawidzę tego, bo przypomina mi rzeczy, o których nie chcę myśleć.

Powiedziała rodzicom, że zastanawia się, czy ze mną nie wrócić, nie spodobał im się ten pomysł, ale znają ją na tyle, by wiedzieć, że i tak nie mogą jej zabronić. Za to ja zamierzam to zrobić.

Ujmuję obie jej dłonie i przyciągam do siebie, bo chcę patrzeć jej prosto w oczy, kiedy będę mówił to wszystko. Ale może to błąd, bo kiedy na nią patrzę, wydaje mi się, tylko przez sekundę, że Bóg jednak nie nienawidzi mnie aż tak bardzo. A potem patrzę jeszcze raz i widzę tylko pożegnanie, i muszę dotknąć jej jeszcze raz. Jeśli to ma być ostatni pocałunek, to chcę wiedzieć, że jest ostatni. Przesuwam palcem wzdłuż blizny koło linii wło-

sów. Nie wiem, które z nas pierwsze wykonuje ruch, ale nagle jej usta dotykają moich, a moje dłonie jej włosów, w naszym pocałunku jest żal i rozpacz tylu dni, że nie potrafię ich zliczyć. Przywiera do mnie całym ciałem, a ja obejmuję ją tak mocno, jakbym wierzył, że mogę wchłonąć ją w siebie samą siłą woli.

Ale nie mogę i w końcu przestajemy, i dotykam czołem jej czoła i szykuję się do pożegnania.

Wiem, że jeśli teraz tego nie powiem, to nigdy nie powiem i zostanę tutaj do jutra, i poczekam, aż zdecyduje się jednak ze mną pojechać. I przekonam samego siebie, że jest to całkowicie okej.

- Wyjeżdżam dzisiaj - mówię i czekam.

- Chcesz, żebym z tobą wróciła? - pyta bardzo cicho, jakby nie chciała, żebym to usłyszał.

- Tak. - Mówię szczerze, chociaż kłóci się z tym, co powiem teraz. - Ale nie powinnaś.

Kiwa głową, jakby też o tym myślała, wie, że to prawda. Ale podobnie jak ja nie chce tego przyznać.

Pokazała mi te zdjęcia i zeszyty, teraz wiem wszystko to, co ona wie. Ale nie potrafię jej pomóc. Nie wiem, jak zdołała żyć z tym wszystkim w swojej głowie i nie oszaleć do reszty.

- Powinnaś zostać i spróbować, sam nie wiem, lepiej się poczuć. Brzmi kretyńsko. - Rzeczywiście brzmi kretyńsko, ale nie wiem, co gorsze: *Wyzdrowieć? Wszystko naprawić?* Jakby miała złamaną nogę. Albo pracowała jako hydraulik. I to straszne, że tak myślę, ale jakaś część mnie wie, że kiedy poczuje się lepiej, kiedy wyzdrowieje, kiedy wszystko naprawi, już nie będę jej potrzebny. Być może zmieni się tak mocno, że będziemy dla siebie całkowicie obcy, już nie będziemy się znać - o ile kiedykolwiek się znaliśmy. I kiedy się rozstaniemy, to nie na trochę.

Gdyby to wszystko się nie zdarzyło, teraz mieszkałaby tutaj, w Brighton, gdzie jest jej miejsce - piękna, utalentowana i nieosiągalna. A ja jestem gnojem, bo teraz znam prawdę i nie potrafię czuć żalu. Bo tym samym żałowałbym, że ją spotkałem, a do tego nie umiem się zmusić.

W jakiś sposób oboje zawsze wiedzieliśmy, że jesteśmy razem, ponieważ oboje nosimy w sobie rany. Łączyły nas doświadczenia, których żadne z nas nie chciało. I może, kiedy ona już nie będzie taka poraniona, okaże się, że jej nie wystarczam. Może zapragnie kogoś, czyje życie nie jest tak tragiczne jak jej. I to nie będę ja.

Kiedy o tym myślę, chciałbym przewinąć czas do tyłu, wrócić do momentu, kiedy powiedziałem „tak” i na tym zakończyć. Tak, jedź ze mną. Będziemy bawić się w domek, piec ciastka, robić krzesła i życie stanie się idealne. Ale już zacząłem i mogę to zakończyć.

- Muszę to powiedzieć, pewnie nie zabrzmiałoby to zbyt dobrze ani elokwentnie i tak dalej, i pewnie będę mówił bez ładu i składu, ale wysłuchaj mnie, dobrze?

Jej oczy spoczywają na mnie. Wargi unoszą się niemal niezauważalnie.

- Wysłuchałaś wszystkiego, co mówiłam. Co do słowa. A także tych słów, których nie wypowiedziałam. Teraz ja wysłucham ciebie. - Jak ostrze, przecinające wszystko, co jeszcze mnie powstrzymuje.

- Może któregoś dnia wrócisz. Może nie, czego bym sobie nie życzył, ale nie możesz tak dalej. Nie możesz pogrążyć się w poczuciu winy i odrazy do samej siebie, i w całym tym syfie. Nie mogę na to patrzeć. Zaczynam nienawidzić cię za to, że siebie nienawidzisz. Nie chcę cię stracić. Ale pogodzę się z tym, jeśli tylko będziesz szczę-



śliwa. Myślę, że jeśli dzisiaj ze mną wrócisz, nigdy nie będzie okej. A jeśli u ciebie nie będzie okej, to u mnie też nie. Chcę wiedzieć, że jest szansa dla takich jak my. Chcę wiedzieć, że w ogóle istnieje coś takiego jak okej, a może nawet coś więcej, że to gdzieś jest, tylko jeszcze tego nie znaleźliśmy. Musi istnieć jakieś szczęśliwsze zakończenie. Jakaś lepsza historia. Zasłużyliśmy na to. Ty zasłużyłaś. Nawet jeśli w zakończeniu tej historii do mnie nie wrócisz.

Ostatnie słowa duszą mnie. Odbierają mi powietrze, wypalają oczy. Mam ochotę ugryźć się w język. Zamknij się, zatrzymaj ją. Obejmij ją i pocałuj, powiedz, że wszystko będzie okej, dzięki mnie, okej, a może nawet więcej. Powiedz, że absolutnie nic jej nie brakuje. Zaserwuj niewinne kłamstewka. Ale nie potrafię. Mam za sobą niejedno pożegnanie, przeżyję i to. W jakimś sensie to boli bardziej, ponieważ mógłbym mu zapobiec, gdybym tylko chciał, sam zacząłem. W tym przypadku, w przeciwieństwie do poprzednich, mam wybór. I chociaż powtarzam jej, że chcę, by została, chociaż wiem, że powinna zostać, to i tak chcę, by ze mną pojechała. By powiedziała: pieprzyć proces zdrowienia. By powiedziała, że to właśnie dzięki mnie może wydobrzeć, wrócić do życia i nic więcej jej do tego nie trzeba. Oboje wiemy jednak, że to nieprawda. Za chwilę pożegna się ze mną, a ja pozwolę jej odejść, i żadne z nas nie wie, czy wróci.

Od dwudziestu minut próbuję odjechać, ale żadne z nas nie potrafi się pożegnać. Nawet w tej chwili wiem, że wszystkie słowa, które jej dzisiaj dałem, są niewystarczające, ponieważ nie powiedziałem tej jednej najważniejszej rzeczy. I jeśli mam odjechać bez żalu, muszę wiedzieć na pewno, że nie zostały żadne niewypowiedziane słowa, które mogłyby mnie prześladować.

- Zaczekaj. - Chwytam jej dłoń, kiedy już ma odejść, przesuвам palcami wzdłuż blizn, tak jak to robiłem już tyle razy wcześniej. Baczynym wzrokiem obejmuje moją twarz, niemal czuję, jak jej oczy sięgają w głąb moich, jak próbuje dojrzeć, co jeszcze zostało do powiedzenia.

Nie wiem, jak to zrobić - nie jestem nawet pewien, czy mogę -ale muszę złamać ostatnią zasadę, bo jeśli nawet nie wie nic więcej, to tę jedną rzecz powinna wiedzieć.

- Kocham cię, Słoneczko - mówię szybko, żeby się nie rozmyślić. -1 mam w dupie, czy tego chcesz czy nie.

## Rozdział 57

### *Emilia*

Wcześniej nie wiedziałam, że żałoba i użalanie się nad sobą to nie to samo. Sądziłam, że przez cały czas, kiedy użalałam się nad sobą, byłam pogrążona w żałobie, ale to nieprawda. I teraz, po raz pierwszy od niemal trzech lat, pozwalam sobie na żałobę.

Josh pozwolił mi odejść. A może ja pozwoliłam jemu. To chyba nie ma znaczeniu. Wyjechał następnego dnia po Drew. Powiedział, że mnie kocha, ale mnie nie dał tego powiedzieć, nie chciał usłyszeć tych słów, jeżeli ma mnie stracić. Potem pocałował moją lewą rękę, puścił ją, wsiadł do pikapa i odjechał.

Wydaje mi się, że jemu pożegnanie przyszło trudniej, przyzwyczaiał się, że traci ludzi, ponieważ umierają, a nie ponieważ odchodzą. A ja odeszłam. Nie wiem, jak długo tu zostanę. Nie wiem nawet, czy w ogóle wrócę. Wiem tylko, że nadszedł właściwy moment.

Właściwy moment na zrobienie bardzo wielu rzeczy, nawet jeśli nie mogę zrobić ich wszystkich naraz. A chciałabym, bo nigdy nie należałam do cierpliwych osób.

Obejmuję mamę w ramach milczących przeprosin, bo nie znajduję odpowiednich słów. A kiedy się odzywam, mówię tylko to,

co na pewno jest prawdą: że nienawidzę samej siebie, że jest strasznie i boję się, że tak już zostanie i nie wiem, co robić. A potem proszę, żeby zadzwoniła. Pójdę.

Z początku chodzę na terapię prawie codziennie. I mówię. Mówię. Mówię. A potem mówię jeszcze więcej. I płaczę. A potem przyjeżdżają rodzice i brat i próbujemy znaleźć jakieś wyjście z tej czarnej dziury.

Wreszcie trafiliśmy na terapeutkę, która też nie należy do cierpliwych i nie toleruje żadnego kitu. Lubię ją. No bo powiedzmy sobie szczerze, nie potrzebuję przedszkolanki, potrzebuję kaprała. Daje mi zadania domowe, a ja je odrabiam, a w razie gdybym wyjechała, mamy rozmawiać przez telefon i spotykać się w weekendy. Wiem, że nie widać końca tej terapii. Przynajmniej na razie.

Spróbowałam nawet grupowej, ale tylko raz, nadal mi się nie podoba. Świadomość, że innym też przydarzają się straszne rzeczy, wciąż nie potrafi poprawić mi humoru. Więcej nie pójdę. I wcale nie czuję się przez to gorzej.

Wczoraj usiadłam przy fortepianie, ale nie dotknęłam klawiszy. Chyba wolałabym nie podnosić wieka tej trumny. Chciałabym pamiętać, że ostatni utwór, który zagrałam, zagrałam pięknie i idealnie, nawet jeśli tak nie było. Nawet nie zamierzam udawać, że mnie to nie zabija, wciąż nie nauczyłam się aż tak dobrze kłamać. Tęsknię za tym każdego dnia i nie wiem, czy kiedykolwiek przestanę.

Koszmary nie powróciły, ale spodziewam się ich każdej nocy. Wyplułam już wszystkie tajemnice i opowieści ze swojej głowy. Wszyscy znają całą prawdę, więc wspomnienia chyba nie mają czym się pożywić. Co wieczór ogarnia mnie straszna ochota, by sięgnąć po notatnik, jak po tabletkę nasenną, ale już ich nie ma.

Tata pomógł mi rozpałić ognisko za domem, a potem on, mama, Asher i ja po kolei wrzucaliśmy zeszyty w płomienie, aż dym zaczął szczypać nas w oczy i mogliśmy obwinie go o łzy. Nigdy nie zapomnę tych słów, ale nigdy więcej ich nie zapiszę.

Nie mam tutaj aparatu od mamy, używamy jej sprzętu, robimy mnóstwo zdjęć i próbujemy stworzyć nowe wspomnienia. Rozkładamy odbitki próbne na stole w kuchni, pokazuję jej swoje ulubione, ona mi swoje, drukujemy je i wieszamy na ścianie.

Aidan Richter siedzi w areszcie, prawnicy nie pozwalają mi z nim rozmawiać, mimo że się przyznał. Zresztą może wszystko już zostało powiedziane. Znam jego powody, wszystkie „dlaczego”, które kierowały nim tamtego dnia. Jak wrócił do domu. Jak znalazł ciało brata. Jak rzeczywistość stała się nie do zniesienia i jego mózg rozpadł się na kawałki. Mówią, że to był epizod psychotyczny. Wiem, tak twierdzi obrona, ale ja nie chcę tego słuchać. Nie chcę. Ponieważ nie mogę go usprawiedliwić. Nie mogę wybaczyć. I nie wybaczę. Ale moja nienawiść nie jest aż tak ostro zdefiniowana jak wcześniej. Aidan Richter był tak samo nieprzygotowany na gówno, którym obrzucił go los, jak ja. Tyle że u niego przejawiało się to w innej formie. Mam wrażenie, że wszystko, w co wierzyłam przez ostatnie trzy lata nie wygląda dokładnie tak, jak mi się wydawało. Jak gdyby szybę, przez którą patrzę, przesłaniał kurz moje własnej percepcji i nie potrafię dostrzec prawdy. Bo wcześniej wszystko było czarno-białe, złe albo dobre. To najtrudniejsza część - dostrzec, jak jest naprawdę.

Przez niemal dwa lata nosiłam w głowie obraz zła, widziałam jego twarz. Przez cały ten czas planowałam mu odpłacić, czułam, że jestem usprawiedliwiona, że to moje prawo. Ale kiedy pojechałam do Brighton, już nie byłam taka pewna. Siedziałam na zie-

mi. Pod drzewami. W miejscu, gdzie na mnie napadł. I czekałam. Czekałam na słowa. Czekałam na odwagę. Czekałam na decyzję. Ale czekałam zbyt długo; to też mi odebrał.

Po spotkaniu w galerii więcej go nie widziałam. Nie miałam okazji powiedzieć mu tego, co chciałam powiedzieć. Będę miała okazję przemówić na rozprawie. Ale jeszcze nie wiem, czy chcę. Nadal istnieją rzeczy, które chciałabym powiedzieć, ale już nie wiem jakie. Czasami tęsknię za milczeniem.

Czasami zastanawiam się, co dzieje się z tą prawdziwą dziewczyną, Rosjanką, którą byłam tamtego dnia. Ciekawe, czy słyszała o tym, co się stało, czy wie, jaką rolę odegrała w tej historii, samym swoim istnieniem.

Któregoś dnia mówię Joshowi przez telefon, że jestem już zmęczona własnym gniewem. Eufemizm stulecia.

- To pozbądź się go - mówi, jakby stwierdzał najbardziej oczywistą rzecz na świecie. I może tak jest.

- Ale jeśli się go pozbędę, czy to nie będzie znaczyć, że wybaczyłam?

- Nie. To będzie znaczyć, że przyjąłś to do wiadomości. - Bierze głęboki wdech, potem wypuszcza powietrze. - Nie mówię, że nie powinnaś być wkurzona. Jak najbardziej. Nawet wściekła. - Milknie, a kiedy znowu się odzywa, słyszę napięcie w jego głosie. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jaką mam ochotę go zamordować za to, co ci zrobił, gdyby nie siedział, chyba nic nie potrafiłoby mnie powstrzymać, więc rozumiem twoją nienawiść, wiem, że jest usprawiedliwiona. Ale ty zawsze chcesz mieć możliwość wyboru i teraz właśnie ją masz. Chciałbym, żebyś wybrała prawo do szczęścia. I wiem, że głupio to brzmi. Pewnie jak najbardziej

niemożliwa rzecz na świecie, ale i tak tego chcę. Odebrał ci fortepian. Nie odebrał wszystkiego. Spójrz na swoją lewą rękę. Pewnie jest zaciśnięta w pięść, co?

Nie muszę patrzeć. Tak. On wie.

- Otwórz ją i wypuść to.

I wypuszczam.

Myślę o dniu, kiedy umarłam i o opowieści dziadka Josha. Trzy dni później piszę list do sądu, mogą przeczytać go, kiedy im będzie pasowało.

*Nazywam się Emilia Ward.*

*W wieku piętnastu lat, zaczęłam tworzyć listę pod tytułem „Nigdy”. Już nigdy nie będę małą pianistką z Brighton. Nigdy nie urodzę dziecka. Nigdy nie przejdę po południu ulicą, nie zastanawiając się przy tym, czy w pobliżu nie czai się mój morderca. Nigdy nie odzyskam tych miesięcy, które spędziłam w szpitalach i ośrodkach rehabilitacji, zamiast w szkole i salach koncertowych. Nigdy nie odzyskam tych lat, które spędziłam pogrążona w nienawiści do całego świata, w tym siebie samej. Nigdy nie zapomnę znaczenia słowa „ból”.*

*Rozumiem ból Rozumiem gniew. Aidan Richter dał mi dar zrozumienia. On też rozumie. Przez ostatnie trzy lata żyłam w pogardzie i nienawiści do człowieka, który mi to zrobił, człowieka, który ukradł mi życie, zabrał tożsamość. Przy okazji nauczyłam się gardzić samą sobą. Przez trzy lata dokarmiałam swój gniew, on swój leczył.*

*Nigdy nie zapomnę, co zrobił. Nigdy nie wybaczę. Nigdy nie przestanę go nienawidzić. Nie proście mnie o to. Chciałabym móc powiedzieć, że mnie na to stać, ale tak nie jest. Nigdy nie przestanę oplakiwać tego, co mi odebrał. Ale nie mogę odebrać zapłaty. I nie*

*chcę. Może mogłabym uwierzyć wbrew Aidanowi Richterowi. A może dzięki niemu. Jeśli on potrafi naprawić swoje życie, to może ja potrafię naprawić swoje.*

*Nie mogę powiedzieć, czy to, w co wierzę, jest dla niego odpowiednią karą. Nie wiem. Ale chciałabym uwierzyć w marzenie o drugiej szansie. Dla nas obojga.*

Nic nie jest idealne. Nie jest nawet okej. Ale kto wie.

A pięć tygodni później wracam do domu.



## Rozdział 58

### *Emilia*

Nie jest lepiej. Ani odrobinę okej. Jedyne, co osiągnęłam, to postanowienie, że będzie lepiej. Ale może to wystarczy.

Próbuję dostrzec magię codziennych cudów: fakt, że moje serce nadal bije, że mogę unosić stopy i chodzić, że jest we mnie coś wartego miłości. Wiem, że złe rzeczy dzieją się przez cały czas. Czasami nadal pytam samą siebie, dlaczego żyję, ale teraz znam odpowiedź.

Wracam w niedzielę rano, a wieczorem wchodzę do jadalni u Le-ightonów, bez zapowiedzi, lecz jak zawsze mile widziana. Od razu słyszę, że dzisiaj Sarah dba o podkład muzyczny, uśmiecham się, bo nadal nie cierpię tej muzyki, ale nie mogę powiedzieć tego samego o Sarze. Wszyscy śmieją się, pomagają w przygotowaniach i przerzucają się złośliwymi docinkami. Wszystko po staremu, tyle że do stołu nakrywa Tierney Lowell.

Na widok Josha wiem, że wróciłam. Nic mu nie powiedziałam, że przyjeżdżam, a on nie mówi nic na mój widok, ja też nic nie mówię, moja obecność tutaj wystarczy za odpowiedź. Patrzymy na siebie i mówimy do siebie w milczeniu, tak jak zawsze, i nikt nie przerywa naszej rozmowy.

- Cześć... - Pani Leighton robi wielkie oczy, kiedy wchodzę do kuchni. Nie mam na sobie ani odrobiny czerni, a w rękach dzierzę takie samo ciasto czekoladowe, jakie przyniosłam za pierwszym razem.

- Emilio - kończę za nią, bo pewnie wszyscy zastanawiają się, jak na mnie mówić. Może z wyjątkiem Josha, który zawsze wiedział.

- Emilio - powtarza i obejmuje mnie. - Masz piękny głos. Może jednak coś się zmieniło.

- Mam jedno pytanie - mówi Josh, jakiś miesiąc po moim powrocie.

Siedzę w garażu, na krześle, które dla mnie zrobił, i odrabiam lekcje, bo mam straszne zaległości. Mogłabym pójść do domu i posiedzieć w klimatyzacji, ale uwielbiam to miejsce. Chętnie pocierpię, byle tylko być tutaj i razem z Joshem Bennettem wdychać przesycone pyłem drzewnym powietrze.

- Odpowiedziałam na wszystkie. Chyba nie zostało nic, o co mógłbyś zapytać.

- Tylko jedno - mówi. Odkłada śrubokręt, opiera się o blat na-przeciwko mnie. Wyciąga nogi daleko, aż dotykają moich.

Zamykam podręcznik, próbuję opanować uśmiech, bo wiem, co teraz nastąpi. Czekałam, aż zada to pytanie od dnia, kiedy zgubiłam drogę i wylądowałam u niego w środku nocy, na długo, zanim wiedział, że takie pytanie istnieje.

- Co zobaczyłaś, kiedy umarłaś? - Uśmiecha się półgębkiem, niepewnie, jakby czuł się zażenowany własnymi słowami. - Bo chyba nie Morze Spokoju?

Spoglądam na niego i wcale nie jestem taka pewna.

- Co to było za miejsce? - Jego głos załamuje się lekko, po uśmiechu nie został ślad.

Patrzy na mnie, jakby nie był pewien, czy ma prawo zadać to pytanie ani czy chce poznać odpowiedź. Niemal widzę, jak w jego głowie krążą słowa dziadka i jego własne wątpliwości. Są tu lampy, narzędzia i deski, buty robocze i chłopak, na którego chcę patrzeć do końca świata. Gdyby moje Morze Spokoju było prawdziwe, to znajdowałyby się tutaj, w tym miejscu.

Nie odpowiadam od razu, bo zanim zdradzę mu swój ostatni sekret, chcę przez chwilę popatrzeć na jego twarz.

A potem to mówię.

- Twój garaż.

## **Podziękowania**

*Przede wszystkim dziękuję Bogu.*

Brakuje mi słów, by wyrazić wdzięczność dwóm osobom, które poniosły największe poświęcenie w procesie powstawania tej książki - moim dwóm szalonym wspaniałym niewiarygodnym córeczkom. Dziękuję, że pozwoliłyście mi przez jakiś czas żyć we własnej głowie, choć oznaczało to zbyt mało wspólnych zabaw i zbyt dużo jedzenia z mrożonek. Przysięgam, że nie kocham Josha Bennet-ta bardziej niż was.

Dziękuję mamie za poczucie winy, terapię przez telefon i darmową opiekę nad dziećmi, za to, że pozwoliła mi jeszcze raz zostać nastolatką i za to, że jest moją przyjaciółką. Kocham cię, mamo.

Dziękuję teściom za to, że dali mi tydzień, który zmienił się w tysiące słów.

Dziękuję Carrie Bennefield, media specialist i mojej pierwszej czytelniczce za wsparcie i entuzjazm. I za to, że nie oskarżyła mnie o stalking.

Dziękuję Fredowi LeBaron, którego znam tylko z Twittera, i który dzielnie mi kibicował - dzięki za porady komputerowe i wszystkie inne, i za to, że nie śmiałeś się, kiedy nie umiałam

odnaleźć wiadomości na Facebooku. Mówię szczerze - szkoda, że nie wszyscy ludzie są tak wspaniali jak ty.

Dziękuję Jennifer Roberts-Hall i Kelly Moorhouse za niewyczerpany entuzjizm dla tej książki. Chyba każdy pisarz marzy o tak zagorzałych orędownikach swojej sprawy. Jesteście cudowne.

Na końcu pragnę podziękować Peterowi, mojemu mężowi, którego pokochałam w wieku siedemnastu lat i od tej pory kocham nieprzerwanie. Nigdy nie zapomnę swojej pierwszej miłości, bo nigdy się nie skończyła.

Życie jest krótkie, a listy książek do przeczytania bardzo długie. Dziękuję, że poświęciliście część swego cennego czasu tej książce.

*Katja.*